



**STAR
WARS**™
ŚWIT JEDI

WNICOŚĆ

TIM LEBBON


AMBER

STAR WARS

ŚWIT JEDI



W NICOŚĆ

Tim Lebbon

Tytuł oryginału
Dawn of the Jedi: Into the Void

For the Polish translation
Copyright 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Błażej Niedziński i Anna Hikiert

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Korekta
Hanna Lachowska
Barbara Cywińska

Ilustracja na okładce
Torstein Nordstrand

Projekt graficzny okładki
Scott Biel

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl
www.starwars.com

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1. MROczne SPRAWY

ROZDZIAŁ 2. WIELKA WĘDRÓWKA

ROZDZIAŁ 3. DOBRZY I WIELCY

ROZDZIAŁ 4. PAN WŁASNEGO LOSU

ROZDZIAŁ 5. CIEMNE STRONY

ROZDZIAŁ 6. ZAPOMNIANE LEGENDY

ROZDZIAŁ 7. WSZYSTKO GRA

ROZDZIAŁ 8. WSPOMNIENIE BÓLU

ROZDZIAŁ 9. BLIZNY

ROZDZIAŁ 10. PUSTE MIEJSCA

ROZDZIAŁ 11. NIEWOLNICY

ROZDZIAŁ 12. OTCHŁAŃ

ROZDZIAŁ 13. INNE SPOSOBY

ROZDZIAŁ 14. SMUTNA HISTORIA

ROZDZIAŁ 15. SZALEŃSTWO RAN DANA

ROZDZIAŁ 16. ALCHEMIA CIAŁA

ROZDZIAŁ 17. ODPYCHANIE

ROZDZIAŁ 18. ZEJŚCIE

ROZDZIAŁ 19. MOŻE

PODZIĘKOWANIA



Ellie i Danowi, moim młodym padawanom

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Lanoree Brock – Strażniczka Je'daii (kobieta)

Dalien Brock – marzyciel (mężczyzna)

Tre Sana – banita (Twi'lek)

Dam-Powl – Mistrzynie Je'daii (Catharka)

Lha-Mi – Mistrz Świątyni Je'daii (członek Dai Bendu)

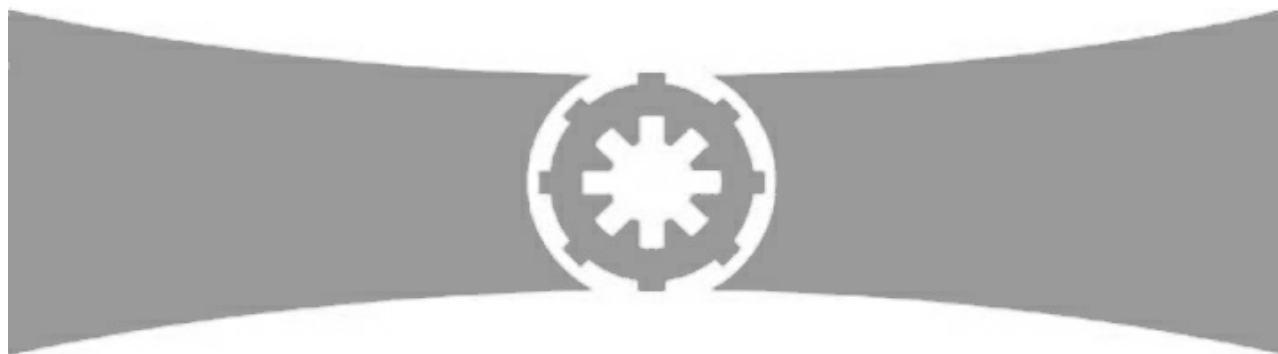
Kara – prowokatorka (kobieta)

Lorus – kapitan kalimahrskiej milicji (Sith)

Maxhagan – przestępca (mężczyzna)

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...

*W sercu każdej biednej duszy, która nie jest zjednoczona z Mocą, jest tylko nicość.
– Nieznany Je'daii, 2545 PTY (przed przybyciem Tho Yor)*



ROZDZIAŁ 1

MROCZNE SPRAWY

Już na samym początku naszej podróży czuję się jak skała tamująca nurt Mocy. Lanoree jest pluskającą się w nim rybą, czerpiącą z niego, zanurzoną w nim bez reszty, i jest on jej niezbędny do życia. Ja jednak trwam w bezruchu. Jestem przeszkodą tkwiącą w jego prądzie. Ale powoli, bardzo powoli, zaczyna mnie ten prąd wymywać.

– Dalien Brock, pamiętniki, 10 661 PTY

Jest małą dziewczynką, niebo wydaje się jej bezkresne i ogromne; Lanoree Brock zachłystuje się cudami Tythona, biegnąc w poszukiwaniu swojego brata.

Pewnie znowu znajdzie go w pobliżu ujścia rzeki. Dalien lubi być sam, z dala od innych dzieci z Bodhi, Świątyni Sztuk Je'daii. Rodzice kazali jej go odnaleźć i chociaż czeka ich tego popołudnia jeszcze kilka lekcji, to obiecali, że tego wieczoru przejdą się z nimi do Lasu na Skraju. Lanoree uwielbia tę okolicę, chociaż trochę ją ona przeraża. W pobliżu Świątyni, nad morzem, czuje, jak Moc przenika wszystko – powietrze, którym oddycha, widoki przed jej oczami i to, co składa się na tę piękną okolicę. W Lesie na Skraju w Mocy wyczuwa pierwotną dzikość, która sprawia, że jej puls przyspiesza.

Jej matka uśmiechnie się pewnie i powie jej, że kiedyś dowie się o niej więcej, a ojciec spojrzy w milczeniu w las, całkiem jakby potajemnie marzył o tym, żeby do niego uciec. A jej młodszy, dziewięcioletni braciszek... zacznie krzyczeć.

W Lesie na Skraju zawsze krzyczał.

– Dal! – Lanoree przedziera się zdyszana przez wysokie trawy w pobliżu brzegu rzeki. Rozrzuciła szeroko ramiona, pozwalając, żeby zdźbła pieściły jej palce. Nie powie mu o zaplanowanej na to popołudnie przechadzce. Jeśli to zrobi, Dalien wpadnie w zły humor i może nie zgodzić się im towarzyszyć. Czasami tak się zachowuje, ale jej ojciec mówi wtedy, że to oznacza, że szuka własnej drogi.

Dal chyba jej nie słyszy; kiedy jest już blisko niego, przestaje biec i zaczyna się skradać. Gdybym to ja była na jego miejscu, myśli, już dawno wyczułabym, że ktoś się zbliża.

Dal siedzi z opuszczoną głową. Obok niego na ziemi widnieje idealny okrąg ułożony z pestek melonojabłek, jego ulubionych owoców. Zazwyczaj robi tak,

kiedy nad czymś rozmyśla.

Obok płynie rzeka, wartka i szeroko rozlana, zasilona wodą z niedawnych deszczów. Ma w sobie jakąś porażającą siłę. Kiedy Lanoree zamyka oczy, czuje Moc i zanurzone w rzece niezliczone formy życia, dla których jest ona domem. Niektóre są małe jak palec, inne, które płyną w górę rzeki z oceanu – wielkie jak pół ścigacza chmur. Lanoree wie, że wiele z nich ma ostre kły.

Przygryza niepewnie wargę, wysyła wici Mocy i...

– Mówiłem ci, żebyś tak nie robiła!

– Dal...

Chłopiec wstaje i odwraca się w jej stronę. Jest rozgniewany. Przez chwilę w jego oczach Lanoree dostrzega błysk, który wcale jej się nie podoba. Widziała go już wcześniej – przypomina jej o tym blizna na dolnej wardze. Zaraz jednak gniew znika, zastąpiony przez łagodny uśmiech.

– Przepraszam – mamrocze jej brat. – Po prostu mnie zaskoczyłaś. To wszystko.

– Rysujesz? – pyta, widząc w jego dłoniach szkicownik.

Dal zamyka z trzaskiem zeszyt.

– To tylko głupoty.

– Wcale nie – mówi Lanoree. – Jesteś naprawdę dobry. Sam Mistrz Fenn tak mówi.

– Mistrz Fenn to kolega taty.

Lanoree ignoruje aluzję i podchodzi bliżej do brata. Teraz już widzi, dlaczego wybrał właśnie to miejsce – rzeka tutaj zakręca, a ze wzgórz Lasu na Skraju wpływa do niej niewielki strumyk, mącąc nurt i tworząc w nim liczne wiry. Przeciwny brzeg jest pełen żywych barw – rośnie na nim stare drzewo ak; jego podmyte korzenie dają schronienie liczным wicioptakom, których pióra lśnią złoto w promieniach zachodzącego słońca. Ich śpiew współbrzmi z szumem rzeki.

– Pokaż – prosi brata Lanoree.

Dal nie patrzy na nią, ale posłusznie otwiera notatnik.

– Jest... piękny – szepcze Lanoree. – Twoją dłoń musiała prowadzić sama Moc, Dal – chwali go niepewnie.

Dal wyciąga z kieszeni gruby ołówek i pięcioma zamaszystymi pociągnięciami gryfla przekreśla rysunek z lewej na prawo, drąc papier i niszcząc swoje dzieło. Wciąż ma przy tym tę samą, obojętną minę; oddycha miarowo, całkiem jakby wcale nie był zły.

– Tak jest lepiej – mówi jakby nigdy nic.

Lanoree patrzy na rysunek i przez chwilę poszarpane linie wydają jej się śladami pazurów. Zaczepuje głęboko tchu i mruga, kiedy...



Ze snu wyrwał ją natrętny sygnał alarmu. Lanoree westchnęła i usiadła, trąc oczy i próbując otrząsnąć się z marzeń sennych. Biedny Dal... Śniła o nim często, jednak zazwyczaj były to sny z późniejszego okresu ich życia, kiedy wszystko zaczęło się psuć – nie z czasów, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi, którym Tython wydawał się tak pełen obietnic.

Może dlatego, że wracała teraz do domu?

Nie była na Tythonie od ponad czterech lat. Jako Strażniczka Je'daii zajmowała się zwiadem. Niektórzy ze Strażników jakoś znajdowali powody, żeby wracać na ojczystą planetę regularnie – więzy rodzinne, nieustanne szlifowanie umiejętności, składanie raportów bezpośrednio przełożonym – ale wszystko sprowadzało się do jednego: nie lubili przebywać z dala od domu. Lanoree wiedziała też, że niektórzy Je'daii odczuwają wielką potrzebę przebywania od czasu do czasu w przesyconej Mocą atmosferze Tythona, całkiem jakby nie byli do końca pewni swojej z nią więzi.

Lanoree nie miała takich rozterek. Czuła się pewnie i wiedziała, że jej więź z Mocą jest silna. W tych krótkich okresach, które spędzała wraz z innymi w ustroniach na Ashli i Boganie – w ramach ochotniczej części szkolenia padawanów – jeszcze bardziej się w tym przekonaniu utwierdzała.

Wstała ze swojej koi i przeciągnęła się, sięgając palcami do sufitu; potem złapała się uchwytów, które własnoręcznie do niego przyspawała, i podciągnęła się na nich. Oddychając spokojnie, przyciągnęła nogi do klatki piersiowej i wyprostowała je równoległe do podłogi. Mięśnie drżały jej z wysiłku; oddychała głęboko, czując, jak Moc przepływa przez nią, rozedrgana i żywa. Ćwiczenia umysłowe i medytacja były potrzebne, czasem jednak wysiłek fizyczny sprawiał jej większą przyjemność. Była przekonana, żeby aby być silnym Mocą, należy stać się także silnym ciałem.

Alarm wciąż dzwonił.

– Nie śpię! – zawołała, opuszczając się powoli na podłogę. – Gdybyś jeszcze nie zauważył...

Sygnał budzika umilkł i do niewielkiej świetlicy "Rozjemcy" przydreptał na wyściełanych, metalowych nogach podniszczony, żółty droid. Stanowił jedno z udogodnień, jakie wprowadziła na swoim statku w ciągu lat, które spędziła poza układem Tythona. Większość "Rozjemców" była wyposażona w bardzo proste droidy, ona jednak zmieniła swojego na Holgoriana IM-220, zdolnego komunikować się w ograniczonym zakresie ze swoim ludzkim właścicielem i wypełniać inne obowiązki, niekoniecznie związane z utrzymaniem statku. Potem wyposażyła go jeszcze w ciężki pancerz, który podwoił jego wagę, ale i sprawił, że stał się bardziej użyteczny w sytuacjach kryzysowych. Kiedy coś do niego mówiła, robot udzielał lakonicznych odpowiedzi; Lanoree zawsze miała wrażenie, że równie dobrze mogłaby próbować rozmawiać z kapirami ze swojej ojczystej planety. Mimo to nadała mu imię.

– Hej, Pancerniak! Mam nadzieję, że nie obudziłeś mnie za wcześnie?

Droid pisnął i zazgrzytał, a Lanoree zastanowiła się, czy to aby nie ze starości.

Rozejrzała się po niewielkiej, ale wygodnej kabinie. Zamiast "Łowcy" wybrała "Rozjemcę" – głównie z powodu jego rozmiarów. Zanim jeszcze wyruszyła w swoją pierwszą misję jako Strażniczka Je'daii, wiedziała, że większość czasu będzie spędzała w przestrzeni kosmicznej. "Łowcy" były statkami szybkimi i zwrotnymi, ale zbyt małymi, żeby mieszkać na ich pokładach, "Rozjemca" zaś miał mniejszą manewrowość, jednak Lanoree spędzała na pokładzie długie, samotne godziny i nie przeszkadzało jej to.

Tak jak wielu innych Strażników, wprowadziła na swoim statku liczne modyfikacje i udoskonalenia, które uczyniły z niego jej własny, osobisty pojazd. Usunęła stół i krzesła, zastępując je ciężarkami i sprzętem do ćwiczeń. Teraz jadała, siedząc na swojej wąskiej koi. Zamieniła zestaw rozrywkowy HoloNetu na staroświecki, płaski ekran, który służył jako centrum łączności, a także zmniejszyła znacząco wagę statku. Oprócz przestronnej maszynowni na pokładzie znajdowała się niewielka kajuta dla gości albo załogi, ale że Lanoree nie miewała ani jednych, ani drugich, zamieniła kabinę na magazyn broni i żywności, a także umieściła w nim jednostkę odzyskiwania wody. Poczwórne laserowe wieżyczki statku również zostały zmodyfikowane i teraz były wyposażone w wyrzutnie pocisków plazmowych, a prócz tego rakiety drony, służące do walki na długi dystans. Dzięki pomocy catharskiego zbrój mistrza Gana Corli działka miały teraz trzykrotnie większą moc i ponaddwukrotnie większy zasięg niż broń montowana standardowo na pokładzie "Rozjemców".

Lanoree zmieniła i odpowiednio zaadaptowała również funkcje i pozycje wielu kontrolerek w sterowni, dzięki czemu tylko ona wiedziała, jak poprawnie pilotować statek. Teraz był całkowicie jej własnością, jej domem – i taki stan bardzo jej odpowiadał.

– Ile jeszcze do Tythona? – zapytała.

Droid odpowiedział jej serią wizgów i kliknięć.

– Świetnie – odparła. – W takim razie może lepiej nieco się odświeżę. –

Musnęła dłonią panel dotykowy i pociemniałe iluminatory w przedniej części sterowni obudziły się do życia, ukazując usianą gwiazdami przestrzeń kosmiczną, której widok za każdym razem zapierał jej dech w piersi. Było w nim coś do głębi poruszającego, a dzięki Mocy Lanoree ani na chwilę nie zapomniała, że ona sama jest tylko drobną cząstką czegoś nieopisanie bezkresnego. Przypuszczała, że to uczucie było czymś najbliższym objawieniu religijnemu, jakiego kiedykolwiek zazna.

Dotknęła jeszcze raz panelu i na ekranie rozbłysła czerwona aureolka, otaczająca jedną z odległych, świetlnych plamek. Tython. Za trzy godziny do niego dotrze.

Fakt, że Rada Je'daii wezwała ją pilnie na ojczystą planetę, mógł oznaczać tylko jedno: mieli dla niej misję, i to taką, którą chcieli jej powierzyć osobiście.



Wykąpana, ubrana i najedzona Lanoree siedziała w sterowni swojego statku, obserwując sylwetkę zbliżającego się Tythona. Skontaktowała się z dronami strażniczymi patrolującymi orbitę na wysokości trzydziestu tysięcy kilometrów nad planetą i jej "Rozjemca" opadał teraz w tamtym kierunku zgrabną parabolą, która miała go sprowadzić tuż nad równik.

Denerwowała się, ale perspektywa ponownych odwiedzin na Tythonie napełniała ją też radością. Cieszyła się na myśl o spotkaniu z rodzicami, nawet jeśli miało być bardzo krótkie. Zbyt rzadko się z nimi kontaktowała. Teraz, kiedy Dal nie żył, była ich jedynym dzieckiem.

Melodyjny kurant ogłosił nadejście komunikatu. Obróciła się w fotelu twarzą do ekranu, na którym zamiast białego szumu pojawił się właśnie obraz.

– Mistrzynie Dam-Powl – wykrztusiła na widok majaczącej na nim postaci. – To dla mnie zaszczyt... – To była prawda. Spodziewała się, że skontaktuje się z nią któryś ze Strażników Je'daii czy może Wędrowców, jednak na pewno nie oczekiwała, że będzie to sama catharska Mistrzynie Je'daii.

Dam-Powl skłoniła głowę.

– Dobrze znów cię widzieć, Lanoree – powiedziała. – Z niecierpliwością czekaliśmy na twoje przybycie. Musimy omówić pewne niecierpiące zwłoki sprawy. Mroczne sprawy.

– Domyślałam się, że chodzi o coś poważnego – odparła Lanoree i poruszyła się niespokojnie w swoim fotelu.

– Wyczuwam, że jesteś zdenerwowana – zgadła trafnie Mistrzynie Dam-Powl.

– Wybacz, Mistrzynie. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz rozmawiałam z Mistrzem Je'daii.

– Czujesz się niepewnie nawet w mojej obecności? – zapytała Dam-Powl z uśmiechem, który jednak szybko znikł z jej pyska. – Mniejsza o to. Przygotuj się, bo dziś będziesz rozmawiała z sześciorgiem Mistrzów, włącznie z Mistrzem Świątyni Stav Kesh, Lha-Mim. Wysłałam ci współrzędne punktu lądowania, trzydzieści kilometrów na południe od Akar Kesh, w pobliżu miejsca naszego spotkania. Będziemy na ciebie czekać.

– Mistrzynie, więc nie spotykamy się w Świątyni? – zaniepokoiła się Lanoree, jednak Dam-Powl przerwała już połączenie. Dziewczyna utkwiała spojrzenie w ciemnym ekranie. Widziała w nim tylko swoje odbicie. Szybko wzięła się w garść, odsuwając od siebie ponure myśli. Sześcioro Mistrzów Je'daii? A wśród nich sam Lha-Mi...?

– A więc to jakaś grubsza sprawa – mruknęła pod nosem.

Sprawdziła współrzędne, które wysłała jej Mistrzynie Dam-Powl, i przestawiła

komputer pokładowy na sterowanie ręczne, żeby osobiście dokonać podejścia do lądowania. Od zawsze uwielbiała latanie i swobodę, jaką jej ono zapewniało. Było jak zrzuć okowów. Czuła się dzięki temu panią własnego losu.

Zamknęła na chwilę oczy i odetchnęła Mocą – tak silną w pobliżu Tythona, będącą jego nierozłączną częścią, która budziła jej zmysły do życia.

W miarę jak "Rozjemca" prześlizgiwał się przez górne warstwy atmosfery Tythona, podeksycytowanie Lanoree rosło. Lądowisko znajdowało się w niewielkiej kotlinie, otoczonej strzegącymi okolicznych wzgórz potężnymi, strzelistymi skałami. Widziała w pobliżu inne statki, w tym również innego "Rozjemcę", i kilka "Łowców". To było dziwne miejsce na tego typu spotkanie, jednak Rada Je'daii z pewnością miała powody, żeby zorganizować je właśnie tutaj. Lanoree sprowadziła swój statek w dół płynnym łukiem i posadziła go łagodnie na ziemi.

– Wreszcie twardy grunt pod stopami – szepnęła do siebie. – Pancerniak, nie wiem, ile czasu tu spędzimy, ale wykorzystaj go i przeprowadź pełną kontrolę systemów – poleciła. – Jeżeli będziemy czegoś potrzebować, możemy to zdobyć przed odlotem w Akar Kesh – dodała nieco głośniej.

Droid wydał z siebie mechaniczny odpowiednik westchnienia.

Lanoree wysłała ostrożnie wici Mocy na zewnątrz, a kiedy wyczuła, że różnica ciśnień została zniwelowana, otworzyła zewnętrzny właz. Zapachy, które napłynęły do środka – aromat trawy, zapach rzeki, a także dziwna, elektryzująca woń, która zdawała się przesycać atmosferę wokół większości Świątyń – poruszyły lawinę wspomnień związanych z planetą, którą opuściła tak dawno temu. Jednak Lanoree wiedziała, że nie ma czasu na oddawanie się nostalgii.

Czekała już na nią trójka przyglądających jej się z zaciekawieniem Wędrowców.

– Witaj, Strażniczko Brock – odezwał się najwyższy z nich.

– Witajcie – odparła. – Gdzie zastanę Mistrzów?

– Na pokładzie "Rozjemcy" Mistrza Lha-Mi – wyjaśnił inny Wędrowiec. – Mam cię eskortować. Chodź, proszę, z nami.



– Reprezentuję Radę Mistrzów – oznajmił talidański Mistrz Świątyni, Lha-Mi. – Wybacz, że nie przyjmujemy cię na Tythonie w bardziej... sprzyjających warunkach, jednak to spotkanie musi się odbyć w tajemnicy. – Jego długie białe włosy lśniły widmowo w sztucznym świetle statku. Miał już swoje lata, był mądry i Lanoree cieszyła się ze spotkania z nim.

– Miło mi was widzieć – odrzekła i skłoniła głowę.

– Siadaj, proszę. – Lha-Mi wskazał jej gestem krzesło i Lanoree posłusznie usiadła naprzeciw niego i piątki innych Mistrzów Je'daii. Świetlica na pokładzie

tego "Rozjemcy" została zmodyfikowana tak, że teraz mieściła tylko okrągły stół z ośmioma krzesłami i właściwie nic poza tym. Skinęła głową, pozdrawiając Mistrzów Lha-Mi, Dam-Powl i catharskiego Mistrza Tema Madoga; pozostałej trójki nie znała. Wyglądało na to, że pod jej nieobecność sporo się zmieniło, także w kwestii stanowisk.

– Strażniczko Brock – zaczęła z uśmiechem Mistrzynie Dam-Powl. – Dobrze cię znowu widzieć. – Była Mistrzynią Anil Kesh, Świątyni Nauki Je'daii, a podczas pobytu w niej Lanoree bardzo przywiązała się do Catharki. To właśnie ona upierała się z pełnym przekonaniem, że Lanoree stanie się pewnego dnia potężną Je'daii, i to ona odkryła, w których dziedzinach Mocy Lanoree była najbardziej uzdolniona, a potem zachęcała ją do ich zgłębiania: metalurgii, manipulacji żywiołami i alchemii.

– Ja także się cieszę, że cię widzę, Mistrzynie Dam-Powl – odparła Lanoree.

– Jak tam twoje badania? – zapytała Catharka.

– Robię postępy – odpowiedziała oględnie Lanoree. Na pokładzie swojego "Rozjemcy" miała kontener zawierający osobiste doświadczenia i bywało, że spędzała przy pracy nad nimi wiele godzin. Nie była biegła w sztuce alchemii, ale czasami uczucie spełnienia i potęgi, towarzyszące korzystaniu z tej wiedzy, było niemal obezwładniające.

– Jesteś zdolną Je'daii – stwierdził Mistrz Tem Madog. – Czuję, że na przestrzeni lat zdobyłaś doświadczenie i stałaś się silniejsza.

Lanoree nosiła u boku miecz z durastali, wykuty właśnie przez Madoga. Jego ostrze nieraz ocaliło jej życie – czasami także to ona odbierała nim życie swoim wrogom. Było jak jej trzecia ręka, część niej samej. W ciągu czterech lat, które minęły od chwili, kiedy opuściła Tythona, nigdy się z nim nie rozstawała. Także i teraz, w obecności twórcy swojej broni, czuła się pewnie, mając ją pod ręką.

– Czczę Moc, jak umiem – powiedziała skromnie. – „Jestem tajemnicą mroku, w równowadze z chaosem i harmonią”. – Uśmiechnęła się, cytując przysięgę Je'daii. Niektórzy z Mistrzów odwzajemnili jej uśmiech, jednak nie wszyscy. Trójka, której nie znała, patrzyła na nią obojętnie. Wysłała w ich stronę ostrożne wici Mocy, wiedząc, że ryzykuje naganą, jednak nie potrafiła wyzbyć się starych nawyków. Zawsze lubiła wiedzieć, z kim się spotyka, a teraz uznała, że ma do tego prawo – skoro nie uznali za stosowne jej się przedstawić.

Zamknęli się na jej dotyk, a jeden z nich, Wookie, zawarczał gardłowo.

– W ciągu lat służby jako Strażniczka dobrze służyłaś Je'daii i Tythonowi – podjął Lha-Mi. – Teraz zaś, stojąc przed nami, musisz nam uwierzyć, że nie chcemy twojej krzywdy. Zdaję sobie sprawę, że to spotkanie może ci się wydać dziwne... i że nasza obecność może cię... przerażać. A nawet onieśmielać. Nie ma jednak potrzeby naruszać niczyjej prywatności, Lanoree, a już szczególnie Mistrzów. Wierz mi.

– Wybacz, Mistrzu Lha-Mi – powiedziała Lanoree, krzywiąc się w duchu. Może i spędziłaś ostatnie lata w dziczy, zganiała się w myśli, ale to wcale nie znaczy, że

wśród Je'daii możesz zapominać o formalnościach.

Wookie parsknął śmiechem.

– Nazywam się Xiang – przedstawiła się jedna z nieznanych jej Mistrzów, samica rasy Sith. – Szkoliłam się pod okiem twojego ojca, a teraz uczę pod jego kuratelą w Świątyni Bodhi. To mądry człowiek, a także świetny... sztukmistrz.

Przez chwilę Lanoree czuła się dziwnie zaskoczona. Pamiętała sztuczki ojca z czasów, gdy wraz z Dałem byli dziećmi – potrafił wyczarowywać z powietrza różne rzeczy, a także zmieniać jedne przedmioty w zupełnie inne. Wówczas wierzyła, że wykorzystuje do tego samą Moc, jednak w pewnym momencie wyjaśnił jej, że istnieją pewne rzeczy, których nawet Moc nie jest w stanie dokonać. Powiedział, że to sztuczki – że po prostu mamy jej zmysły, wcale na nie nie wpływając...

– Co u niego? – zapytała Lanoree, wracając do rzeczywistości.

– Ma się dobrze – odparła Xiang; usta w jej czerwonej twarzy rozciągnął uśmiech. – On i twoja matka przesyłają ci pozdrowienia. Mają nadzieję, że ich odwiedzisz, jednak zważywszy na okoliczności, rozumieją, jeśli okaże się to niemożliwe.

– Okoliczności?

Xiang zerknęła spod oka na Lha-Miego, który przeniósł spojrzenie z powrotem na Lanoree.

– Chcemy ci powierzyć pewną... misję – przemówił, ignorując jej pytanie. – Bardzo... delikatną. I niezmiernie ważną.

Lanoree wyczuła w panującej w pomieszczeniu atmosferze lekką zmianę. Na moment zapadła cisza – wszyscy, nie wyłączając jej, Lha-Miego i reszty Mistrzów, milczeli. W tle słychać było szum klimatyzacji, a krzesło Lanoree wibrowało lekko, przenosząc drgania wywoływane przez zasilanie systemów "Rozjemcy". Własny oddech brzmiał w jej uszach niczym dudnienie młota, a bicie serca wtórowało upływającym sekundom. Moc przepływała przez nią i obmywała ją; dziewczyna czuła także, jak upływające chwile przenika jej własna historia, tak samo jak dzieje cywilizacji Je'daii.

Była pewna, że za chwilę wydarzy się coś, co na zawsze zmieni jej życie.

– Dlaczego wybraliście właśnie mnie? – zapytała cicho. – W całym układzie aż roi się od innych Strażników. Niektórzy są znacznie bliżej. Podróż na planetę z Obri zajęła mi bite dziewiętnaście dni.

– Są ku temu dwa powody – zaczęła wyjaśniać Xiang. – Po pierwsze, jesteś osobą, która wydaje się najodpowiedniejsza do wypełnienia tej misji. Twój udział w rozwiązywaniu sporu w Hang Layden na Kalimahrze świadczy o twojej wrażliwości w kontaktach z przedstawicielami innych planet. Na Noksie zdołałaś ocalić wiele istnień, a twoja interwencja podczas walk Wookiech na Ska Górze prawdopodobnie zapobiegła rozpętaniu wojny domowej.

– To nie była interwencja... – zaprotestowała słabo Lanoree.

– Nie dało się uniknąć śmierci – wszedł jej w słowo Lha-Mi – ale zapobiegłaś

zbiorowym mordom.

Lanoree wróciła myślą do stojących w ogniu czubków wielkich drzew i płonących liści, niesionych podmuchami złowrogiego wiatru, który czasem nawiedzał tamtejszą dżunglę... do jęków wydawanych przez rozszczipane jęzorami ognia tysiącletnie pnie i krzyków umierających Wookiech... Przypomniła sobie także samą siebie, z palcem na spuście działka laserowego, strzelającą raz po raz. Ja albo oni, myślała za każdym razem, kiedy tamte sceny prześladowały ją w snach. Musiała podjąć decyzję. Wiedziała, że to była prawda. Próbowwała dosłownie wszystkiego – nie miała co do tego wątpliwości – a jednak, koniec końców, tamtejsza ziemia spłynęła krwią. A mimo to za każdym razem, kiedy o tym śniła, Moc burzyła się w niej, zmacona zmaganiem między światłem a mrokiem. Światłość gnębiła ją wspomnieniami... podczas gdy ciemność kusila wybawieniem.

– Ocalałaś wiele istnień – przypomniała łagodnie Xiang. – Bardzo wiele istnień. Gharcannę należało powstrzymać.

– Żałuję, że walczył do końca. – Lanoree spojrzała na Mistrza Wookie i pokiwała wolno głową, patrząc mu w oczy. Promieniował godnością, ale pod spodem tkwił głęboki smutek.

– Wspomnieliście o dwóch powodach – wróciła do tematu przerwanej rozmowy.

– Tak. – Xiang nagle zaczęła się wiercić niespokojnie na swoim krześle.

– Może to ja powinienem przekazać ci szczegóły – wtrącił Lha-Mi. – Najpierw misja. Je'daii, a może nawet cały Tython, są w niebezpieczeństwie. Kiedy ci o nim opowiem, zrozumiesz, dlaczego to właśnie ciebie wybraliśmy.

– Jestem tego pewna – zgodziła się Lanoree. – To dla mnie zaszczyt być tutaj i chętnie wysłucham, dlaczego mnie wezwaliście. Każde zagrożenie dla Tythona to zagrożenie wszystkiego, co kocham.

– Co kochamy my wszyscy – uzupełnił Lha-Mi. – Od dziesięciu tysięcy lat badaliśmy Moc, wokół której i wewnątrz której stworzyliśmy naszą wspólnotę. Wojny i konflikty przychodziły i przemijały. Walczyliśmy o utrzymanie mroku i jasności, Bogana i Ashli, w odwiecznej równowadze. Jednak teraz pojawiło się coś, co może zniszczyć nas wszystkich. Jeden człowiek... i jego marzenia. Marzenia o opuszczeniu układu i o podróżach w głąb galaktyki. Wiele osób o tym marzy i jestem w stanie to zrozumieć. Chociaż nie mamy powodów, żeby narzekać na nasz układ, każdy, kto choć trochę zna historię, wie, że sięga ona poza ten układ, wykracza poza wszystko, co wiemy i pojmujemy. Jednak ten człowiek... szuka innych dróg. Innych sposobów.

– Jakich? – zapytała Lanoree. Przeszedł ją dreszcz strachu.

– Hiperwrota – wyjaśnił ponuro Lha-Mi.

– Ale przecież na Tythonie nie ma hiperwrót – zaprotestowała Lanoree. – Istnieją co prawda legendy na temat portalu ukrytego w głębinach Starego Miasta, ale... to tylko legendy. Bajki.

– Bajki... – powtórzył Lha-Mi; przymknął powieki, a kiedy pochylił głowę, broda opadła mu na pierś. – Jednak niektórzy ludzie są gotowi wierzyć w bajki i z determinacją sprawić, żeby stały się rzeczywistością. Zgodnie z uzyskanymi przez nas informacjami ten człowiek ma właśnie taki zamiar. Wierzy, że głęboko w ruinach Starego Miasta, na kontynencie Talss, są pogrzebane hiperwrota. Chce je aktywować.

– Jak? – zapytała.

– Ma zamiar do tego użyć pewnego... urządzenia – wyjaśnił Lha-Mi. – Nie wiemy dokładnie, jakiego, jednak zgodnie z informacjami z naszego źródła jest ono napędzane ciemną materią, ujarzmioną sekretnymi sposobami. Zakazanymi. Przerażającymi. To najbardziej niebezpieczny ze znanych nam pierwiastków, którego żaden Je'daii nie ośmieliłby się próbować okiełznać czy stworzyć.

– Jeśli jednak hiperwrota nie istnieją...

– Bajki – powtórzył znowu Lha-Mi. – On goni za legendą. Fakt, czy wrota istnieją, czy nie, nie ma znaczenia. Prawdziwym zagrożeniem jest ciemna materia, której ten ktoś zamierza użyć do otwarcia rzekomo istniejących wrót. Mogłaby... – Urwał i odwrócił wzrok.

– Mogłaby zniszczyć Tythona – dokończyła za niego Dam-Powl. – Starcie ciemnej materii ze zwykłą spowoduje kataklizm. Stworzy czarną dziurę, która połknie Tythona w mgnieniu oka. Jego, a także resztę naszego układu.

– A jeśli hiperwrota istnieją i zadziałają?

Przez chwilę znowu panowała cisza. Przerwała ją jedna z trójki Mistrzów, którzy jak dotąd nie odezwali się ani słowem – i były to jej jedyne słowa podczas spotkania.

– Wówczas Je'daii też znajdą się w niebezpieczeństwie – innego rodzaju, ale równie groźnym.

– Rozumiesz więc, w jak trudnym położeniu się znaleźliśmy – dodał Lha-Mi.

– Jeden człowiek...? W takim razie... dlaczego go nie aresztujecie? – zdziwiła się Lanoree.

– Nie wiemy, gdzie przebywa. Nie wiemy nawet, na jakiej planecie.

– Czy wasze źródło informacji jest pewne? – zapytała Lanoree, jednak chwilę później zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź na własne pytanie. Gdyby było inaczej, tylu Mistrzów Je'daii nie zgromadziłoby się bez powodu.

– Nie mamy podstaw, żeby w nie wątpić – odparł Lha-Mi – za to mamy podstawy, żeby się bać. Jeżeli się okaże, że zagrożenie nie jest tak wielkie, jak się wydaje, to dobrze. Wówczas stracimy tylko nieco czasu.

– Ale... te hiperwrota... – zaoponowała Lanoree. – Możecie ich strzec. Pilnować...

Lha-Mi pochylił się w jej stronę i jednym mrugnięciem oka odciął kabinę od świata zewnętrznego – szum klimatyzacji ustał, właz zatrzasnął się z hukiem i uszczelnił.

– Hiperwrota to bajka – powiedział Talidańczyk. – To wszystko.

Lanoree pokiwała głową. Wiedziała też jednak, że rozmawianie o zwykłej bajce nie wymagałoby takich środków ostrożności. Zastanowię się nad tym później, postanowiła, zachowując swoje myśli dla siebie.

– A teraz – podjęła Xiang – powiem, dlaczego to właśnie ciebie wybraliśmy do wypełnienia tej misji. Ten człowiek... to Dalien Brock. Twój brat.

Lanoree zakreśliło się w głowie. Nigdy dotąd nie cierpiała z powodu choroby przestrzennej – zawsze miała na podorędziu Moc, która pomagała jej się uspokoić, jak zresztą wszystkim Je'daii – jednak teraz miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Kabina zdawała się wirować wokół niej, chociaż "Rozjemca" pewnie stał na lądowisku.

– Niemożliwe – wykrztusiła wreszcie, marszcząc czoło. – Dalien zginął... dziewięć lat temu.

– Nie znalazłaś ciała – przypomniała jej Xiang.

– Znalazłam jego ubranie – zaprotestowała słabo Lanoree. – Podarte... Zakrwawione.

– Nie mamy powodu, żeby wątpić w nasze źródło informacji – powtórzył Lha-Mi.

– A ja nie mam powodów, żeby mu wierzyć! – zawołała z mocą Lanoree.

W kabinie jeszcze raz zapanowała pełna napięcia cisza.

– Masz powód – przerwał ją cichy głos Lha-Miego. – Nasz rozkaz. A także każdy cień podejrzenia, że twój brat jednak przeżył.

I fakt, że jeśli to prawda, może zagrażać Tythonowi. Twój brat może zniszczyć wszystko, co kochasz.

A więc uciekł, myślała gorączkowo Lanoree. Znalazłam jego ubrania w ruinach... Starego Miasta.

– Widzisz? – spytał Lha-Mi, całkiem jakby czytał jej w myślach. Lanoree wiedziała zresztą, że to może być prawda, więc nie kwestionowała jego zdania. Był w końcu Mistrzem Świątyni, a ona tylko Strażniczką. Speszyła się, ale nie mogła nic na to poradzić, że jej myśli ją zdradzają.

– Zawsze patrzył w gwiazdy – powiedziała cicho.

– Słyszeliśmy plotki o pewnej organizacji, zgromadzeniu ludzi... zwołanych siebie właśnie Patrzącymi w Gwiazdy.

– Tak – potwierdziła Lanoree, przypominając sobie, że wzrok jej młodszego brata zawsze był zwrócony na zewnątrz, w przestrzeń – tak jak ona kierowała swój w głąb samej siebie, do wewnątrz.

– Znajdź swojego brata – poprosił ją łagodnie Lha-Mi. – Sprowadź go na Tythona. Powstrzymaj jego nieczne plany.

– On tu nie wróci – zaprotestowała słabo Lanoree. – Jeżeli to naprawdę on, nigdy nie wróci tu po tylu latach. Zginął młodo, ale już wtedy zaczynał...

– ...nienawidzić Je'daii – dokończyła Xiang. – To tylko kolejny powód, żeby go tutaj sprowadzić.

– A jeśli odmówi?

– Jesteś Strażniczką Je'daii – przypomniał jej Lha-Mi i Lanoree w jakiś dziwny sposób zrozumiała, że to wystarczająca odpowiedź.

– Muszę wiedzieć wszystko to, co wy.

– Dane zostały już przesłane do twojego komputera pokładowego.

Lanoree skinęła głową; fakt, że byli na wszystko przygotowani, nie dziwił jej. Wiedzieli od początku, że nie może im odmówić.

– To tajna operacja – przestrzegła ją Xiang. – Plotki o hiperwrotach krążą od dawna, jednak informacja, że ktoś próbuje je otworzyć, mogłaby wywołać panikę. Moglibyśmy wysłać przeciwko Dalienowi większy oddział, jednak z pewnością nie umknęłoby to uwagi wszystkich.

– Jest jeszcze jeden powód – dodał znacząco Lha-Mi.

– Nie chcecie, żeby ludzie przyłączyli się do niego – odgadła Lanoree. – Jeżeli informacje o jego planach się rozejdą, może się znaleźć więcej osób pragnących aktywować wrota. A to oznacza kolejne urządzenia... i więcej ciemnej materii.

Lha-Mi uśmiechnął się i skinął głową.

– Jesteś mądra i bystra, Lanoree. Zagrożenie jest poważne. Liczymy na ciebie.

– Czyżbyś chciał mi się przypochlebić, Mistrzu? – zapytała Lanoree półzartem i zgromadzeni Mistrzowie Je'daii roześmiali się w głos.

– Jestem po prostu szczery – stwierdził Lha-Mi, poważniejąc. Szkoda, pomyślała Lanoree. Z uśmiechem było mu do twarzy.

– Tak jak zawsze, dam z siebie wszystko – zapewniła go.

– Niech więc Moc cię prowadzi – życzył jej Talidańczyk.

Lanoree wstała, skłoniła się, a kiedy znalazła się w pobliżu drzwi, Lha-Mi otworzył je dla niej machnięciem ręki. Zanim wyszła, zawahała się, a potem odwróciła w stronę zgromadzonych.

– Mistrzynie Xiang? Przekaż, proszę, pozdrowienia moim rodzicom. Powiedz im... że wkrótce się zobaczymy.

Xiang skinęła głową i uśmiechnęła się do niej.

Kiedy Lanoree wychodziła, czuła się prawie tak, jakby trzymała za rękę swojego młodszego brata.



W drodze powrotnej na pokład "Rozjemcy" Lanoree huczało w głowie od natłoku myśli. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że cieszy ją wiadomość o tym, że jej brat żyje – i nie była tym zbytnio zaskoczona. Wiedziała też, że to właśnie dlatego została wybrana do wypełnienia misji. Miała na koncie sporo znaczących osiągnięć, i chociaż liczyła sobie tylko nieco ponad dwadzieścia lat, przysłużyła się Je'daii już niejednym razem. Jej więź z Mocą była silna, a oddanie celom przyświecającym Je'daii – bezgraniczne, jednak największą jej zaletą mogło być

zaangażowanie w tę sprawę ze względów osobistych – bo jeśli nawet poprzednio nie udało jej się ocalić brata, tym razem na pewno zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby uratować Dala przed niebezpieczeństwem i ocalić od potępienia – a jej determinacja dobrze przysłuży się tej misji.

Zdawała sobie też jednak sprawę, że może to wpłynąć negatywnie na jej stosunek do powierzonego zadania.

Odetchnęła głęboko i uspokoiła nerwy, świadoma, że będzie musiała trzymać emocje na wodzy.

Minęło ją dwóch młodych uczniów Je'daii – chłopiec i dziewczynka. Oni także mogli być rodzeństwem. Przez chwilę przypominali Lanoree ją samą i Dala... Skłonili się jej, a ona odwzajemniła ukłon. W ich oczach widziała dziwny szacunek... a może też cień podziwu? Miała na sobie luźne spodnie i tunikę, błyszczojedwabną kurtkę, skórzane wysokie buty i pas z ekwipunkiem. Jej czerwony szal pochodził z jednego z najlepszych sklepów tekstylnych na Kalimahrze, a srebrne bransoletki na lewym nadgarstku były zdobione klejnotami z głębokich kopalń Ska Gory – stanowiły podarunek od rodziny Wookiech, z którymi zaprzyjaźniła się podczas spędzonych tam chwil. Miecz nosiła w skórzanej pochwie z intensywnie zielonej skóry wrzaskojaszczura, pochodzącego z jednego z trzech księżyców Obri. Te wszystkie egzotyczne dodatki, w połączeniu z ponad stu osiemdziesięcioma centymetrami wzrostu i długimi, kasztanowymi, falującymi włosami, spiętymi metalowymi klamrami, robiły na osobach postronnych duże wrażenie.

– Strażniczko! – zawołała za nią dziewczynka. Lanoree przystanęła, a kiedy odwróciła się w stronę dzieci, zobaczyła, że one także przystanęły. Przyglądały się jej, jednak w ich spojrzeniu było coś więcej niż tylko zwykła fascynacja. Najwyraźniej miały do niej jakiś interes.

– Tak? – spytała Lanoree, unosząc brew.

Dziewczynka zrobiła krok naprzód, trzymając rączkę w kieszeni samodziałowych spodni. Lanoree wyczuwała, że Moc w obojgu jest silna; w ich zachowaniu był spokój, który sprawił, że posmutniała. Ona i Dal tak bardzo się od nich różnili... Jej brat nigdy nie rozumiał Mocy, a kiedy podrośli, jego dezorientacja zmieniła się w sprzeciw, potem w rosnącą nienawiść... a wreszcie w coś znacznie gorszego.

– Mistrzynie Dam-Powl prosiła, żebym ci to dała – powiedziała dziewczynka, wyciągając w jej stronę nośnik pamięci wielkości kciuka. – Nikt inny nie może tego zobaczyć.

Prywatna wiadomość od Mistrzynie Dam-Powl, przekazana bez wiedzy reszty Je'daii? – zdziwiła się Lanoree. Intrygujące...

Wzięła od dziewczynki nośnik i schowała go do kieszeni.

– Dziękuję – powiedziała. – Jak ci na imię?

Jednak rodzeństwo szło już w stronę "Rozjemcy" Lha-Miego; ich włosy mierzwiła lekka bryza. Silniki statku Lanoree były już odpalone i zaczynały się

rozgrzewać.

U stóp rampy czekał na nią Pancerniak. Na jej widok wydał z siebie suche szcęknięcie i serię grzechotów.

– Wszystko gra? – zapytała go z roztargnieniem. Potwierdził, że owszem, wszystko w porządku.

Zanim Lanoree wspięła się na rampę, zatrzymała się i rozejrzała dookoła. "Rozjemca", jej Mistrzynie, a także kilka mniejszych statków eskortowych już startowało, a na zboczach i starożytnych skałach strażniczych, umieszczonych tu wiele tysiącleci temu, aby oddać cześć dawno zapomnianym bogom, stało już tylko kilka pojazdów.

Czuła się obserwowana, ale wiedziała, że nie przypatrują jej się zwykłe oczy. To byli Mistrzowie Je'daii – czekali, aż odleci.

– No dobra – mruknęła pod nosem i wspięła się po rampie, by wejść do znajomego, pokrzepiającego wnętrza swojego statku.

Nie mogła się jednak skupić. Chociaż krótka, wizyta na Tythonie i wieści o tajemniczym zmartwychwstaniu Dala obudziły w niej dawno już zatarte wspomnienia.



ROZDZIAŁ 2

WIELKA WĘDRÓWKA

Początkowo nurt Mocy może cię przerażać, napawać lękiem. Znajdź w sobie równowagę między jej mroczną i jasną stroną, a doznasz stanu obezwładniającego spokoju. Jeżeli będziesz z nią walczył, twoje ciało ci się sprzeciwi – a jeśli uczynisz ją swoim sprzymierzeńcem w walce, wszechświat stanie u twego boku.

– Mistrz Świątyni Vor'Dana, Stav Kesh, 10 441 PTY

Dwa lata, pomyślała Lanoree. Co najmniej tyle czasu upłynie, zanim znowu zobaczę rodziców. Jednak na tym właśnie polega szkolenie młodego Wędrowca. Zakończywszy szkolenie padawanów na Kesh, ona i jej brat w wieku kilkunastu lat mieli wyruszyć w swoją Wielką Wędrówkę – i teraz wrócili do domu, żeby się pożegnać.

W pobliżu morza na południowym wybrzeżu Masary leży Świątynia Bodhi – właśnie tutaj Lanoree urodziła się i wychowała. Jej rodzice są Je'daii i uczą w Świątyni, przekazując młodym, wrażliwym na Moc uczniom wiedzę o rozmaitych sztukach. Jej matka specjalizuje się w muzyce, prozie i poezji, a ojciec jest utalentowanym rzeźbiarzem i artystą malarzem. Oboje odbyli własne Wędrówki wiele lat temu, zanim jeszcze Dal i Lanoree przyszli na świat, i rodzeństwo uwielbia historie o tym, jak spotkali się jako Wędrowcy i trafili do Bodhi, gdzie mogli szlifować swoje zdolności i wykorzystywać mocne strony.

Teraz nadszedł czas, żeby to Dal i Lanoree odbyli własną podróż po Tythonie – do innych Świątyń Je'daii, w których nauczą się różnych sposobów wykorzystywania Mocy. Walka i nauka, medytacja i uzdrawianie – wszystkie te zdolności Lanoree będzie mogła pogłębiać przez najbliższe dwa lata. Jest podekscytowana, a także trochę podenerwowana. A kiedy jej matka ją woła i idą razem przez łąkę, aż zostawiają wszystkich daleko, wie już, czego się spodziewać.

Jest piękny, słoneczny dzień; na niebie żadnej chmurki. Nad nimi lśni Tythos, kąpiąc okolicę w ciepłe i blasku. Moc łączy Lanoree z otoczeniem; u jej boku zwisa treningowy miecz Je'daii. Chociaż się denerwuje, stara się nad sobą panować... dopóki jej matka nie zaczyna mówić:

– Opiekuj się, proszę, swoim bratem, Lanoree...

– Jestem tylko dwa lata starsza od niego, mamoo...

– To prawda. Jednak Moc jest w tobie silna. Przyjmujesz ją bez oporów, a ona cię kształtuje. Ojciec i ja czujemy twoją siłę... a także słabość Dala. Jemu i Mocy... jest raczej nie po drodze.

– Nauczy się jej, mamoo – upiera się Lanoree. – Ma ciebie i tatę, a wy jesteście potężnymi Je'daii. On będzie taki sam.

– Wiem, że ty jesteś stworzona, żeby pójść w nasze ślady – mówi jej matka. Uśmiecha się do niej, jednak w tym uśmiechu nie ma radości. – Boję się jednak o Dala. Naprawdę. Interesuje się przeszłością, historią naszych przodków i historią galaktyki poza naszym układem... historią miejsc takich jak Stare Miasto... Obawiam się, że jego los nie będzie związany z Mocą. Ani z Tythonem. – Głos jej drży i Lanoree widzi w jej oczach łzy. Spływają po miękkich, smagłych policzkach.

– Dopilnuję, żeby tak się nie stało! – zapewnia ją córka. – Będę go strzegła i mu pomagała, obiecuję. Poza tym właśnie po to wyruszamy na Wędrówkę, prawda?

– Wyruszenie, żeby nauczyć się kontrolować i rozwijać wasze silne strony. Jeżeli jednak brakuje Mocy...

– Dalowi nie brak Mocy – wchodzi jej w słowo Lanoree. – Widzę to w jego oczach. Sądzę, że Dal ma po prostu... problemy z jej opanowaniem, pogodzeniem się z nią.

– Chce być panem własnego losu.

– I będzie – zapewnia ją dziewczynka. – Znasz nauki, mamoo. „Moc nie jest ani jasna, ani ciemna, nie jest panem ani niewolnikiem, a jedynie równowagą między skrajnościami”. Dal znajdzie swoją równowagę.

– Mam taką nadzieję – wzdycha jej matka, a Lanoree marszczy czoło i wydyma lekko usta. Wie, że nie powinna robić takiej miny, bo ona zawsze działa na mamę rozbrajająco, jednak ten ostatni raz postanawia sobie na to pozwolić. Jest jeszcze dzieckiem, ale kiedy wróci, będzie już kobietą.

– No dobrze, Lanoree – ustępuje jej matka, uśmiechając się do niej ciepło. – Jestem pewna, że Dal odnajdzie swoją równowagę.

Lanoree odwzajemnia uśmiech i kiwa głową, a chwilę później wraz z Dalem opuszczają rodziców. Oglądają się jeszcze kilka razy na rzekę, nad którą stoją ich rodzice, patrząc w ślad za nimi i machając im na pożegnanie.

Dal nie odzywa się ani słowem, Lanoree zresztą tak samo. Oboje są pogrążeni we własnych myślach; Lanoree trochę się martwi. „Jestem pewna, że Dal odnajdzie swoją równowagę”, wspomina słowa matki.

Chociaż pełna dziecięcego entuzjazmu, daleka jest od pewności, że tak się stanie. A jednak, niespokojna o przyszłość własnego brata, zostawia dom i rodziców z sercem przepelnionym drżącą nadzieją i oczekiwaniem. To początek prawdziwej przygody, takiej, którą musi przeżyć każdy Je'daii z Tythona w pewnym punkcie swojego szkolenia.

Równowaga Mocy ma kluczowe znaczenie dla stania się wielkim Je'daii, a żeby ją osiągnąć, każdy musi znaleźć także równowagę dla swoich zdolności i talentów. Biegłość w sztuce władania Mocą jest niczym, jeżeli się nie wie, jak jej używać. Umiejętność kierowania Mocą podczas pisania i tworzenia jest godna pochwały, jeżeli jednak jej użytkownik nie potrafi się także bronić podczas walki, nigdy nie zdoła dorównać Mistrzom Je'daii. Ashla i Bogan pogrążają powierzchnię Tythona raz w świetle, a raz w mroku, także pozostając w odwiecznej równowadze.

Lanoree czuje czasami płynącą przez siebie w rytmie bicia serca Moc – a może jest na odwrót? Czeką też z niecierpliwością na każdy nowy dzień – a także na to, co ze sobą przyniesie. Ona i Dal często wędrują razem, więc znają dobrze Bodhi, pobliski ocean i otaczające go tereny, jednak jako uczniowie Padawan Kesh nie zapuszczali się jak dotąd nigdzie dalej.

Ta podróż ma ich zaprowadzić na północny zachód wielkiego kontynentu Masary, aż na drugie wybrzeże. Potem przelecą ścigaczem chmur osiemset kilometrów nad Oceanem Thyriańskim, a po przybyciu na Thyr przeprawią się przez jego skaliste równiny i rozległe lasy, aż dotrą do Qigong Kesh, Świątyni Talentów Mocy, leżącej za lasem, trzy dni drogi w głąb Cichej Pustyni – tego tajemniczego miejsca, w którym dźwięk ginie w jakiś dziwny sposób, zagłuszany przez nieustannie przemieszczające się piaski. Wiatry wieją tam bezustannie; mówi się też, że niektóre z piaskowych rzeźb, które tworzą się tam i trwają czasem przez zaledwie kilka sekund, są żywe; że są to przedstawiciele gatunku, który zamieszkuje Tython od milionów lat. Nikt nigdy nie zdołał nawiązać z nimi kontaktu – uznaje się je raczej za kolejny dziwny wybryk Cichej Pustyni, jednak Lanoree wierzy, że są naprawdę żywe.

W głębokich jaskiniach, leżących za pustynią, przyswajają z Dałem pierwszą lekcję wynikającą z ich podróży – wspinają się w połowie dnia na łagodne zbocze i patrzą z wysoka na Świątynię Bodhi, leżącą nad lśniącym w promieniach słońca, spokojnie falującym morzem. Tho Yor spoczywający w jej sercu odbija słoneczne światło, a wijąca się wstęgą rzeka mieni się feerią barw.

– Kiedy wrócimy, będziemy prawdziwymi Je'daii – szepcze Lanoree. – Nie cieszy cię to, Dal? Czy to nie wspaniałe?

– Ta-a – mruczy jej brat. Chwyta ją za rękę i ścisną, ale nie patrzy jej przy tym w oczy.

– Mama i tata będą z nas tacy dumni!

Dal wzrusza ramionami.

– Pewnie tak.

Lanoree wie, na co skrycie liczą jej rodzice – że dzięki ich Wędrowce Dal stanie się bardziej otwarty na Moc, że pogodzi się z nią i ją pokocha... bo może po prostu potrzebuje więcej czasu. Tak się stanie, mówią z pełnym przekonaniem. Czasami trzeba po prostu czasu... i doświadczenia.

Jednak Lanoree wie, że to sam Wędrowiec musi tego pragnąć.

– Chodź! – woła do brata. – Ścigajmy się do tego powalonego drzewa!

Biegną razem w dół zbocza i wkrótce Bodhi niknie im z oczu. Żadne z nich tego nie komentuje i przez krótką chwilę, kiedy tak biegną razem przez wysoką trawę, nasłuchując łagodnego szmeru i gwizdu wiatru wokół nich, są znowu dziećmi.



Lanoree pozwoliła komputerowi "Rozjemcy" wyprowadzić statek z atmosfery; w ten sposób zyskała chwilę, dzięki której mogła jeszcze raz spojrzeć z góry na swoją ojczystą planetę. Osiągając prędkość ucieczki, przeleciała nad największym kontynentem Tythona, Talssem; nawet z tej odległości widziała rozległą ranę przecinającą cały ląd, zwaną Rozpadliną. Sześćset kilometrów na wschód od Rozpadliny znajdowała się Świątynia Anil Kesh. To właśnie tam podczas swojej Wielkiej Wędrówki znalazła po raz pierwszy prawdziwą więź z Mocą. I także tutaj został przypiętowany los jej brata.

Żałowała, że nie może spojrzeć na Masarę, na której wznosiła się Bodhi, Świątynia Sztuk. Tam wciąż mieszkali i nauczali jej rodzice. Opłakiwali uznanego za zmarłego syna, który teraz najwyraźniej stał się wrogiem Je'daii i zagrażał im wszystkim. Teraz jej rodzice już wiedzieli, że jednak przeżył – była tego pewna. Wynikało to jasno z komentarzy Mistrzynie Xiang, że „rozumieją okoliczności”. Żałowała jednak, że nie może z nimi porozmawiać i poradzić im, żeby dalej opłakiwali syna. Niezależnie od tego, jak zakończy się jej misja, Dalien Brock, którego znali i kochali, już nie istniał.

Odsunął się od nich i pozwolił im przez dziewięć lat sądzić, że nie żyje. Nie każdy ma tyle szczęścia, żeby ukończyć Wielką Wędrówkę, powiedziała jej matka podczas ceremonii pożegnalnej Daliena. Cóż, teraz wyglądało na to, że szczęście nie ma tu nic do rzeczy.

– Mały, głupi shak – mruknęła pod nosem Lanoree i roześmiała się gorzko. Wcześniej często nazywała tak Dala, jednak tylko w myślach – wtedy, kiedy wyklócał się z rodzicami albo zalażał jej porządnie za skórę.

Statek zadrżał gwałtownie, próbując się wyrwać z uścisku Tythona, i Lanoree zastanowiła się, dlaczego wcale jej nie martwi rozstanie z ojczystą planetą. Cztery lata wierzyła, że to dlatego, że jest Wędrowcem, poszukiwaczem wiedzy i oświecenia, a im dalej się zapuszcza, tym więcej wie. Częściowo było to prawdą, bo Lanoree była bardzo oddana Mocy, podejrzewała też jednak, że wyprawy poza Tythona oznaczały pozostawianie za sobą poczucia winy, że Dal zginął przez nią.

Jednak teraz... co miała zrobić z tymi uczuciami?

Wyciągnęła z kieszeni miniaturowy nośnik pamięci i wsunęła go do portu komputera pokładowego. Ekran rozświetlił szum wyładowań, a potem z mroku

wyłonił się obraz – twarz Mistrzyni Dam-Powl, tym razem ściągnięta troską, której nie było, kiedy Lanoree rozmawiała z nią osobiście.

– Lanoree, powiem krótko: kiedy odbierzesz tę wiadomość, będzie już po naszym spotkaniu, a ty będziesz miała do wypełnienia misję. Prywatnie – z powodów, które zapewne zrozumiesz – chciałabym ci zaproponować pewną... pomoc. W komputerze twojego statku masz zapisane wszystkie informacje na temat twojego brata i jego zamiarów – tych, które znamy, ale, jak zapewne wkrótce się przekonasz, nie ma tego zbyt wiele. To głównie plotki, ostrzeżenia, plus kilka niepokojących wieści od Strażników i szpiegów spoza naszego układu. Na Kalimahrze udasz się do stolicy, Rhol Yan, a tam spotkasz się w Kantynie Susca z Twi'lekiem nazwiskiem Tre Sana. Mieszka w pobliżu... zapytaj po prostu o niego właściciela kantyny. Tre wyjaśni ci wszystko. On nie jest Je'daii. Właściwie to prowadzi różne interesy na Shikaakwie i w innych okolicznościach pewnie powinnaś go aresztować, zamiast szukać u niego pomocy, jednak wyświadczył mi już kilka przysług. Jest chciwy, a ja dobrze mu płacę. – Westchnęła i przez chwilę sprawiała wrażenie nieskończenie smutnej. – Wcale mi się nie podoba, że muszę działać bez wiedzy innych Mistrzów Je'daii, ale nikt z nich nie pochwaliłby zaangażowania w to osoby niebędącej Je'daii... A ja wiem, że to może pomóc. Orientujesz się lepiej niż inni, że mieszkańcy niektórych cywilizowanych planet nie ufają Je'daii, chociaż pewnie żywią wobec nas respekt. Niektórzy nawet nie kryją, że nie darzą nas miłością. Część nas wręcz otwarcie nienawidzi, mając zapewne świeżo w pamięci wydarzenia z Wojny Despotki sprzed dwunastu lat, a ja przypuszczam, że są to głównie przedstawiciele tych warstw społeczeństwa, do których doprowadzi cię twoje śledztwo. Tre może ci pomóc zwalczyć ich nieufność. Zna ich dobrze, jednak... pamiętaj, uważaj na niego. Bądź ostrożna. Sana nade wszystko dba o własne interesy. Jest też niebezpieczny... Cóż – Dam-Powl znowu uśmiechnęła się smutno – prawie tak samo jak ty. – Dotknęła palcem kącika ust gestem, który Lanoree tak dobrze знаła; widocznie Mistrzyni z Anil Kesh zastanawiała się nad czymś głęboko. – Mam nadzieję, że twoje badania posuwają się naprzód – dodała łagodnie. – Liczę na to, że wciąż się uczysz. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś o takim potencjale. Bądź zdrowa, Lanoree Brock. I niech Moc cię prowadzi. – Wiadomość się zakończyła i ekran z powrotem pociemniał. Komputer wypluł automatycznie nośnik pamięci, ale Lanoree siedziała przez chwilę bez ruchu, odwrócona plecami do iluminatora i rozciągających się za nim, zapierających dech w piersi widoków.

– A więc Kalimahr – mruknęła wreszcie. Przez cztery spędzone głównie samotnie lata przyzwyczała się mówić do siebie, a także do Pancerniaka, co zresztą na jedno wychodziło. – Nie podoba mi się ten pomysł z partnerem. – Lubiała własne towarzystwo. Czasem gadała do pustego sąsiedniego fotela w kabinie pilota, chociaż nikt go nigdy nie zajmował.

Odwróciła się w swoim krześle i spojrzała w gwiazdy. Miała aż nadto rzeczy, które musiała przemyśleć, ale podczas podróży na Kalimahr będzie miała na to

mnóstwo czasu. Fakt, że powierzono jej tyle poufnych informacji, powinien był wbić ją w dumę, jednak tylko zaniepokoił. Istniało tyle rzeczy, o których nadal nie miała pojęcia...

Po przeprowadzeniu standardowych procedur i upewniwszy się, że jej "Rozjemca" nie jest namierzany ani śledzony – Lanoree przywykła do samotności i wolała, żeby tak już zostało – ponownie odwróciła się w stronę monitora.

– Zobaczmy, co mają mi do powiedzenia Mistrzowie. – Położyła sobie klawiaturę na kolanach, wcisnęła kilka przycisków i zaczęła przeglądać informacje załadowane do pamięci komputera pokładowego.



Zgodnie ze słowami rodziców Lanoree i Dala rytuał nawiedzenia każdej ze Świątyń powinien odwiedzający odbyć o własnych siłach. Nie dla nich były wygodne śmigacze czy podróz na grzbiecie shirów, chyba najpopularniejszych zwierząt pociągowych na Tythonie.

Rodzice wciąż im powtarzali, że podróz na piechotę zbliży ich do Tythona, niezwykle bogatego w Moc. Sprawi, że zrozumieją, doświadczą, zasmakują i poznają zapach otoczenia, zamiast oglądać wszystko z kabiny śmigacza czy z siodła. A czasem pewnie okaże się, że przyjdzie im stawić czoło niebezpieczeństwu, bo ich życie będzie zagrożone.

Czterdzieści dni i dwa tysiące czterysta kilometrów od domu, po pełnym cudów kontynencie Thyr, dotarli do rozległych Nagich Lasów, prowadzących do Cichej Pustyni. Drzewa w tym lesie magazynowały wodę w długich, skórzastych pęcherzach, przydatnych wędrowcom i nieustannie napełnianych, bo cienkie gałęzie tych roślin wysysały z powietrza całą wodę. To właśnie tutaj Lanoree i Dalien stają pierwszy raz w obliczu zagrożenia.

Tythos lśni nad ich głowami; nie jest ani za gorąco, ani zbyt zimno. Przeprawa przez las nie jest trudna – rodzeństwo podąża wzdłuż biegu płytkiego strumienia, który wije się leniwie w kierunku rozciągającej się kilka kilometrów dalej pustyni.

– Nazbieram ziemnych jabłek na kolację – proponuje Dal.

– A ja upoluję rumbata – mówi Lanoree.

I nagle z drzew sfruwa stado szponojastrzębi, próbujących zahipnotyzować ich swoim słodkim śpiewem. Te wielkie, drapieżne ptaki polują stadami, śpiewając swoim ofiarom pieśń tak czarującą, że te zatrzymują się jak zahipnotyzowane i trwają w bezruchu. Wówczas drapieżniki atakują, rozdzierając im gardła i wydłubując oczy ostrymi jak brzytwy szponami i dziobami. Krążą teraz nad rodzeństwem nierównym kręgiem, wybijając skrzydłami rytm i wydając z siebie serię gwizdów i pomruków w wypracowanym unisono. Ich ciemne oczy lśnią chytrą, a szpony połyskują groźnie.

Lanoree słyszała wcześniej o tych ptakach, ale nigdy dotąd żadnego nie widziała na własne oczy. Jest przerażona. Jeszcze nigdy nie była w takim niebezpieczeństwie, a świadomość, że życie obydwójga jest zagrożone, powoduje u niej głęboki szok. Czuje jednak przy tym dreszcz podniecenia, bo myśli: „To właśnie na tym polega Wielka Wędrówka!”

– Szybko! – woła do brata. – Do strumienia!

– Ale po co? – pyta Dal. Dociera do niej, że on także jest przerażony, i wie, że musi się nim opiekować.

– Plusk wody może zagłuszyć ich pieśń!

– Serio?

– Nie uważałeś na zajęciach? – Chwyta go za rękę i ciągnie za sobą, jednak oczy chłopca zasnuwa już dziwna mgła, a kąciki ust unosi leniwy uśmiech. – Dal!

– Nic mi nie jest...

I wtedy jeden ze szponojastrzębi nurkuje w dół, powoli, bez pośpiechu, wciąż śpiewając, z pazurami wycelowanymi w oczy Daliena.

Lanoree uderza w niego z dziką furją; mimo paniki czuje szamoczącą się w niej Moc. Działa wbrew wszelkim wpojonym zasadom, ale nie ma czasu na analizę swojego postępowania – jej pięść trafia w kłęb piór i Lanoree czuje na kostkach palców chłodny pocałunek ostrych jak brzytwa szponów.

Szponojastrząb skrzeczy gniewnie, odepchnięty jej ciosem, i w tej samej chwili Lanoree udaje się skupić, uspokoić i pokierować falującą w niej Mocą.

Kiedy ptak ponawia atak, celując szponami w jej oczy, sięga ku niemu Mocą. Tym razem jej dłoń ledwie muska drapieźnika; czuje tylko lekki dotyk piór na opuszkach palców, jednak cios jest znacznie silniejszy. Kości ptaka pękają pod uderzeniem Mocy; drapieźnik, kwiląc słabo, znika w zaroślach, pozostawiając w powietrzu tylko kilka tańczących w podmuchach wiatru piór.

– Szybko! – woła Lanoree, ciągnąc Dala za sobą.

Szponojastrzębie dalej śpiewają, uciszając resztę lasu. Ich pieśń jest jak chłodny strumień, uroczą dla ucha symfonia, i chociaż Lanoree stara się jej nie słyszeć, czuje, jak wszystko wokół niej zostaje w tyle. Szarpie Dala za ramię, a kiedy ten potyka się i przewraca, traci z nim na chwilę kontakt fizyczny.

Odwraca się zaraz i widzi, że Dalien leży na plecach, uśmiechając się do koron drzew Nagiego Lasu. Nie uda im się dotrzeć do strumienia na czas, myśli Lanoree gorączkowo. Nie mają szans! Szponojastrzębie są już blisko. Teraz wszystko zależy od niej.

Ma ochotę krzyknąć z wściekłości i strachu, jednak niespodziewanie odnajduje w sobie spokój i równowagę. Wysnuwa wici swojej świadomości na zewnątrz i przykuca, oddychając głęboko. Szponojastrzębie sądzą pewnie, że poddała się obezwładniającemu urokowi ich śpiewu, jednak są w błędzie. Kiedy pierwszy z nich nurkuje w ich stronę, Lanoree wstaje i posyła ku niemu szybkie pchnięcie Mocy. Dwa ptaki spadają z nieba z połamanymi skrzydłami i uszkodzonymi organami wewnętrznymi, ugodzone jej ciosem, a trzeci rozbija się o pień drzewa

w eksplozji piór. Pozostałe przerywają hipnotyzujący trel i wrzeszcząc w panice, wzbijają się nad korony drzew i odlatują.

Lanoree uśmiecha się do drżącego ze strachu Dala. Brat patrzy na nią niewidzącym wzrokiem.

– Były takie... – zaczyna.

– Piękne? To sztuczka. Utrwalałyby swoje piękno, chlepcząc twoją krew i pożerając twoje ciało. – Zadowolona, że ich obroniła, a jednak tłumiąc poczucie dumy, Lanoree pomaga Dalowi wstać.

– Twoja ręka... – zwraca jej uwagę brat. Faktycznie, jej dłoń krwawi. Dal opatruje w ciszy ranę siostry, używając środka dezynfekującego wydobytego z plecaka. Podczas gdy obwiązuje jej dłoń bandażem, Lanoree nasłuchuje czujnie, czy nie wracają szponojastrzębie. Jakaś część jej umysłu chce, żeby wróciły. Serce wali jej jak młotem, a ona napawa się swoim zwycięstwem. Wygląda jednak na to, że na dziś ptaki zakończyły łowy.

Dal prowadzi ich przez rzednący stopniowo las, a kiedy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, widzą na horyzoncie piaski pustyni. Las kończy się łagodnym zboczem, a granicę między nim i pustynią wyznaczają poprzecinane płamami poszycia piaszczyste łąchy. Zatrzymują się na chwilę, żeby napęścić manierki wodą, a kiedy wkraczają na teren pustyni, spowija ich głęboka cisza.

Lanoree wymawia swoje imię, ale czuje tylko przeszywającą kości wibrację, całkiem jakby pustynia nie chciała jej słuchać. Patrzy na Dala, którego szeroko otwarte oczy przepęlnia strach. Już raz go ocalałam, myśli Lanoree. Znowu rozpiera ją duma, jednak odsuwają od siebie. Duma tylko rozprasza...



W tę pierwszą noc obozuję pośród stygnących piasków. Zjedli kolację i teraz siedzą blisko ogniska, opatuleni kocami, opierając się na plecakach. Rozłożyli już pośłania i powinni iść spać, jednak żadne z nich nie ma na to ochoty. Miejsce jest tak osobliwe, że potrzebują swojej obecności jak nigdy dotąd. Lanoree obawia się snów, jakie może im zesłać ta dziwna cisza.

Wspominając walkę ze szponojastrzębiami, patrzy w ogień. W cieniach otaczających ich obozowisko dostrzega jakiś ruch. Tężeje, szturcha Dala pod żebra i zdaje sobie sprawę, że on także to dostrzegł. Lanoree wstaje, a Dal przykuca. Blask płomieni odbija się od gładkiego i lśniącego kształtu... i wtedy w ich obozowisku rozpętuje się piekło.

Silikojaszczur! – myśli gorączkowo Lanoree. Te rzadko spotykane, śmiertelnie groźne istoty czerpią energię z piasku, ale uzupełniają swoją dietę płynem rdzeniowym ssaków. Wielkości dorosłego człowieka, mają ciała najeżone zdradliwymi kolcami i sześć odnóży, a atakują, stojąc na tylnych łapach.

Spotkanie z taką bestią kończy się często tragedią. Niektórzy co prawda uważają je za cenne trofea...

Po raz drugi w ciągu tego dnia rodzeństwo znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Lanoree jest tak przerażona, że zamiera w bezruchu, jak sparaliżowana. Odnóża stwora krzeszą iskry, kiedy silikojaszczur podkrada się do nich; jego zakrzywione szpony zanurzają się w piasku i wznecają płomienie; w otwartej paszczy lśnią krystalicznie ostre kły – całe mnóstwo ostrych zębów. Chyba najbardziej przerażająca w tym wszystkim jest towarzysząca atakowi kompletna cisza. Lanoree otwiera usta w bezgłośnym krzyku.

Silikojaszczur daje susa przez ognisko, rozrzucając wokół płonące żagwie i wznecając fontannę iskier.

Uderz w niego Mocą, myśli gorączkowo Lanoree. Odepchnij go! Odrzuć! Jednak szok jest zbyt głęboki, żeby mogła działać instynktownie. Paraliżuje ją myśl, że wkrótce zginie – tuż po rozpoczęciu swojej podróży – w szponach dzikiej bestii. Mrok rozświetla nagły rozbłysk i nagle ich obóz eksploduje nowym ruchem. Przerażająca istota zwija się w kłębek i wycofuje, jak odepchnięta niewidzialną siłą, młócąc powietrze kończynami i szukając schronienia w cieniu. W ułamku sekundy znika w mroku i Lanoree rozgląda się w panice, chcąc sprawdzić, z której strony znów zaatakuje.

Widzi Dala, trzymającego w ręku blaster. Z lufy unosi się smużka dymu. O, nie, szepcze do siebie nieprzytomnie Lanoree. To ona miała go chronić! Dłonie jej drżą, a nogi uginają się pod nią, kiedy wysnuwa wici Mocy i stara się uspokoić; w mroku za plecami Dala lśnią tysiące roztańczonych gwiazd.

Lanoree otwiera szeroko oczy, usiłując dokonać pchnięcia Mocą, jednak nadal hamuje ją strach. To strach tłumi jej zdolności władania Mocą – tak samo, jak piasek pustyni tłumi tu wszelkie dźwięki.

Dal przykuca i odwraca się, zaalarmowany reakcją siostry. Noc rozświetlają jeszcze trzy szybko następujące po sobie strzały.

Silikojaszczur zatacza pełne koło, wynurzając się z ciemności... i doskakuje do Lanoree tak blisko, że gdyby chciała, mogłaby go kopnąć. Dal strzela jeszcze raz i potwór pada bezgłośnie na piasek.

Jej brat nie przestaje celować do niego z blastera. Trzęsie się, ale oczy ma szeroko otwarte, całkiem jakby nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, czego właśnie dokonał. Jego broń pamięta lepsze czasy – dał mu ją ich dziadek – i Lanoree od zawsze uważała ją za narzędzie niechlujne i nieeleganckie w porównaniu z Mocą. Teraz jednak właśnie ta nieporęczna broń ocaliła życie im obojgu. Głowa silikojaszczura spoczywa na piasku, a jego krew przypomina pył.

Lanoree obejmuje Dala i próbuje wyszeptać mu do ucha „dziękuję”, jednak wstydzi się i martwi swoim wahaniem. Może po ataku szponojastrzębi zbyt mocno zaufała własnym siłom? W sercu Je'daii nie ma miejsca na dumę...

Odciągają truchło silikojaszczura dalej od obozowiska i grzebią je głęboko w

piasku, żeby nie przyciągało padlinożerców. Zakopują je w ciszy – nie słychać nawet szelestu przesypującego się przez palce piasku. Zanim zagrzebią jego łeb, zwierzę wpatruje się niewidzącymi fioletowymi oczami w rozciągające się wysoko, rozgwieżdżone niebo.

Minęło czterdzieści dni, odkąd opuścili rodzinny dom. Nie dotarli jeszcze nawet do pierwszej Świątyni, a ich życie znalazło się już dwukrotnie w niebezpieczeństwie. Lanoree myśli o czekającej ich długiej podróży i spodziewanych zagrożeniach. I o odległościach, które będą musieli pokonać drogą wodną, powietrzną, a w dużej mierze pieszo. Pierwszy raz od czasu opuszczenia domu tęskni za rodzicami.



Tej nocy Lanoree widzi we śnie strzeliste kształty, wynurzające się z pustynnych piasków – rzeźby żyjące własnym życiem, którego nie ogarnia nawet myślą, żywiące się dźwiękiem i czerpiące energię życiową z każdego słowa, każdej wyartykułowanej myśli na temat miłości czy strachu. Rankiem pustynia wokół nich wygląda zupełnie inaczej. Otaczają ich piaskowe pagórki i Lanoree zastanawia się, czy przypadkiem nie one obserwowały ich we śnie.

Następne dwa dni pochłania im długi, męczący marsz. Wieczorem, trzeciego dnia spędzonego na pustyni, dostrzegają wznoszące się na horyzoncie powykręcane skały i wiedzą już, że są blisko Qigong Kesh. Lanoree czuje na ich widok podekscytowanie, jednak stara się zachować daleko posuniętą ostrożność. Widziała je wcześniej na hologramach. Teraz, tak jak pustynia pochłania dźwięki, suche, pyliste powietrze mąci percepcję odległości. Świątynia może równie dobrze być oddalona o kolejne cztery dni drogi.

Idą więc za dnia i obozują nocą; czujni na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa, rzadko zażywają snu.

Kiedy wreszcie docierają do Świątyni, są zmęczeni, głodni i zdezorientowani. Cisza ciąży im, wydaje się przytłaczająca. Nawet porozumiewanie się w języku migowym jest trudne. Przez ostatnie dwa dni Lanoree czuje się dojmująco samotna, chociaż brat nieustannie jej towarzyszy.

Jednak sam widok strzelistych skalnych iglic i majająca między nimi sylwetka Tho Yor dodaje jej sił i napełnia ją uczuciem oczekiwania.

W końcu dotarliśmy! – cieszy się w duchu. Qigong Kesh! Sama Świątynia znajduje się pod ziemią – tworzy ją sieć naturalnych jaskiń i tuneli. Pod piaskami pustyni znowu będą mogli rozmawiać i słyszeć się nawzajem. Kiedy docierają w cień jednej ze skalnych iglic, z jaskini u jej podstawy wychodzi im na spotkanie kilkoro Je'daii. Przyglądają się im uważnie, uśmiechają się i podają dwie manierki chłodnej, świeżej wody, a potem prowadzą wyczerpane rodzeństwo w głąb

ciągnących się pod pustynią labiryntów. Tutaj, w przestronnych jaskiniach, mieści się siedziba Świątyni Qigong Kesh, w której rozpocznie się ich szkolenie w tajnikach Mocy.

I także tutaj rozpocznie się upadek Dalienu Brocka.



ROZDZIAŁ 3

DOBRY I WIELCY

Nie każdy Wędrowiec zakończy swoją Wielką Podróż. Niektórzy padną ofiarą licznych niebezpieczeństw Tythona, inni zatracą się w tej wędrówce. Jeszcze inni mogą nawet utracić więź z Mocą i zostawić planetę za sobą, wyruszając poza układ, a także poza znane im ścieżki. Jednak jako Je'daii musimy się z tym pogodzić, bo nikomu nie można narzucić drogi losu. Życie to wyzwanie – i tylko stawianie mu czoła czyni dobrych wielkimi.

– Mistrzynie Deela jan Morolla, 3533 PTY

Chociaż Lanoree przebywała z dala od domu już cztery lata, nadal funkcjonowała według panującego na Tythonie czasu. Przywykła do niego – regulował jej dobę, wyznaczał porę snu, więc nie miała ochoty przestawiać się na czas standardowy. W tych rzadkich chwilach, kiedy się nie pilnowała, mogłaby nawet przyznać, że przypomina jej o domu.

Jej komputer pokładowy obliczył optymalną trasę lotu z Tythona na Kalimahr zgodnie z aktualną porą roku i układem planet, zanim jednak Lanoree zaakceptowała ten szlak, obliczyła go własnoręcznie. Komputer nigdy się nie mylił w takich sprawach – cały system nawigacyjny był zaprojektowany przez najbardziej doświadczonych podróżników Je'daii – jednak Lanoree zawsze odczuwała satysfakcję, kiedy jej wyniki pokrywały się z tymi generowanymi przez niego. Nie tyle podawała w wątpliwość wyniki programu, co sprawdzała samą siebie.

Jeśli wyciśnie z silników "Rozjemcy" wszystko, co się da, dotarcie na Kalimahr zajmie jej jakieś siedem dni. Lanoree wykorzystywała czas na medytację, przygotowanie do czekającej ją misji, ćwiczenia, a także zapoznanie się z informacjami załadowanymi do jej pokładowego komputera przez Mistrzów Je'daii. Nie było tego zbyt wiele. Wiadomości ze źródeł dotyczących działalności Dala były mało szczegółowe. W głównej mierze składały się na nie plotki, spekulacje i parę mglistych obrazów, jednak nawet na tych ostatnich, głównie na migawkach ukazujących jej brata na tajnych spotkaniach, rozpoznawała bez trudu twarz Dala.

Wyglądał na starszego, co zresztą nie dziwiło, jednak Lanoree była zaskoczona

tym, że aż tak bardzo się postarzał – całkiem jakby przez te dziewięć lat, które spędził poza domem, przeżył co najmniej trzy życia. Był wyższy, chudszy, a dziecięcy smutek na jego twarzy zastąpiła dorosła gorycz. Jego śniada twarz nabrała ciemniejszego odcienia i wyrazu znużenia, a w rozmytym przez szum wizerunku było coś niepokojącego. Lanoree zbesztła się w duchu za to, że postrzega brata przez pryzmat jego rzekomej śmierci, jednak nie mogła się opędzić od takiego wrażenia. Patrząc na zdjęcia Dala. miała uczucie, że ogląda ducha.

– Cóż, znowu się widzimy – mruknęła na widok jego wizerunku. – Kiedy się spotkamy, zapytam cię, dlaczego przez te wszystkie lata kazałeś mi sądzić, że nie żyjesz...

Przez pierwsze kilka dni podróży zachowała na ekranie w sterowni zdjęcie Dala, które przesłała także do położonych za nią swoich kwater. Chciała nieustannie pamiętać, kogo szuka i kogo utraciła, ale w rezultacie widok twarzy brata tylko bardziej ją krępował, więc po pięciu dniach usunęła zdjęcie z pulpitu.

W ciągu ostatnich czterech lat Lanoree odwiedzała Kalimahr dwukrotnie: pierwszy raz jako mediatorka w sporze między trzema deweloperami, kłócącymi się o wyspę zwaną Hang Layden, leżącą na bezkresnym Południowym Oceanie planety. Zazwyczaj Je'daii nie zwracali sobie takimi rzeczami głowy, jednak Rada Je'daii w tej akurat kwestii postanowiła interweniować i wysłać Lanoree jako rozjemcę, uznając, że wyspa ma znaczenie archeologiczne. Bo chociaż nie wyglądała zbyt imponująco, istniały podejrzenia, że jakiś kilometr pod jej powierzchnią są ukryte ruiny starożytnych budowli. Obecność Lanoree nie została przyjęta zbyt dobrze, jednak Strażniczka wzięła aktywny udział w negocjacjach, pilnując, żeby każda z trzech stron sporu otrzymała część ziemi, którą mogliby wykorzystać Je'daii. Co więcej, udało jej się potajemnie zabezpieczyć sieć jaskiń, które mogły prowadzić w głąb starożytnych ruin. Iluzje Mocy, którymi zamaskowała rumowiska i wąwozy, przetrwają sto lat, była tego pewna.

Jej druga wizyta na Kalimahrze przebiegła bardziej burzliwie – tym razem jej miecz spłynął krwią.

Nie miała co się oszukiwać, że zna to miejsce. Dobry Je'daii powinien być przygotowany na wszystko. Zawsze, powtórzyła sobie w myśli. A już szczególnie Je'daii mający do wypełnienia misję tak ważną jak ta.

Kiedy jej statek wszedł w atmosferę, a komputer pokładowy nawiązał łączność z kontrolą lotów, zobaczyła siedzące jej na ogonie, oddalone najwyżej o jakieś trzydzieści kilometrów, dwa kalimahrskie statki obronne. Wiedziała, że nie musi się ich obawiać – prawdopodobnie piloci po prostu byli zaintrygowani obecnością "Rozjemcy". Tego wieczoru z pewnością wrócą do swoich domów i przyjaciół, chwając się wszystkim, że byli świadkami przybycia Je'daii. Lecieli z tyłu niemal przez godzinę i skontaktowali się z nią tuż przed tym, jak zawrócili. Odpowiedziała im grzecznie i z humorem, pilnując jednocześnie, żeby nie ujawnić żadnych konkretów. Gdybyśmy się spotkali w knajpie, pomyślała z uśmiechem,

może moglibyśmy się zaprzyjaźnić... To była bardzo subtelna sztuczka Je'daii, ale na ogół dobrze jej służyła. Statki zniknęły z jej ekranów, kiedy była nieco ponad sto kilometrów od celu.

Podeszła do Rhol Yan, lecąc nad niesamowitym, lazurowym morzem. Kiedy prześlizgiwała się nad falami, jej "Rozjemca" aż drżał – była tak nisko, że krople morskiej wody rosły jej iluminatory, ale Lanoree lubiła latać w ten sposób. W przestrzeni wszystko było monotonne; w ciągu mijających dni otoczenie zmieniało się tylko nieznacznie. Głębia kosmosu była niezmierna, a odległości tak wielkie, że Lanoree ledwo ogarniała je umysłem. A tutaj, w dole, była zawsze blisko... cóż, czegokolwiek. Czasem bliskość miała ogromne znaczenie.

Rhol Yan wzniesiono na archipelagu na Oceanie Południowym, składającym się z pięciu dużych wysp i niezliczonych mniejszych wysepek, wszystkich zamieszkanymi, połączonych ze sobą siecią większych i mniejszych mostów. Lśniące białe iglice wyciągały nagie palce ku niebu, a kilka rodzajów ścigaczy chmur przemykało między nimi niczym leniwe ptaki, krążące wokół koron drzew jak na Tythonie. Niżej rozciągały się budynki i uliczki, czasem przerzucone nad głębią oceanu na wysokich wspornikach, a także misternie kute mosty, łączące wysepki. Fale oceanu były usiane punkcikami statków, a wewnętrzne kanały roily się od mniejszych pojazdów. Białe metalowe iglice pulsowały tu i ówdzie światłami, zapalonymi nawet w dzień i oznaczającymi wyspę, budynek czy ulicę. Miasto było miłe dla oka, zresztą większość dochodów czerpało z turystyki. Ludzie z całego Kalimahra przyjeżdżali na wakacje do Rhol Yan, a wraz z turystami zjawiały się tu sępy i pasożyty, które na nich polowały, żerując na ich naiwności.

Lanoree skierowano na platformę lądowniczą na wysokiej wieży jednej z zewnętrznych wysepek. Jak okiem sięgnąć, widać było eleganckie lądowiska i hangary zbudowane wokół wież, a także śmigające w dół i w górę windy. Nawet kosmoport był tu piękny.

Wylądowała przygotowana na to, co ją czekało. Tu miała rozpocząć wypełnianie swojej misji.

– Miej statek na oku – poleciła droidowi, który zamruczał i szcęknął metalicznie w odpowiedzi. – Tak, mam przy sobie komunikator. – Wsunęła rękę do kieszeni, żeby się upewnić, że ma rację, a potem wstała z fotela i spojrzała po sobie. Miecz miała przypasany porządnie do uda; przeczesła włosy i spięła pelerynę u szyi metalową gwiazdą Je'daii. Na razie nie było potrzeby ukrywania swojej tożsamości.

Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że się denerwuje.

Gdzieś tam, na końcu tej misji, czekał na nią jej brat.

Jak każdy gość, który wylądował na jednej z platform kosmoportu, Lanoree została skierowana do dużego pomieszczenia z licznymi kabinami przesłuchań. Jedną ze ścian zajmowało okno, wychodzące na panoramę Rhol Yan i lśniące w oddali morze, przeciwległą zaś pokrywało ekstrawaganckie dzieło sztuki i napis głoszący: „Hala powitań”, jednak prawdziwe przeznaczenie tego miejsca było

oczywiste. Służby bezpieczeństwa Kalimahra były skuteczne i dyskretne i nawet Je'daii nie traktowały ulgowo. Doceniała to. A kiedy wyszła ze swojej kabiny przesłuchań, trójka oficerów w środku doceniła również jej prywatność. Lekkie pchnięcie Mocą, łagodne słowo... Może za kilka dni zaczną się zastanawiać, dlaczego tak łatwo ją wypuścili, ale do tego czasu Lanoree będzie już daleko stąd.

Jednak już podczas podróży trzema windami na najniższy poziom zaczęła podejrzewać, że jest śledzona.

Zatrzymała się w przestronnym holu jednej z wież, kupiła drinka od droida sprzedawcy i przystanęła w cieniu rozłożystego, niskiego drzewa. Wokół rozstawiono kilka stołów i krzeseł, a tłusta Zabraczka zbierała z niższych gałęzi duże insekty, które następnie smażyła w głębokim oleju i sprzedawała przechodniom. Lanoree uznała, że nie jest specjalnie głodna.

Sącząc napój, przyglądała się windom, z których jedną przed chwilą sama opuściła. Uczucie, że jest śledzona było silne, jednak chociaż odczekała długą chwilę, żadna z opuszczających windy osób nie popatrzyła w jej stronę. Dziwne, uznała. Była pewna, że to nie żaden z oficerów celnych...

– Nieźle wyglądasz, młoda – usłyszała czyjś głos. W jej polu widzenia pojawiła się wysoka postać w długiej szacie i Lanoree zbeształa się w myśli za to, że wcześniej jej nie dostrzegła.

– Jestem zajęta. Piję – odpowiedziała.

– To może napijesz się ze mną?

– Nie, dzięki.

– Daj spokój, Strażniczko. Jesteś młoda, a ja mam prawie dwieście lat. I doświadczenie. Mam w mieszkaniu trzy butelki wina chay, niemal tak starego jak ja, czekające na specjalną okazję.

Lanoree położyła dłoń na rękojeści swojego miecza. Moc była spokojna i niczym niezmacona, a broń stanowiła część jej samej.

– Czy utrata życia też się liczy jako specjalna okazja?

Popatrzył na nią spod kaptura z lekkim rozbawieniem, ale i z niepewnością, aż wreszcie machnął ręką i odwrócił się w drugą stronę.

– Ech, wy, Je'daii – mruknął pod nosem. – Jesteście tacy przewrażliwieni!

Lanoree skończyła swojego drinka, po czym ruszyła przez hol w stronę wyjścia. Tłoczyły się tu setki istot, przedstawiciele licznych ras, które opuściły Tythona i skolonizowały układ. Ludzie i Wookie mieszały się z Twi'lekami o imponujących głowoogonach; dało się także zauważyć czerwonoskórych Sithów. Antropoidalny Zabrak o głowie najeżonej krótkimi różkami szedł obok Iktotchiego, któremu długie, zakręcone rogi nadawały groźny wygląd. Kalimahr był pierwszą z planet skolonizowanych po Tythonie i jego księżycach o najbardziej różnorodnej populacji. Był dumny ze swojej wielokulturowości i wielogatunkowości – i to niebezpodstawnie. Nawet na Tythonie nie spotykało się w jednym miejscu przedstawiciele tak wielu różnych ras. Lanoree zatrzymała się na moment pośrodku hali, żeby poczuć sieć więzi łączących taką liczbę istot

żywych... a także, żeby spróbować namierzyć osobę, która deptała jej po piętach. Nadal nic. Kiedy się zatrzymała, nie zauważyła nikogo, kto postąpiłby tak samo, i chociaż kilka osób poświęciło jej przelotną uwagę, wyczuwała, że zainteresowali się nią tylko dlatego, bo rozpoznali jej gwiazdę Je'daii. Kilkoro z nich było najwyraźniej zniesmaczonych jej widokiem. Wiedziała aż za dobrze, co poniektórzy Kalimahrczycy sądzą o Je'daii.

Zbyt często i zbyt długo jestem samotna, pomyślała smętnie. Może w sytuacji, kiedy znowu pojawiała się wśród ludzi, lekka paranoja była naturalna?

Opuszczając hol iglicy, minęła grupkę mnichów Dai Bendu, wyśpiewujących jedną ze swoich dziwnych, niesamowitych pieśni. Wokół nich zgromadził się mały tłum podróżnych; niektórzy kołysali się powoli w takt ich zawodzenia. Tuż pod wejściem, na szerokiej, długiej rampie prowadzącej na ulicę, medytowała nad namalowanym wprost na ziemi wizerunkiem ich boga grupa kotowatych Catharów. Obraz był piękny, a zgromadzenie kotopodobnych przyciągnęło kilka dymnych węży, które wypełzły ze swoich nor w ziemi i kołysały się teraz hipnotycznie w rytm melodyjnego zaśpiewu. Lanoree słyszała o catharskich dymnych węzach, ale dotąd nie miała okazji żadnego zobaczyć na własne oczy.

Zastanowiła się przelotnie, jakie to dziwne, że tak odmienne obrządku są praktykowane tak blisko siebie. Wierzyła w Moc, nie w żadne z tych guseł, jednak mimo to cieszyła się, widząc taką koegzystencję różnorodności.

Ulice roiły się od istot najrozmaitszych ras. Były zastawione straganami pełnymi egzotycznych towarów, tłoczne od różnego rodzaju artystów, przedstawicieli grup religijnych, oficerów służb porządkowych, a także dzieci i dorosłych, pokazujących sobie to wszystko palcami i rozprawiających z podekscytowaniem o otaczających ich cudach. Czuła się tu anonimowo i bardzo to sobie ceniła, wiedziała jednak, że w takim tłumie najłatwiej kogoś śledzić, a uczucie, że jest obserwowana, nie opuszczało jej ani na krok. Chociaż sondowała otoczenie Mocą, nie potrafiła nic wyczuć – zbyt wielki panował tu tłok. Będzie musiała zachować czujność, uznała.

Nad jej głową przemykały ścigacze chmur, a co jakiś czas z nieba opadał statek pasażerski, gotowy przyjąć na swój pokład podróżnych. Jeszcze na pokładzie "Rozjemcy" Lanoree przejrzała mapy tego miejsca i wiedziała, że kantyna, której szuka, jest w pobliżu. Postanowiła dotrzeć do niej pieszo.



– Założę się, że nigdy nie spotkałaś kogoś takiego jak ja, co? – Tre Sana wyszczerzył się do niej znad swojego wina. Żółte oczy i lśniaca, czerwona skóra nadawały mu groźny wygląd, jednak pod przerażającą aparycją wyczuwała inteligencję i spryt.

– Masz rzadki kolor skóry – zauważyła. – Rzadki nawet jak na Twi’leka... a na dodatek nadprogramowe lekku.

– Jak na Twi’leka? Ha, oczywiście! – Pogładził trzeci głowoogon, wyrastający między dwoma typowymi dla przedstawicieli jego rasy. – Przynajmniej wiesz, jak go nazwać. Nie uwierzyłybyś, jak niektórzy o nich mówią...

– Wyobrażam sobie – odmrugnęła.

– Mówią też, że jestem świrem! – warknął i pochylił się nagle w jej stronę, obnażając ostre kły drapieznika. – Niebezpiecznym świrem!

– Nie boję się ciebie – odparła spokojnie.

– Hm... – Lekku Trego, trzy długie, osobliwe macki, wyrastające z podstawy czaszki, drgnęły lekko. Jednym z nich Twi’lek pogładził lewe ramię, a pozostałe dwa wycelował w nią oskarżycielsko niczym palce.

– „Tak, cóż, ta suka jest Je’daii” – przetłumaczyła Lanoree.

Tre otworzył szeroko oczy.

– Znasz mowę ciała Twi’leków?!

– Oczywiście. Zaskoczony?

– No, no! Je’daii nie są w stanie mnie zaskoczyć!

– Nie bądź tego taki pewien. – Lanoree upiła łyk swojego drinka i rozejrzała się po Kantynie Susca. Przy ponad piętnastu zasiedlonych planetach i księżycach, na powierzchni przeszło szesnastu miliardów kilometrów, w całym układzie roіło się od miejsc takich jak to – miejsc, w których istoty gromadziły się, żeby pić, jeść i rozmawiać, niezależnie od koloru skóry, gatunku, pochodzenia czy kultury. Miejsc, w których grała muzyka – lokalny zespół albo egzotyczna grupa z innego kontynentu czy świata – podróżni znajdowali wspólny język, a nie lubiący podróżować mogli posłuchać wieści z obcych im stron. I to właśnie w takich miejscach języki się rozwiązywały, wieści rozchodziły, a sekrety wyłaniały na światło dzienne. Lanoree uwielbiała takie miejsca, bo wystarczył tu jeden czy dwa drinki, żeby przenieść się zupełnie gdzie indziej.

Napój, który teraz sączyła, polecił jej Tre – było to miejscowe wino, produkowane z podmorskich winorośli i wzmocnione pyłem pochodzącym z kopalni z północnego bieguna Kalimahra. Było bardzo mocne, jednak Strażniczka wykorzystwała Moc, żeby upewnić się, że nie zamąci jej zbyt w głowie. Lubiała przebywać w takich spelunkach, jednak nieraz zdarzało się też, że musiała w nich walczyć... a także zabijać.

– Mistrzynie Dam-Powl poręczyła za ciebie – powiedziała.

W oczach Trego Sany zalśniły psotne iskierki.

– Czyżby?

– Cóż, jeśli chodzi o ścisłość, to kazała mi na ciebie uważać – wyznała Lanoree. – I zabić cię, gdyby tylko przyszło ci do głowy mnie zdradzić. – Rozejrzała się dookoła, ale zmysł Mocy miała cały czas wyczulony na reakcję Trego. Dziwne... nic nie wyczuła. Spojrzała znów na niego i dodała: – Zapewniała mnie jednak, że nie jesteś typem zdrajcy.

Tre uniósł brwi i poderwał spoczywające dotąd na ramionach lekku, prześlizgując po nich delikatnie, niemal zmysłowo, koniuszkami palców.

– Świetnie – stwierdziła Lanoree, uśmiechając się pod nosem. – W takim razie zamówmy coś do jedzenia i wymieńmy się informacjami.

– Mają tu świetną morską wołowinę – zapewnił ją Tre i podniósł dłoń, przyzywając kelnera. Wystarczyło machnięcie ręką i pstryknięcie palcami, by pojawił się przy nich z szerokim uśmiechem na twarzy.

Lanoree wysłała wici Mocy, żeby wy badać umysł swojego towarzysza... i prawie się zachłysnęła. Nie była w najmniejszym stopniu przygotowana na odbiór obcych myśli – pierwsze wrażenie zawsze było dezorientujące – jednak szybko przywołała się do porządku i odsunęła na bok wątki bez znaczenia, przelotne wrażenia przyprawiające ją o niechęć, odrazę i zdegustowanie, i zawężyła zakres poszukiwań do tego, co było jej potrzebne. Tre siedział przed nią, taki spokojny i opanowany, że miała ochotę na niego nawrzeszczeć. Przerwała kontakt i wbijała w niego wzrok, dopóki nie spojrzał jej w oczy, jednak wciąż milczał. Zdawała sobie sprawę z tego, że w jego oczach może być atrakcyjna; cóż jeśli naprawdę go pociągała, nie było w tym nic zdrożnego.

– Będę z tobą szczerą – odezwała się wreszcie. – Do bólu. Tak będzie lepiej dla nas obojga. Jest w tobie coś, czego nie pojmuję, ale nie potrzebuję Mocy, żeby to dostrzec. Jesteś hardy i uważasz się za kogoś lepszego. Pewnie masz to we krwi, ale sądzę, że teraz tak ci się wydaje, bo jesteś pewien, że jestem na straconej pozycji. Może dlatego, że Dam-Powl powiedziała ci większość z tego... a może i wszystko... co sama wiem na temat mojego powodu wizyty w tym miejscu i spotkania z tobą.

Tre zamrugnął powoli i wzruszył potwierdzająco swoimi lekku.

– Wiesz więc z pewnością, kogo szukam – podjęła Lanoree. – Wiesz, że ten człowiek jest moim bratem. Jedyne, co mam, to przekazywane z ust do ust w knajpach plotki, informacje z drugiej ręki i ze źródeł, których nie mogę sprawdzić i którym nie ufam. To wszystko nie daje mi właściwie nic... żadnej podstawy, od której mogłabym zacząć moje poszukiwania. Nie mam nawet pojęcia, gdzie się udać.

– A czy nie możesz po prostu... – machnął palcami, wykonując nieznaczny ruch dłonią – namierzyć go Mocą?

Lanoree spiorunowała go wzrokiem. Zachowywał się dziecinnie i nie mogła mieć gwarancji, że udzieli jej odpowiedzi, których szukała.

– Mistrzynie Dam-Powl wysłała mnie do ciebie i zapewniła, że będziesz mógł mi pomóc. Mam szczerą nadzieję, że tak będzie... bo nie wiem, jak długo jeszcze zdołam znieść twoje wykrety. – Opróżniła swoją szklanę jednym haustem.

– W takim razie ja także będę z tobą szczerą – powiedział Tre, nagle poważniejąc. – Oprócz plotek o twoim bracie doszły mnie także słuchy o... technologii Greech.

Lanoree schyliła głowę i uniosła brwi.

– I nie chodzi mi tylko o hiperwrota. Każdy półgłówek zna historie o tym, że Stare Miasto to twór Greech. – Tre nachylił się w jej stronę i rozejrzał czujnie dookoła. – Chodzi mi o to, co je może uruchomić...

– Nie rozumiem – bąknęła Lanoree, przypominając sobie to, co Mistrzowie powiedzieli jej na Tythonie. – Ciemna materia...

– Mam na myśli, że krążą słuchy na temat projektu tego urządzenia. Specyfikacji technicznej. – Tre wzruszył ramionami. – Planów. I w ogóle o Greech.

Lanoree oszołomiona, opadła na oparcie swojego krzesła. Gree... Czy Sana mówił prawdę? O tej starożytnej rasie było tak niewiele wiadomo... Istniały teorie, że zasiedlali niegdyś Stare Miasto na Tythonie, jednak teoretycy spirali się o to, czy to właśnie oni je zbudowali. Chociaż w galaktyce już dawno nie było po nich śladu, niektórzy utrzymywali, że Stare Miasto jest jeszcze starsze od nich. Lanoree spotkała kiedyś na Tythonie mężczyznę – nie był co prawda Je'daii, ale ich sojusznikiem – który spędził całe swoje życie na badaniu kultury Greech i ich dziedzictwa, jednak nawet wyniki jego poszukiwań nie mogły być stuprocentowo wiarygodne. A teraz siedziała twarzą w twarz z tym tajemniczym Twi'lekiem, który – o ile Dam-Powl mówiła prawdę – zajmował się działalnością przestępczą, a na dodatek twierdził, że Dal trafił na coś będącego spuścizną po Greech...

– Plany? – spytała niepewnie.

– To tylko plotki – powtórzył Tre. – Jeszcze wina?

Lanoree aż się zjeżyła. Ten gość wciąż ją zwodził! Grał na zwłokę! Bawił się z nią, całkiem jakby spotkał się z jakimś nic nieznaczącym kombinatorem, z którym chciał się potargować... Opadła znów na oparcie swojego krzesła i udała znużenie, jednak w rzeczywistości przywoływała Moc, wzmacniając nią zmysły i wspomagając ich działanie; jeszcze raz wysłała jej wici, starając się zbadać umysł Trego, jednak i tym razem bezskutecznie.

Twi'lek otworzył szeroko oczy i przez chwilę sprawiał wrażenie nieskończenie smutnego, z obwisłymi lekko i opuszczonymi bezradnie ramionami. Wyglądał wypisz wymaluj jak skarcony szczeniak. Lanoree nie wiedziała, skąd takie wrażenie, jednak nauczyła się ufać swoim instynktom. Kierowała nimi Moc, która często brała górę nad odruchami.

Tre nie patrzył jej w oczy. Wpatrywał się tępo w swoją do połowy opróżnioną szklanę.

Badała powierzchnię jego umysłu, jednak nie potrafiła się wdrzeć głębiej i czuła się z tym nieswojo – nie przywykła do takiej bezsilności. Wiedziała, że niektóre gatunki bywają odporne na sondowanie Mocą – na przykład umysły Catharów funkcjonują zupełnie inaczej niż mózgi innych ras, operując symbolami i abstrakcyjnymi znakami, nie zaś słowami i czytelnymi obrazami – jednak zazwyczaj nie miała problemu z przejrzaniem czyichś myśli, niezależnie od tego, czy należały do człowieka, czy do obcego.

U Trego napotkała lity mur. Miała wrażenie, że otacza on szczelnie jego świadomość, a próby przeniknięcia przez niego spełzały na niczym, całkiem jakby

za nim nie było w ogóle czegoś takiego jak jaźń. A mimo to była pewna, że nie o to chodzi. Tre był po prostu panem własnego losu, inteligentnym i czujnym, mającym własne pragnienia i cele. Wiedziała też, że zna samego siebie – na wskroś.

– Tre, co takiego ci zrobili? – spytała łagodnie, czując, że Twi’lek chce z nią o tym porozmawiać. To uczucie nie miało nic wspólnego z Mocą – była to zwykła wrażliwość, empatia, łącząca dwie istoty żywe.

– Jestem tylko kolejnym szpiegiem Je’daii – westchnął ze znużeniem Twi’lek.

– Jesteś... inny – zauważyła, uświadamiając sobie nagle zatrważającą prawdę.
– Odmieniony. Czy to zmiana... genetyczna?

– Głęboka i trwała.

– Niemożliwe... Je’daii nie zrobiliby nigdy nikomu czegoś takiego – wyszeptała, przerażona.

– Akurat! – prychnął Tre. Kilkoro bywalców siedzących w pobliżu spojrzęło na niego z zaciekawieniem, ale kiedy łypnął na nich gniewnie, odwrócili wzrok i wrócili do swoich drinków.

– Ale to przecież... – Lanoree nie mogła dokończyć zdania. „Niedopuszczalne”, chciała powiedzieć, jednak w porę przypomniała sobie o pewnym niedokończonym eksperymencie, który prowadziła na pokładzie własnego statku, a który pewnie nie znalazłby uznania w oczach innych Je’daii. To, co dla jednych było nieetyczne, inni traktowali jak przesuwanie granic nauki, doszła do wniosku.



– Jestem zabawką Dam-Powl – wyznał cichym głosem Tre Sana. – Obiecała mi... pewne rzeczy. – Wyprostował się w swoim krześle i uniósł dumnie podbródek. – I wierzę, że dotrzyma tych obietnic. Obiecała mi pieniądze i nową tożsamość. I posiadłość na skagorańskim statku mieście. – Skinął energicznie głową, jednak jego lekku zdrząły, zdradzając niepewność i wrażliwość.

Lanoree nie wiedziała, co o nim myśleć, a fakt, że nie była w stanie czytać go za pośrednictwem Mocy, niepokoił ją. Nie mogła jednak nie podziwiać efektów pracy Mistrzynie Dam-Powl. Niezależnie od tego, jakie modyfikacje genetyczne tu Catharka wprowadziła i jakimi dziwnymi dekoktami nasyciła umysł Trego, uczyniła go bez dwóch zdań swoim niewolnikiem. I chociaż stanowiło to naruszenie zasad moralności, było też aktem błyskotliwym, żeby nie powiedzieć genialnym.

– Na pewno dostaniesz to wszystko – zapewniła go. – Mistrzynie Dam-Powl dotrzymuje słowa.

Chwilę później zjawiły się zamówione przez nich potrawy. Bez słowa zajęli się nimi, przeżuując i połykając łąpczywie. Jedli, jakby to był ich pierwszy posiłek

od dawna.

– A ci Gree... – zagadnęła Lanoree. – I ich plany. Muszę wiedzieć o tym więcej...

– Teraz, skoro już tu jesteś, możemy przynajmniej coś zziałać – stwierdził Tre, opluwając przy okazji cały stół na wół przezutym mięsem. Część papki wylądowała na talerzu Lanoree.

– Ale jak? – zapytała.

– Muszę kogoś znaleźć – odparł, przeżuując. – To jednak nie będzie takie proste. Bo muszę... zrobić to sam. Strażniczka przyciągnęłaby niepotrzebnie uwagę. Znasz to powiedzenie: „Tam, gdzie pojawia się Strażnik, można się spodziewać kłopotów”? No właśnie. Wystarczy, jak dotrze do ich uszu, że z tobą współpracuję, i zaraz znikną. Możliwe, że na długo. Dlatego zostaw to mnie. Spotkajmy się w tym samym miejscu o zmierzchu. Do tej pory będę wiedział, gdzie ją znaleźć.

– To znaczy kogo?

– Bogatą Kalimahrkę. Dilerkę wiropyłu i innych przypraw... a także jedną z Patrzących w Gwiazdy.

– Znowu to samo... – wyszeptała Lanoree.

Tre otarł usta i upił łyk swojego drinka.

– Niewielu ją zna. Lepiej trzymaj buzię na kłódkę. – Skinął głową, wskazując podbródkiem talerz Lanoree. – Będiesz to jadła?

– Nie. Częstuj się.

Twi'lek przysunął sobie jej nakrycie i zaczął pałaszować niedokończone danie. Sprawiał wrażenie, jakby od kilku dni nie miał nic w ustach.

– A więc do zobaczenia o zmierzchu – rzuciła Lanoree.

– Hm... – Skinął jej głową na pożegnanie, nie podnosząc głowy znad talerza. Promieniowała od niego obojętność, a jednak jednocześnie zachowywał się jak niewolnik... Był osobą pełną sprzeczności, skomplikowaną, targaną konfliktami, oceniła Lanoree – słowem, kimś takim, kto nie powinien jej pomagać w tym śledztwie.

– W porządku – stwierdziła mimo to. Kiedy wstawiała od stolika, widziała odwracające się w jej stronę twarze, a gdy szła w milczeniu do drzwi, ciszę mąciły tylko szepty: „Strażniczka! Je'daii!” i różne niezbyt przyjazne pomruki. Łudziła się, że to tylko wynik porzekadła, które przypomniał jej Tre, jednak wszystko wskazywało na to, że płonne to były nadzieje.

Natychmiast po opuszczeniu Kantyny Susca Lanoree znowu poczuła, że ktoś ją śledzi.



– Pierwszy dzień jest zawsze najgorszy – informuje ich Mistrz Ter'cay, prowadząc ją i Dala na powierzchnię. – Cicha Pustynia bywa groźnym miejscem.

Wiemy o tym, pomyślała Lanoree. Aż za dobrze.

Wspinają się w górę przestronnej jaskini. Sprawia wrażenie raczej miasta niż Świątyni, myśli Lanoree, a Ter'cay ogląda się na nią przez ramię.

Słuchaj tego, co mówię, albo niczego się nie nauczysz, przemawia do niej w myśli. Nie jest zły, a jedynie... rozbawiony? Lanoree nie kryje zaskoczenia faktem, że tak łatwo potrafi ją przejrzeć. Sama dobrze zna zjawisko telepatii za pośrednictwem Mocy, jednak opanowanie jej w takim stopniu musiało zabrać Mistrzowi wiele lat.

Ter'cay wybucha śmiechem, a Lanoree uśmiecha się półgębkiem do Dala... który marszczy niepewnie czoło. Nic z tego, czym się przed chwilą dzielili, nie dotarło do niego. Nic.

Nadal jest oszołomiona rozmiarem i rozmachem Qigong. Oczywiście słyszała o niej wcześniej – od swoich rodziców i tych Wędrowców, którzy odwiedzili Świątynię Bodhi po wizycie w Qigong. W ich relacjach zawsze pojawiały się informacje na temat tej Świątyni – jej wielkości, stopniu skomplikowania sieci tuneli i jaskiń, potęgi Mocy w jej naturalnym węźle, a także wzmianki o Cichej Pustyni.

To nawiedzone miejsce, mówili. Prawie... nienaturalne.

Ona i Dal spędzili wiele dni, wędrując przez pustynię do Qigong, więc znają niektóre z jej niebezpieczeństw, jednak Lanoree czuje, że ich przygoda z tymi dziwnymi piaskami dopiero się zaczyna.

– Tu, na dole, jest zimno – mówi Ter'cay. – Czasami piaski bywają tak gorące, że mogą stopić podeszwy waszych butów, a najłżejsza bryza powoduje poparzenia, jednak tak dzieje się zazwyczaj pod koniec dnia. Tutaj jesteście chronieni przed słońcem, a temperaturę reguluje sześć klimatyzatorów. Jeden z nich mieści się tutaj. – Przechodzą przez wielką jaskinię o trzech ścianach z ociosanej skały, poprzecinanych licznymi parapetami i schodami. Wokół kręci się mnóstwo ludzi. Ter'cay wskazuje im czwartą ścianę placu, pod którą stoi potężna maszyna wysokości jakichś trzydziestu przeciętnego wzrostu ludzi. Jej liczne, pokryte zgrubieniami przewody wyginają się i wybrzuszają jak coś żywego, nie mechanicznego. Urządzenie wypuszcza kłęby pary i wydaje dziwne jęki, a wokół jego podstawy i na powierzchni gromadzi się wilgoć.

– Czy to maszyna? – pyta Dal.

W pewnym sensie, mówi Ter'cay poprzez Moc. Potem patrzy na Lanoree, unosi brew i wypowiada te słowa na głos.

Lanoree wie, że Mistrz spodziewa się, iż Dal także odbierze bezgłośnie informację, jednak jej brat wydaje się bez reszty skupiony na wielkim urządzeniu klimatyzacyjnym.

– W pewnym sensie? – powtarza Lanoree.

– Wiele z jej części jest... hodowanych w Anil Kesh.

– A więc jest żywa?

– Nie do końca. – Ter'cay odwraca się i rusza przed siebie po kamiennej posadzce, a oni muszą się pospieszyć, żeby dotrzymać mu kroku.

Kiedy dotrzemy na powierzchnię, wszystko ucichnie, mówi w umyśle Lanoree głos Ter'caya. Jednak cisza jest tylko subiektywna. My możemy się komunikować tak jak teraz, i to jest twoja pierwsza lekcja. Telepatia Mocy to talent, który niektórzy z Wędrowców posiadają już wtedy, kiedy się tu zjawiają, ale ci, którzy nie potrafią się nią posługiwać, szybko ją przyswajają. Ter'cay ogląda się na nią przez ramię z poważną miną. To podstawowa umiejętność, mówi. Nie jak dalekowiedzenie czy wykorzystywanie Mocy do tworzenia iluzji. Jeżeli Moc przez ciebie przepływa, mogą to także robić słowa i myśli. Jednak twój brat...

Wzrusza ramionami i podejmują marsz.

– On... – zaczyna Lanoree, ale urywa, bo widzi, że Dal na nią patrzy. Kaszle, udając, że zakrztusiła się pyłem, a potem próbuje mówić bez słów.

Matka nauczyła ją podstaw tej sztuki. Czasami ojciec też dotykał jej umysłu, kiedy było późno i byli zmęczeni, opowiadając jej bajkę na dobranoc. Teraz Lanoree ma okazję skorzystać z tych lekcji.

Dal jest... słaby Mocą, mówi Ter'cayowi i wie, że ten ją słyszy. Ale chce się uczyć.

Nie, odpowiada Ter'cay. Nie wyczuwam w nim chęci, a jedynie opór. Nie ma w nim radości, tylko podejrzliwość.

Da z siebie wszystko, zapewnia go gorliwie.

Docierają do skraju jaskini; duża rozpadlina w ścianie prowadzi stąd do mniejszych, bardziej uczęszczanych tuneli. Sześciorekie droidy kręcą się tu i tam, proponując napoje orzeźwiające. Inny, wyższy robot opatruje rany kilkorgu niechlujnie ubranym ludziom o zaczerwienionej skórze, ściągniętych z bólu twarzach i zapadniętych oczach. Nie przestają ani na chwilę mówić, całkiem jakby dopiero co się tego nauczyli. Lanoree przypuszcza, że to uczniowie, Wędrowcy, którzy właśnie zakończyli swoją kolejną lekcję na powierzchni.

Jeżeli twój brat da z siebie wszystko, to ja także, mówi Ter'cay, jednak Lanoree słyszy w jego głosie powątpiewanie. Ma niejasne wrażenie, że jest ono echem jej własnej niepewności.

I wtedy Mistrz Ter'cay mówi głośno, tak żeby usłyszeli go oboje:

– To główny szyb prowadzący na powierzchnię. Są tu inne windy i tunele, ale wolę, żeby moi uczniowie pokonywali tę drogę pieszo. W ramach ćwiczeń fizycznych. – Uderza się mocno w pierś i wybucha śmiechem. – To dobre dla płuc! I serca! – Dotyka ręką czoła. – Zdrowie ciała jest niezbędne dla zachowania zdrowia umysłu.

Zaczynają się wspinać po naturalnie utworzonych schodach. Lanoree liczy stopnie – jest ich ponad tysiąc!

Tego pierwszego wieczoru, kiedy słońce maluje odcieniami czerwieni piaski, które ozywają aktywnością skorpionów i węży, a także innych mrocznych

stworzeń, Lanoree tworzy przed Mistrzem Ter'cayem iluzję: shira o pięknie żyłkowanych skrzydłach i rogu na czole, tańczącego na piasku, bijącego kopytami o cienie, które nie zwracają na niego uwagi, i parskającego zawzięcie. Słyszą każdy jego oddech i wydawane przez zwierzę odgłosy. Ter'cay uśmiecha się do brykającego przed nim jednoroga, a potem kiwa Lanoree głową. Dobra robota, mówi jej bez słów, przekonasz się jednak, że tworzenie rzeczywistych iluzji jest znacznie trudniejsze. Wiesz, że jednoróg to zwierzę mityczne, żyjące w twoim umyśle, więc stworzenie jego iluzji przychodzi ci bez trudu. Spróbuj czegoś bardziej... przyziemnego – skały, owocu, buta... To nie będzie już takie łatwe.

Lanoree pozwala, żeby iluzja rozplynęła się w zmięczeniu, i postępuje zgodnie ze wskazówkami Ter'caya... jednak jej starania okazują się bezowocne. Nie potrafi przywołać żadnego z przedmiotów, o których Mistrz wspomniał.

Twoja nauka dopiero się zaczyna, mówi jej Ter'cay. Odwraca się od niej i siada przy Dalu. Bierze jego dłonie we własne, dotyka jego policzków i skroni, a potem zamyka oczy, zaś oczy Dala robią się wielkie jak spodki.

Słyszysz go! – myśli uradowana Lanoree. Czuje Moc i słyszy dzięki niej! Jednak jej radość jest krótkotrwała.

Dal zrywa się i kopie piasek, sypiąc nim w oczy Mistrza Ter'caya. Reaguje całkiem tak, jakby opanowało go coś obrzydliwego, dotknęło coś odrażającego. A potem odchodzi w mrok. Lanoree żałuje, że nie może go zawołać.



Pierwszy świt spędzony z Mistrzem Ter'cayem w obozowisku na Cichej Pustyni jest jednym z najdziwniejszych jak dotąd przeżyć Lanoree. Noce z Dałem podczas podróży tutaj były zupełnie inne. Owszem, bali się i mieli powody do zmartwień, jednak teraz to co innego. Może to bliskość Świątyni, będącej naturalnym węzłem Mocy, przyciąga tu tak obficie okoliczne formy życia?

Kiedy wschodzi słońce, rozświetlając niebo na wschodzie, pustynia budzi się do życia i cisza staje się jeszcze bardziej niesamowita. Nocne istoty skryły się w ziemi godzinę przed świtem, całkiem jakby się obawiały, że słońce ujawni światu ich obecność. Cienie znikają, tak samo jak chłód nocy, zastąpiony przez ogrzewający piaski pustyni upał. Ze swoich gniazd zrywają się pustynne ptaki. Przedstawiciele jakiegoś niewielkiego gatunku shirów, szczuplejsze niż inne, znane Lanoree z Tythona, z garbami na grzbiecie i szyi, przemierzają całym stadem odległe zbocze. Jaszczurki bawią się i baraszkują na skałach, machając silnymi skrzydłami w prądach ciepłego powietrza. Lanoree widzi wielkiego mankla, skradającego się w oddali. Ostre kolce ma zjeżone – a więc poluje. Ale ten wspaniały pokaz życia i jego różnorodności na pustyni odbywa się w nienaturalnej ciszy – gdzieś giną wszystkie krzyki, łopot skrzydeł, warknięcia i

ryki polujących istot.

Tam, na wzgórzach, Lanoree słyszy głos w głowie: Spójrz! Popatrz uważnie! Nie wiedziała nawet, że Ter'cay wstał. Jego namiot wydaje się nietknięty, nienaruszony, jednak kiedy mówi w jej umyśle, Lanoree widzi go przycupniętego z południowej strony obozu, równie nieruchomego jak sterta kamieni, przy której przykuca.

Patrzy we wskazanym przez niego kierunku i... widzi!

Nie ma wątpliwości, że to, na co patrzy, nie jest dziełem wiatru ani ruchów tektonicznych. Rzeźba prawie dorównuje wielkością wzrostowi człowieka, chociaż Lanoree nie może być tego pewna na sto procent – jest zbyt daleko. Dziwna figura wydaje się poruszać, płynąć i tańczyć, podczas gdy tworzące ją cząsteczki piasku nieustannie się przemieszczają i zmieniają położenie. Jej kształt jest niepodobny do niczego, co dziewczyna widziała wcześniej, i wciąż się zmienia.

Dal powinien to zobaczyć, myśli Lanoree, jednak wie, że nie da rady obudzić go myślą. Gdyby zaś po niego poszła, możliwe, że po powrocie nie ujrzeliby już tego niesamowitego zjawiska.

Sięgnij ku tej figurze, radzi jej bezgłośnie Ter'cay i Lanoree słucha. Moc jest w niej żywa, a kiedy wysnuwa jej wici na zewnątrz, czuje, że piasek tworzący odległą rzeźbę jest cieplejszy od otoczenia i pachnie jak coś dawno pogrzebanego, co nagle odkopano. Ale najbardziej niesamowite jest to, że piasek we wnętrzu rzeźby... głośno śpiewa! Dźwięk jest dziwny i nieskładny, i nie ma w nim słów, które Lanoree mogłaby rozpoznać, a jednak wyczuwa w tej kakofonii echa nieskrępowanej niczym wolności, dzikiej pasji, i przez kilka uderzeń serca przepelnia ją radość, która mogłaby przyćmić blask słońca.

Ale nagle piaskowa rzeźba rozpada się na miliony cząsteczek i miesza się z piaskiem pustyni. Dźwięk milknie, ruch zamiera. Lanoree, przejęta, dyszy ciężko, a kiedy ogląda się na Ter'caya, Mistrz Je'daii uśmiecha się do niej.

Co to było? – pyta go.

Tajemnica, odpowiada. Obudź lepiej brata. Za chwilę rozpocznie się wasze szkolenie.



Resztę tego dnia i dwa kolejne spędzają na szkoleniu na Cichej Pustyni. Lanoree cieszy się zdobytymi umiejętnościami, a także tymi, których dopiero się uczy. Jest dumna z tego, że tak dobrze radzi już sobie z niektórymi zadaniami. Ter'cay jej nie odpuszcza i wystawia ją nieustannie na próby. Sprawdzają. A ona robi wszystko, czego od niej zażąda, domagając się coraz trudniejszych zadań, bardziej skomplikowanych poleceń. Jej więź z Mocą w tym dziwnym, cichym miejscu szybko staje się coraz silniejsza i po raz pierwszy Lanoree czuje się

naprawdę jej częścią. Sugestia, telepatia, kontrola – z każdą chwilą jej zdolności rosną, a horyzonty się poszerzają. Cieszy się każdym momentem spędzonym tutaj z Mistrzem Ter'cayem, jednak co rusz karci się za nadmierną pychę, kiedy widzi, że Dalowi wszystko, dosłownie wszystko przychodzi z trudem.

Moc nie płynie przez niego, a im więcej Ter'cay z nim ćwiczy, tym mniejszą ochotę na trening ma Dal. Lanoree jest sfrustrowana i wściekła na jego ciągłe humory. Tego wieczoru, kiedy jedzą i odpoczywają, stara się z nim porozumieć. Wysłała do jego umysłu pokrzepiającą myśl, dotyk miłości i troski, jednak spotyka się z lawiną chaotycznych uczuć – strachu, gniewu i rozdrażnienia.

Kiedy trzeciego dnia ich pobytu na pustyni zapada zmierzch i wracają do Świątyni, Lanoree czuje się podbudowana swoimi sukcesami, ale i zasmucona z powodu porażek Dala.

Bierze go za rękę i z zaskoczeniem przyjmuje odwzajemnienie uścisku. Uśmiecha się do niego.

Do głowy przychodzi jej pewien pomysł...

Delikatne pchnięcie i... spacerują znowu nad rzeką w pobliżu Świątyni Bodhi. Są z powrotem w domu. To jedyne miejsce, w którym Dal czuje się naprawdę dobrze, w zgodzie z samym sobą. W pobliżu przeleciało niedawno stado wicioptaków i delikatna bryza unosi w powietrzu niezliczone złote nici. Rzeka płynie wartko, nabrzmiała niedawnymi deszczami, spływającymi ze wzgórz Lasu na Skraju. Powietrze przesyca zapach kwiecia i obietnica posiłku, który zjedzą wkrótce razem z rodziną – ojciec ugotuje potrawkę z rumbata, a matka poczyta im do kolacji wiersze. Wizja jest piękna... i fałszywa.

Dal ściska jej dłoń tak mocno, że Lanoree czuje, jak jej kości zgrzytają o siebie, a rana, którą zadał jej niedawno szponojastrząb, znów zaczyna krwawić. A potem jej brat pada na kolana na piasek i wymiotuje.

Lanoree klęczy obok niego, zastanawiając się, co zrobiła nie tak. Wie, że Dal nienawidzi, kiedy ona używa Mocy, żeby wnikać do jego umysłu i dotknąć jego myśli. Kłócili się o to już nieraz, jednak po tak długim pobycie w tym dziwnym miejscu wydawało jej się, że może z radością powita myśli o bezpieczeństwie i spokoju, wizję domu...

Kiedy brat na nią patrzy, widzi w jego spojrzeniu nienawiść.

Nie może nawet znowu dotknąć jego umysłu, żeby powiedzieć, jak bardzo jest jej przykro...



ROZDZIAŁ 4

PAN WŁASNEGO LOSU

Nigdy nie pokładaj w Mocy całej ufności. Ona zawsze jest przy tobie, jednak to wcale nie znaczy, że zawsze będzie można po nią sięgnąć. Każdy Je'daii jest inny, ma własne zdolności. Naucz się ich używać. Pielęgnuj je. Jeżeli Moc jest snem, to ty jesteś śniącym, ale czasem trzeba się obudzić. Bywa, że jesteś zdany wyłącznie na samego siebie.

– Mistrz Shall Mar, Życie w równowadze, 7523 PTY

Tre Sana powiedział jej już więcej niż Mistrzowie Je'daii, którzy wysłali ją na tę misję. Mistrzowie wspomnieli o luźnej sieci bogatych Kalimahrczyków, najwyraźniej związanych z sektą Patrzących w Gwiazdy Dala, a Tre potwierdził to podejrzenie, wskazując odpowiednią osobę, z którą mogli porozmawiać. Wspomnieli też o ciemnej materii, której jej brat chciał użyć do aktywacji domniemanych hiperwrót, jednak nie mówili nic o Greech.

To, co było wiadomo na temat Greech, stanowiło historię tak zamierzchłą i było tak głęboko pogrzebane w czasie, że nabrało cech mitów i legend. Lanoree miała ochotę wrócić na statek i wyszukać cokolwiek na ich temat w swoim komputerze pokładowym, jednak najpierw musiała się dowiedzieć, kto – albo co – ją śledził.

Przypuszczała, że ta dzielnica Rhol Yan musi się znajdować gdzieś na obrzeżach obszaru tłumnie odwiedzanego przez turystów – ulicom daleko tu było do schludności. Na niektórych podejrzanych straganach handlowano pewnie nielegalnymi towarami, usługami i substancjami, a klienci większości przybytków nie wydawali się zwykłymi podróżnymi. Było tu niezbyt bezpiecznie, ale Lanoree nie czuła się nieswojo. W każdym mieście na każdej planecie było takie miejsce, a ona odwiedziła ich już w swojej karierze całkiem sporo.

Czasami nawet czuła się w nich dziwnie swojsko.

Nad jej głową przelatowały ścigacze chmur, po nieco podwyższonej jezdni na środku ulicy przemykały skutery, a tu i ówdzie dało się także zauważyć lokalne juczne zwierzęta, niosące pasażerów na grzbietach albo kończynach. Lanoree wołała jednak przejść się pieszo. Dzięki temu będzie miała pełną swobodę ruchów, a także lepszą pozycję obserwacyjną. Chciała namierzyć osobę, która ją

śledziła, a nie przed nią uciec.

Korzystając z wypolerowanych karoserii śmigłów, wystawowych szyb i odbić w oczach mijających ją obok, obserwowała otoczenie. A kiedy gorzej widziała, mrugała powoli, sięgając za siebie wiciami Mocy i próbując odkryć, kim jest jej tajemniczy szpieg.

To było frustrujące. Czuła się obserwowana, jednak to z pewnością nie była zwykła ciekawość na widok Strażniczki Je'daii – już wcześniej odpięła swoją gwiazdę, żeby wmieszać się w tłum.

Na końcu uliczki znajdował się duży rynek ze straganami rozstawionymi na przestronnym, wyłożonym marmurem placu. Były przymocowane do trzech masywnych, przypominających drzewa konstrukcji, stojących na obwodzie bazaru. Do jednej z nich dokowało kilka niewielkich ścigaczy chmur, dowożących ludzi z większych statków, przelatujących i dryfujących nieco wyżej. Lanoree zeszła po kamiennych stopniach na rynecek, po czym zatrzymała się, obejrzała i zaczęła biec z powrotem.

Kiedy przystanęła na szczycie schodów, rozejrzała się dookoła. Ulica, którą tutaj dotarła, była tłoczna i gwarna. Przyglądała się mijającym ją ludziom i istotom innych ras, patrzyła, jak odchodzą w swoją stronę, badała ich wiciami zmysłów, dotykając pulsu Mocy. Oceniała własny obraz w ich percepcji... i nagle znalazła to, czego szukała.

Stał tam, obserwując ją i najwyraźniej pamiętając cały czas, że jest Strażniczką – tajemniczą i niebezpieczną. Lanoree ujęła rękojeść swojego miecza, wyciągając go częściowo z pochwy, a potem obróciła się w stronę catharskiej rodziny, która zatrzymała się jakieś dwadzieścia kroków od niej. Rodzice próbowali dojść do ładu z sześciorgiem swoich dzieci. Tuż obok nich, udając, że jest częścią grupy, do której – co było aż nadto oczywiste – nie należał, stał ten, którego szukała.

Był niski, ale korpulentny, ubrany w kosztowną szarą szatę i z dużą maską na twarzy. Lanoree była pewna, że to Noghri – przedstawiciel gadziej rasy uzdolnionych wojowników i cenionych zabójców. Kiedy utkwiała w nim wzrok, podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały.

Lanoree wyciągnęła rękę, gotowa pchnąć go na ziemię w chwili, gdy do niego dotrze...

...ale zanim zdążyła zrobić coś więcej, Noghri wyciągnął blaster i wystrzelił w kierunku kociej rodziny.

Rozległy się krzyki, wybuchła panika. Ludzie biegli, wpadali na siebie, przewracali się nawzajem. Noghri wystrzelił jeszcze raz, nie celując w żadnym konkretnym kierunku.

Lanoree wyciągnęła do końca swój miecz z pochwy i rzuciła się w stronę napastnika. Uciekał, trzymając w jednej ręce blaster, a w drugiej coś, czego nie widziała. Sięgnęła w jego stronę i pchnęła go Mocą, ale zanurkował w bok i jej cios trafił w juczne zwierzę, strącając pasażerów z jego grzbietu.

Mijając catharską rodzinę, zerknęła w ich stronę. Zobaczyła matkę leżącą na

chodniku. Z okropnej, wypalanej w futrze rany chlustała krew. Krzyczący z żalu i bólu ojciec starał się odsunąć dzieci od ciała. Lanoree miała ochotę pomóc, wiedziała jednak, że to mogą zrobić również inni – ona najlepiej się przysłuży zmarłej, łapiąc jej zabójcę.

Noghri zbiegł po schodach i pędził teraz w stronę jednej z drzewopodobnych platform. Na jego widok ludzie odsuwali się przerażeni, a kiedy dwóch milicjantów przykłękło i wycelowało w niego swoją długą, podobną do włóczni broń, zastrzelił obydwu z zimną krwią. Jego ruch był niemal zbyt szybki dla oka, a gdy upadli, zabójca był już w cieniu konstrukcji dokującej.

Był dobry, trzeba mu to przyznać. Tylko ktoś, kto doskonale wie, co robi, mógłby zdjąć dwóch zbrojnych bez mrugnięcia okiem, pomyślała Lanoree.

Już prawie go dopadła, kiedy wchodził do środka platformy lądowniczej dla ścigaczy chmur. Nadal kombinował coś z trzymanym w drugiej ręce przedmiotem. Lanoree zatrzymała się i sięgnęła po niego, z pełną koncentracją czerpiąc z Mocy. Wyciągnęła rękę, żeby go schwytać; rozcapierzyła już palce i stwierdziła, że zamykają się na pustce – było tu zbyt dużo spanikowanych osób.

Ze środka doleciały odgłosy kolejnych strzałów i głośnie krzyki.

Lanoree wykorzystała Moc, żeby przyspieszyć. Zmusiła swoje mięśnie do jeszcze większego wysiłku; czuła, jak w jej żyłach gwałtownie tętni krew. W holu tłoczyła się chyba setka podróżnych i handlarzy – dwóch z nich leżało na ziemi w kałużach krwi, a inni spieszyli im na pomoc. Lanoree bez trudu wyłuskała jednak z tłumu swojego prześladowcę.

Podłączał właśnie trzymane w ręku urządzenie do kolumny łączności. Obejrzał się na nią przez ramię, ale nie podniósł blastera do strzału.

Bardziej zależy mu na wysłaniu tego czegoś, pomyślała. Biegnąc w jego stronę, wysłała wici Mocy ku kolumnie i badała ją w skupieniu. Musiała go powstrzymać przed nadaniem wiadomości, bo jeśli... Usłyszała suchy szczęk blastera i podniosła miecz – ocalił ją tylko instynkt. Przyjęła strzał na ostrze, ale impet uderzenia sprawił, że zachwiała się i upadła, uderzając klingą o podłogę. Nadal trzymała rękojeść – nie mogła sobie pozwolić na wypuszczenie jej z dłoni – i czuła ciepło oddawane przez metal.

Lanoree zaatakowała teraz Noghriego falą Mocy, która uderzyła w niego z impetem, podrywając go w powietrze i ciskając nim o ścianę. Blaster wypadł mu z ręki i upadł ze szczękiem na podłogę.

Tłum rozproszył się w poszukiwaniu schronienia i na środku została tylko dwójka leżąca na podłodze – Lanoree czuła, że obaj nie żyją.

Przeszył ją promień gniewu, ale opanowała go i poskromiła. Wiedziała, że dałby jej dodatkową energię do działania, ale mógłby też zmącić zmysły. Korzystanie z Mocy w stanie wzburzenia mogło naruszyć jej wewnętrzną równowagę, a to prowadziło do błędów.

Poderwała się na równe nogi – była teraz jedyną stojącą osobą w pomieszczeniu.

– Nie waż się drgnąć! – krzyknęła do napastnika, sięgnęła w jego stronę Mocą i przyszpiliła go do ziemi. Słyszała, jak próbuje złapać oddech, i naparła na niego mocniej.

Podeszła do zabójcy, trzymając miecz w pogotowiu. Zerknęła na kolumnę łączności i na urządzenie, które do niej wpiął. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i wiedziała już, co się święci. W porę podniosła miecz, żeby odbić strzał, a zaraz drugi. Przesunęła ostrze w lewo, a potem na prawo – metal przyjął na siebie promień energii.

Noghri miał przy sobie drugi, ukryty blaster.

Lanoree parsknęła wściekle, sięgnęła ku napastnikowi i podniosła jego ciało w powietrze, trzymając go w jeszcze mocniejszym uścisku niż poprzednio.

– Rzuć broń! – rozkazała nieznośnym sprzeciwu tonem. Chociaż nie mówiła głośno, jej głos odbił się echem od ścian holu.

Kiedy Noghri posłuchał, podniosła go jeszcze wyżej w powietrze... po czym zwolniła uścisk Mocy.

Trzaskowi kości gruchotanych podczas zderzenia ciała z ziemią towarzyszył chór głośnych ochów i achów ze strony widowni.

Lanoree podbiegła do zamachowca. Związał się z bólu; z jego skrzywanej pod nienaturalnym kątem, pokrytej szarą skórą nogi sterczała widoczna spod szaty kość. Mając wciąż na oku jego wielkie, szponiaste dłonie i nogi, a w pamięci informacje na temat reputacji Noghri jako zabójców i wojowników, Lanoree trzymała w pogotowiu miecz, na wypadek gdyby ukrywał jeszcze jakąś broń. Klękła obok, sięgnęła do jego maski...

– Stój! – zawołał ktoś. Milicja. Lanoree zakłęta pod nosem, wiedząc, że teraz sprawy się skomplikują. Miała zamiar zabrać Noghriego w jakieś spokojne miejsce, żeby go przesłuchać; jeśli odda go w ręce sprawiedliwości, nic nie wskóra. Westchnęła i podniosła wzrok na dwie kobiety w mundurach, biegnące w jej stronę. Zastanowiła się przelotnie, czy udałoby jej się przekonać milicjantki, żeby pozwoliły jej go przesłuchać.

– Zastrzelił ich i... – donosił jeden ze świadków.

– Dopadła go tutaj i rzuciła na ziemię!

– To na pewno Je'daii, ale...

– Nie żyje! Mój brat nie żyje, a jego mózg jest rozprysnięty po całej... – Zewsząd teraz dobiegały podniesione głosy; przerażeni ludzie mówili jeden przez drugiego. W tej kakofonii jeden głos, głos dziecka, ocalił Lanoree życie.

– Uważaj! – usłyszała.

Kiedy spojrzała na rannego Noghriego, zobaczyła, że maska opada mu z twarzy, a spod niej sączy się smużka dymu. Aktywacja głosem! – zdążyła pomyśleć i odruchowo włożyła całą siłę we wzniesienie bariery Mocy, która mogła ochronić ją przed tym, co miało się za chwilę wydarzyć.

Ledwie usłyszała huk eksplozji.



Przez chwilę, widząc twarz Wookiego i czując stawiające ją na nogi silne, włochate ręce, miała wrażenie, że znów jest na Ska Górze, a jej palce błędzą w okolicy spustu działka laserowego. Jednak zaraz przypomniała sobie, co się stało. Powietrze przesycił gryzący swąd dymu.

– Nic mi nie jest – wykrztusiła, ale natychmiast zakręciło jej się w głowie. Spróbowała ochłoniąć, biorąc głęboki oddech. Samica rasy Wookie warknęła pytająco i Lanoree skinęła głową. – Naprawdę, wszystko w porządku.

Wokół widziała mały tłumek – byli tam Wookie, kilkoro ludzi, wysoka, niewidoma Miraluka w masce, a wszyscy przyglądali jej się w pełnej niedowierzania ciszy. Kiedy Lanoree rozejrzała się uważniej, zrozumiała, dlaczego są w szoku.

Noghri wywołał naprawdę potężną eksplozję. Z jego ciała nie zostało praktycznie nic, a w miejscu, w którym wysadził się w powietrze, ział czarny, płytki lej. Cały hol zaśmiecały jego szczątki. Zamachowiec popełnił samobójstwo bez wahania i tylko cud sprawił, że wybuch nie odebrał życia nikomu innemu.

Byłam tam blisko, uprzytomniła sobie Lanoree, przyglądając się kraterowi w marmurowej podłodze. Siła eksplozji cisnęła nią przez cały hol, ale chroniła ją tarcza Mocy. Przez chwilę odczuwała przerażenie pomieszane z dziwną euforią. Wzięła głęboki oddech i poczuła, że dochodzi do siebie. Może to poczucie ulgi? A może po prostu dotarło do niej, jak dobrze być wciąż żywą...?

– Hej, ty! – zawołał ktoś. – Je'daii! – To była jedna z milicjantek, które zjawily się tuż przed tym, jak Noghri wysadził się w powietrze. Druga była cała zakrwawiona i ktoś pomagał jej właśnie podnieść się z podłogi. Kiedy kobieta do niej podeszła, Lanoree zerknęła ukradkiem na kolumnę łączności. Z jednej strony osmalił ją strzał, stała jednak na miejscu, chociaż powykręcana i przekrzywiona. Widać było port, do którego Noghri podłączył swoje urządzenie.

Zerwała się do biegu.

– Stój! – zawołała za nią gniewnie milicjantka. Lanoree postanowiła zachować ostrożność. Kobieta wyglądała na roztrzęsioną i nie było pewności, czy nie uzna za stosowne do niej strzelić.

Lanoree podniosła dłoń, uśmiechnęła się i zwolniła kroku.

– Ja tylko idę tam – odezwała się, wskazując kolumnę. – Muszę dotrzeć do tego miejsca.

– Zatrzymaj się albo...

– Zaczekasz na mnie – powiedziała Lanoree, nasycając słowa niewielką dawką Mocy.

– Ja... zaczekam na ciebie – zgodziła się kobieta, przystając. Rozejrzała się wokół niepewnie, marszcząc brwi, ale Lanoree zdołała już bezpiecznie dotrzeć do

kolumny.

Przyjrzała się krótko urządzeniu, wypięła je i schowała do kieszeni – małą czarną skrzynkę z kilkoma wtyczkami i ekranem z jednej strony. Skrzynka była wyposażona w aparat. Lanoree stuknęła palcem w ekran i przesunęła w dół obrazy.

Na wszystkich była ona.



- Tam, gdzie jest Strażnik, zawsze pojawia się śmierć – stwierdził kapitan.
- Wydawało mi się, że w tym powiedzeniu chodziło raczej o kłopoty?
- Mniejsza z tym.

Zabrali ją na najbliższy posterunek milicji i Lanoree nie protestowała. Jej misja i tak już skomplikowała się bardziej, niżby tego chciała, a próba ucieczki z pewnością tylko by wszystko pogorszyła i utrudniła jej znalezienie odpowiedzi, których szukała. Zginęły niewinne istoty, była więc winna władzom Kalimahra odpowiedzi na ich pytania – chociaż tyle.

Poza tym o zmierzchu miała się spotkać znowu z Trem. Jeszcze ma czas na zabijanie.

Kapitan nazywał się Lorus i był ważnym przedstawicielem dumnej rasy Sithów, potężnie zbudowanym, najwyraźniej nawykłym do dowodzenia i do tego, że jego rozkazy są wypełniane, a polecenia realizowane bez mruknięcia. Nie sprawiał też wrażenia w najmniejszym nawet stopniu zaniepokojonego faktem, że przetrzymuje w celi Je'daii. Wiedział z pewnością, że w razie próby ucieczki jego ludzie natychmiast ją zatrzymają, jednak zdawał sobie również sprawę z tego, że wywołałoby to incydent dyplomatyczny. Dlatego na razie odnosili się do siebie wzajemnie z umiarkowaną grzecznością, wiedząc, że oboje tylko na tym zyskają. A fakt, że to wiedzieli, wiele ułatwiał. W innej sytuacji Lanoree mogłaby to nawet uznać za zabawne.

- Co cię tak śmieszy, Je'daii?
- Nic. A poza tym znasz moje imię.
- Wolę zwracać się do ciebie per Je'daii.
- Niech więc będzie i tak, Lorusie.
- Powinnaś się do mnie zwracać „kapitanie Lorusie”!
- Och, czyżby?

Kapitan milicji westchnął i oparł się o ścianę. Dwoje milicjantów, którzy przyprowadzili ją tu, stało przy drzwiach. Oboje wyglądali na przerażonych i przyglądali się jej z nieskrywanym zaciekawieniem. Pewnie pierwszy raz widzieli Je'daii w akcji, domyśliła się Lanoree.

Pomieszczenie było niewiele większe niż pokój kontrolny na pokładzie jej

"Rozjemcy" – były tu drzwi, kilka krzeseł i samotne pudło celi na środku, zbyt małe, żeby się w nim położyć, i zamiast krat wyposażone w staroświeckie pole ciepłe. Lanoree czuła w miejscu, w którym stała, promieniujący od niego żar – generator był stary i przeciekał. Wiedziała, że gdyby zbliżyła się za blisko do lśniących ścian klatki, w mgnieniu oka zostałaby usmażona na skwarce. Wiedziała też, że mogłaby dezaktywować generator jedną myślą, a przy nieco większym wysiłku zdołałaby ochronić się bańką Mocy i przejść przez pole bez szwanku.

Nie chciała jednak narażać się kapitanowi Lorusowi i jego ludziom.

– Pięć ofiar śmiertelnych – podsumował ponuro Lorus.

– Sześć, proszę pana – poprawiła go strzegąca drzwi milicjantka. Lorus zamarł, ale nie odwrócił się w jej stronę, co kobietę wyraźnie zdenerwowało. – To znaczy... włącznie z zamachowcem – zająknęła się.

– Nie obchodzi mnie zamachowiec – warknął Lorus. – Mam pięciu martwych ludzi, którzy mnie obchodzą, włącznie z dwoma funkcjonariuszami milicji!

– Ale, proszę pana... – zagadnęła kobieta niepewnie.

– Nie zabiłam żadnego z nich – weszła jej w słowo Lanoree.

– Zginęli, bo zamachowiec cię śledził!

– Owszem.

– Dlaczego?

– Jestem tu z polecenia Rady Je'daii – wyjaśniła.

– Po co?

– Nie mogę ujawnić charakteru mojej misji.

– Bo...? – Lorus uśmiechnął się paskudnie.

Lanoree nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w swoje stopy i spróbowała ostrożnie wysondować Sitha Mocą – miała nadzieję, że nie wyczuje jej próby. To, co odkryła, nie zaskoczyło jej. Lorus był zadowolony ze swojej pozycji i władzy, jaką mu dawała. Gnębił swój personel. I chociaż miewał już kontakt z innymi Je'daii, nie darzył ich zbyt dużą miłością.

– Nie zrobiłam nic, żebyś mnie nienawidził – powiedziała cicho.

Twarz Lorusa stężała.

– Wiem, o czym myślisz. I mogę ci pomóc... – dodała.

– Nie, jeżeli za chwilę wcisnę przycisk odkażania twojej celi i usmażysz się na frytkę.

Lanoree nie odpowiedziała. Cisza była skuteczniejsza – sugerowała pewność siebie.

– Ech, Je'daii! – parsknął wreszcie Lorus. – Strażnicy! Znałem kiedyś jednego Strażnika. Vulk mu było. Znasz go?

– Nie – odpowiedziała Lanoree, jednak pamiętała to imię... a także smutek ludzi, których kochała. – Moi rodzice go znali.

– Arogancki. Wywyższający się. Kiedyś odepchnął mnie na bok! Byłem wtedy zwykłym funkcjonariuszem, nadal się uczyłem, a on zjawił się tutaj z dwoma młodszymi Je'daii. Nazywał ich Wędrowcami. Byli zbyt młodzi i nie potrafili

panować nad siłą, którą im dano. Sprawiali kłopoty. Mieliśmy tu wówczas spór między dwiema zamożnymi kalimahrskimi rodzinami, wyklócającymi się o prawa do eksploatacji jakiejś odległej asteroidy. Vulk twierdził, że przybył go rozwiązać, zanim dojdzie do rękoczynów. Nikt nam nie wyjaśnił, dlaczego w ogóle Je'daii postanowili się w to wmieszać, zresztą nie obchodzi mnie to. Kiedy jednak spotkałem go w mieście i powiedziałem, że mam kilka pytań i że wraz ze swoimi młokosami powinien pójść ze mną, stwierdził, że nie ma na to czasu! Oznajmił, że ma ważne spotkanie i podarunki do wręczenia, bo inaczej poleje się krew. A potem wyciągnął rękę i... odepchnął mnie! Podniósł do góry, prawie dusząc tą waszą cholerną Mocą! Odsunął mnie na bok i poszedł przed siebie, nie zaszczycając mnie nawet cholernym spojrzeniem!

Lanoree uśmiechnęła się dyskretnie. Nie mogła się powstrzymać, chociaż wiedziała, że to jeszcze bardziej rozwścieczy tego dumnego, prostego człowieka. Słyszała kiedyś, jak jej rodzice rozmawiali o Vulk i ich relacje dokładnie pokrywały się z opisem Je'daii przedstawionym jej przez kapitana Lorusa. Nigdy nie pozwalał, żeby coś stanęło mu na drodze do wypełnienia powierzonego zadania.

To była lekcja, której rodzice dobrze ją nauczyli.

– Śmiejesz się ze mnie, Je'daii? – zapytał gniewnie Lorus.

– Nie, po prostu wspominam Vulka.

– A więc go znałaś?

– Nie – zaprzeczyła. – Tak jak mówiłam, moi rodzice go znali. I to dawno. Vulk zginął osiem lat temu w katastrofie ścigacza chmur, tysiąc kilometrów stąd. Pewnie o niej nie słyszałeś... zakładam, że nie interesujesz się takimi przyziemnymi sprawami. Zanim tego dokonał, zabił czternastu xangskich terrorystów i został śmiertelnie ranny. Odleciał swoim statkiem jak najdalej od obszarów zaludnionych, ocalając setki, może nawet tysiące istnień. Jego ścigacz spadł do morza. – Nie powiedziała nic więcej, przyglądając się w milczeniu, jak wyraz twarzy Lorusa zmienia się powoli. Ucieszyło ją to. Wyglądało na to, że kapitan ma jakieś pojęcie o honorze.

– Opowiedz mi o tym noghryjskim zamachowcu – poprosiła.

Lorus odchrząknął.

– Nie odepchnę cię, słowo daję. – Uśmiechnęła się na widok lekkiego drgnięcia warg Sitha. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym skinął głową strzegącej drzwi milicjantce. Kobieta wcisnęła przycisk na panelu kontrolnym na ścianie i pole ciepłe strzegące celi Lanoree zamigotało, a potem zgasło. Lorus usiadł i wskazał jej krzesło naprzeciwko siebie.

– Ten Noghri jest... był tu znany – zaczął. – Wiele z niego nie zostało. –

Szczerząc się, machnął ręką na strzegących drzwi funkcjonariuszy. – Ducianne znalazła w swoim mundurze jeden z jego szponów. Zidentyfikowaliśmy go na podstawie materiałów ochrony z drzewa dokującego. Jedno, czego nie wiemy, to dlaczego klecha został zabójcą...

– Klecha? – zdziwiła się Lanoree. – To był Noghri, prawda? A oni raczej nieczęsto parają się głoszeniem dobrej nowiny...

– Był członkiem sekty – wyjaśnił krótko Lorus. – Na Kalimahrze jest ich wiele, zbyt wiele, żeby wszystkie śledzić. W przeciwieństwie do Tythona, jesteśmy otwarci na inne rasy, kultury i wyznania.

– My także – odrzekła. – Jednak Tython to... trudne miejsce dla osób niebędących Je'daii.

– Ta-a. Cóż, nasz Noghri był jednym z Patrzących w Gwiazdy.

– Co o nich wiecie? – Lanoree usiadła wygodnie i odprężyła się lekko. Nasycała swoje pytania subtelną dawką Mocy, lekką sugestią. Może wreszcie dowie się czegoś przydatnego?

– Niewiele – odparł Lorus, wzruszając ramionami. Jego czerwona skóra wyglądała osobliwie w sztucznym świetle; miała głęboki kolor krwi. – To jedna z pomniejszych sekt, niezbyt wpływowych. Jedna z tych skupiających się poza układem, zagłębiających się w jego historię. Nie miałem wcześniej z nimi styczności, bo nigdy nie stwarzali problemów. – Zmarszczył brwi. – Aż do tej pory.

– Oni chcą wrócić do domu – powiedziała Lanoree, przypominając sobie słowa wypowiedziane niegdyś przez Dala: „Pewnego dnia znajdę drogę do domu...”

– Wiele osób chce się dowiedzieć więcej o miejscu, z którego przybyli ich przodkowie, i mają im za złe, że sprowadzili ich na Tythona.

– Czy ty także?

– Ależ skąd! – obruszył się Lorus. – Dobrze mi tu.

Lanoree zadała mu jeszcze kilka pytań na temat Patrzących w Gwiazdy, wszystkiego, co o nich wiedzieli, i znanych członków sekty. Dotykała umysłu Lorusa bardzo delikatnie – ledwie to zauważył. Bez wahania sprawdzał wszystko, o co pytała, w staroświeckim komputerze w ścianie, aż wreszcie podał jej pewne nazwisko i adres.

– O, właśnie. Kara. Nie jest co prawda jedną z Patrzących w Gwiazdy, ale jest bardzo bogata, bo dorobiła się na wydobywaniu wiropylu. Chodzą słuchy, że ich finansuje, a także udziela im schronienia w swoich posiadłościach na terenie Rhol Yan i poza nim. Ale to tylko plotki. Nie mamy na to dowodów.

– Naprawdę? – Lanoree uniosła brew.

– Nie było potrzeby, żeby to sprawdzać. Patrzący w Gwiazdy nie zrobili nic złego.

– Oprócz popełnienia pięciu morderstw?

– Zamierzamy to zbadać. Proszę, Je'daii, nie wysadź nam Kary w powietrze. Pochodzi z wyższych sfer Rhol Yan i zadzieranie z nią nie skończy się dobrze...

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała mu Lanoree. – Dziękuję, że zgodziłeś się poświęcić mi czas. – Skinawszy głową milicjantom, wyszła z pokoju przesłuchań. Obejrzała się tylko raz. Lorus wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w pustą celę i pewnie zaczynał się już zastanawiać, kto tu kogo przesłuchiwał.

Opuściwszy posterunek milicji, Lanoree szybko wmieszała się w tłum.



- Ktoś próbował mnie zabić – poinformował ją Tre.
- Cóż, wygląda na to, że to ostatnio dość powszechne.
- Ciebie też?

Lanoree wzruszyła ramionami.

- Kto to był? – zapytała.
- Nie wiem. Padł strzał... i tyle go widziałem.
- Nie wydajesz się zaniepokojony.
- To nie pierwszy raz. – Tre Sana starał się zachować spokój, jednak widziała w jego zachowaniu ślady zdenerwowania: ubranie miał w nieładzie, strzelał oczami na lewo i prawo, a jego lekko drgały nerwowo.

Spotkali się pod Kantyną Susca i ruszyli w miasto. Był wieczór i ulice tętniły życiem. Wcześniej były zatłoczone mieszkańcami i gośćmi spieszącymi do swoich spraw. Teraz ruch stał się wolniejszy, a mijani przechodnie nie sprawiali już wrażenia tak zaferowanych. Jedli, pili i wsłuchiwali się w dobiegające zewsząd dźwięki muzyki – od głośnego jazgotu po ciche brzdąkanie. Było spokojniej, jednocześnie jednak panował większy chaos.

Nad miastem unosiły się sterówce, a nieco wyżej – większe, międzykontynentalne jednostki, ozdobione ekstrawaganckimi kombinacjami świateł, które zalewały niebo nieziemskim blaskiem. Mniejsze statki lądowały i startowały, zabierając ludzi z drzew dokujących i dostarczając ich na pokłady większych pojazdów. Wiele z nich kierowało się na wschód i Lanoree zastanowiła się przelotnie, co takiego się tam znajduje.

Skontaktowała się już ze swoim "Rozjemcą", żeby upewnić się, że wszystko na pokładzie jej statku działa jak należy. Pancerniak zasypał ją serią pisków i szczęknięć, całkiem jakby się zdenerwował, że go niepokoi, jednak wszystko było według niego w najlepszym porządku. Lanoree tęskniła za swoim statkiem i samotnością na jego pokładzie.

- Zbyt łatwo można nas tutaj śledzić – zauważył Tre.
- Wiem o tym – odpowiedziała. – Zorientuję się, gdy tak się stanie.

Zapewne miała rację. Teraz była znacznie ostrożniejsza, a umysł miała otwarty na źródła potencjalnego zagrożenia: nagły ruch czy znalezienie się w centrum czyjś zainteresowania. Noghri nie miał skrupułów przed zabiciem niewinnych przechodniów, byle tylko nie dać się złapać, zanim nada wiadomość – a ona nie mogła pozwolić sobie na to, żeby tłum był dla niej ochroną. Nie była jednak wszechwiedząca. Musiała pamiętać także o tym, że istnieją osoby takie jak Tre, tak genetycznie zmodyfikowane, żeby nie mogła ich przejrzeć.

Mistrzyni Dam-Powl, powinnaś była powiedzieć mi więcej, pomyślała z lekkim rozgoryczeniem Lanoree.

– Mój brat wie, że go szukam – oznajmiła na głos.

– I sądzisz, że to on próbuje cię zabić?

Nie odpowiedziała. Noghri podłączył swoją kamerę do portu, żeby wysłać jej zdjęcia, i wszystko wskazywało na to, że adresatem wiadomości miał być Dal. Z tego, co powiedzieli jej Mistrzowie Je'daii, wynikało, że był głową ruchu Patrzących w Gwiazdy, a przynajmniej ich lokalnej komórki. Dlaczego jednak Noghri wolał zginąć, niż dać się zatrzymać? Lorus określił ich mianem sekty, jednak w istocie nie wyznawali szczególnej doktryny. Łączył ich wspólny cel, co czyniło z nich raczej gang niż grupę pokreconych fanatyków. Byli zagadką... a ona zamierzała ją rozwiązać.

– Kiedy odwiedzimy Karę? – zapytała Trego.

Twi'lek był wyraźnie podejrzliwy i wcale się z tym nie krył. Jego trzecie leku drgało nerwowo, ponieważ Lanoree dowiedziała się czegoś, co w jego mniemaniu było tajemnicą. Może zdolność ukrywania przed Je'daii pewnych informacji dawała mu poczucie wyższości? Tak czy inaczej, swoją nerwowością wcale nie zaskarbił sobie sympatii Lanoree.

– Nie martw się... nie wyciągnęłam jej nazwiska z twojej głowy – uspokoiła go.

– Wiem, wiem – burknął Tre, starając się przywołać uśmiech na twarz. – Ale... skąd się o niej dowiedziałaś?

– Mam swoje źródła – stwierdziła oględnie. Nie zaszкодziło utwierdzić go w przekonaniu, że nie jest jej jedynym kontaktem na Kalimahrze.

– Jak wspominałem, rozmawiałem wcześniej z jej ludźmi – poinformował ją Tre. – Tuż przed tym, jak ten gnojek do mnie strzelał. Spotkamy się z nią o północy.

– Gdzie?

– A więc nie wiesz o niej wszystkiego? – spytał z pełnym wyższości uśmiechem Tre, odzyskawszy najwyraźniej nieco pewności siebie.

– Wiem tylko, jak się nazywa i gdzie mieszka.

– Nigdzie się stamtąd nie rusza. Podobno nie opuściła swojego mieszkania od trzynastu lat.

– Dlaczego?

– Nie może. Widzę, że czas zapoznać cię z kalimahorską kulturą. Znam pewne miejsce w pobliżu jej apartamentów... możemy tam zabić te kilka godzin.

Lanoree nie podobało się sformułowanie „zabić kilka godzin”, ale posłusznie podążyła za nim. Cały czas zachowywała czujność i otwarty umysł, nasłuchując i węsząc w poszukiwaniu najmniejszych oznak kłopotów. Wyczuwała ich wokół mnóstwo... jednak – przynajmniej na razie – żaden z nich nie dotyczył ich dwójki.



Nazwa „Jama” okazała się bardzo adekwatna. Cel ich podróży, podziemna kantyna, znajdował się głęboko pod bardziej cywilizowanymi rejonami Rhol Yan i był dla Lanoree całkowitym zaskoczeniem, ze swoją mieszanką rozmaitych kultur, ras i wyznawanych przez Kalimahrczyków filozofii. Słyszała swego czasu o walkach gladiatorów na Noksie, a kiedyś, podczas wizyty w samotni Ni’landerów na jednym z księżyców Mawr, była świadkiem walki na noże. Jeden z Ni’landerów powiedział jej wtedy, że podobne walki często organizowano w celach zarobkowych albo dla pokazania swojej władzy i że przegrani nie zawsze wychodzili z nich cało. Nie dziwiło jej to – cóż przynajmniej w takich miejscach jak Mawr i jego księżyce. Na Noksie taka brutalność też była na porządku dziennym, jednak wydawało jej się, że pod tym względem Kalimahr jest inny. Bardziej... cywilizowany.

Cóż, wyglądało na to, że pozory mylą.

Już kiedy schodzili spiralnymi schodami, prowadzącymi w dół przez przestronną, słabo oświetloną jaskinię, czuła, że atmosfera w tym miejscu przesycona jest przemocą, podnieceniem i desperacją. Wyczuwała woń ludzkiego potu, krewaaskiego piżma, a także słodki zapach krwi Sithów; wszystko to, niesione podmuchami powietrza, dolatywało od kłębiącego się w dole tłumu.

Kantyna mieściła się w grocie położonej jakieś trzydzieści metrów pod poziomem ulic. W jej centrum było zagłębienie w podłodze – mieściło się w naturalnej niecce, w której odbywały się walki. W tej chwili mierzyli się tu ze sobą potężnej postury człowiek, z dodatkową parą ramion przeszczepioną na wysokości bioder, i cętkowany Wookie o skórze poznaczonej bliznami i szyi uwięzionej w ciężkim, błyskającym światłkami kołnierzu, wysyłającym do jego ciała impulsy, które wprawiały go w bitewny szal. Jego krzyki nasycaly w równej mierze ból i gniew. Trzymał najeżoną metalowymi kolcami pałkę, lśniąca od szczątków ludzkiego ciała.

– Więc to właśnie nazywasz kulturą? – spytała gorzko Lanoree, kiedy zeszli z ostatnich stopni.

– Cóż, jej gorszą siostrą – odparł beztrąsko Tre. – Można do tego przywyknąć. Biorą do tych walk głównie kryminalistów i morderców. A przynajmniej tak twierdzą. Wolałbym nie drażnić tematu. – Zerknął na nią z ukosa i dotknął jej ramienia swoim trzecim lekki. „Lepiej zachować tu anonimowość”, mówił ten gest.

I chociaż przyznawała to z ciężkim sercem, Lanoree stwierdziła, że Twi’lek ma więcej racji, niż zdaje sobie z tego sprawę. W Jamie nie tylko spotykały się różne rasy. Było to także miejsce, w którym wszyscy stawali się równi sobie. Każdy gość zaglądał tu, żeby się napić i obejrzeć walkę. Osoba niezainteresowana starciem i

przepełniona żądzą krwi wyróżniałaby się na tle bywalców.

W tym środowisku Lanoree nie powinna mieć najmniejszego problemu z namierzeniem kogoś, kto ich śledził.

Kiedy dotarli na najniższy poziom, Tre przepchnął się do najbliższego baru. W pobliżu było ich kilka, a wszystkie zatłoczone. Lanoree ruszyła za nim, wciąż czujna, z dłonią na rękojeści miecza.

Uderzenie, stłumiony krzyk i wrzask. Machnięcie ręki i ryk tłumu zgromadzonych. Na tablicy nad głowami bywalców podświetlano stan zakładów, a po drugiej stronie jaskini znajdowały się kabiny hazardowe, przy których kłębił się tłumek klientów chętnych do odebrania wygranych.

Wbrew sobie Lanoree wspięła się na czubki palców, żeby zobaczyć, co się dzieje na arenie. Wookie opierał się o jedną ze ścian, a jego skołtunioną brodę plamiła ciemna krew. Przez chwilę sądziła, że przegrał, jednak sekundę później jego mechaniczne ramię opadło, przeszywając korpus człowieka; Wookie podniósł go zaraz w górę, wywijając nim nad głowami zgromadzonych i podrzucając aż pod sam sufit jaskini.

Usłyszała pląśnięcie, a potem odgłosy gorączkowej krzątaniny; widocznie ktoś, kogo nie widziała, zajął się ciałem.

Przymknęła powieki i odetchnęła głęboko. Każdą cząstką swojej oddanej naukom Je'daii duszy miała ochotę zrównać to miejsce z ziemią, sprawić, żeby przestało istnieć, a każda cząstka jej ludzkiego „ja” krzyczała głośno, nakazując jej natychmiast opuścić tę norę. Oparła się jednak pokusom – tutaj mogła bez trudu badać otoczenie wiciami Mocy, a każdy, kogo nimi dotknęła, był dla niej jak otwarta księga. Jamę przepełniały przyziemne emocje – odpychające w takim samym stopniu, co prawdziwe, dokładnie takie jak te, które nauczyła się kontrolować wiele lat temu, podczas swojego szkolenia Je'daii. Łatwo było je obserwować, przewidując zagrożenie czy szpiegowanie.

Tre dał jej kuksańca i podał szklanekę z jakimś płynem.

– Cóż, nie jest to może najlepsze wino na Kalimahrze...

– Zaskakujesz mnie – stwierdziła. Wzięła od niego drinka i rozejrzała się dookoła. – Często tu bywasz?

– Niezbyt – odparł. Czyżby słyszała w jego głosie niesmak?

– Czy miejsca takie jak to działają legalnie?

– Są... powiedzmy, tolerowane. Dzięki nim daje się upust agresji, a Rada Rhol Yan to pochwała, dlatego przymykają oko na ich istnienie.

– Cóż za dyplomatyczne podejście! – parsknęła z przekąsem Lanoree. – Jesteście naprawdę światłą nacją.

– Nie należę do niej. Po prostu... bywam tu od czasu do czasu. – Upił łyk. – Tak czy inaczej, radziłbym ci nie oceniać Kalimahra po pozorach, Je'daii.

– To nie takie łatwe. – Nawiązała połączenie ze swoim "Rozjemcą" i zapytała, czy nie nadeszły jakieś wieści z Tythona albo z innych miejsc. Nic nie nadeszło.

– Za chwilę zacznie się następna walka – mruknął Tre i tym razem w jego

głosie słycać było nieskrywaną odrazę. Moze pił to liche wino, żeby przytępić zmysły? Był dla niej coraz większą zagadką.

W ziemnej jamie paskudnie wyglądający Cathar – nagi, z wyjątkiem najeżonych kolcami kajdan na nadgarstkach – stał, dygocząc jak w febrze. A kiedy podniesiono trzy kraty zasłaniające osobne wejścia i na arenę wpełzły szaroskóre istoty dorównujące wysokością człowiekowi, rycząc przez płomienie ognia, Lanoree przypomniała sobie ten drugi raz, kiedy ocalała swojemu bratu życie.



Dal i Lanoree kierują się przez Spaloną Ziemię ku Stav Kesh, a Lanoree ma nadzieję, że znajdzie z bratem wspólny język. Z dala od Thyr i Cichej Pustyni nawet ona oddycha z ulgą, chociaż przez czas spędzony w Qigong Kesh zrobiła wielkie postępy w pojmowaniu własnych zdolności Mocy. Cała aż pulsuje Mocą. Jej umysł jest nią przesycony. Musi jednak pamiętać o złożonej rodzicom obietnicy – ta podróż to nie tylko jej wędrówka, ale i Dala.

– Robi się chłodno – mówi.

– To dobrze – odpowiada Dal. – Lubię zimno. – Przez większość czasu Dal milczy, a kiedy się odzywa, siostra wyczuwa w nim niechęć. Moze on po prostu stara się wszystko przemyśleć? Pogodzić z samym sobą, odnaleźć wewnętrzną harmonię? Szkoda, że nie ma z nami rodziców, wzdycha w myśli Lanoree. Im na pewno udałoby się z nim porozmawiać.

Od opuszczenia Qigong Kesh Dal wydaje się spokojniejszy i Lanoree ma nadzieję, że to dobry znak. Ich podróż na południowe wybrzeże Thyru była ciekawa – ludzie spotkani po drodze, wymiana opowieści z innymi Wędrowcami, odbywającymi swoją Wielką Wędrówkę w przeciwnym kierunku, a także szansa zobaczenia niektórych najpiękniejszych widoków Tythona. Na wybrzeżu mieli okazję obejrzeć wielki port ścigaczy chmur – coś niesamowitego! Wysoko na klifach, nad huczącym oceanem, siedzieli ramię w ramię i obserwowali, jak startują wielkie statki i przelatują cicho i dostojnie nad falami.

Kiedy przysła ich kolej, lot na południe, ku niespokojnemu kontynentowi Kato Zakar okazał się ich ostatnią okazją do odpoczynku.

Kato Zakar często określano mianem Ziemi Ognistej ze względu na dużą aktywność wulkaniczną, jednak dotyczyła ona głównie rejonu w samym sercu ładu, niemal trzy tysiące dwieście kilometrów na południe od wybrzeża, na którym wylądowali. Cel ich podróży leżał znacznie bliżej – w wysokich górach, prawie pięćset kilometrów w głąb ładu znajdowała się Stav Kesh, Świątynia Sztuk Walki.

Spalona Ziemia jest niegościnna i zimna. To omiotane wiatrami stepy, porośnięte niskimi krzewami, gdzie często rozpętują się burze Mocy. Tu i ówdzie

sterczą pochyłe kolumny ostrej krzemionki, a płytkie sadzawki wypełnione magmą pojawiają się zniemacka. Ukształtowana w większości przez sam żywioł Mocy, Spalona Ziemia jest żywą manifestacją tego, co łączy wszystkie istoty. Moc jest tutaj wręcz namacalna. Potężna. Surowa i nieokiełznana.

Kiedy krajobraz przechodzi stopniowo w górskie pasmo, Lanoree obserwuje czujnie dzikie formy życia Spalonej Ziemi. Podobno wiroptaki wyczuwają magmowe leje i krążą nad tymi, które wkrótce eksplodują.

Ale to nie lej o mało nie zabije ich oboje.



Niektóre zwały szczątków wyplutych przez leje dają schronienie różnym istotom, zachęcanym przez łatwość, z jaką można drążyć tunele w tym łatwo poddającym się materiale. To właśnie z jednego z tych dużych, bezkształtnych stosów śmiecia nadeszło zagrożenie.

Lanoree nigdy nie widziała ognistego tygi, ale słyszała o nich. Jako dziecko sądziła, że to tylko bajka, wymyślona przez rodziców, żeby ją przestraszyć. Kiedy dorosła, słuchała różnych opowieści i widziała kilka hologramów tych nieuchwytnych stworów. Jeszcze na kilka dni przed rozpoczęciem Wędrowki rodzice ostrzegli ich przed nimi.

Zwierzę wyskoczyło na nich z otworu na szczycie pagórka. Galopując, wyrzucało w powietrze szczątki drzew i kamienia.

– Dal! – krzyczy Lanoree, ale jej brat już wychodzi bestii na spotkanie. – Dal, nie! Mogę...

– Zamknij się! – warczy Dalien i sięga do pasa, po staroświecki blaster.

Ognisty tygah jest wielki, dwa razy przewyższa wzrostem Lanoree. Jego głowa jest długości jej ramienia, a każda z uzbrojonych w ostre pazury łap – wielkości jej głowy. Z końców szponów spływają płomienie, migocząc w zostawianych przez zwierzę śladach. Jego pokryta łuskami, gładka skóra napina się i odbija barwną tęczę promienie słońca; ogon chłoszcze powietrze jęzorami ognia, oczy płoną groźnym blaskiem, a pełna ostrych kłów paszcza zięje zniekształcającym powietrze żarem. Jest równie piękny, co groźny.

Jej brat strzela do niego z odległości jakichś trzydziestu kroków, jednak zwierzę nawet nie zwalnia kroku. Dalien przykuca i strzela jeszcze raz; Lanoree widzi odrzut broni. Tygah warczy, kiedy w powietrze nad jego barkiem wzbija się krwawa mgiełka, i przyspiesza, szykując się do ataku.

Lanoree jest pewna, że potrafiłaby go powstrzymać. Wystarczyłoby pchnięcie Mocą, żeby ogłuszyć zwierzę, a gdyby już go unieruchomiła, podeszłaby blisko i poraziła jego łapy skurczami, powodując taki ból, że uciekłyby z podkulonym ogonem.

Gdyby jednak musiała, zabiłaby go.

A mimo to się waha. W Qigong Kesh popełniła błąd, zaszczepiając w umyśle Dala obraz domu, chociaż wcale jej o to nie prosił. Musi pozwolić, żeby działał sam. Gdyby zabiła za niego ognistego tygę, odebrałby to jako jeszcze jeden dowód na to, jakim jest nieudacznikiem – w przeciwieństwie do niej.

Dlatego Lanoree nie wtrąca się, tylko czeka w pogotowiu.

Dal uskakuje na bok i strzela niemal na oślep w bok bestii. Zwierzę wydaje z siebie ryk, otrząsa się, a Dalien przeskakuje nad jego grzbietem, strzelając jeszcze raz, zanim tygah wyląduje na ziemi. Napędza go siła mięśni i zwinność, nie potęga Mocy, ale efekt jest ten sam. Zwierzę jest zdezorientowane i oszalałe z bólu. Kiedy się odwraca, żeby chlasnąć potężną łapą, Dal już przykłęka, gotów oddać ostatni, śmiertelny strzał prosto w jego ślepie.

Tygah bierze zamach; z jego łap unoszą się smużki ognia. Dal uśmiecha się na ten widok i naciska spust.

Nic się nie dzieje.

Lanoree widzi na twarzy swojego brata zaskoczenie; tygah rzuca się naprzód i chłoszcze go wielką łapą.

Dal pada ciężko na nierówny grunt. Z jego ramion i dłoni snują się języki ognia.

Lanoree uderza wreszcie w tygę silnym pchnięciem Mocy, które przewraca zwierzę na bok. Kątem oka wciąż obserwując Dala, który podnosi się i próbuje ugasić trawiące jego ubranie płomienie, Lanoree wyprowadza kolejny cios Mocy, tym razem wymierzony w pierś bestii. Czuje, jak Moc przepływa przez nią i przez rozwścieczone zwierzę, które ryczy z bólu, a jest to zaskakująco ludzki dźwięk. Z jego paszczy tryska ogień, zniekształcając powietrze. Wokół tańczy popiół.

Lanoree wie, że ma tylko jedną szansę – zatrzymuje się i wycofuje o krok. Dłoń trzyma podniesioną, gotowa zadać kolejne pchnięcie, silniejsze od wszystkich dotychczasowych. Przez chwilę spojrzenia jej i bestii się spotykają i zwierzę zaczyna rozumieć, jaki ból może mu zadać ta istota ludzka.

– Wynoś się – rzuca do niego Lanoree, wywierając nacisk na jego umysł.

Ognisty tygah rzuca ostatnie spojrzenie na Dala, po czym się oddala, niknąc za kopcem, z którego się wynurzył.

Lanoree oddycha z ulgą i przykłęka obok brata.

– Mógłbym go zabić – mówi Dalien.

– Twój blaster się zaciął – tłumaczy Lanoree. – Prawie cię dostał. – Jest zaskoczona gniewem i urazą w głosie brata.

– To ja z nim walczyłem, nie ty!

– Ocaliłam ci życie, Dal – przypomina mu.

– Nie. – Dalien wstaje niepewnie; z jego ubrania wciąż unoszą się smużki dymu. Wygląda jednocześnie na smutnego i rozwścieczonego. – Nie! – powtarza. – To Moc mnie ocaliła. – Drży z bólu poparzeń.

Mógłbym je wyleczyć, myśli Lanoree.

- Mogłeś zginąć! – Z oczu płyną jej łzy, jednak Dal patrzy na nią z goryczą.
 - Przynajmniej umarłbym wolny. Jako pan własnego losu. – Odwraca się do niej plecami, a jego oschłość zasmucają.
- Pierwszy raz brat ją przeraża.



ROZDZIAŁ 5

CIEMNE STRONY

To będzie Wielka Wędrówka. Wędrowcy mogą podróżować pieszo, na grzbietach zwierząt albo pojazdami mechanicznymi, jednak to ma być ich pierwsza samodzielna przygoda na Tythonie – odwiedzenie każdej ze Świątyń, aby uczyć się w nich i szlifować swoje talenty Mocy. Tython to niespokojne miejsce, a nasza nowa ojczyzna wciąż kryje przed nami wiele niezgłębionych tajemnic. Każdy Wędrowiec napotka na swojej drodze niebezpieczeństwa. Wędrówka wielu będzie pełna chwil zwątpienia i zdradliwa. Będą też tacy, którzy jej nie ukończą. Aby jednak pozostać z Mocą w równowadze, należy poznać również jej ciemne strony.

– Nordia Gral, pierwszy Mistrz Padawan Kesh, 434 PTY

– Podoba mi się uczucie lewitowania. Dla kogoś takiego jak ja jest to... wyzwalające. Całkiem jakby mnie nie było. Czasami wyobrażam sobie, że jestem jedną z tych żyjących głęboko w atmosferze, chmurnych istot. Wielkich, bezcielesnych. Tak sobie czasem marzę.

– To tylko plotki – stwierdziła Lanoree. – Nikt nigdy żadnego z nich nie widział.

– Wiem – odparła Kara. – Ale to także mi się podoba.

Lanoree nie miała pojęcia, czy Kara jest poetką, czy po prostu obłąkaną. Tak czy inaczej, mogła wyjawic jej coś, co im się przyda.

Po opuszczeniu Jamy Lanoree i Tre dotarli do apartamentowca, w którym mieszkała Kara. Tre zaanonsował się przez system nadzoru rezydencji i wkrótce winda powietrzna zawiozła ich na dwusetne piętro. Widok stąd był oszałamiający; oboje podziwiali go w milczeniu podczas jazdy przezrzystą kapsułą. Czując, jak srebrzysty blask trzech księżyców Kalimahra zmywa z jej skóry brud Jamy, Lanoree oddała się medytacji Mocy i oczyściła umysł. Wiedziała, że nie zapomni wszystkich zapachów i dźwięków, i śmierci, których była świadkiem, jednak nie musiała już dłużej nieść ze sobą ich brzemienia.

– Rany, przeraża mnie to jak cholera – stwierdził Tre. Stał blisko jednej z wewnętrznych ścian, przyciśnięty do niej plecami i dłońmi. Lekku owinął sobie ochronnym gestem wokół szyi.

– Dziękuję, że zgodziłaś się z nami spotkać – powiedziała Lanoree. – Domyślam się, że cenisz sobie prywatność.

– Owszem – przyznała Kara. – Jak jednak mogłabym odmówić Strażniczce Je'daii?

– Wiele osób nie ma z tym najmniejszego problemu – zapewniła ją Lanoree.

– W tym układzie pełno jest głupców. – Kara przemknęła po kryształowej podłodze wielkiego salonu apartamentu i zatrzymała się przy niskim stoliku, zastawionym różnego rodzaju przekąskami i napojami. – Coś do picia?

– Wodę, jeśli można prosić.

Droid napełnił szklanke, jednak to Kara podała ją Lanoree. Z tej odległości Strażniczka dobrze widziała, jak olbrzymia jest ich gospodyni. Była rasy ludzkiej, jednak jej monstrualne kształty sprawiały, że wydawała się jakąś dziwną obcą. Poruszała się na wielkiej platformie lewitującej, ukrytej pod długą szatą. Była łyśa, całkiem jakby jej ogromna głowa wchłonęła wszystkie włosy, a kiedy suknia się rozchyliła, Lanoree zobaczyła zwały bladej, tłustej skóry. Otaczał ją zapach całkiem niezłych perfum, jednak pod nim dało się wyczuć smród spoconego ciała. Ramiona miała sztucznie przedłużone, tak żeby mogła sięgać poza własny obwód, a jej twarz była tak nalana, że kobieta wyglądała, jakby miała zezę. To prawda, dziwnie wyglądała, Lanoree jednak wiedziała, że na razie muszą ją traktować poważnie.

Podając Lanoree drinka, Kara zatrzymała się na chwilę i popatrzyła Strażniczce w oczy.

– O co chodzi? – spytała Lanoree, zbita z tropu.

– Je'daii... taka czysta – westchnęła Kara. – Wybacz mi. Minęło już tyle lat... – Te zagadkowe słowa wisiały przez jakiś czas w powietrzu, jeszcze gdy gospodyni wróciła do stolika i zaczęła się posilać.

Lanoree upiła łyk wody, żeby uspokoić nerwy; patrzyła na własne stopy, kiedy przełykała. Ten wielki salon zawieszono nad wierzchołkiem wysokiej wieży. Podłoga, wykonana z cienkiego, wyjątkowo przejrzystego kryształu, dawała wrażenie, że są zawieszeni w powietrzu – a o północy widok w dole dosłownie zapierał dech w piersi. Światła lśniły i migotały, przesuwając się nad siecią ulic i placów, otoczonych strzelistymi budynkami, a nieco wyżej, bliżej apartamentu, śmigały wokół wieży rozbłyskujące światełka – boje nawigacyjne niewielkich ścigaczy chmur i innych pojazdów.

Lanoree zerknęła na Trego. Wciąż tkwił pod ścianą, starając się z całych sił nie patrzeć w dół, a przy tym trzymał się blisko drzwi. Pomyślała, że to pewnie nie ze strachu wybrał takie miejsce, że raczej kierowała nim ostrożność – i pierwszy raz poczuła się wdzięczna, że jej towarzyszy.

– Wiesz zapewne, po co tu jesteśmy – zwróciła się do gospodyni Lanoree. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak uważasz?

– Powody mojej wizyty są już zapewne znane szerzej, niżbym sobie tego

zyczyła.

– Tak, to prawda. Słyszałam o zamachu na twoje życie.

– Czy to właśnie miał być ten wypadek? – zapytała gorzko Lanoree.

– Zabójca Noghri wysadził się w powietrze w twojej obecności. Co innego mogłoby to być?

Tylko to, że nie chciał zostać złapany, pomyślała z przekąsem Lanoree, ale nie powiedziała tego na głos.

– Ja jednak jestem w położeniu gorszym od waszego – powiedziała Kara. – Nigdy stąd nie wychodzę. Mieszkam sama i radzę sobie sama.

– Jestem pewna, że masz szerokie wpływy – zauważyła Lanoree. Kątem oka zobaczyła, jak za plecami Kary Tre uśmiecha się pod nosem. Sama uważała, by zachować powagę.

– Staram się wiedzieć to, co muszę – stwierdziła oględnie ich gospodyni i roześmiała się łagodnie. – Jestem bardzo, bardzo bogata. Moje interesy prowadzą się same, wciąż jednak potrzebuję informacji. To moja obsesja. I jedyna prawdziwie uniwersalna waluta.

– Patrzący w Gwiazdy – rzuciła Lanoree i przyjrzała jej się w poszukiwaniu jakiegokolwiek reakcji, która mogłaby ją zdradzić. Tyle że poza krótką przerwą, zanim ich gospodyni udzieliła odpowiedzi, nic takiego nie znalazła.

– Wiem o nich to i owo, ale nie mam z nimi wiele wspólnego – przyznała Kara.

– Finansujesz ich.

– Wspieram. Działają w celach dobroczynnych.

– To sekta szaleńców! – sprzeciwił się Tre.

– Tylko w oczach tych, którzy ich nie rozumieją.

– Nie chciałabyś opuścić układu? – zagadnęła ją Lanoree.

– A ty nie?

– Na pewno nie. – Strażniczka pokręciła głową, zbita z tropu. Cóż to za dziwaczne pytanie. – Tutaj jest... mój dom.

Kara przyglądała się jej bez słowa i przez chwilę Lanoree poczuła się dziwnie, całkiem jakby do jej umysłu dobijała się jakaś obca świadomość. Uczucie znikło niemal tak szybko, jak się pojawiło, spróbowała je jednak zapamiętać i przeanalizować. Nie spotkała się dotąd z niczym podobnym.

– Byłaś kiedyś na Bramie Furii?

– Nie – odpowiedziała Lanoree.

– A ja byłam – wyznała Kara. – Wiele lat temu, zanim jeszcze stałam się taka, jaką mnie teraz widzisz, dużo podróżowałam. Na dotarcie do tej niewielkiej planetki potrzeba co najmniej trzystu dni. Niewielu udaje się ukończyć tę podróż. Właściwie nie ma nawet jakichś specjalnych powodów, dla których ktoś miałby ją odwiedzać. Czułam jednak... potrzebę. Chęć przesuwania własnych granic. Zawsze taka byłam, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Nawet mój obecny wygląd to wynik tych pragnień. Spędziłam dwadzieścia dni na terenie Stacji Furia i przez większość czasu po prostu... patrzyłam. Na zewnątrz, w

Głębokie Jądro. W dal, poza wszystko, co jest znane mieszkańcom naszego układu. Chciałam zobaczyć blask powracającego „Uśpionego”, jednego z tych statków, wysłanych przed tysiącleciem w głąb galaktyki... Chciałam sama tam wyruszyć, jednak rozumiałam, że najprawdopodobniej zginę. Jednak od czasu powrotu ze Stacji Furia wciąż spoglądałam w przestrzeń.

– Patrzysz w gwiazdy – dopowiedziała cicho Lanoree, przypominając sobie swojego brata... jego gniew, że ich przodkowie trafili na Tythona, jego pragnienia, zainteresowania. Nigdy ich nie podzielała, a jednak zawsze czuła to w sobie: niepokojącą obecność mroku i cienia, toczących ze sobą walkę.

– Nie wstydzę się tego – dodała Kara. – Wielu w naszym układzie patrzy w przestrzeń, w dal. Większość co prawda tylko w snach, bo życie codzienne im na to nie pozwala. Ale ja... ja jestem bogata. Mogę inwestować.

– A więc dajesz Patrzącym w Gwiazdy pieniądze, żeby opracowali sposób wydostania się poza układ?

Kara wzruszyła ramionami, aż jej potężne cielsko zadygotało jak galareta.

– Znasz mojego brata – znowu bardziej stwierdziła, niż zapytała Lanoree.

– Brata? – Zdziwienie Kary wydawało się prawdziwe.

– Daliena Brocka.

Znów wzruszenie potężnymi ramionami.

– Jeśli mam być szczerą, nigdy nikogo z nich nie spotkałam. Finansuję kilka ich mniejszych Świątyń na Kalimahrze, zapewniam im miejsca, w których mogą się spotykać i rozmawiać. Opłacam ich... rozważania. – Odwróciła się od Lanoree; czyżby zamierzała ją okłamać? – To tylko jedno z moich zainteresowań.

Lanoree spróbowała dotknąć umysłu kobiety, jednak nie potrafiła tego dokonać. Była kłębkim sprzecznych uczuć, myśli, doznań. Wirował w niej biały szum, którego Strażniczka nie umiała przeniknąć.

– To dla ciebie coś więcej niż tylko... projekt – zgadła.

– Jestem marzycielką, która ma pieniądze – wyjaśniła Kara.

– A więc finansujesz ich z czystej filantropii?

– Owszem. – Kara wciąż korzystała z zapasów na stole, jednak ilość przyjmowanego przez nią pożywienia wydawała się dziwnie mała w porównaniu z jej gabarytami.

– Słyszałam o technologii Greech – dodała znacząco Lanoree, znów szukając najmniejszych śladów reakcji, która zdradziłaby uczucia ich gospodyni. I znów to dziwne skrobanie w umyśle... Zaniepokojona, sięgnęła na zewnątrz, próbując wyczuć, co albo kto stara się ją przejrzeć, jednak bezskutecznie. Może rzeczywiście to ona sama była źródłem tej dziwnej sensacji? Może zadawane przez nią pytania poruszały czułe struny jej własnych, ukrytych pragnień, zaszczepionych w niej wiele lat temu przez zainteresowania jej brata? Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie mogła zaprzeczyć, że ciekawiło ją to, co działo się przed ich osiedleniem na Tythonie.

Kara zerknęła na nią i wróciła do jedzenia.

– Co wiesz o Greech? – nie ustępowała Lanoree.

Kobieta znów odwróciła się do niej plecami i usadowiła wygodniej przy stoliku; jej platforma ledwie muskała kryształową podłogę. Kara westchnęła głośno. Może to ten głęboki oddech sprawił, że jej rozlane ciało zmieniło kształt. Opuściła ramiona i przygarbiła się.

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Czas waszej wizyty dobiegł końca. Jeżeli musicie, porozmawiajcie z Patrzącymi w Gwiazdy. Ich najbliższa Świątynia znajduje się we wschodniej części półwyspu Khar. To stara, porzucona Świątynia Dai Bendu, będąca obecnie moją własnością. A teraz... żegnam.

– Nie skończyłam jeszcze – nie odpuszczała Lanoree. – Tython i cały nasz układ mogą być w śmiertelnym niebezpieczeństwie z powodu tego, co planują Patrzący w Gwiazdy.

– Żegnam! – Kara nie przestawała jeść. Przez krótką chwilę Lanoree wydało się, że dostrzega w niej coś znajomego... sposób bycia, zachowanie, pozę?

– Jesteś... Je'daii? – wykrztusiła. Wydawało się to niemal niemożliwe, a jednak wyjaśniałoby dziwne, natarczywe skrobanie, które czuła wcześniej w umyśle. W jej głowie rozbłysnął cień Bogana i Lanoree poczuła się jeszcze bardziej zbita z tropu.

– Kiedyś byłam – przyznała Kara, śmiejąc się gorzko. – Ale nie teraz. Moc we mnie zamarła. A teraz odejdz, Strażniczko. Mam ochronę i wierz mi, że to najlepsi specjaliści, jakich można kupić.

Teraz w dodatku mi grozi! – pomyślała z niedowierzaniem Lanoree.

Z osłupienia wyrwał ją cichy kaszel, potem głucho uderzenie... i nagle ciało Kary zjechało ze swojej platformy i upadło, czy może raczej rozlało się po podłodze. Z gardła ich gospodyni wydobył się cichy charkot.

– Co ty wyprą... – zdążyła wykrztusić Lanoree, zanim Tre przerwał jej bez ogródek:

– Jest ogłuszona, to wszystko. – Trzymał w dłoni mały przedmiot, nie większy od palca. Tuba ogłuszająca! Była wyposażona w jeden nabój, działający jednak skutecznie nawet do kilku godzin. Cóż, może nieco mniej w przypadku kogoś gabarytów ich gospodyni. Lanoree uniosła brew. – Czy teraz, kiedy już sobie z nią pogawędziłaś, chcesz się dowiedzieć, o czym nam nie powiedziała?

– Ściągniesz nam na kark jej ochroniarzy! – Lanoree rozejrzała się w popłochu po salonie. Nie mogła nic na to poradzić, że właściwie była Tremu wdzięczna za jego wybieg... czy tego chciała czy nie, czas na pogawędki się skończył. – Nie mamy wiele czasu...

Zaczęli wspólne poszukiwania. Tre sprawdzał wszystko w pośpiechu, otwierając szafki i zrzucając poduszki z wielkich, niskich siedzisk, za to Lanoree starała się być dokładna i skrupulatna.

Pozwoliła, żeby Moc przepłynęła przez nią i ujawniła jej, gdzie Je'daii może ukrywać swoje sekrety.

Czy naprawdę Kara była niegdyś Je'daii? – zastanawiała się. Czy może po

prostu powiedziała to, żeby zbić ją z tropu? Kara była wytrawnym graczem, bez dwóch zdań – odpowiadała na jedno pytania, unikając zrećcznie odpowiedzi na inne. Wydawała się bardzo otwarta, kiedy ją pytali o pragnienia i ambicje, jednak tkwiła w niej jakaś tajemnica – a także coś znacznie głębszego i bardziej złożonego, niezależnego od trybu życia, jaki prowadziła, spasiona do granic możliwości i zamknięta we własnym apartamencie. Może i była bogata i wpływowa, pewnie nie było też wątpliwości, że ma rozległe znajomości, jednak to, co dostrzegła w niej Lanoree – związek z Je'daii – było jeszcze bardziej zastanawiające.

Niegdyś kilka osób szkoliło się razem z Je'daii, ale potem opuściły one Tythona. Zazwyczaj działo się to na etapie nauki padawana, kiedy dzieci silne Mocą zaczynały ją tracić, wchodząc w dorosłość. Nie było to powodem do wstydu i sami Je'daii przyznawali, że niekiedy mogą popełniać błędy i brać pod swoje skrzydła tych, którzy nigdy nie odnajdą harmonii z Mocą.

Tak jak na przykład mój brat, pomyślała smutno Lanoree i zapatrzyła się na leżącą na kryształowej podłodze, nieprzytomną Karę, bogatą sponsorkę Patrzących w Gwiazdy. Żałowała, że nie może jej zadać więcej pytań.

– Szybko! – przynaglił ją Tre. – Lada chwila zjawią się tu strażnicy!

– Dlaczego tak sądzisz?

– Przecież powiedziała, że ma najlepszą ochronę, na jaką ją stać. Jej systemy z pewnością są wyposażone w czujniki wykrywające wystrzał z broni palnej.

– Świetnie – mruknęła Lanoree. Nie potrzebowała dalszych kłopotów, a chociaż była na Kalimahrze zaledwie od kilku godzin, spędziła ten czas bardziej aktywnie, niżby tego chciała.

Spojrzała na rozciągające się pod jej stopami miasto. Wokół podstawy wieży wirowały miriady światła, a w górę jednej z jej ścian wspinały się szybko trzy lśniące punkty – windy! Dotknęła kołnierzyka i aktywowała komunikator.

– Pancerniak? Chcę, żebyś sprowadził tutaj statek. Jesteśmy na dwusetnym piętrze Gazz Spire, osiem kilometrów na południowy wschód od wieży ładowniczej.

Cisza.

– Halo? Jesteś tam?

Droid odpowiedział jej serią wyładowań i metalicznych szczęknięć – jak zwykle, brzmiał niczym zrzędlawy staruszek wybudzony z pokrzepiającego snu, ale znała już aż za dobrze pobrzmiwający w tle szum przygotowywanych do startu silników "Rozjemcy".

– Co się dzieje? – zainteresował się Tre.

– Mamy towarzystwo. Musimy się stąd zmywać, i to szybko.

Strach w jego szeroko otwartych oczach nie mógł być udawany.

– Niby jak?

– Będziemy się o to martwić, gdy przyjdzie pora. Teraz zacznijmy poszukiwania. – Lanoree odwróciła się do wielkiego, panoramicznego okna

wychodzącego na archipelag Rhol Yan. Próbując się uspokoić, przypominała sobie szkolenie we władaniu Mocą, by wzmocnić wewnętrzną równowagę. Mrok i światło, szukanie i odnajdywanie. Rozejrzała się po przestronnym pokoju, próbując namierzyć miejsce, w którym coś mogłoby być ukryte. Kobieta taka jak Kara na pewno miała mnóstwo do ukrycia, i to nie tylko drobne sekrety. Była bogata, żyła w dostatku w wielkim apartamencie. Musiała mieć jakiś tajny schowek.

W odległym kącie pokoju stała gablota z bronią. Wyeksponowano w niej ostrza, włócznie, maczugi i inne elementy uzbrojenia, wszystkie wprawiane w ruch siłą mięśni. Lanoree nie była zaskoczona, że Kara kolekcjonuje takie antyki, specjalnie się nimi nie interesowała. Ciekawiło ją jednak, co może się znajdować za gablotą.

Szafka nie miała drzwi, a Strażniczka wyczuwała w ścianie za nią jakieś wgłębienie.

Nie miała jednak czasu szukać mechanizmu otwierającego ukryty zamek – wyciągnęła po prostu miecz i rozcięła szafkę. Trysnęły iskry, a po broni zatańczyła sieć wyładowań, oświetlając ją przelotnie rozbłyskiem Mocy. Lanoree ponowiła atak i panel ustąpił. Na podłogę posypało się parę kusz, a Strażniczka utorowała sobie drogę do ciasnej wnęki za ścianą.

– Windy są już blisko! – ostrzegł ją Tre.

– Zamknij drzwi – poleciła mu. – Zabarykaduj je. Załatw nam tyle czasu, ile zdołasz. – Jej głos w niewielkim, nieoświetlonym schowku brzmiał głuchym echem, całkiem jakby wchłaniała go jakaś miękka tkanina. Lanoree odpięła od pasa mały pręt jarzeniowy i zapaliła go.

Komórkę rozświetlił snop światła i Strażniczka zobaczyła źródło przesycającego ją stęchłego zapachu.

Książki! Było ich tu kilkanaście, ułożonych na osobnych podwyższeniach. Minęło mnóstwo czasu, odkąd Lanoree ostatni raz widziała książkę. Jej rodzice mieli jedną – stary podręcznik napisany przez wielkiego Mistrza Je'daii Shalla Mara ponad trzy tysiące lat temu – i pokazywali jej ją, gdy tylko o to poprosiła. Uwielbiała stary druk, troskę i skrupulatność, z jaką wolumin został stworzony. Jednak te tutaj...

Wyjęła pierwszą z nich, zakasłała od kurzu i otworzyła ją, natychmiast zdając sobie sprawę, że patrzy na prawdziwy unikat.

Tom nie był drukowany, nie pochodził z masowej produkcji – był spisany ręcznie!

Usłyszała dobiegający z zewnątrz, przytłumiony głos Trego:

– Są na zewnątrz!

Wiedziała, że nie mają wiele czasu.

– Pancerniak, gdzie jesteś? – Droid zapewnił ją, że razem z "Rozjemcą" będą u celu dosłownie za moment. – Świetnie – ucieszyła się. – Schodź nisko, dopóki mnie nie zobaczysz, a potem podejdź bliżej. – Z głośnika jej komunikatora

dobiegło zagadkowe brzęczenie. – Nie martw się. Nie przegapisz nas. – Otwierając pozostałe tomy, skrzywiła się na myśl o uszkodzeniach, na jakie mogła je narazić, jednak nie mieli czasu. Przeglądając gorączkowo stronicę, z myślami galopującymi jak oszalałe, wreszcie znalazła to, czego szukała.

Wsunęła broszurkę do kieszeni kurtki i wyszła z wnęki.

– Szybko! – sapnął Tre. Stał na środku pokoju, na jednym z siedzisk, unikając patrzenia w dół. Lanoree zauważyła, że Twi'lek trzęsie się ze strachu, głaszcząc nerwowo podgardle końcówkami lekku.

Kara jęknęła, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. W tym samym momencie komunikator leżący obok niej na stole rozjarzył się bladym światłem, informując o nieodebranych połączeniach. Jej strażnicy za chwilę dowiedzą się, że coś jest naprawdę nie w porządku.

Lanoree przypadła do jednej z panoramicznych szyb i gestem przywołała Trego Sanę.

– Tam? – spytał lękliwie Twi'lek.

– A jak myślisz, mamy inne wyjście?

Coś uderzyło z hukiem w drzwi apartamentu. Niski stolik, którymi Tre je zabarykadował, zachwiał się, a potem przewrócił na kryształową podłogę.

Lanoree skrzywiła się, patrząc w dół na otaczającą ich powódź światła... i nagle zobaczyła kształt, na którego pojawienie się czekała z utęsknieniem. Westchnęła z ulgą.

– To droidy bojowe! – zawołał Tre, stając u jej boku. – Wszyscy bogacze korzystają teraz z ich usług... modyfikują je, przeprogramowują i dozbrają. Niektóre z nich walczyły w Wojnie Despotki. Słyszałem też, że część zachowała pamięć o walkach z Je'daii, nienawidzi ich, a niektóre marzą nawet o...

– Bzdury pleciesz – skwitowała krótko jego bełkot Lanoree. – Nie mówią już o tym, że droidy nie marzą.

– Mówiłem ci, że mam lęk wysokości!

Z zewnątrz znowu dobiegł rumor. Podłoga zawibrowała od uderzenia i drzwi otworzyły się w chmurze dymu, ognia i szczątków metalu.

Lanoree wyciągnęła znowu miecz i zwróciła się w tamtą stronę. Do środka wdarła się trójka niedużych droidów bojowych. Szczupła budowa zapewniała im dobrą ochronę przed ogniem wroga. Kręciły głowami wielkości ludzkiej pięści, skanując pokój.

Lanoree przyłożyła rękę do piersi Trego, żeby go uspokoić. Czuła gwałtowne bicie jego serca.

I wtedy, bez ostrzeżenia, droidy otworzyły do nich ogień.

Strażniczka ustawiła miecz w pozycji bojowej i zaraz machnęła nim w lewo, odbijając strzały. Tre przykucnął za jej plecami. Skupiła się, rozstawiła nogi dla zachowania lepszej równowagi i pchnięciem Mocy cisnęła jednego z droidów na ścianę. Uderzył w nią, przewrócił się... i zaraz wstał. Jego korpus znaczyły stare blizny z poprzednich walk. Widać było, że jest zaprawiony w bojach.

– Przygotuj się! – krzyknęła do Trego Lanoree, przekrzykując kanonadę.

– Na co?

– Dowiesz się, kiedy przyjdzie pora! – Zawinęła ostrzem i odbiła kilka strzałów w stronę okna. Krystaliczna powierzchnia się poddała i tafla rozprysła się na zewnątrz przy akompaniamencie głośnego brzęku. Do pomieszczenia wdarł się wiatr, zmiatając ze stołu tace, na wpół opróżnione z jedzenia. Lanoree spostrzegła, że Kara otwiera oczy.

Ani na chwilę nie przestając wywijać mieczem, Strażniczka wyciągnęła przed siebie lewą dłoń z rozcapierzonymi palcami. Uniosła jednego z droidów w powietrze i cisnęła nim w następnego. Pierwszy przyjął na metalową klatkę piersiową skierowany w ich stronę strzał, który dosłownie rozerwał go na strzępy – przestrzeń apartamentu zasypał deszcz rozgrzanych szczątków.

Lanoree wiedziała, że czas kończy im się w zastraszającym tempie. Mogła co prawda skoczyć wspomaganym Mocą saltem na dwa pozostałe droidy bojowe, ale ich zniszczenie nie było w tej chwili priorytetem.

Była nim natomiast ucieczka.

Odwróciła się, objęła Trego w pasie i wyskoczyła przez rozbite okno.

Podmuch wiatru zaparł jej dech w piersi. Ścisnęła Twi'leka mocniej i obróciła się razem z nim w powietrzu. Kiedy spadali z apartamentu Kary, przyciągnęła ich bliżej do ściany wieży, tak że okna apartamentowca zmieniły się w rozmazaną smugę. Wiatr świszcział jej w uszach. Starła się ignorować przerażone okrzyki Trego i utrzymać go w objęciach.

Wokół nich latały laserowe strzały, ale Lanoree nie mogła nic na to poradzić – nie była nawet w stanie zebrać myśli, żeby chronić się przed ogniem kierowanym w ich stronę ze zgruchotanego okna na górze. Mogła tylko mieć nadzieję... Nagle z cienia wieży wychynął "Rozjemca" i zanurkował w ich stronę. Gdy opadał, starając się dotrzymać im tempa, żeby zderzyli się z kadłubem możliwie jak najłagodniej, jego silniki wyły potępieńczo. Lanoree stęknęła z wysiłku, chwytając Trego mocniej. Kiedy upadli na metalową powierzchnię, jedną rękę wciąż zaciskała na rękojeści miecza. Gdyby musiała zdecydować, co wypuścić, prawdopodobnie Twi'lek przegrałby z bronią, miała jednak nadzieję, że nie znajdzie się w sytuacji, w której będzie zmuszona wybierać.

Laserowe strzały odbijały się od kadłuba "Rozjemcy", ale Pancerniak zręcznie i pewnie pilotował statek. Zatoczył nim ostrożne koło wokół wieży, żeby uniemożliwić droidom dalszy ostrzał, a potem zawisł w powietrzu, żeby Tre i Kara mogli wejść na pokład.

Górny właz "Rozjemcy" otworzył się z cichym sykkiem.

– Ty pierwszy – zaprosiła Twi'leka Lanoree.

Tre doczołgał się do otwartej klapy i zanurkował do środka, Strażniczka Je'daii po chwili opadła na pokład obok niego i właz zatrzęsnięto. Znowu w domu, pomyślała, ledwie zauważając lekkie szarpnięcie, kiedy przyspieszyli i zaczęli mknąć nad ciemnym morzem, byle dalej od Rhol Yan.

– Oszalałaś! – wydarł się na nią Tre. – Co ci odbiło? A co, gdyby twojego statku tam nie było? Co, gdyby...

Podniesioną dłonią uciszyła jego krzyki i wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić.

– Wystarczyłoby zwykle „dziękuję” – warknęła.



Kiedy komputer "Rozjemcy" połączył się z kalimahrskimi satelitami nawigacyjnymi i skierował nad oceanem ku półwypowi Khar, Lanoree postanowiła skorzystać z wolnej chwili, żeby ocenić sytuację. Tre Sana próbował z nią rozmawiać, jednak wystarczył ostrzegawczo uniesiony palec i wskazanie palcem na koję.

– Siadaj tu. Masz być cicho i się uspokoić. Teraz jesteś na moim statku. Mogę cię z niego wyrzucić równie łatwo, jak wpuściłam cię na jego pokład.

– Twierdzisz, że to było łatwe? – jęknął.

– Jazda na koję! I masz się zamknąć!

Tre usiadł posłusznie; jego lekku zbladły tak bardzo, że wydawały się różowe. Sprawiał wrażenie urażonego, jednak Lanoree widziała też w jego oczach zadowolenie z szansy na wypoczynek.

Odwróciła się na swoim krześle w stronę panelu widokowego i siedziała tak przez chwilę, wpatrzona w morskie fale przemykające w dole. Tańczył na nich blask księżyca. Powierzchnię oceanu znaczyły świetlne punkciki statków, a tu i ówdzie widać było błyski pojazdów powietrznych, mknących przez kalimahrską noc. Niebo było czyste i migotały na nim miliony gwiazd. Z jednej z nich pochodzili jej przodkowie, a teraz jej brat był gotów zaryzykować wszystko, byle tylko tam dotrzeć.

Jej brat... a także inni.

Lanoree była świadoma niebezpieczeństwa, na jakie mogły narazić Tythona, a także cały układ, mrzonki jej brata. Sama myśl, że może mu się to udać, przyprawiała ją o zimny dreszcz. Jednak w chwilach takich jak ta, z fascynacją patrząc w gwiazdy, nie mogła powstrzymać ciekawości. Była spragniona wiedzy na temat ich pochodzenia tak samo jak inni, jednak kierowała tę ciekawość innymi kanałami.

Kara nie ukrywała swoich związków z Patrzącymi w Gwiazdy. Jej przeszłość jako Je'daii była tajemnicą – tym bardziej że w rezultacie wyrażała niechęć do nich i ich przekonań. Jeżeli informacje, których im udzieliła, okażą się prawdziwe, dotrą do Świątyni Patrzących w Gwiazdy, co może doprowadzić ich o krok bliżej do Dala. Kara skrywała też jednak przed nimi różne tajemnice, a Lanoree odkryła jedną z nich i zabrała ze sobą na pokład swojego statku.

Wyjęła książkę z kieszeni kurtki i położyła ją ostrożnie przed sobą na panelu kontrolnym. Wyczuła, że Tre za jej plecami poruszył się niespokojnie. Wiedziała, gdyby wstał z koi – i wcale nie potrzebowała do tego zmysłów Je'daii. "Rozjemca" był jej domem, tak samo jak ten, w którym mieszkała wcześniej z rodzicami, i potrafiła bezbłędnie rozpoznać każdy szmer, podmuch powietrza, trzeszczenie obluźwanego panelu pod nogami i cień rzucany przez światła na suficie czy lampki na panelu kontrolnym. Była tu bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Książka była obłożona w wyblakłą, wytartą na krawędziach skórę. Miała wszystkiego może pięćdziesiąt stron. Wrażenie starości pogłębiał zużyty wygląd i lekki zapaszek kurzu, a także świadomość, że stworzono ją przy użyciu papieru, kartonu i tuszu. Takie książki jeszcze produkowano, ale tylko na specjalne zamówienie.

Ta była jednak prawdziwa, oryginalna. Z zamierzchłych czasów.

Ile osób przede mną trzymało ją w rękach? – zastanowiła się Lanoree. Ile osób przyglądało jej się tak jak teraz ja, zamierzając zajrzeć do środka? Przesycona historią, zapachem minionych lat, poczuciem upływu czasu, książka była czymś tak bardzo odmiennym od współczesnych wyświetlaczy czy hologramów...

Lanoree otworzyła ją i spojrzała na pierwszą stronę. Nie było tu zbyt wiele tekstu – tylko dziwne symbole, które ledwie rozpoznawała. Przesunęła po nich palcami i poczuła chropawą fakturę zakurzonego papieru.

Dotknęła podłokietnika swojego fotela i w ciszy przyglądała się, jak z panelu kontrolnego "Rozjemcy" unosi się bezgłośnie niewielka kula.

Sięgnęła po nią i przekręciła, nakierowując na książkę. Sfera zawisała obok jej prawego policzka, a kiedy Strażniczka dotknęła ponownie panelu na podłokietniku, kula zamigotała i zaczęła cicho buczeć. Na karty księgi padł snop bladobłękitnego światła, a symbole na papierze zadrgały.

Trwało to dłużej, niż Lanoree się spodziewała. Druk wydawał się pulsować i zmieniać kształt w obszarze oświetlanym przez niebieski blask, aż wreszcie rozedrgane znaki przybrały formę słów, które mogła przeczytać: „Gree i wszystko, czego się o nich dowiedziałem w Starym Mieście”, głosił napis. Pod spodem widniało nazwisko: „Osamael Or”. Gdzieś w zakamarkach pamięci Lanoree zapaliła się ostrzegawcza lampka. Znam to nazwisko! – uświadomiła sobie Strażniczka. Marszcząc czoło, opadła na oparcie fotela i przymknęła oczy, żeby się skupić. Kim był ten cały Osamael? Skąd znała jego imię? Otworzyła znowu oczy i spojrzała w gwiazdy, tak odległe od wszystkiego, co znała i kochała... i nagle pomyślała o podróżach. Bo kimże była, jeśli nie podróżnikiem? Strażniczką Je'daii, zwiadowczynią, badającą ten układ wciąż pełen niewiadomych, chociaż zamieszkaną od dziesięciu tysięcy lat. Było tu jeszcze tak wiele do zbadania... tajemnice, sekrety, zagadki...



– Są tam otchłanie – wyszeptała. To także były słowa Osamaela Ora, a Lanoree przypomniała sobie wreszcie, gdzie słyszała o nim wcześniej: w jednej z opowieści, które ojciec opowiadał jej na dobranoc tak dawno temu, że nie pamiętała o tym aż do teraz. Nawet po tym wszystkim, co przeżyli razem z Dałem w Świątyniach Je'daii, po jej poszukiwaniach i po tym, czego się dowiedziała o swoim bracie, nie wspominała tych chwil sprzed niemal dwudziestu lat. Ojciec siadywał wówczas na krześle przy jej łóżku, z długimi włosami opadającymi na ramiona i rękami skrzyżowanymi na piersi, i opowiadał bajkę o Osamaelu Orze i jego ostatniej, największej przygodzie w Starym Mieście, gdzie, jak twierdził, wciąż były tajemnice czekające na odkrycie. Osamael wyruszył więc w podróż – sam, bo nikt nie chciał mu dotrzymywać towarzystwa. Mówili, że jest szalony. Mówili, że na Tythonie są ważniejsze rzeczy do roboty, a poza tym taka wyprawa jest zbyt niebezpieczna. Pamiętaj, że to wszystko działo się dziewięć tysięcy lat temu, tłumaczył jej ojciec, w czasach, kiedy planetę wciąż jeszcze pustoszyły groźne nawałnice Mocy, które czasami zabierały Je'daii Moc, zamiast dawać im siłę i równowagę. Wówczas było wielu podobnych Osamaelowi Orowi. Nazywali siebie kolonistami, ale zdaniem Osamaela Ora nowych lądów wcale nie trzeba było szukać daleko. To dlatego udał się samotnie do Starego Miasta na kontynencie Talss. Nikt go już nigdy nie zobaczył, chociaż szukali, mówił jej ojciec. Jego rodzina miała wyrzuty sumienia, chociaż uważali go za takiego samego szaleńca jak wszyscy inni. I nikt nigdy nie trafił na jego ślad – bo nikt nie odważył się zapuścić tak daleko, jak on. „Są tam otchłanie”, powiedział Osamael do swojej siostry wieczorem, w przededniu swojej wyprawy, a ona powtarzała jego ostatecznie słowa każdemu, kto ją później o niego spytał – bo tylko ona z całej rodziny upierała się, że jej brat przeżył. „Wciąż bada te głębiny – mawiała. – Schodzi wciąż niżej i znajduje coraz więcej, a pewnego dnia powróci z wieściami, które wszystkich nas zadziwią”. Jednak Osamael nigdy nie wrócił. „I właśnie dlatego Stare Miasto jest takim niebezpiecznym miejscem, moja droga Lanoree, bo są tam niezgłębione otchłanie”, kończył opowieść jej ojciec.

– Pamiętnik Osamaela Ora – wyszeptała niemal nabożnie Lanoree. Fakt, że miała w ręku tę książkę, dziewięć tysięcy lat po wyprawie szaleńca, musiał oznaczać, że Osamael wrócił.

Przeszedł ją zimny dreszcz, całkiem jakby ktoś, kto wiedział, gdzie jej szukać, dotknął lodowatym palcem jej duszy.

Odwróciła stronę tytułową i zaczęła czytać.



ROZDZIAŁ 6

ZAPOMNIANE LEGENDY

Nikt nie może walczyć, nie osiągnąwszy równowagi.

– Mistrz Rupe, Stav Kesh, 8466 PTY

Stav Kesh. Ta nazwa przyprawiła ją o dreszcz oczekiwania, płomień podniecenia. Dla Lanoree Qigong Kesh było miejscem, w którym medytowała i zanurzała się w Moc, poznawała lepiej swoje zdolności, rozwijała je i dowiadywała się, czym tak naprawdę jest dla niej Moc. W Świątyni Sztuk Walki, Stav Kesh, miała się nauczyć walczyć.

Gdy ona i Dal zbliżają się do Świątyni, właśnie świta. Obozowali kilka kilometrów stamtąd na północ i zwinęli obozowisko, kiedy nad wschodnim horyzontem wstało słońce – to był niesamowity widok. Tak wysoko w górach powietrze jest rozrzedzone i obojgu im kręci się w głowach z niedotlenienia, jednak w rzadkiej atmosferze wschód słońca nabiera niezwykłych, czystych barw.

Dal wydaje się podekscytowany – zawsze świetnie walczył, co potwierdził podczas kilku bójek z innymi Je'daii w Świątyni Bodhi. Lanoree ma nadzieję, że tutaj wreszcie znajdzie Moc i pogodzi się z nią. Kiedy zobaczy, co może dzięki niej osiągnąć... jak może mu pomóc...

– Teraz moja kolej – mówi Dal, kiedy dochodzą do ścieżki na klifie. Po ich prawej stronie ciągnie się płytki wawóz. W nocy spadł śnieg i biały dywan łagodzi nieco surowość otoczenia. – Nie próbuj mnie teraz pouczać, Lanoree. I nie staraj się być dla mnie matką i ojcem. Jesteś moją siostrą, to wszystko. Cokolwiek mi się tutaj stanie, ponoszę za to pełną odpowiedzialność.

– Rodzice kazali mi się tobą opiekować – protestuje słabo Lanoree.

– Nie jesteśmy już dziećmi – obrusza się Dal. – Jestem samodzielny.

Lanoree przyjmuje tę deklarację z rezerwą, jednak w miarę jak zbliżają się do Świątyni widzi w postawie brata siłę i determinację, więc nie wydaje się już ona taka niedorzeczna.

Wiatr się wzmaga i w powietrzu zaczynają tańczyć płatki śniegu. Klimat jest tu surowy, a okolica niegościnna. Lanoree wie, że w Stav Kesh nie będzie im łatwo.



– Nazywam się Tave i jestem jednym z Mistrzów Świątyni. Oczekiwaliśmy was. Jak upłynęła wam podróż znad morza?

– Spokojnie – mówi Dal. Nie wspomina ani słowem o tydzie, a kiedy Mistrz Tave przygląda się niezagojonym oparzeniom na jego przedramionach, Dal milczy uparcie.

Po chwili noghryjski Mistrz uśmiecha się do nich.

– Świetnie. Zaczekajcie tu, a ja przyślę droida, który zaprowadzi was do waszych kwater. Ranek poświęćcie na ćwiczenia oddechowe, żeby przywyknąć do wysokości. Po drugim śniadaniu zacznie się wasze szkolenie. Wieczorem czekają was ćwiczenia w oddychaniu Mocą.

– Oddychaniu? – dziwi się Dal. – Wydawało mi się, że to Świątynia Sztuk Walki...

Mistrz Tave patrzy z naganą na Dala, przenosi wzrok na Lanoree, po czym odwraca się do nich plecami.

– Dal! – szepcze z naganą w głosie Lanoree. – Nie bądź bezczelny!

– Bezczelny? – pyta jej brat, ale tym razem przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, żeby zniżyć głos do szeptu. – Ale przecież...

– Nie sądzisz, że Mistrz Tave wie, co robi?

– Cóż, pewnie tak. Ale... oddychanie?

– Jestem pewna, że to ważne. – Mija Dala i przechodzi przez szerokie drzwi do Świątyni, nagle zdjęta dziwnym lękiem, że za chwilę mogą się zamknąć i już nigdy nie wejdzie do środka. Pewnie tak samo czuje się czasami Dal, myśli smętnie. Jej brat idzie za nią; po drodze rozgląda się z ciekawością dookoła.

Lanoree widziała mnóstwo hologramów Stav Kesh i słyszała wiele historii z ust Wędrowców, którzy odwiedzili ją przed Świątynią Bodhi podczas własnych Wielkich Wędrówek, jednak żadna z nich nie przygotowała jej na to, co widzi teraz na własne oczy i czuje wszystkimi zmysłami.

Przede wszystkim, czuje przesycającą ją potęgę Mocy.

W dodatku, tak jakby była czymś namacalnym. Ashla i Bogan wywierają tu na nią wpływ tak silny, że czuje się rozciągana, rozrywana w kilku kierunkach naraz, a jej ciało wydaje się dziwnie lekkie. Łatwo jest się tutaj poddać wpływowi Mocy; dziewczynka ma wrażenie, że zdolności, które szlifowała w Qigong Kesh, są tutaj jeszcze bardziej wyostrzone. Moc jest blisko – i tak łatwo się z nią połączyć!

Zerka z ukosa na Dala. Jej brat rozgląda się dookoła ciekawie i Lanoree ma nadzieję, że czuje to samo co ona. Jednak po tym, co powiedział jej wcześniej, nie chce go o to pytać.

Stav Kesh nie tyle wznosi się na zboczu wzgórze, co jest jego częścią – tu i ówdzie widać skalne występy, sterczące między budynkami. Rodzeństwo zaczyna

wspinaczkę na najniższym poziomie i stopniowo pokonuje kolejne piętra po szerokich występach i stromych klifach z gładkiego, szarego kamienia. W skalnych ścianach wykuto okna i balkony, wsparte na wąskich, ale niezwykle mocnych podporach, wysuwających się nad rozpadliny. Rolety w otworach okiennych powiewają w porannym wietrze, malując piaskowcowe miasto w różnobarwne plamy. Z wysoka spływa kaskadą wodospad, obmywając okoliczne skały lśniąco wilgotną mgiełką, a wschodzące słońce rozświetla skąpaną w nim okolicę feerią barw. Kiedy Lanoree przygląda się, jak słoneczne promienie błędzą po kamiennych ścianach, ma wrażenie, że ścigają je tęcze. Wszystko wygląda tak pięknie, że dopiero po chwili przypomina sobie o oddychaniu.

Na zboczu poniżej spoczywa Tho Yor, tajemnicze, pełne niewiadomych, pokryte lśniąco warstewką świeżego śniegu.

– Zakładam się, że nasze pokoje są na samej górze – mamrocze pod nosem Dal, a Lanoree śmieje się w głos, głośniej, niż zasługuje na to kiepski żart, ale po prostu tak bardzo cieszy się z każdego śladu dobrego humoru w głosie brata.

Na spotkanie wylatuje im lewitujący droid, który z elektrycznym brzęczeniem zwraca się do nich po imieniu. Idą za nim. Kiedy docierają do swoich kwater, Dal oddycha z trudem i chyba jest bliski płaczu.

– Tysiąc trzysta! – sapie. – Potem straciłem rachubę.

– To dobre ćwiczenie – dyszy Lanoree. Rozglądają się po swoim pokoju. Są tu łóżka, ławy i niewiele ponadto. Na pryzkach leżą szaty ćwiczebne i Lanoree nie musi ich przymierzać, żeby poznać, jakie są liche i jak bardzo będzie im w nich zimno. Chcą nas zahartować, myśli. Pyta droida, gdzie odbędą się popołudniowe ćwiczenia.

– Mistrz Tave zawsze prowadzi zajęcia na niższych poziomach treningowych – brzęczy droid.

– Oczywiście – przytakuje Lanoree. – To jasne, że właśnie tam.



– Zaatakujcie mnie – prosi ich Mistrz Tave. – Czymkolwiek.

Uczniowie popatrują po sobie z powątpiewaniem. Nawet Lanoree się waha, chociaż wie, że Mistrz nie kazałby im robić niczego bez celu.

Podchodzi więc do stojaka na broń, bierze procę i bez namysłu strzela kamieniem prosto w głowę ich Mistrza.

Tave robi krok na bok i pocisk chybia.

Lanoree wysyła teraz w jego stronę pchnięcie Mocy, a on odbija je lekkim, pozornie niedbałym strzepnięciem palców.

Ona uskakuje w lewo, a jej nagły ruch jakby budzi resztę do życia. Jest ich

tutaj, na dziedzińcu szkoleniowym, szóstka Wędrowców, w tym ona i Dal, i wszyscy uznają jej działanie za zachętę do ataku.

Catharskie bliźnięta ruszają na Mistrza Tave'a, trzymając najeżone kolcami, ciężkie łańcuchy, których chłaśnieć ich mentor z łatwością unika, pozostawiając je splątane i bezużyteczne. Dal mierzy nisko i porusza się szybko, celując w jego nogi maczugą... ale nie trafia, bo Mistrza już nie ma na miejscu, w które mierzył. Uderzenie Tave'a posyła Dala na plecy, a szybkie kopnięcie odsuwa maczugę na bok. Wookie ryczy i wywija dwiema krótkimi pałkami, przed którymi Mistrz Tave zręcznie się uchyla i wirując, wyprowadza kopniaka w tyłek uczennicy, posyłając ją na podłogę. Ostatnim atakującym uczniem jest Twi'lek, który uderza w ich nauczyciela pchnięciem Mocy tak silnym, że nawet Lanoree wstrzymuje oddech.

Jednak Mistrz Tave odsyła pchnięcie z powrotem do atakującego i Twi'lek zatacza się w tył z krwawiącym nosem.

Rozległy dziedziniec aż huczy od ich ciężkich oddechów – wciąż jeszcze nie nawykli do rozrzedzonego powietrza. Walka ich wyczerpuje, sprawia, że serca zaczynają bić mocniej, puls przyspiesza, a zmysły się wyostają. Jednak okazuje się, że to jeszcze nie koniec.

– Jeszcze raz – mówi Mistrz Tave. Nawet się nie zadyszał.

Tym razem Lanoree, Dal i Wookie atakują z trzech stron naraz, sapiąc i postępując. Lanoree próbuje podciąć Tave'owi nogi z tyłu pchnięciem Mocy, Dal wyprowadza wysokiego kopniaka w jego głowę, a Wookie atakuje nieco nieporadnie, chociaż mocno swoimi pałkami. W ciągu kilku sekund ich trójka leży na podłodze, rozcierając stłuczenia i przełykając zranioną dumę.

Lanoree i Dal krzyżują spojrzenia; jej brat uśmiecha się do niej szeroko, łobuzersko.

Próbują jeszcze raz i wkrótce dziedziniec znów jest pełen rozplaszczonych ciał, rozkwaszonych nosów i wirującego śniegu. Kiedy Lanoree trzeci raz ląduje, odrzucona, pod ścianą, widzi, jak Twi'lek atakuje Mistrza Tave'a zaskakująco sprawną kombinacją alchaki, żywiołowej sztuki walki z wykorzystaniem Mocy. Jednak Tave zwinnie usuwa się z miejsc, w które jego przeciwnik kieruje ciosy – pchnięcia i kopniaki trafiają w próżnię i chwilę później Twi'lek przecina powietrze, wirując w stronę muru.

Mistrz podnosi dłoń i łagodzi zderzenie ucznia ze ścianą.

Pomimo cienkiej szaty Lanoree poci się obficie. Oddycha ciężko, a serce wali jej jak młotem. Dal także dyszy, jednak wydaje się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek wcześniej. Dobrze go takim widzieć, jednak z drugiej strony Lanoree trochę się tym martwi. Każdy z jego ataków był zwykłą walką – ani razu nie spróbował wykorzystać Mocy.

– Wszyscy za bardzo się staracie – mówi Mistrz Tave. Przechadza się między nimi z rękami splecionymi na plecach i nie widać po nim, żeby odpieranie ich ataków kosztowało go choć trochę pracy. – Wkładacie w wasze działania wiele wysiłku i pozwalacie, żeby to on wami kierował. – Wskazuje gestem catharskie

bliźnięta. – Podczas ataku oboje wstrzymaliście oddech, a waszym sercom wcale się to nie spodobało. – Kiwa dłonią na Wookie. – Ryk nie rozproszy silnego Mocą wroga. Niepotrzebnie zmarnujesz na niego oddech, opróżnisz płuca i szybciej się zmęczysz. – Teraz kolej na Lanoree. – A ty? Nie poruszasz się płynnie, tylko się zataczasz. Podczas każdego ruchu marnujesz trzykrotnie więcej energii, niż powinnaś. – Zatrzymuje się pośrodku otwartego placu, otoczony przez ciężko dyszących, krwawiących studentów, i wzdycha. – A więc... oddychanie.



Przez resztę tego wieczoru Mistrz Tave uczy ich, jak mają oddychać. Na początku, słuchając jego wskazówek, czują się głupio i wszystko w Lanoree sprzeciwia się podążaniu za tymi radami, bo oddychanie to coś, nad czym nigdy wcześniej się nie zastanawiała. Robiła to przecież od zawsze – to po prostu działa się samo, tak samo jak bicie serca, tętnienie krwi w żyłach i praca umysłu, zarówno we śnie, jak i na jawie. Jednak kiedy w połowie zajęć przerywają ćwiczenia, żeby napić się czegoś i przekąsić miejscowymi owocami i orzechami, dociera do niej, co się dzieje: Tave pokazuje im nie tylko, jak oddychać powietrzem, ale i Mocą. Możliwe, że będzie musiała zmienić tempo bicia serca, krążenia krwi, sposób myślenia – wszystko!

Uczniowie cieszą się z tej lekcji, jednak Lanoree nie pozwala sobie na zbyt dużą zażyłość z innymi. Zazwyczaj towarzyska i chętna do nawiązywania nowych znajomości, czuje na sobie ciężar odpowiedzialności za Dala. A teraz, kiedy jej brat stanowczo zadeklarował samodzielność, to brzemień paradoksalnie ciąży jej jeszcze bardziej.

Dalien także wydaje się jakiś nieswój. Podoba mu się szkolenie i Lanoree to widzi, jednak wszystkie ćwiczenia traktuje wybiórczo. Im większy nacisk kładzie Mistrz Tave na utwierdzenie ich w przekonaniu, że Moc jest ich przyjacielem, opiekunem, że muszą z nią pozostać w harmonii, tym bardziej Dal wydaje się rozkojarzony.

Może jest po prostu wytrącony z równowagi, myśli Lanoree i im więcej się nad tym zastanawia, tym mocniej czepia się tej nadziei. Jej brat czuje się niezręcznie, ale ona go rozumie. Jego problem można łatwo rozwiązać. Takie myślenie jest znacznie lepsze niż utwierdzanie się w przekonaniu, że chodzi o coś innego – że Dal w głębi duszy nienawidzi Mocy i robi wszystko, co się da, żeby się od niej odsunąć.



– Wasza pierwsza sesja sparingowa w Stav Kesh dobiega końca – informuje ich Mistrz Tave nieco później tego popołudnia. – Dziś wieczór przygotujecie sobie posiłek, posprzątaacie kuchnię, a potem wróćcie tu, żeby uprzątnąć dziedziniec ze śniegu i błota. Możecie także odwiedzić Tho Yor i pomedytować przez jakiś czas. Medytacja to część walki. Dzięki niej możecie się skupić i odnaleźć równowagę. A teraz... zaatakujcie mnie jeszcze raz, czymkolwiek!

Tym razem żadne z nich nie waha się ani przez chwilę. Jako pierwsi reagują Lanoree i Dal – ona korzysta z Mocy, żeby napełnić uszy Mistrza Tave’a przenikliwym wizgiem i wytrącić go z równowagi, kiedy jednak tuż po tym atakuje go kombinacją kopnięć alchaki, on blokuje jej ciosy i Lanoree pada twarzą na kamienne płyty dziedzińca. Czuje, że z nosa leci jej krew – już drugi raz dzisiejszego dnia – i odtacza się na bok w samą porę, żeby dostrzec wirującego w powietrzu Dala, pchniętego Mocą przez Tave’a.

Inni także atakują, korzystając w równej mierze z Mocy i z siły mięśni. Tym razem starają się przy tym nie dyszeć ani nie krzyczeć, nie jęczeć i nie chrząkać, więc jedynymi dźwiękami rozlegającymi się na dziedzińcu jest szelest szat i tupot bosych stóp na kamiennych płytach, a czasami odgłosy uderzenia ciała o ciało. Mistrz Tave stoi prosto i odpiera pozornie bez trudu każdy atak. Ma obojętną minę, a jego ruchy są pewne i płynne.

To Dalowi udaje się jako pierwszemu – i jedynemu zresztą – trafić tego dnia ich Mistrza. Kiedy Tave jest zajęty odpieraniem ataku catharskich bliźniąt, Dal markuje nieporadny cios alchaki, a chwilę później przedostaje się za gardę Tave’a i celuje łokciem w jego twarz. Mistrz Tave cofa się o krok i odwraca głowę, a na jego ramię kapie krew.

Nagle wszyscy nieruchomieją i zapada cisza. Dalien opuszcza ramię, rozcierając łokieć w miejscu, w którym zetknął się z twardym czołem Tave’a. Nikt nic nie mówi, ale twarz Mistrza Tave’a rozjaśnia niespodziewanie uśmiech.

– Świetnie! – chwali jej brata Noghri. – Bardzo dobrze, Dalien. – Wsuwa ramię pod pachę Dala i przyciska szponiastą dłoń do jego piersi. – Uczysz się prawidłowo oddychać... głęboko i lekko, z przepony, nie z piersi. Uczysz się kontrolować swoje ciało, zamiast pozwalać, żeby to ono przejęło nad tobą kontrolę. A teraz wyobraź sobie, do czego byłbyś zdolny, gdybyś pozwolił, żeby płynęła przez ciebie Moc...

Cisza na dziedzińcu z pełnej zaskoczenia zmienia się w niezręczną. Dal milczy, jednak Lanoree widzi jego minę i potrafi przejrzeć jego myśli, kiedy jej brat patrzy na ciemniejący na skroni Mistrza Tave’a siniec.

Kto tu potrzebuje Mocy? – kpi w duchu Dalien.



– Pozwolił ci się uderzyć!

– Wcale nie!

– Oczywiście, że tak! To przecież Mistrz Tave! Wydaje ci się, że dałby się zwieść przez taki byle jaki cios?

– Był zmęczony i stał się nieuważny. Trafiłem go! Trafiłem! – Dal jest wściekły, Lanoree to wie, jednak nie może pozwolić, żeby w to uwierzył. To tylko jeszcze bardziej utwierdzi go w przekonaniu, że Moc nie jest mu potrzebna, i oddali go od niej.

– Słyszałam, co o nim mówią – upiera się Lanoree. – Potrafi ukryć swoją obecność w Mocy, oddalić się, a potem znowu wrócić. – Uśmiecha się do brata łagodnie. – Chciał, żebyś zyskał pewność siebie. Byłeś najbardziej niezdarzy z nas wszystkich, więc nie chciał, żebyś...

– Mówisz poważnie? – przerywa jej Dal. – Nie traktuj mnie jak dziecko, Lanoree. Może i jestem od ciebie młodszy, ale też bardziej spostrzegawczy. Wiem więcej. Prawda jest taka, że siły nie daje tylko i wyłącznie ta twoja głupia Moc.

– Moja Moc?

Dal prychnął kpiąco. Stoją wysoko na dzikim, omiatanym wichrami wierzchołku Świątyni. Jest noc i widok, jaki rozciąga się z tego miejsca, zapiera dech w piersi. Jednak Dal patrzy w niebo.

– To nie dla mnie – mówi i w jego głosie pobrzmiwa dziwna tęsknota. – Nie jestem stąd.

Kiedy Lanoree odchodzi, Dal wciąż patrzy w gwiazdy.



Przez długą chwilę Lanoree wpatrywała się w nocne niebo. Samotna w przestrzeni układu, lubiła siedzieć tak, zapatrzona w gwiazdy, pozwalając, żeby "Rozjemca" niósł ją na pokładzie i zastanawiając się, co jest tam, w oddali. To między innymi właśnie dlatego tak ceniła sobie profesję Strażniczki. Pewnego dnia zostanie Mistrzynią, myślała, i może wtedy będzie mogła spędzać więcej czasu na Tythonie, zgłębiając tajniki Mocy, ucząc i szkoląc innych, aż wreszcie zostanie starszą Je'daii. Jednak na razie wciąż gnała ją ciekawość, a dzięki temu, że często spędzała czas samotnie w przestrzeni kosmosu, mogła też marzyć.

Poza tym uwielbiała przygody. Pod tym jednym względem nie różniła się od brata.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Tre Sana zasnął. Zezłościło ją, że tak spokojnie drzemie sobie na jej pryczy, jednak przyznała, że właściwie nie miał lepszego wyjścia. Kiedy tak mknęli nad kalimahrskim morzem ku półwypowi Khar, Lanoree uznała, że nadszedł czas na złożenie raportu – a miała wiele do zrelacjonowania.

Ściszyła dźwięk ekranu i wklepała kod Mistrzynie Dam-Powl. Chwilę później w kabinie rozbrzmiał melodyjny kurant, a na ekranie pojawiła się twarz jej mentorki.

– Strażniczko Brock – odezwała się Dam-Powl. Wyglądała jak właśnie obudzona. – Nie spodziewałam się wieści od ciebie tak szybko...

– Mistrzynie Dam-Powl – przywitała się Lanoree, skłaniając głowę. – Mam wolną chwilę, więc chciałam cię poinformować o postępach moich poszukiwań. Niepokojących postępach... Minęła chwila, zanim do Mistrzynie Je'daii dotarł jej przekaz.

A wtedy wydała się nagle całkiem rozbudzona.

– Mój brat Dalien wie, że jestem na jego tropie – podjęła Lanoree. – Ma swoich szpiegów, a jeden z nich śledził mnie od chwili, gdy wylądowałam. Teraz jestem w drodze do jednej ze Świątyń Patrzących w Gwiazdy. Sądzę, że Dal może przebywać tutaj, na Kalimahrze.

– Skontaktowałaś się z Trem Saną?

– Tak.

– I co, okazał się przydatny w twoich poszukiwaniach? Lanoree zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią, ale wreszcie skinęła głową. Postanowiła nie wspominać o tym, że wie o genetycznych modyfikacjach, wprowadzonych do ciała Twi'leka przez Dam-Powl. W tej chwili nie miało to większego znaczenia i mogło tylko zaszkodzić jej misji. W końcu Catharka była Mistrzynią Je'daii...

– Czy przesłuchałaś kogoś z otoczenia twojego brata albo z Patrzących w Gwiazdy?

– Tak. Rozmawiałam z kobietą imieniem Kara, bogatą i poważaną mieszkanką Kalimahra. Żyje jak pustelnica, chociaż wydaje się mieć dobre rozeznanie w rzeczach, które ją interesują. Finansuje Patrzących w Gwiazdy, jednak nie była zbyt skłonna, by zagłębiać się w szczegóły.

– Hm – mruknęła Dam-Powl. – To właśnie od kogoś takiego jak ona uzyskaliśmy te śladowe dane, którymi dysponujemy. Wygląda na to, że nie wszyscy, którzy finansują Patrzących w Gwiazdy, pochwalają ich obecne plany.

– Wydaje się, że Kara ich wspiera...

– Tak twierdzi?

– Nie powiedziała tego wprost, ale... – Lanoree wahała się przez moment – przeszukaliśmy jej apartament. Znalazłam tam coś...

Dam-Powl poruszyła się niespokojnie, wyraźnie zaintrygowana.

– Mistrzynie, czy znasz opowieści o Osamaelu Orze? – spytała Lanoree.

– A powinnam?

Strażniczka uśmiechnęła się pod nosem.

– Pewnie nie – przyznała. – Historie o nim rodzice opowiadali mi w dzieciństwie. Jest kimś w rodzaju legendy sprzed ponad dziewięciu tysiącleci. Podróżnikiem z zarania dziejów naszych przodków na Tythonie. Legendy głoszą, że zaczął się interesować Starym Miastem i wyruszył do niego, chcąc zgłębić jego

tajemnice. Słuch po nim zaginął...

– A jakie to ma znaczenie dla twojej misji? – weszła jej w słowo Dam-Powl.

– On naprawdę żył. Te opowieści to nie żaden mit! Kiedy przeszukiwałam apartamenty Kary, znalazłam schowek, w którym trzymała kilka bardzo starych książek. Mieliśmy zresztą problemy, bo zjawiły się jej droidy strażnicze i byłam zmuszona do... odwrotu. Zdążyłam jednak zabrać ze sobą jedną z jej książek.

– I...?

– I okazało się, że jest to pamiętnik Osamaela Ora z jego podróży do Starego Miasta. Cóż, przynajmniej jego część.

– Część?

– Jest niekompletny, jednak zawiera coś, co... – Zamilkła.

– Strażniczko?

– Wygląda na to, że znalazł tam jakieś pozostałości po kulturze Greech – wyjaśniła Lanoree. – A jeśli dobrze rozumiem treść pamiętnika, ta technologia, o której wspominali twoi szpiedzy... to urządzenie napędzane ciemną materią... może być faktycznie ich spuścizną.

Dam-Powl milczała przez chwilę, nie kryjąc, że jest wstrząśnięta.

– Czy są tam jakieś... instrukcje? – wyszeptała.

– Nie – odpowiedziała Lanoree, – Większość tekstu jest dla mnie nie do końca jasna i każe wierzyć w obłąd Osamaela, jednak są tam także wzmianki o czymś, co można tłumaczyć jako „schody do gwiazd”. A pod koniec pamiętnika... jestem zresztą przekonana, że muszą istnieć kolejne części... Osamael pisze, że szuka jakichś... schematów.

– Czy je znalazł?

– Obecnie nie ma sposobu, żeby to potwierdzić.

– To pewnie projekt urządzenia aktywującego hiperwrota – dopowiedziała ponuro Dam-Powl.

– A więc ono istnieje?

Catharka zignorowała jej pytanie, jakby w ogóle go nie usłyszała.

– Bardzo niewiele wiadomo o Greech – stwierdziła zamiast tego. – Jeżeli ci Patrzący w Gwiazdy rzeczywiście mają plany jakiegoś urządzenia, zaprojektowanego przez nich, to igrają z czymś poza naszymi możliwościami...

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nawet jeśli Gree zniknęli tysiące lat temu – powiedziała znużonym głosem Mistrzyni Dam-Powl – ich technologia może wcale nie być przestarzała, może równie dobrze wyprzedzać nas o tysiące lat. Jest mało znana i tajemnicza. Nie powinno się jej zgłębiać.

– Robię co w mojej mocy, żeby to namierzyć – zapewniła ją Lanoree.

– Może być gorzej, niż przypuszczamy – mruknęła Dam-Powl. – Powinnam porozmawiać z Mistrzem Świątyni Lha-Mim, a on skontaktuje się z Radą.

– Jest jeszcze coś – dodała Strażniczka. – Ta Kalimahrka... Kara. Sądzę, że kiedyś była Je'daii.

– Była?

– Tak. To dziwne, ale... nie mogłam jej rozgryźć. Jednak to nie to samo, co z Trem Sana...

Kącik pyska Dam-Powl drgnął w lekkim uśmiechu, potwierdzającym to, o co Lanoree nie spytała wprost.

– Twierdzi, że nie jest już wrażliwa na Moc.

– Powtórz, proszę... Jak ona się przedstawiła?

– Kara. To wszystko, co o niej wiem. Ma około siedemdziesięciu lat. I jest... gruba.

– Gruba?

– No, tłusta.

– Czy teraz doznała poważnych obrażeń?

– Mistrzyni, nie zabiłam jej – westchnęła teatralnie Lanoree.

– W takim razie jak zdołaliście przeszukać jej mieszkanie?

– Możesz za to podziękować swojemu przyjacielowi, Tremu Sanie.

Dam-Powl skinęła głową. Wydawała się zamyślona, jakby nieobecna.

– Uważaj na siebie, Lanoree – poprosiła ją. – Słyszałam o takich ludziach, jednak są oni prawdziwą rzadkością. Większość z nich kończyła na Boganie, ale potem do nas wracała. Poza jednym.

– Daegenem Lokiem – odgadła Strażniczka.

– Tak, poza Lokiem. Jednak ta garstka... w Radzie nazywamy ich Odrzuconymi. To ludzie, w których Moc nigdy się nie ustabilizowała, którzy nie odnaleźli równowagi między mrokiem a jasnością i wypracowali w sobie nienawiść wobec Mocy. Większość z nich umknęła na inne planety. Zdruzgotani fizycznie i psychicznie, zginęli bez śladu.

– Nigdy o nich nie słyszałam...

– Niewielu słyszało. To nie tyle ugrupowanie, co... po prostu nazwa. – Dam-Powl wpatrywała się w nią przez chwilę niewidzącym wzrokiem. Po jej pysku błąkał się niepewny uśmiech. – Jak tam twoje badania?

– Chwilowo wstrzymane – wyjaśniła Lanoree. – Ale... Tre Sana naprawdę zrobił na mnie wrażenie.

– Bywa użyteczny – przyznała z porozumiewawczym uśmieszkiem Catharka. – Chociaż jest niebezpieczny i w pewnym sensie... spaczony, może się przydać. Niestety, jest też wyjątkowym egoistą.

– Cóż, czasem działa mi na nerwy – zauważyła Lanoree.

– Przekaż mu, że dostanie to, co mu obiecano.

– Naprawdę?

Dam-Powl wydawała się prawdziwie zaskoczona.

– Oczywiście, że tak, Strażniczko. Sądzisz, że nie dotrzymuję obietnic?

Teraz to Lanoree uśmiechnęła się tajemniczo, zamiast odpowiedzieć.

– Znajdź swojego brata, Lanoree – poprosiła Dam-Powl, przybliżając twarz do kamery. – Powstrzymaj go. Niezależnie od tego, jak to będzie trudne.

– Zamierzacie pilnować Starego Miasta? – spytała Lanoree. – Tak na wszelki wypadek...

– Właśnie, na wszelki wypadek – powtórzyła jej słowa Mistrzynie Je'daii. – Niech Moc cię prowadzi, Strażniczko Brock.

– Mistrzynie Dam-Powl – pożegnała się Lanoree, skłaniając głowę.

Ekran zamigotał i pociemniał, a komputer nawigacyjny zaświergotał śpiewnie. Tre Sana się obudził.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, mocno zaspany.

– Blżej Patrzących w Gwiazdy – mruknęła Lanoree. Słyszała już w głośnikach pełne zakłóceń szmery informacji, przekazywanych z wież lądowniczych półwyspu Khar, jednak wyłączyła dźwięk i skupiła się na ręcznym naprowadzaniu statku. Nie miała czasu na dyplomatyczne uprzejmości. – Według danych z komputera w tej ćwiartce jest tylko jedna porzucona Świątynia Dai Bendu. Jeżeli Kara nas nie okłamała, właśnie tam powinniśmy znaleźć Patrzących w Gwiazdy.

– A więc lądujemy i szukamy transportu? – upewnił się Tre.

– Nie – zaprzeczyła Lanoree. – Wylądujemy w Świątyni.

– To znaczy... na niej?

– Przypnij się – poradziła mu. – Może trochę trząść.



ROZDZIAŁ 7

WSZYSTKO GRA

Tyhton jest piękny i potężny, tajemniczy i niebezpieczny, pełen sekretów i otwarty dla tych, którzy są pogodzeni z Mocą. Był tu długo, długo przed nami, a jego tajemnice przetrwały, niewidoczne dla oczu i niezgłębione dla umysłów. I właśnie dlatego obawiam się tej planety. Jest dla nas wszystkim, a my dla niej nie znaczymy kompletnie nic. Jesteśmy tu jedynie przelotnymi gośćmi.

– Wygnany Je'daii Ni'lander, 10 648 PTY

Kiedy schodzili nad miotanym sztormami oceanem w stronę półwyspu Khar, świtało. I jeśli Rhol Yan robił na obcych wrażenie, to Khar dosłownie oszałamiał swoim widokiem.

Sam półwysep miał jakieś dziewiętnaście kilometrów długości i był szeroki na około półtora kilometra, przecinał morze jako odnoga znacznie większej wyspy, ginącej za horyzontem. Z jego głównej iglicy sterczało siedem wież, niezwykle smukłych i kształtnych. Ich wyższe poziomy lśniły w słońcu, a kiedy "Rozjemca" podchodził do lądowania, Lanoree i Tre widzieli jego promienie, ślizgające się po ścianach strzelistej budowli. W dole widniały niezliczone wysokie budynki, błędące wprawdzie wobec majestatu ponadkilometrowej wysokości wież, ale i tak robiące niezapomniane wrażenie. Ściany ich miały przeważnie kolor kości słoniowej, z wyjątkiem licznych budowli o płaskich dachach – zapewne otaczających ogrody i parki, wyróżniające się wśród monotonnego kolorytu Khara soczystą, egzotyczną zielenią.

Półwysep wyglądał niczym ciśnięty w morze klejnot, jednak Lanoree nie miała czasu się nim zachwycić.

– Co jest? – spytał zaczepnie Tre. Stał za jej fotelem w sterowni, przechylony na oparcie, denerwując ją każdym swoim ruchem. Miała ochotę na niego nawrzeszczyć, na szczęście okazał się na tyle dobrze wychowany, że nie zajął fotela drugiego pilota obok niej. Cóż, była mu wdzięczna przynajmniej za to.

– Służby bezpieczeństwa Khara – mruknęła. Widziała na ekranie śmigające nad ich kadłubem sylwetki czterech niewielkich statków, ale na razie postanowiła nie reagować.

– Nie zatrzymają "Rozjemcy".

– Pewnie nie – zgodziła się. – Ale... nie wysłałam kontroli lotów odpowiedzi na ich wywołanie. W tej chwili są przekonani, że ląduję w ciemno. Trzymaj się. – Chwyliła się jedną ręką poręczy fotela i wdusiła jakiś przycisk.

Przyspieszenie wgniotło ją w fotel, zaparło jej dech w piersi i unieruchomiło ciało, a mimo to i tak zdołała się roześmiać, gdy usłyszała wrzask Trego, który nagle zatoczył się z powrotem na koję w połączonej ze sterownią kabinie. Stęknął głucho, Pancerniak pisnął i Lanoree domyśliła się, że droid złapał go, zanim Twi'lek się przewrócił. Pewnie zrobił to, żeby uniknąć zniszczenia aparatury, pomyślała i parsknęła krótkim śmiechem.

Cztery kharskie statki zwiadowcze śmignęły za iluminatorem i znikły im z pola widzenia. Lanoree sprawdziła ich pozycję na ekranie skanera i upewniła się, że nie zawracają, żeby ostrzelać jej "Rozjemcę", po czym skręciła ostro w kierunku zabudowań półwyspu Khar.

Manewrowała sterami w lewo i prawo, przemykając między budynkami i robiąc uniki, żeby zejść z drogi statkom i śmigaczom przemykającym obok. Cały czas zerkała na mapę wyświetlaną na niewielkim ekranie po prawej stronie. Pokazywała plan okolicy, a na jej skraju migotało zielone światełko. Jeżeli jej komputer pokładowy miał rację, to właśnie było miejsce wskazanej przez Karę opuszczonej Świątyni Dai Bendu, miejsca pobytu Patrzących w Gwiazdy.

– Mogłaś mnie ostrzec! – poskarżył się Tre.

– Przecież to zrobiłam.

– Ale nie dałaś mi czasu na...

– Trzymaj się! – Lanoree skręciła ostro w prawo, zawijając tuż obok podstawy jednej z siedmiu masywnych wież. Monolit wypełnił pole widzenia statku, a kilka niewielkich rys u jego trzonu wskazało miejsca parkingowe dla śmigaczy. Wlatywały i wylewały się z wnętrza niczym insekty rojące się wokół ula.

Tre zacisnął zęby i wskoczył na wolne miejsce obok Lanoree. Zerknęła na niego spode łba, a on twardo odwzajemnił spojrzenie.

– Zrobiłaś to celowo – oskarżył ją.

– Nie mamy czasu bujać się z pozwoleniem na lądowanie – stwierdziła ze zniecierpliwieniem.

– Jesteś Je'daii. Jak możesz tak postępować?

– Robię to, co konieczne – warknęła. – I nie podoba mi się, że tu siedzisz.

– Czy to znaczy, że robisz to, co chcesz, i nieważne, że straszysz przy tym miejscowych?

– Miejscowych? – Lanoree wyminęła pokaźnych rozmiarów ścigacz chmur, który schodził właśnie do lądowania, bo nie chciała dopuścić do kontaktu. – To... poniżające, tak? Czy sądzisz, że tak właśnie traktujemy wszystkich wokół?

– A nie jest tak?

– Pewnie, że nie – burknęła, marszcząc brwi. Lanoree doświadczyła już w swoim życiu wrogości kolonistów z innych światów. Zazwyczaj przypisywała ją

wspomnieniom związanym z Wojną Despotki, jednak miała też świadomość, że oszukuje samą siebie. Bo przecież możliwe, że niektórzy po prostu darzyli Je'daii czystą, niczym niepodsycałą nienawiścią. Może przyczyny tej antypatii leżały głębiej i były bardziej złożone, niż sądziła? – Robimy to, co najlepsze. Dla wszystkich – dorzuciła.

– Tylko przeszkadzacie – zaprotestował Tre. – Służycie samym sobie i Mocy. Zamiast jasno powiedzieć, co planujesz, zwodzisz mnie tylko – oskarżył ją. Wskazał na iluminator i rozciągający się za nim widok Khara. – Wylądujesz i sobie pójdiesz, dokąd chcesz, bez pozwolenia i wyjaśniania komukolwiek, po co i dlaczego. I znowu wpakujesz się w kłopoty.

Jego słowa zaniepokoiły Lanoree, ale tylko trochę. Miała misję do wypełnienia – musiała zapobiec domniemanej katastrofie i fakt, czy wiedzą o tym wszyscy w tym układzie, czy nie, nie mógł wpłynąć na jej decyzję.

– Robisz z nami interesy – przypomniała mu. – Z Mistrzynią Dam-Powl.

– Myślisz, że miałem wybór? – spytał z wyrzutem.

– Owszem – odparła. – Jestem o tym przekonana.

– Jestem Twi'lekiem interesów – obruszył się. – Uważam, że w dążeniu do własnych celów jestem takim samym najemnikiem jak Je'daii.

– Jesteś przestępcą – nie ustępowała Lanoree. – A ja nie poinformowałam cię, co zamierzam, bo... liczyłam na to, że mnie rozśmieszysz.

– Ech, wy Je'daii – mruknął Tre, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Działał Lanoree na nerwy, ale miał też w sobie coś, co sprawiało, że trudno go było nie lubić.

– Tak czy inaczej, nie podoba mi się, że tu siedzisz – dodała znacząco.

Łypnął na nią spode łba, ale nie odpowiedział.

W kabinie statku rozległ się sygnał: alarm zbliżeniowy.

– Lepiej się czegoś przytrzymaj – poradziła Tremu i sprowadziła statek ostro w dół. Przelecieli pod jednym z dużych budynków, zwieńczonych ogrodem na dachu, prześlizgując się między stopami ogromnej rzeźby, po czym zawrócili ciasnym skrętem w prawo i szybko wspięli się w górę.

– Do Świątyni jest jakiś kilometr. – Lanoree zerknęła na mapę, na której zielenią zaznaczono Świątynię Dai Bendu.

– Naprawdę zamierzasz wylądować na dachu?

– Nie. Zmieniłam zdanie. Bylibyśmy na nim zbyt widoczni.

– Doskonale!

– Wlecę do środka.

Tre nie pofatygował się nawet, żeby to skomentować – jego milczenie było i tak dość wymowne. Sięgnął pośpiesznie po pasy i przypiął się do fotela.

Lanoree wiedziała, że manewr, który zamierzała wykonać, jest ryzykowny, ale potrzebowali czasu. Na dachu Świątyni będą zanadto odkryci, a ona podjęła już decyzję, że nie ma czasu załatwiać tego kanałami dyplomatycznymi. Dał i Patrzący w Gwiazdy wiedzieli już, że tu jest, i jakiegokolwiek mieli plany, zrobią

wszystko, żeby wprowadzić je w życie jak najszybciej. Musiała improwizować.

Budynek był duży, niski, zbudowany na planie prostokąta. Na jego czterech rogach sterczały strzeliste iglice, a dach był stromy. Kiedy Lanoree sprowadzała "Rozjemcę" na przestronny dziedziniec tuż przed wejściem, wysłała na zewnątrz wici Mocy w poszukiwaniu Dala. Nie miała pojęcia, czy zdoła go wyczuć, ale musiała spróbować. Denerwowała się; konfrontacja z bratem ją przerażała.

Kolejny sygnał dobiegający z głośników statku wyrwał ją z zamyślenia, i całe szczęście – mało brakowało, żeby się roztrzaskali.

Wkoło roilo się od umykających w popłochu ludzi, zostawiających wszystko i szukających schronienia w chmurze pyłu wzbitej przez potężne silniki jej statku. Wszędzie leżały poprzewracane stoły, a drzewa gięły się do ziemi w tumanach zerwanych liści. Lanoree sprowadzała "Rozjemcę" coraz niżej, dopóki nie zobaczyła głównych, drewnianych drzwi do Świątyni. Były wystarczająco szerokie; co prawda zamknięte, jednak kadłub jej statku był wystarczająco mocny.

Podprowadziła "Rozjemcę" do przodu i uderzyła jego dziobem w drzwi, roztrzaskując znaczną część kamiennej framugi. Posadziła go częściowo wewnątrz, częściowo na dziedzińcu. Nie było to może zbyt finezyjne lądowanie, ale nie planowała długo tu zabawić.

– Pancerniak, nie gaś silników – poleciła droidowi. – Możemy być zmuszeni do szybkiego odwrotu. Tre, idziesz ze mną?

Spojrzał na nią, przekazując za pomocą lekku słówka, na dźwięk których jego matka oblałaby się rumieńcem. Lanoree wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.



Dala tu nie było – ani jego, ani nikogo innego. Jednak ślady dowodziły, że jeszcze całkiem niedawno ktoś tu przebywał.

Świątynia miała wielką salę główną i wiele mniejszych cel na jej obwodzie. Centralne pomieszczenie było wysokie, a ściany i sufit zdobiły wymyślne freski przedstawiające wydarzenia z historii Dai Bendu. Przez pełne symboli religijnych witraże wpadał do środka wielokolorowy blask świtu. Kadłub "Rozjemcy" stygł powoli, przy akompaniamencie szczęknięć i jęków metalu; otaczały go sterty drzazg z rozbitych świątynnych drzwi.

Dowody na to, że ktoś tu jeszcze niedawno był, znaleźli w większości mniejszych sal – porzucone na podłodze śpiwory, napoczęte, jeszcze ciepłe posiłki na kilku długich stołach, palące się nadal świece w pozbawionych okien celach. Tu i ówdzie dało się zauważyć części zbieranego w wyraźnym pośpiechu ekwipunku, a w jednym z pokoi Lanoree trafiła na coś, co przypomniało jej o Dalu.

– Sprawdź inne pokoje – poleciła Tremu.

– Nikogo tu nie ma. – Wzruszył ramionami. – Kara musiała ich ostrzec.

– Ale dlaczego powiedziała nam o tym miejscu, a potem ich zaalarmowała? Sprawdź, proszę, resztę sal. Muszę się dowiedzieć, gdzie zniknęli.

Tre widocznie wyczuł coś w jej głosie, bo już nie protestował i posłusznie spełnił prośbę. Wziął się do roboty natychmiast – słyszała jego oddalające się kroki.

To, co znalazła, było właściwie niewiele znaczącym drobiazgiem. Dal zawsze uwielbiał owoce, a melonojabłka należały do jego ulubionych – ich cierpki, słodkawy miąższ pełen był aromatycznych nasionek. Zawsze ogryzał owoc aż do podłużnych pestek, a kiedy skończył, układał je obok, tworząc koło. Czasami wystarczyło pięć czy sześć, ale bywało, że używał do tego piętnastu albo więcej.

Teraz widziała na podłodze dziewięć pestek, ale krąg nie był skończony. Gdyby zostawił to dla Lanoree jako znak, z pewnością dokończyłyby pracę, jednak ostatnia pestka leżała z boku, całkiem jakby opuszczał Świątynię w pośpiechu.

Strażniczka wpatrywała się w otwarty krąg i żałowała, że jest niedokończony. Wówczas przynajmniej wiedziałyby, że Dal chce się z nią spotkać i że celowo ją tu przywiódł, napędzany chęcią rywalizacji, jak za czasów ich dzieciństwa.

– Tylko nie to – wyszeptała. – Tylko nie desperacja... – Dotknęła delikatnie jednej z pestek, po czym obeszła ciasny pokój dookoła. Panował w nim bałagan – na podłodze pełno było porzrzuconych ubrań, tu i tam stały talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia. Gwoźdźniki powbijane w jedną z kamiennych ścian sugerowały, że coś na niej wcześniej wisiało – plany? Mapy? Nie miała pojęcia.

Podniosła z podłogi kurtkę i przysunęła ją do twarzy, wdychając głęboko zapach, jednak nie było w nim nic znajomego.

Musiała się dowiedzieć, dokąd Dal wyruszył, jakie – jeśli w ogóle – informacje zdobył na temat starych planów Greech, gdzie może się znajdować urządzenie... Niewykluczone, że nawet jeśli ma plany tej starożytnej rasy, nie zdoła odtworzyć dość wiernie ich technologii. Nie znalazła jednak żadnych wskazówek i ogarnęła ją rozpacz. Dotarła tak blisko, a Dal mógł się ukrywać... wszędzie.

Rozejrzała się po celi jeszcze raz, próbując przypomnieć sobie ich ostatnie wspólne chwile, dobre czasy, kiedy jeszcze żyli w zgodzie. Często sięgała do nich pamięcią, zazwyczaj wtedy, kiedy nagle nachodziły ją myśli o bracie. To było tak dawno, na długo przed ich podróżą przez Tython, kiedy jeszcze byli dziećmi, niewinnymi i ufnymi...

Jednak już wtedy Dal był inny.

– Powinnam była cię słuchać – szepnęła. Zawsze obwiniła się o jego śmierć. Uważała, że to jej oddanie Mocy, a także determinacja, żeby pchnąć brata w jej ramiona, sprawiły, że w końcu się od niej odwrócił. Teraz czuła się znowu winna, jednak z powodów znacznie gorszych niż śmierć jednej osoby.

Możliwe, że to ona uczyniła go tym, kim się stał.

– Masz coś?! – zawołała do Trego i szybko wyszła z pokoju, rozsypując po

drodze krąg z pestek. – Jak tam, Tre? – Wróciła do głównej sali i zerknęła na blokujący wejście dziób "Rozjemcy". Silniki statku wciąż były rozgrzane.

Po drugiej stronie Świątyni pojawił się Tre, biegnący w jej stronę. Był blady jak ściana.

– Musimy się stąd wynosić – wydyszał.

– Dlaczego?

– Patrzący w Gwiazdy szybko się zwinęli, ale zdążyli ustawić zapalnik.

Lanoree wyostrzyła zmysły, w jej żyłach zapulsowała adrenalina.

– Ile mamy czasu?

– Dosłownie chwilę.

Wbiegli po rampie. W tym samym momencie, w którym Lanoree wskoczyła na fotel pilota, iluminatory statku rozświetliła oślepiająca łuna.

– Rampa! – krzyknęła do Pancerniaka, ale droid już ją zamykał. Świątynię zalała fala ognia i otoczyła statek. Rozległ się huk eksplozji, dziwnie głośny we wnętrzu "Rozjemcy", który aż zadygotał... Wszystko wokół rozpląnęło się jak we mgle, kiedy ściany i część dachu Świątyni eksplodowały na zewnątrz.

Tre krzyknął, jednak ledwie było go słyszeć przez rumor towarzyszący wybuchowi.

Na wpół oślepiąca przez eksplozję Lanoree uniosła statek do góry. Budynek już się walił, jego szczątki spadały na kadłub "Rozjemcy". Drażek sterowniczy zadrżał Lanoree w dłoni. Strażniczka zwolniła uścisk, starając się przypomnieć sobie plan dziedzińca. Jeżeli uderzą w sąsiedni budynek... cóż, wpadną z deszczu pod rynnę.

Na zewnątrz rozległ się łoskot kolejnej eksplozji. Lanoree zacisnęła wargi, obejmując drażek oburącz. Teraz nie pora na ostrożność, pomyślała. Pociągnęła dźwignię do siebie i obróciła ją, skupiając się na odczytach instrumentów pokładowych. Głośniki wyły alarmem zbliżeniowym, o iluminator zabębnił grad kamieni... i nagle wszystko zostało w dole, za nimi. Lanoree miała dziwne wrażenie, że statek westchnął z ulgą, kiedy wznosili się w wolne od pyłu i szczątków powietrze, oddalając się od dziedzińca i nabierając wysokości.

Przechylając statek na bok, żeby pozbyć się resztek gruzu, zerknęła w dół – w samą porę, żeby zobaczyć, jak Świątynia imploduje. Dach budynku zawalił się do środka, a iglice runęły pod własnym ciężarem, wzbijając w powietrze kolejne kłęby pyłu, dymu i ognia.

– Mało brakowało! – wykrztusił siedzący w fotelu obok Tre. Trzymał się kurczowo poręcz, a jego poblądłe lekko drżały niespokojnie.

– Ten staruszek potrafi wiele wytrzymać.

– Mówiłem o nas, nie o statku!

Lanoree sprawdziła odczyty skanera w poszukiwaniu ewentualnego pościgu – pojawienie się lokalnych służb było tylko kwestią czasu – po czym jeszcze raz zerknęła na płonące ruiny starożytnej Świątyni Dai Bendu.

– Kara może się wściec – mruknęła pod nosem.

– Sądzę, że wiedziała aż za dobrze, co się stanie.

Lanoree nie odpowiedziała, nie mogła jednak zaprzeczyć, że Tre ma rację. Na razie sama jest uzależniona od ludzi, których nie zna i którym nie ufa. Kara aż się prosi o drugą wizytę, uznała, jednak jeszcze nie teraz.

– Znalazłeś coś? – zapytała Trego.

– Szczątki komunikatora – wyjaśnił Twi'lek. – Zniszczyli wszystko, co się dało, ale liczę na to, że tutaj ocalało jedno z ogniwi pamięci. – Wyciągnął w jej stronę strzaskane urządzenie.

– Daj je droidowi – poleciła mu i uśmiechnęła się krzywo. – Nie martw się... wcale nie brakowało tak mało.

– Może w porównaniu do twoich wcześniejszych wyczynów, ja jednak cenię sobie własną skórę. I nie lubię takich sytuacji, niezależnie od tego, czy twoim zdaniem brakowało mało, czy dużo. Wolę być cały i zdrowy.

– W takim razie dlaczego zgodziłeś się pomagać Strażnicze?

– Nie miałem wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – pouczyła go Lanoree i znowu pomyślała o Dalu, o wyborach, jakich dokonał i o tym, że najprawdopodobniej to właśnie ona skłoniła go do podjęcia niektórych decyzji.

Uniosła statek wysoko, zawróciła z dala od półwyspu Khar i zeszła nad ocean, gdzie ruch był mniejszy. Tre wrócił do świetlicy, więc postanowiła wykorzystać ten czas na ocenę stanu statku i sprawdzenie uszkodzeń. Na szczęście nie stało się nic poważnego. Wznosili się, dopóki nie opuścili atmosfery; wtedy Lanoree przestawiła statek na autopilota i poszła sprawdzić, czy Pancerniak zdołał coś znaleźć w komunikatorze.

Jej towarzysz podróży siedział na koi, a droid wciąż rozpracowywał urządzenie. Było w gorszym stanie niż Tre początkowo sądził. Pancerniak oświadczył pośród serii gwizdów, że wydobył z niego informacji, które mogły się zachować w ogniwach pamięci, może trochę potrwać.

Lanoree doszła do wniosku, że na pokładzie jej "Rozjemcy" jest ciasno. Został zaprojektowany jako statek dla dwóch pilotów i czwórki pasażerów, ale przedtem był jej domem – tylko jej domem – od tak dawna, że miała teraz wrażenie tłoku. Nie przywykła do dzielenia tej przestrzeni z nikim poza Pancernikiem – a jego mogła w razie potrzeby po prostu wyłączyć.

– Przytulnie tu – zagadnął ją Tre, całkiem jakby czytał jej w myślach.

– Odświeżacz jest tam – powiedziała, wskazując jeden z trzech włączników w świetlicy. – Środkowe drzwi prowadzą do maszynowni i zbrojowni. Trzymaj się od nich z daleka. Trzecie to dodatkowa kajuta, ale urządziłam w niej magazyn. Jest tam żywność, woda i zapasowe ogniwa zasilania działek. Może uda ci się wygospodarować tam trochę miejsca do spania.

– Tu mi dobrze – zapewnił ją pospiesznie. Jego lekku drgały chaotycznie, nie zdradzając zbyt wiele.

– Na razie – stwierdziła Lanoree. – Musisz wiedzieć, że nie przepadam za pasażerami.

– Hej, nie prosiłem się o tę przygodę! – zaprotestował.

Cóż, nie mogła zaprzeczyć, że miał rację. Otworzyła szafkę i wyjęła dwie saszetki z napojami. Rzuciła jedną Tremu – torebka odbiła mu się od ramienia, ale złapał ją zręcznie, przyjrzał jej się, oderwał róg i upił łyk. Potem podniósł napój w jej stronę w niemym toaście i podziękował skinieniem głowy.

– To jak, opowiesz mi o sobie? – zapytała Lanoree. – Dam-Powl ostrzegła mnie, że jesteś niebezpieczny.

– Nie wierzysz jej? – spytał z udawanym oburzeniem.

– Może dla niektórych byłbyś groźny, ale nie dla mnie.

Tre Sana wpatrzył się w swoje dłonie, jakby sobie przypominał, co robił w przeszłości. Uśmiechał się, zamyślony.

– Robiłem rzeczy, o których nie mogę ci opowiedzieć – wyznał wreszcie niechętnie. – Robiłem je ludziom, których nie chciałabyś poznać.

– Niewiele jest w stanie mnie zaskoczyć – zapewniła go Lanoree.

– Jestem tego pewien. W końcu jesteś Strażniczką.

I nagle otaczający go mur jakby zniknął – Lanoree sądziła, że sam o tym zdecydował i zobaczyła istotę, ukrywającą się pod maską nieco zdziwaczałego, cierpiącego na lęk wysokości Twi'leka. Jego oczy były teraz zimne jak lód, nieczułe, i w tej chwili Strażniczka była gotowa uwierzyć we wszystko, co powiedziała jej o nim Dam-Powl.

– Wybacz na chwilę, muszę do odświeżacza – mruknął cicho.

– Tylko się nie zgub! – zawołała za nim Lanoree i rozejrzała się po świetlicy. Kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi odświeżacza, odetchnęła głęboko. Dam-Powl, kogo ty mi naraiłaś? – jęknęła w duchu.

– Pancerniak? Do roboty.

Droid burknął coś na temat wykorzystywania maszyn, przysmażył jeszcze parę przewodów i połączył kilka innych. W przedziale cuchnęło spaloną elektroniką, więc Lanoree podkręciła klimatyzację, żeby oczyścić powietrze, a sama usiadła w fotelu pilota i przyjrzała się odczytom w poszukiwaniu znaków mogących zwiastować kłopoty.



– Świetnie – mruknął Tre. – Po prostu wspaniale.

Lanoree ocknęła się z lekkiej drzemki, zła na siebie, że straciła czujność. To nie było profesjonalne, zbeształa się w myśli. Takie postępowanie nie przyniesie nic dobrego. Wyszła z kabiny i odszukała Trego, który przyglądał się pracującemu Pancerniakowi.

Droid podłączył zmiażdżony komunikator do przenośnego ekranu, na którym widniało teraz kilka linijek tekstu.

– Wszystko gra? – Lanoree uśmiechnęła się do niego.

Tekst zawierał siedemnaście ostatnich rozmów, które Patrzący w Gwiazdy odbyli z nieznanym odbiorcą z Noksa.

Nox, trzecia planeta układu, był światem najbardziej zanieczyszczonym, ale bogatym w złoża minerałów, i najbardziej uprzemysłowionym. Pięćset lat temu tamtejsza atmosfera popsuła się tak bardzo, że miasta zamykano pod gigantycznymi kopułami. Jak na ironię, najbogatszą aglomeracją stał się teraz Krater Keev, wytwarzający części do budowy takich kopuł i każący sobie słono płacić za ich nadzorowanie i serwis. Powietrze poza kopułami było kwaśne i trujące i niszczyło każdy pojazd, który był zbyt długo wystawiony na jego działanie. Między miastami nierzadko dochodziło do sporów. Podczas Wojny Despotki część z nich opowiedziała się za Królową Despotką Hadiją, inni za Je'daii, a jeszcze inni stawiali po stronie tego, kto lepiej płacił. Wiele z tych podziałów przetrwało aż po dziś dzień.

Lanoree odwiedzała różne niebezpieczne miejsca, jednak Nox był chyba najgroźniejszą planetą w układzie.

– Wiesz co, wysadź mnie może gdzieś po drodze – zaproponował Tre.

– Jasne. Osobiście otworzę ci wjazd.

Spojrzał na nią spode łba.

– Ja nie żartuję.

– Ja też nie. Mają nad nami przewagę czasową, a my nie wiemy, czym lecą. Jeżeli finansuje ich Kara, idę o zakład, że są także inni. Jestem pewna, że nie lecą na Nox jakimś starym, rozklekotanym frachtowcem. Jeżeli wyląduję...

– Wsiadam.

– Ja też. Na Noksie. – Lanoree odwróciła się do niego plecami i usiadła za sterami. – Siadaj i lepiej się przypnij. Nie mamy czasu martwić się o szczegóły.

"Rozjemca" zadygotał i z rykiem silników wyrwał się z pola grawitacyjnego Kalimahra. Nigdy dotąd Lanoree nie powitała zimnej czerni kosmosu z taką radością.



Czas spędzony w Stav Kesh to dla Lanoree okres najintensywniejszej jak dotąd w jej życiu nauki, i to zarówno dla ciała, jak i dla ducha. Wraz z Dałem ćwiczą całymi dniami – medytują, walczą, zgłębiają tajniki Mocy – a wieczorami przygotowują posiłki, sprzątają sale treningowe i korytarze, piorą i uczą się, jak dbać o broń. Schodzą także do jaskiń pod Świątynią ogrzewanych głębokimi magmowymi jeziorami, gdzie doglądają upraw warzyw i owoców w rozległych hydroponicznych ogrodach. Jedzenie, sprzątanie, opieka, woda, ubranie... w Stav Kesh nie ma nic za darmo, więc muszą pracować wspólnie, żeby dbać o sprawne

funkcjonowanie Świątyni.

Dal wydaje się odnajdować w szkoleniu jakąś równowagę. Lanoree czuje jego sprzeciw wobec Mocy, widzi, jak walczy z jej wpływem, jednak przez większość czasu na jego twarzy gości dawny, dziecięcy uśmiech.

W pewnym momencie zaczyna nawet wierzyć, że brat jest w zgodzie sam ze sobą... aż do incydentu z kulą Darrow.

– Kula Darrow to wasz najważniejszy sprawdzian – mówi im tego ranka Kin'ade. Zabraczka Mistrzyni przejęła część obowiązków Mistrza Tave'a i Lanoree bardzo ją lubi. Zabraczka jest niska, drobna, a jej wytatuowana skóra jest ciemna jak bodhański kaf. Wydaje się najgroźniejszą osobą, jaką Lanoree do tej pory spotkała, ale mimo niezwyklej biegłości w sztukach walki jest też łagodna i miła, co widać w jej płynnych ruchach i pogodnym wyrazie twarzy. Jej więź z Mocą jest czymś niezwykle naturalnym i przychodzi jej równie łatwo jak oddychanie.

Mistrzyni Kin'ade zabiera ich wysoko na Stav Kesh, w pobliże wierzchołka góry. Jest tu jeszcze zimniej niż na samym dole – wieje ostry wiatr, a atmosfera jest bardziej rozrzedzona. Marsz jest długi i wyczerpujący, i kiedy docierają do niewielkiego płaskowyzu na czubku wzgórza, wszyscy są spoceni i dyszą ciężko. Chociaż Lanoree przywykła już do rzadszego powietrza na tych wysokościach, czuje, że kręci jej się w głowie i uginają się pod nią kolana. Wiatr jest tak zimny, że pot zamarza im na skórze – cienkie szaty wcale ich przed nim nie chronią. Nikomu się tu nie podoba, poza Mistrzynią Kin'ade, która zdejmuje plecak, stawia go na ziemi i patrzy na nich z powagą.

– Nie pora na podziwianie widoków – mówi. – Patrzcie – podnosi plecak, odwraca go do góry dnem i coś z niego wylatuje, ale nie upada na ziemię.

To kula – lśniąca, połyskliwa, wydająca dziwne, niskie buczenie. Przemyka obok rogatej głowy Kin'ade i zawisa wysoko w powietrzu, przesuwając się lekko to w lewo, to w prawo, całkiem jakby podziwiała widoki. Jest rozmiaru ludzkiej głowy... ale nagle rośnie, aby po chwili zmniejszyć się do wielkości pięści. Przeskakuje z miejsca na miejsce i ślizga się to tu, to tam. Jest gładka i błyszcząca jak lód, ale jest też twarda i najeżona licznymi wypustkami. Zmienia się tak szybko, że kiedy atakuje, Lanoree dobrych kilka chwil zajmuje zorientowanie się, co się dzieje. Dziewczynka reaguje zbyt wolno – nagle jej noga zaczyna krwawić, ręka boli, a uczniów ogarnia panika.

Kula Darrow atakuje i wycofuje się błyskawicznie, wznosi się i opada, wystrzeliwuje promienie energii i uderza z impetem w każdego po kolei. W pewnej chwili wydaje się, że ma tylko jeden cel: pozabijać ich, ale zaraz odlatuje wysoko, lśniąc łagodnym błękitem, i zawisa w powietrzu bez ruchu.

Śmiga teraz w stronę Mistrzyni Kin'ade, która wykonuje płynny ruch alchaki i kopniakiem posyła ją w bok.

– Skupcie się! – mówi do nich surowo. – Nie panikujcie. Zachowajcie spokój. Pozwólcie, żeby Moc płynęła przez was, postarajcie się wyczuć ruchy kuli. Przejrzyjcie jej zamiary.

Lanoree próbuje. Uspokaja umysł i oddycha głęboko, spokojnie, przypominając sobie wszystko, czego nauczył ich Mistrz Tave. Moc w niej jest w idealnej równowadze. Czuje się z nią zjednoczona – nie jest jej panem ani sługą, tylko... Kula Darrow prześlizguje się za jej plecy i posyła paraliżujący strzał w nogę. Lanoree jęczy i przypada do ziemi; rozmasowuje przykurczone mięśnie, wściekła na siebie. Czeką chwilę, dopóki ból nie minie, przyglądając się, jak inni uczniowie padają ofiarą złośliwego urządzenia. Wookie udaje się ją trafić pięścią, jednak najwyraźniej kula celowo jej na to pozwoliła, bo chwilę później uczennica wydaje okrzyk bólu. Włosy na jej ramieniu stają dęba, a z dłoni sypią się iskry i snują smużki dymu.

– Wystarczy! – zarządza Mistrzynie Kin'ade i pełnym gracji ruchem posyła kulę na ziemię. Sfera blednie, aż staje się prawie przezrysta. Lanoree ma wrażenie, że urządzenie kieruje się własnym rozumem, a Kin'ade ledwie je kontroluje.

– Co to takiego? – pyta zaciekawiony Dal. Kuca z boku, z dala od ich grupy, z rozkwaszonym nosem i zdartą na knykciach skórą od prób walki ze sferą.

– To kula Darrow – powtarza spokojnie Mistrzynie Kin'ade. – Stworzyłam ją, żeby pomagać uczniom Stav Kesh w nauce. To jedyny egzemplarz. Jeden z moich uczniów kilka lat temu nazwał ją zmorą Je'daii... aż miałam ochotę zmienić jej nazwę. Podoba mi się. – Patrzy z łagodnym uśmiechem w niebo. – I jak wszystko o dwóch imionach, jest dwoista. – Kiwa głową w stronę nieruchomej sfery i Lanoree bez zaskoczenia dostrzega, że kula znikła.

– Gdzie się podziała? – pyta Dal.

– Jest tutaj – odpowiada zagadkowo Kin'ade. – A może jej nie ma? Czy przypadkiem nie ufasz za dużo swoim zmysłom, Dalienie Brock?

– Są wszystkim, co mam.

Na wietrznym płaskowyżu zapadła pełna napięcia cisza – nawet wiatr przestaje wiać, jakby uciszony słowami Dala.

– Nie – szepcze Kin'ade. – Zmysły to ostatnie, z czego powinieneś korzystać... dlatego będziesz ostatni.

– Ostatni w czym?

Mistrzynie Kin'ade ignoruje pytanie Dala i daje znak Lanoree, żeby do niej podeszła. Dziewczynka spełnia jej prośbę, a kiedy jest blisko Mistrzynie, ta mówi cicho:

– Pamiętaj, Moc nie kłamie, ale jeżeli jesteś wytrącona z równowagi, możesz źle odczytać jej podszepty. Poczuj, jak przez ciebie przepływa, i ciesz się harmonią. – Sięga do plecaka i wyciąga opaskę na oczy, zatyczki do nosa i uszu, a także maseczkę.

– Ale jeżeli je założę... – protestuje Lanoree, jednak Mistrzynie Kin'ade nie daje jej dokończyć:

– Wówczas będziesz musiała zaufać Mocy.

Lanoree bierze głęboki oddech i kiwa posłusznie głową. Wkłada maskę, zatyka nos i uszy, zasłania oczy i odcina się od świata zewnętrznego. Nic nie widzi.

Zatyczki do uszu tłumią wszystkie dźwięki, tak że słyszy teraz tylko bicie swojego serca. Zatyczka do nosa sprawia, że nie czuje żadnego zapachu. Ma co prawda w ustach smak śniegu, ale kula... Czuje nagle w nodze piekący ból i z krzykiem uskakuje na lewo. Nie słyszy od Mistrzynie Kin'ade żadnych instrukcji i dociera do niej, że tak właśnie ma być. Stara się uspokoić, oddycha głęboko i powoli, wsłuchując się w płynącą przez nią Moc, która jest jej częścią – w idealnej równowadze z nią samą. Dobywa miecza i czeka.

Ukłucie w ramię. Potrząsa nim.

Coś porusza się przed jej twarzą, szybko i blisko.

Wysłała wici Mocy na zewnątrz i teraz wyczuwa wszystko wokół. I wtedy... Obrót na lewej nodze, przykucnięcie i cięcie mieczem. Czuje, że w coś uderzyła, czuje impet zderzenia w ramieniu. Odtacza się do przodu i wstaje z lewą ręką wysuniętą przez siebie, wyprowadzając pchnięcie Mocy. Wyczuwa, że trafiło w kulę Darrow. Serce wali jej jak oszalałe, oddycha ciężko, w żyłach pulsuje jej krew i Moc. To jest jak ekstaza!

Kula atakuje ją od tyłu i Lanoree upada na ziemię. Ktoś zdejmuje jej opaskę, wyciąga z uszu i nosa zatyczki. Jej zmysły zalewa fala impulsów i dziewczynka czuje dojmujący ból.

– Całkiem nieźle – chwali ją Mistrzynie Kin'ade. – Nie powinnaś jednak pozwalać, żeby twoja duma brała górę. Nigdy nie zakładaj, że niebezpieczeństwo minęło, jeżeli nie jesteś tego stuprocentowo pewna.

Lanoree kiwa głową i siada. Inni uczniowie wpatrują się w Mistrzynie Je'daii i w kulę lewitującą nad jej ramieniem, pulsującą, zmieniającą wygląd – wszyscy z wyjątkiem Dala. Patrzy na siostrę, jednak Lanoree nie potrafi przejrzeć jego wyrazu twarzy. Czy jest zrezygnowany? Zdeterminowany?

– Bardzo dobrze – mówi Mistrzynie Kin'ade i strząsa śnieg, który zgromadził się na jej krótkich rogach. – Kto następny?



Wszyscy po kolei próbują, aż wreszcie przychodzi czas na Dala.

Lanoree patrzy, jak Mistrzynie Kin'ade zakłada mu opaskę i wsuwa zatyczki do nosa i uszu. Dalien stoi spokojnie i cierpliwie, a ona nie wyczuwa w nim napięcia ani niepokoju. Chociaż widział, że każdy z pozostałych Wędrowców ucierpiał w jakimś stopniu od ataków kuli Darrow, wydaje się opanowany. Siostra nie zamierza go badać wiciami Mocy – to byłoby nie w porządku, dotykać jego umysłu przed taką próbą – jednak Dal zdaje się promieniować pewnością siebie.

Kin'ade odstępkuje na bok, patrzy na Lanoree i mówi:

– Zaczynaj.

Dal uskakuje w lewo i w prawo, robi uniki i przechyla głowę, jakby

nasłuchiwał, jednak to wszystko jest tylko na pokaz. Kula podlatuje powoli i uderza go w lewą kostkę. Dal nie wyczuł, że się zbliża – kula porusza się płynnie i pewnie. Lanoree zastanawia się więc, skąd wie, że jej brat udaje.

Nagle Dalien przewraca się, odtacza... i sięga za pazuchę po blaster.

– Dal! – krzyczy Lanoree.

Chłopiec zaczyna strzelać – na oślep i beładnie, więc ona i reszta uczniów padają na ziemię i otaczają się ochronnym polem Mocy. Wokół świszczą odłamki skał, śnieg skwierczy, parując. Ktoś krzyczy. Lanoree czuje w ręce dojmujący ból.

Dalien wykrzykuje coś i odrzuca blaster. Jego siostra widzi bijący od niego żar – broń się przegrzała – a Mistrzynie Kin'ade wyciąga rozcapierzoną dłoń w stronę Dala. Chłopiec szybuje w powietrze, poderwany niewidzialną siłą, i wkrótce znika za zasłoną śnieżnych płatków. Przez chwilę Lanoree myśli z przerażeniem, że Mistrzynie odrzuciła Dala za daleko, że jej brat mógł spaść z urwiska, trzysta metrów w dół, i rozbić się na dachach w dole...

Jednak po chwili słyszy głucho uderzenie, kiedy ciało Daliena opada na ziemię. Sięga ku niemu umysłem i przez moment czuje się tak, jakby to ona straciła przytomność.



ROZDZIAŁ 8

WSPOMNIENIE BÓLU

Je'daii nie potrzebuje nic oprócz pewności siebie i oparcia w Mocy. Ubrania dla zachowania ciepła, statek do odbywania podróży, pożywienie dla zdobycia energii, gasząca pragnienie woda, miecz do zadawania ciosów, blaster do strzelania... wszystko to są zbytki. Moc jest wszystkim, a bez niej jesteśmy niczym.

– Mistrz Shall Mar, Życie w równowadze, 7538 PTY

Lanoree odprężyła się w swoim fotelu pilota. Wpisała najszybszy kurs z Kalimahra na Nox i teraz czekała z niecierpliwością na dalsze efekty pracy Pancerniaka nad uszkodzonymi ogniwami pamięci. Nox był dużą planetą, na której funkcjonowało prawie czterdzieści przemysłowych miast; mniej więcej w połowie tych miast można było zlecić skonstruowanie urządzenia Greech. Prawdopodobnie dokładna ekspertyza zredukowałaby tę liczbę do zaledwie dwóch czy trzech, ale Lanoree na razie nie miała pojęcia, o jaki sprzęt dokładnie chodzi. Leciała na oślep w burzę, ale był to jedyny kurs, jaki mogła w tej sytuacji obrać.

Skontaktowała się ponownie z Mistrzynią Dam-Powl, by zdać jej relację z ostatnich wydarzeń, a Mistrzyni Je'daii obiecała jej, że przekaże kilkorgu Je'daii przebywającym obecnie na Noksie prośbę o monitorowanie kontroli lotów. Lanoree i tak zdawała sobie sprawę, że na tej planecie, gdzie przepisy były notorycznie łamane lub obchodzone, większość jednostek lądujących nie trafiała do rejestrów. Próba odnalezienia Dala i statku Patrzących w Gwiazdy będzie przypominała szukanie igły w stogu siana, tym bardziej że Strażniczka nie miała pojęcia, czym członkowie sekty mogli tu przylecieć.

Dam-Powl zapytała, czy nadal jest z nią Tre, a Lanoree potwierdziła. Cisza, jaka zapadła po jej odpowiedzi, była pełna napięcia. Twi'lek najwyraźniej nie zamierzał porozmawiać z Mistrzynią Je'daii, więc Dam-Powl skinęła wreszcie głową i rozłączyła się.

Lanoree gapiała się w gwiazdy i gładziła w zamyśleniu bliznę na wierzchu lewej dłoni. Wciąż pamiętała dzień, w którym Dal ją zranił – to był początek końca.

– Naprawdę tu mieszkasz? – spytał ją Tre Sana.

– Tak, to mój statek.

– Jest taki... pustawy. Nie przypomina domu. Nie miewasz tu napadów klaustrofobii?

– Przy takim widoku? – Lanoree nie pofatygowała się nawet, żeby podnieść oparcie rozłożonego do pozycji horyzontalnej fotela.

Przeszło jej przez myśl, że może Tre się nudzi. Rozmowa pomoże im zabić czas, uznała.

– Nigdy nie lubiłem podróży kosmicznych. Zawsze dostaję podczas nich mdłości. Nie zostaliśmy stworzeni do podróżowania w przestrzeni. Nieważne, jak skuteczne pola ma statek, za każdym razem, kiedy opuszczam atmosferę, jestem pewien, że promieniowanie mnie usmaży. A ty masz źle skonfigurowany moduł grawitacyjny. Czuję się, jakbym ważył dwa razy więcej niż normalnie, i przez to jeszcze bardziej chce mi się rzygać – poskarżył się.

Lanoree podniosła oparcie i odwróciła się z uśmiechem w stronę Twi'leka.

– Coś jeszcze?

– Nie. Tylko że tu cuchnie. Wiem, że pewnie do tego przywykłaś, ale... czuć tu spaloną izolację, smarem i... tobą. A poza tym nie oszukujmy się: twój statek jest mały. Posiłki jesz tam, gdzie sypiasz. A ten odświeżacz...! Muszę ci powiedzieć, Je'daii, że bywałem w najobszerniejszych knajpach najpodlejszych z Dziewięciu Domów Shikaakwy i panowały w nich lepsze warunki niż tutaj. Jak możesz się myć w odzyskiwanej wodzie? Gdzie prysznic? – Otworzył szeroko oczy, kiedy do niego dotarło. – A co ty jadasz?

– A, właśnie – mruknęła Lanoree. – Jedzenie. Dobry pomysł. – Wstała, skierowała kroki w głąb świetlicy i otworzyła niewielką szafkę na jednej ze ścian. Po drodze rzuciła do pracującego w podręcznym warsztacie droida: – I jak, Pancerniak? Masz coś?

Robot nie pofatygował się nawet, żeby odpowiedzieć. Był bez reszty skupiony na manipulowaniu szeregiem przewodów i czipów uszkodzonego urządzenia. Słyszając pytanie, przerwał na chwilę, ale zaraz wrócił do pracy.

– Zakładam, że to miało oznaczać „nie” – westchnęła Lanoree. – No dobra, Tre. Proszę, wybieraj. – Rzuciła na koję kilka paczuszek, z których część wylądowała na kolanach Twi'leka.

– Co to?

– Suche żarcie. A co, uważasz, że chowam gdzieś na tyłach statku kapsułę hydroponiczną?

Tre podniósł srebrny pakiecik i spojrzał na niego z nieskrywanym obrzydzeniem. Zmarszczył nos i opuścił lekko na plecy, jakby miał przed sobą coś trującego.

– Naprawdę jadasz takie rzeczy?

– Wrzątek i trochę soli potrafią działać cuda. – Wzruszyła ramionami. – Niektóre potrawy są całkiem niezłe. Chociaż to, co trzymasz, to akurat potrawka z dangbata. Muszę przyznać, że za nią nie przepadam.

– Ile czasu tu spędziłaś? – Tre rozejrzał się po pomieszczeniu z udawanym niedowierzaniem.

Lanoree stwierdziła, że gość naprawdę zaczyna ją wkurzać. Nie miała ochoty go ze sobą ciągnąć – nie ufała mu, zwłaszcza od chwili, kiedy pod przykrywką beztróskiego żartownisia, jakiego udawał, dojrzała jego prawdziwą naturę. Tak czy siak, teraz utknęli razem na jej statku i nie mogła nic na to poradzić. A uprzejmość nie kosztowała zbyt wiele.

– Kiedyś zdarzyło mi się spędzić w przestrzeni kosmicznej bite dwieście dni. Tropiłam wówczas oddział sił specjalnych z Krev Coeur, którego członkowie postanowili zostać najemnikami – poinformowała go beznamiętnie.

– Dwieście... – Tre pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Mam inne potrzeby niż ty – wyjaśniła mu cierpliwie Lanoree. Wsunęła pakiet żywnościowy do metalowej kieszeni za drzwiczkami szafki i wcisnęła przycisk dozownika wrzątku. Kabinę wypełnił smakowity zapach, szybko wchłonięty przez klimatyzację. – Wiem, co ci obiecała Dam-Powl, i jestem pewna, że dotrzyma słowa, jednak mnie nie interesują luksusowe posiadłości. Ani szybkie statki, ani bogactwo, stanowiska i wyróżnienia, niewyczerpane źródła kredytów i konta na różnych światach. – Wyjęła gotową potrawę i zabrała się do jedzenia. – Ani mężczyźni, ani powszechne uwielbienie czy nawet szacunek. Nie potrzebuję tego.

Tre roześmiał się głośno.

– W takim razie musisz być...

– Bo wiem, że w życiu chodzi o coś innego – dodała, nie dając mu skończyć. Była już zmęczona całym tym szaleństwem i wściekła na to, że Tre jest taki małostkowy. Biorąc pod uwagę wszystko, co wiedziała – i co musiał wiedzieć także on – takie płytkie podejście było dla niej obrazą. – Wystarczy mi Moc. Łączy wszystko i utrzymuje nas przy życiu, a także czyni wszystko tak cennym. To powód, dla którego żyjemy. Nie ma ignorancji, jest wiedza. A to znacznie cenniejsze niż wykwintne jedzenie czy luksusowe umywalnie.

– Mówisz jak członkini jednego z tych kalimahrskich klanów, modlących się do swoich bóstw.

– Z tą różnicą, że ja wiem, że Moc istnieje.

Tre Sana uśmiechnął się blado i skinął głową, nie spuszczać z niej oka. Czowała się... dziwnie. To Dam-Powl sprawiła, że tak trudno jej było przejrzeć. Lanoree zastanawiała się, dlaczego Mistrzynie Je'daii postanowiła współpracować z kimś tak niebezpiecznym. A może właśnie to, co mu zrobiła, uczyniło go takim, jakim teraz był?

– Ale przecież nie zawsze odnajdujesz równowagę, prawda, moja mała Je'daii? – zapytał zaczepnie, pyszałkowatym tonem.

– Jedz – burknęła. – To naprawdę nie jest takie złe. – Odwróciła się do niego plecami, usiadła w swoim fotelu i wróciła myślą do prowadzonych przez siebie eksperymentów. Jeśli nie będzie ostrożna, czyha na nią mrok. Jednak wcale jej to nie niepokoiło. Była spokojna. Nie miała powodów, żeby się martwić.



Lanoree siedziała przez jakiś czas w samotności – Tre domyślił się chyba, że nie należy jej przeszkadzać. Cieszyło ją to. Nie lubiła przebywać na pokładzie swojego statku w towarzystwie i chociaż starała się z całych sił, ciągnęła świadomość czyjejś obecności działała jej na nerwy.

Ashla i Bogan zniknęły już z ich pola widzenia, tak samo jak Tython, sto sześćdziesiąt milionów kilometrów po drugiej stronie Tythosa. A mimo to Lanoree czuła ich obecność i przyciąganie, tak samo jak każdy Je'daii, niezależnie od tego, w którym miejscu układu przebywał. Ashla była jasnością, a Bogan – mrokiem i obydwie te księżycy działały na nią pogrzejająco, jakby trwała w perfekcyjnej równowadze, zawieszona między nimi. Oddziaływanie obu miało jednakową siłę.

Nie zawsze jednak tak było. Po tym, jak utraciła Dala, w połowie Wielkiej Wędrowki, przez jakiś czas czuła się wytrącona z tej równowagi. Wróciła do domu, gdzie na szczęście doznała pogrzejenia i nauczyła się na nowo ufać Mocy. Sytuacja nie była na tyle poważna, żeby groziło jej wygnanie, jednak wtedy niepokoilo ją to w równym stopniu co teraz.

Dam-Powl ostrzegła ją też, że te eksperymenty mogą ponownie zachwiać jej równowagą. Genetyczna manipulacja komórkami, nawet pochodzącymi z jej własnego ciała i żyjących własnym życiem, niosła ze sobą zagrożenie. Jednak Lanoree nie mogła nic poradzić na potrzebę przesuwania granic. Ignorowanie tej potrzeby byłoby jak zaprzeczenie istnieniu samej Mocy, a ona nieraz już była świadkiem takich działań.

Była przygotowana na śmierć, jednak Dala spotkało coś znacznie, znacznie gorszego. Koszmarna odmiana szaleństwa.

Może później, po tej misji odnajdzie znowu chęć powrotu do swoich badań...



– Stacja Greenwood – poinformowała Trego Lanoree. – Patrzący w Gwiazdy komunikowali się z kimś stamtąd. To źle wróży.

– Naprawdę? – zaniepokoił się Tre.

Lanoree zerknęła na teksty, które Pancerniak zdołał wyłuskać z uszkodzonego komunikatora. Wszystkie były zaszyfrowane i nawet po rozkodowaniu przez droida trudno było zrozumieć ich prawdziwe znaczenie, jednak nie mogło być mowy o pomyłce – wszystko to były kody wojskowe.

– Stacja Greenwood to jedno z najokropniejszych miejsc na jednej z najgorszych planet tego układu – orzekła. – Na Noksie Je'daii nie są darzeni

specjalną sympatią, ale tam nas otwarcie nienawidzą. Stacja jest otoczona trzema zniszczonymi kopułami, zbombardowanymi przez Je'daii podczas Wojny Despotki. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, miałam zaledwie trzynaście lat, jednak moi rodzice brali udział w walkach, a mój ojciec spędził jakiś czas na Noksie. Mówił mi, że to straszne miejsce. Kwaśne deszcze, żrące gazowe burze... Ostrzegaliśmy ich przed bombardowaniem, ale dostarczali Hadiyi broni, chociaż staraliśmy się ich powstrzymać. Zginęły tysiące ludzi. Całe mnóstwo. Nikt nie wie dokładnie ile.

– Jestem od ciebie starszy – powiedział Tre. – Pamiętam bombardowanie Stacji Greenwood.

– Ale nie uległa zniszczeniu – uzupełniła Lanoree. – Kopuła została naruszona, jednak szybko ją naprawiono. Teraz to mina, tak samo jak jej okolice.

– A jednak wciąż produkują tam najbardziej zaawansowane systemy militarne poza Tythonem – przypomniał Tre. Wyglądało na to, że wie wszystko o Stacji Greenwood, i tylko udawał do tej pory ignorancję. Cóż, to kolejna z jego dziwnych gier, westchnęła w duchu Lanoree.

– Skąd to wiesz?

– Co jakiś czas korzystam z ich usług – wyjaśnił ogłędnie Twi'lek.

– Byłeś tam? – zdziwiła się Lanoree. Nie ciekawiły jej interesy Trego ani powody, dla których miałyby korzystać z najnowszych technologii – aż do teraz.

– Oczywiście, że nie! Mówiłem ci przecież, że nienawidzę podróży kosmicznych!

– A jednak znają cię tam, prawda?

Tre uniósł brew i wzruszył ramionami.

– Na pewno nikt z tych, którzy mogliby nam pomóc.

– Dlaczego?

– To ty jesteś Je'daii.

– Jasne – burknęła Lanoree. Tak, to było idealne miejsce dla Patrzących w Gwiazdy i dla Dala. Mogli się tu ukryć, wiedząc, że depcze im po piętach. A mimo to...

Wiedziała, że tu nie chodzi o ucieczkę. Dowodziły tego niektóre ze starszych komunikatów, które droid odzyskał z uszkodzonego ogniwa pamięci. Oni przybyli na Stację Greenwood w konkretnym celu – i mogła nim być tylko budowa urzędnictwa Greech. Lanoree nie miała pojęcia, jak szczegółowe są ich plany. Informacje zawarte w pamiętniku Osamaela Ora były w najlepszym razie ogólnikowe i nie wyjaśniały nawet, czy rzeczywiście miał plany Greech. Jeżeli tak, to pewnie można się było tego dowiedzieć z kolejnych części pamiętnika – tak cennych, że Kara nie ważyła się ich trzymać w schowku. Zresztą jeśli Patrzący w Gwiazdy nawet je zdobyli, wcale nie wiadomo, czy uda im się zbudować na tej podstawie urządzenie, które będzie działało. Cała misja Lanoree pełna była niejasności i niewiadomych.

Strażniczka była jednak pewna jednego: wszystko to zaszło dalej, niż mogłaby

się spodziewać. Niebezpieczeństwo było zbyt duże, a szanse, że Dalowi się powiedzie, budziły grozę. Ślad prowadził na Nox, gdzie miała się spotkać ze swoim bratem.

– Ustawię kurs – mruknęła pod nosem. – A potem wygospodaruję ci miejsce do spania.

Tre udał zaskoczenie, rozłożył ręce i wskazał na wąską, ale całkiem wygodną koję.

– Nawet o tym nie myśl – warknęła i wskazała mu te same drzwi co wcześniej.

– Ale... mam spać razem z kapsułami laserowymi? – jęknął Twi'lek. – W magazynie żywności? Mogą tam grasować kosmoszczury! – zaprotestował słabo.

– Pilnuję czystości na pokładzie swojego statku – obruszyła się Strażniczka. – A poza tym jestem pewna, że sypiałeś już w znacznie gorszych warunkach.

– Cóż... – Tre wyprężył lekku w wyrazie rozbawienia. Lanoree powstrzymała uśmiech. Wiedziała, że Twi'lek nie chce jej tego utrudniać.

– Daj spokój – powiedziała. – Miejmy to z głowy. Dowiozę nas tam najszybciej, jak się da.

– No, nie wiem, czy mam ochotę dotrzeć na Nox aż tak szybko – stwierdził Tre. Lanoree pomyślała przelotnie, że ten zmęczony uśmiech może być pierwszym jego prawdziwym odruchem, jaki widzi.

– Wszystko będzie w porządku. W razie potrzeby zatroszczę się o ciebie.

– A kto zajmie się wtedy tobą?

Moc mnie poprowadzi, pomyślała Lanoree. Odwróciła się znowu plecami do Trego i zanurkowała do sterowni, żeby ustawić najszybszy i najbezpieczniejszy kurs na Stację Greenwood na Noksie. Przez cały ten czas myślała o Dalu i zastanawiała się, czemu w całej swojej karierze Wędrowca nigdy nie zdała sobie sprawy z tego, jak może być niebezpieczny.

Aż do końca.



Chociaż Mistrzynie Kin'ade jest biegłą uzdrowicielką, dłoń Lanoree nadal boli. To zajmie trochę czasu, tłumaczy jej Kin'ade. Mogę uleczyć ranę, ale blizny zostaną, mówi, a wspomnienie bólu jest silniejsze, niż ci się wydaje.

Wspomnienie bólu oznacza, że Lanoree ledwie może siedzieć prosto, nawet w kwaterach Mistrza Świątyni Lha-Miego.

Dal jest tu razem z nią. Jego obrażenia nie okazały się tak poważne jak jej. Ma tylko parę siniaków i otarć, których doznał przy uderzeniu w ziemię, jednak Mistrzynie Kin'ade poświęca mu tyle samo uwagi.

– Nie zostałeś tu wysłany za karę – tłumaczy łagodnie Dalowi Mistrz Świątyni Lha-Mi. Chociaż komnata jest przestronna i bogato urządzona, Mistrz Lha-Mi

siedzi na prostym, drewnianym krzeselku. Obok leży jego miecz. Lanoree wiele słyszała o nim i o jego broni. – Zostałeś tu wezwany, żeby opowiedzieć mi o tym, co zaszło na szczycie Stav Kesh – mówi. – W ciągu długich lat mojego życia nauczyłem się, że opowieści żyją własnym życiem i że prawdy należy szukać w szczegółach. Dlatego chciałbym, żeby każdy z was przedstawiło mi własną wersję wydarzeń.

– To proste – mówi pewny siebie Dal. Siedzi przed Lha-Mim u boku Lanoree. Po jego drugiej stronie zasiada ich instruktorka. – Mistrzynie Kin'ade odebrała mi zmysły i oczekiwała, że będę celnie strzelał.

– Nie prosiłem cię jeszcze o zdanie – gani go Lha-Mi. Nie brzmi surowo, jednak w jego głosie słyszy się autorytet wieku i doświadczenia. – Mistrzynie Kin'ade. Czy mogę prosić...?

Zabraczka wstaje i skłania głowę.

– Mistrzu, szkoliłam grupę uczniów w walce z kulą Darrow – mówi i relacjonuje wydarzenia tak, jak zapamiętała je Lanoree. Nie wygłasza opinii, opowiada po prostu, co się wydarzyło. Lanoree nie dostrzega w jej raporcie żadnych przejawów. Kin'ade streszcza po prostu całe zajście. Kiedy kończy, skłania znowu głowę i siada.

– Teraz twoja kolej, Lanoree Brock – mówi Lha-Mi.

– Było tak, jak wspomniała Mistrzynie Kin'ade – potwierdza Lanoree. – Zrobiłam, co tylko mogłam, żeby zjednoczyć się z Mocą i wyczuć zamiary kuli, przyznaję jednak, że chyba przeceniłam swoje zdolności. Tak samo jak inni... cóż, przynajmniej większość. Efekt to parę siniaków, rozkwaszone nosy, a także jedno czy dwa trafienia kuli. I wtedy przyszła kolej Dala. Na początku radził sobie całkiem nieźle i nawet pomyślałam, że korzysta z Mocy. Czułam się dumna z jego dokonań. Cieszyło mnie to. Jednak potem... kula go trafiła, a wtedy on sięgnął po blaster. Zanim Mistrzynie Kin'ade go powstrzymała, oddał kilka strzałów.

– Cisnęła mnie na ziemię i prawie złamała mi rękę! – oburza się Dal. – Mało brakowało, a wypadłbym za granicę!

Lha-Mi nie zaszczycza Dala nawet spojrzeniem. Przypatruje się wciąż Lanoree, która ma wrażenie, że im dłużej Mistrz słucha ich relacji, tym bardziej opadają mu powieki.

– O czym myślałaś, kiedy jeden z tych blasterowych strzałów przemknął tuż nad twoją dłonią?

– Bałam się o Dala – odpowiada zgodnie z prawdą Lanoree.

– Bałaś się, co może mu zrobić Mistrzynie Kin'ade?

– Nie. Martwiłam się o to, że utracił nad sobą kontrolę – wyznaje dziewczynka.

– A teraz chciałbym wysłuchać twojej wersji wydarzeń, Dalienie Brock – prosi Lha-Mi.

Dal wzdycha głęboko, niemal niecierpliwie, jednak Lanoree wyczuwa emanujący od niego strach.

– No dalej, Dal – zachęca go. Brat rzuca jej urażone spojrzenie, a potem patrzy

na jej zabandażowaną rękę. W jego wzroku widać żal.

– Próbowałem – bąka. – Staralem się odnaleźć Moc.

Kłamie, zdaje sobie sprawę Lanoree. Znam go aż za dobrze i słyszę to w jego głosie.

– Robiłem, co mogłem, ale kiedy kula mnie poraziła, sięgnąłem po blaster, starając się... postępować zgodnie z podszeptami Mocy, strzelać tam, gdzie mi kazała. – Wzrusza ramionami. – Nie udało się. Wybacz mi, Lanoree.

– Każda blizna ma swoją historię – szepcze Lanoree, powtarzając słowa, które usłyszała kiedyś od ojca.

Mistrz Świątyni Lha-Mi kiwa głową.

– Całe szczęście, że nikt nie zginął. Mistrzynie Kin'ade jest biegła w leczeniu i cieszę się, że wybrała Stav Kesh zamiast Mahara Kesh. Potrafi leczyć rany i składać kości, jeśli dać im czas. Jednak żaden Je'daii nie może powstrzymać śmierci. Postąpiłeś głupio, Dalienie Brock. Działałeś impulsywnie i nie kierowała tobą Moc. Winię za to twój młodzieńczy entuzjazm. Możliwe, że przez kilka następnych dni przysłuży ci się lepiej szkolenie w posługiwaniu się nieco bardziej tradycyjną bronią. Mistrzynie Kin'ade?

– Myślałam dokładnie o tym samym – potwierdza Kin'ade. Wstaje i daje znak Lanoree i Dalowi, że audyencja dobiegła końca.

– Lanoree? Zostań, proszę – mówi Lha-Mi. Pozostała dwójka wychodzi i Lanoree zostaje sam na sam z Mistrzem Świątyni. Talidańczyk jest stary i silny, jednak dziewczynka nie czuje się w jego obecności onieśmielona. Starzec emanuje dobrocią, która sprawia, że czuje się przy nim bezpieczna. Rozumie jego troskę.

– Twój brat... – mówi i sznuruje usta. Cisza.

Czy to pytanie?

– Stara się – zapewnia go Lanoree. – Wie, po co odbywamy Wielką Wędrówkę, i daje z siebie wszystko.

– Nieprawda – zaprzecza Lha-Mi. – Obawiam się, że już się poddał. Niektórzy nigdy nie odnajdują harmonii z Mocą i czują się z nią nieswojo.

– Nie! – protestuje Lanoree, zrywając się z miejsca. Mistrz Świątyni nadal siedzi, spokojny i pełen rezerwy. – Nasi rodzice są Je'daii i my też nimi zostaniemy!

– Ty już jesteś Je'daii, droga Lanoree. Wyczuwam w tobie wielki potencjał. Jesteś silna, wrażliwa, dojrzała i... – robi znaczący gest dłonią – ...powiedzmy, zrównoważona. Jednak twój brat jest inny. Ma w sobie mrok, a odrzucenie Mocy sprawia, że ta ciemność jest zbyt trudna do przeniknięcia, zbyt głęboka, żebym mógł ją zbadać. Może wciąż jest dla niego droga powrotu, jednak powinnaś sobie zdać sprawę, jak bardzo jest ona niebezpieczna. Musisz być ostrożna.

– Złożyłam moim rodzicom obietnicę. To mój brat – mówi z determinacją Lanoree. – Kocham go i ocalę.

– Czasami miłość nie wystarcza. – Lha-Mi wstaje i bierze ją za rękę. Nie mówi nic więcej, jednak Lanoree czuje w umyśle jego dotyk, przelotny, ale intensywny i

w tym przebłysku widzi próbkę tego, o czym Dal myślał w komnatach Mistrza Świątyni.

Głębokie, mroczne myśli.



ROZDZIAŁ 9

BLIZNY

Je'daii mówią: „Nie ma ignorancji, jest wiedza”, jednak ignorują wasze życie, waszą walkę, a poczucie wyższości ich zaślepia. Mówią: „Nie ma strachu, jest siła”. Jednak w swojej sile są pełni samozadowolenia. I to sprawi, że będą się mnie bać.

– Królowa Despotka Hadiya, 10 658 PTY

Nawet z tej odległości Nox wyglądał jak piekło. Lanoree ustawiła kurs; mieli przeciąć atmosferę przeciwnej półkuli niż ta, na której znajdowała się Stacja Greenwood, aby potem opasać planetę łukiem i zbliżyć się do stacji od nocnej strony. Morza tego świata były ciężkie, ołowianoszare, a lądy w większości przykryte żółtymi, niezdrowo wyglądającymi chmurami, które lśniły i pulsowały od szalejących w nich burz. Niewielkie łaty lądu, które dało się dostrzec między chmurami, były jednolicie brązowe. Nie było tu zieleni. Lanoree zastanawiała się, jak wyglądała Stacja Greenwood w czasach, kiedy zyskała swoją nazwę... czy może to miano zostało jej nadane z przekory?

Tre siedział znowu obok niej w fotelu drugiego pilota. Od jakiegoś czasu rzadko się odzywał i Lanoree zaczęła się obawiać, że cierpi na chorobę przestrzenną. Jeśli rzeczywiście tak było, Twi'lek na nic jej się nie przyda i będzie go musiała zostawić na pokładzie "Rozjemcy" – a na to nie mogła sobie pozwolić.

Wiedziała już, co zrobi.

– Całkiem nieźle – odezwał się wreszcie, kiedy zaczęli prześlizgiwać się ku górnym warstwom atmosfery.

– Nie do końca. Będzie trzęsło. – Sprowadziła statek pod kątem ostrzejszym niż zazwyczaj, chcąc zejść tak szybko, jak to możliwe. Im więcej czasu zajmie ich lot, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś ich zauważy. Na ekranach skanerów widziała przynajmniej siedem innych jednostek, a każda kierowała się ku innej części planety; jednak jak dotąd komunikator milczał i nikt ich nie wywoływał. To jednak wcale nie znaczyło, że nie są namierzani, zresztą może ta pozostała siódemka miała pozwolenia na lądowanie.

Dziób "Rozjemcy" rozgrzał się od tarcia, a bijący od niego żar zniekształcał widok, aż wreszcie kompletnie go rozmył, iluminatory automatycznie zaślepiły

zasłony i Lanoree skupiła się na wyświetlaczach, wyczulona na najmniejsze oznaki kłopotów.

– Słowo daję – mruknęła. – Będzie trzęsło.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – prychnął Tre. – Nie martw się. Chyba tu zostanę, przypięty.

Nawet po sześciu dniach spędzonych w jego towarzystwie nadal jej przeszkadzało, że Twi'lek siedzi obok w kabinie, bo to oznaczało, że nie może już rozmawiać sama ze sobą.

"Rozjemca" zaczął dygotać jak w febrze, przedzierając się przez toksyczną atmosferę planety. Lanoree nakierowała go w lewo i pochyliła dziób jeszcze bardziej, zwiększając prędkość i kąt podejścia. Co chwila zerknęła na Trego, sprawdzając, jak sobie z tym radzi. Podróże kosmiczne były niczym w porównaniu z traumą, o jaką mogło przyprawić wchodzenie w atmosferę, jednak wbrew temu, co Twi'lek mówił wcześniej, wydawał się całkiem spokojny.

– Już prawie jesteśmy – mruknęła.

– To dobrze. – Odetchnął głęboko, jakby dopiero zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. – Wcale mi się to nie podoba.

Wreszcie najgorsze mieli za sobą i Lanoree wyrównała lot, prowadząc statek gładko nad powierzchnią Noksa. Czuła, jak "Rozjemca" reaguje spokojnie na jej komendy. Było gorąco, ale wyszli z tego obronną ręką i znowu panowała nad sytuacją.

Przemykali nad wybrzeżem jednego z największych kontynentów na tyle nisko, żeby uniknąć wykrycia radarem, ale nie aż tak, żeby narażać się na niebezpieczeństwo. Niebawem Lanoree skrzyła, kierując statek ku punktowi docelowemu.

Nie wiedziała, czy Dal i Patrzący w Gwiazdy już tam są – od chwili, kiedy weszli w atmosferę Noksa, zrozumiała, że lecą na ślepo.



Zniszczenia były gorsze, niż mogła sobie wyobrazić.

Lanoree pamiętała czasy Wojny Despotki – miała wówczas co prawda tylko trzynaście lat, wiedziała jednak, że nigdy nie zapomni widoku swoich rodziców opuszczających dom i skrywających pod fałszywymi uśmiechami ból na myśl o tym, że może ich dzieci wkrótce zostaną sierotami. Oglądała hologramy i słyszała wiadomości, jednak prawdy dowiedziała się dopiero po wielu latach. Wojna, kiedy trwa, kryje w sobie wiele niejasności – prawda wychodzi na jaw dopiero później.

Dowiedziała się na przykład, że Królowa Despotka Hadiya zjednoczyła baronów przestępczego świata Shikaakwy pod swoim charyzmatycznym

przywództwem, a potem spróbowała narzucić swoje wpływy reszcie skolonizowanych światów. Zaskakująco wiele z nich odpowiedziało entuzjastycznie na jej wezwanie do walki – obiecywała bezpieczeństwo, bogactwo i uwolnienie się spod jarzma Je'daii. Zaprzeczała istnieniu Mocy i demonizowała ją w oczach swoich wyznawców. Jej brutalne rządy trwały jednak krótko. Je'daii poprzysięgli reagować na każdy ruch wymierzony przeciwko nim i chronić tych, którzy nie chcieli się podporządkować rządóm Hadiyi.

Po okresie dziwnej wojny, kiedy to doszło do wielu drobnych potyczek w przestrzeni kosmicznej i na księżycach Kalimahra, Hadiya przeniosła wojnę na Tythona. W tajemnicy stworzyła potężną, świetnie uzbrojoną i opancerzoną armię, która wzięła Je'daii z zaskoczenia. Inwazja miała niespotykaną dotąd skalę, była brutalna, a walki zaciekle. Jednak Je'daii mieli po swojej stronie Moc i to wszystko, czego Hadiya nienawidziła, działało na jej niekorzyść. Kluczowy moment wojny był tragiczny w skutkach. Po śmierci Hadiyi w Kaleth i zwycięstwie nad jej wojskami wiele czasu minęło, zanim oszacowano rzeczywistą cenę konfliktu. Zginęło sto tysięcy Tythończyków, dziesięć razy więcej ludzi Hadiyi, a jeszcze więcej odniosło poważne rany. Obie strony poniosły dotkliwe straty, a pamięć o tych wydarzeniach wydawała się bolesna nawet teraz, ponad dziesięć lat później.

Lanoree miała przed sobą namacalny dowód.

Wiedziała, że kopuły produkcyjne na Noksie zostały zbombardowane przez Je'daii – zaatakowano je, bo dostarczały broń i pancerze dla żołnierzy Hadiyi – i widziała to na hologramach, jednak te obrazki były czymś nierealnym i odległym w porównaniu z rzeczywistością. Nic nie mogło jej przygotować na widok, jaki ujrzała na własne oczy. Była zaskoczona, jak skuteczny okazał się atak Je'daii. Chociaż wiele razy walczyła, Lanoree nie miała nigdy okazji uczestniczyć w prawdziwej wojnie na dużą skalę.

Nie wiedziała nawet, czym są pierwsze ruiny, które minęli. "Rozjemca" śmignął szybko obok nich, widać było jednak, że skala zniszczeń jest przytłaczająca. Miasto musiało mieć jakieś osiem kilometrów szerokości, jednak teraz niewiele zostało z jego pierwotnej kopuły ochronnej. Ruiny wyglądały jak osmalona, stopiona masa, w której tu i ówdzie lśniły jeziora stojącej wody, a gruzy budynków mierzyły oskarżycielsko w niebo.

Poczuła ulgę, kiedy minęli rumowisko i lecieli teraz nad połacią terenu nietkniętego przez okrucieństwo wojny, chociaż – jak wszystko tutaj – jałowego i skażonego. Niewiele było tu roślinności, a jeżeli nawet żyły jakieś stworzenia przystosowane do tych trudnych warunków, to żadne się nie pokazało.

Z prawej strony minęli kolejną kopułę, oddaloną o kilka kilometrów, jednak wciąż dobrze widoczną, jak blizna na oszpeconym krajobrazie. Każda blizna opowiada jakąś historię, pomyślała smętnie Lanoree. Jeżeli tak jest, to historia tej planety wydaje się naprawdę przerażająca. Z kopuły zostały tylko szczątki, pogruchotane i poczerńnięte od pocisków, a pod nią rozciągały się pozostałości

miasta. Wybuch, który wysadził kopułę w powietrze, musiał mieć ogromną siłę.

Strażniczka Je'daii wyczuła, że ogarnia ją poczucie bezsilności. Moc była hojna dla wszystkich, a jednak wciąż istniały powody, dla których ludzie rozpętywali konflikty, zadawali ból i zabijali... Tysiące ludzi mogło ukochać pokój i pragnąć dobrze przeżyć życie, ale wystarczył jeden trujący pęd, żeby rozprzestrzenić w społeczeństwie zarazę nienawiści. Ilu z miliona martwych żołnierzy armii Despotki żyłoby nadal, gdyby nie Hadiya? Możliwe, że większość. Część pewnie żywiła wobec Je'daii urazę i nie darzyła ich zaufaniem – może nawet nienawidziła – jednak bez charyzmy i determinacji kogoś takiego jak Hadiya takie uczucia pozostawały ukryte, rozproszone. Dopiero ona sprawiła, że znalazły ujście i splamiły ich ręce krwią miliona ofiar poległych po obydwu stronach tego konfliktu.

– Taki widok naprawdę daje do myślenia – mruknął Tre. W jego głosie brzmiał taki niepokój, że Lanoree zerknęła na niego z niedowierzaniem. To do niego nie pasowało. Pomyślała, że prawie zaczyna go lubić.

Zawinęła "Rozjemcą" i odnalazła na ekranie skanera Stację Greenwood. Stacja tętniła ruchem – statki startowały i lądowały, a wokół wielkiej kopuły uwijały się niezliczone transportowce. Jednak Lanoree zaniepokoiły sygnatury statków w jej pobliżu. Jeżeli Stacja Greenwood miała coś w rodzaju sił bezpieczeństwa czy regularnego wojska, finansowanego przez wielkie konsorcja przemysłowe, wkrótce namierzą jej "Rozjemcę".

A ona nie mogła na to pozwolić. Tajność jej misji miała kluczowe znaczenie. Jeżeli Dal i jego Patrzący w Gwiazdy dowiedzą się, gdzie i kiedy Lanoree się zjawi, natychmiast interweniują. To miejsce nie było tak cywilizowane jak Kalimahr i jej przeciwnicy nie muszą być przesadnie ostrożni.

Dwadzieścia sześć kilometrów od Stacji Greenwood dwa małe statki zwiadowcze wzbily się w niebo jeden kilometr od Lanoree i pospieszyły w stronę kopuły.

Zareagowała instynktownie, blokując łączność. Zdołała jeszcze usłyszeć wypowiedziane pełnym napięcia głosem słowa: „Greenwood Cztery? Greenwood Cztery, odbiór! Zbliży się Je'daii, statek typu "Rozjemca", to musi być ta, na którą czekaliśmy! Eskortujemy ją, ale nie zamierzam się w to pakować... co to, to nie, zostawimy tę robotę dla działek pulsacyjnych Greenwood...”

Rozłączyła się.

– Wydają się przyjaźnie nastawieni – stwierdził z przekąsem Tre.

Lanoree zignorowała jego drwiny. Musnęła panel kontrolny i system celowniczy obudził się do życia, nakładając na przedni iluminator lśniąca niebieskawo siatkę. Dwa statki zwiadowcze były na niej oznaczone na czerwono, a seria odczytów po lewej stronie sygnalizowała stan gotowości "Rozjemcy". Trzy linie szybko zmieniły kolor z białego na zielony – a więc celowanie, pociski plazmowe i działko laserowe były w gotowości.

– To jak będzie? – spytał Tre.

– Nie przyleciałam tu rozpętać wojny – syknęła Lanoree. – Słyszałeś, co mówili. Spodziewają się mnie. Dal musiał ich ostrzec, może nawet zataił powód mojej wizyty. Jeżeli Stacja Greenwood dowie się, że tu jestem, może to właśnie oznaczać wojnę. – Rozluźniła się i poczuła przepływającą przez nią Moc. Uspokoilo to jej nerwy i wyostrzyło zmysły. Lanoree przesunęła drążek w lewo, nacisnęła spust i jeden ze statków eksplodował w chmurze ognia i dymu.

Drugi zwiadowca zrobił unik, umykając w prawo w próbie wycofania się za "Rozjemcę", chociaż był szybki, nie został jednak zaprojektowany do podobnych skomplikowanych manewrów. Lanoree ruszyła za nim w pościg i kiedy osiągnął szczyt łuku i siłą rzeczy zwolnił, poczęstowała go salwą z działek laserowych. Skrzydło stateczku stanęło w ogniu i zwiadowca długą spiralą zaczął opadać na ziemię.

Lanoree zanurkowała za nim i dokończyła robotę. Nie było potrzeby, żeby pilot pojazdu cierpiał dłużej niż to konieczne.

Odetchnęła głęboko i pomyślała przelotnie o tych ludziach, których właśnie zabiła – ich przyjaciółach i bliskich, rodzinach i całym życiu. Je'daii byli szkoleni, żeby współczuć każdemu, kogo musieli zabić albo zranić, Lanoree jednak nigdy nie przypisywała tej zdolności Mocy. Dla niej był to zwyczajny, ludzki odruch.

– Świetny strzał! – pochwalił ją Tre. Zaklaskał i uniósł lekku nad głowę w triumfalnym geście.

– Właśnie zabiłam dwoje ludzi – przypomniała mu oschle Lanoree.

– Nie miałas innego wyjścia!

– To mi wcale tego nie ułatwiło. Wkrótce będziemy schodzić do lądowania. Część północnego sektora Stacji Greenwood została zbombardowana podczas wojny, więc tamtędy się do niej dostaniemy.

– To znaczy, że wylądujemy na zewnątrz kopuły?

– A co, uważasz, że powitają "Rozjemcę" w hangarach z otwartymi ramionami?

Tre tego nie skomentował i Lanoree w ciszy podprowadziła statek ku majaczącej w oddali kopule.



Statek opadł na ziemię przy akompaniamencie trzasków i kliknięć. Silniki teraz gasły i kadłub zaczynał stygnąć. Lanoree zazwyczaj lubiła tę część długich lotów; wyobrażała sobie, że "Rozjemca" wzdycha z zadowoleniem po dobrze wykonanej pracy i odpoczywa, zbierając siły do następnej podróży. Na razie jednak to nie był koniec misji.

Przebrała się w długą, obszerną szatę, pod którą mogła ukryć miecz i w której czuła się jak mniszka Dai Bendu.

– Gotów? – spytała Trego.

– Szczerze? – odpowiedział pytaniem Twi'lek. – Po tym wszystkim nadal uważam, że lepiej będzie, jeśli zostanę na pokładzie.

– Daj spokój, Tre. Powiedziałeś, że na moim statku śmierdzi. – Uśmiechnęła się i wpisała kod otwierający właz "Rozjemcy".

Opuszczeniu rampy towarzyszył syk. Do środka wdarł się podmuch wiatru. Nawet pod osłaniającą twarz maską Lanoree wydawało się, że czuje ostry swąd atmosfery tej planety – ale chociaż nie musiała wdychać tutejszych trujących oparów, widok jej to wynagradzał z nawiązką.

Wysiedli ze statku prosto w rozrzedzoną, żółtawą mgiełkę. Tre zszedł za nią po rampie z krzywo założoną na twarz zapasową maską, którą znalazła dla niego na pokładzie – została zaprojektowana dla człowieka, nie dla Twi'leka, jednak w tych okolicznościach musiała mu wystarczyć. Nie zamierzali przebywać na zewnątrz dłużej niż to konieczne.

Wylądowali w naturalnej niecce i Lanoree umiejętnie sprowadziła statek pod skalny nawis. Spoczywał teraz w cieniu, ale gdyby ktoś wiedział, gdzie i czego szukać, łatwo by go namierzył. Żałowała, że nie zdążyła jakoś go zakamuflować – chociażby przysypać piaskiem czy zasłonić cherlawymi krzewinkami, które rosły tu i ówdzie – jednak nie miała na to czasu. Była boleśnie świadoma upływu każdej sekundy, bo wiedziała, że z każdą chwilą Dal jest bliżej wcielenia w życie swojego szalonego planu.

Poleciała statkowi podnieść rampę i zabezpieczyć właz i odczekała, aż wykona rozkaz. Zanim właz został uszczelniony, dostrzegła wewnątrz Pancerniaka. Wiedziała, że droid będzie chronił statek, ale mimo to wciąż się martwiła. Cóż, niewykluczone, że znalazła się w najbardziej, jak dotąd, wrogim otoczeniu.

Stacja Greenwood wyglądała z daleka jak rozmyte przez wszechobecną mgiełkę półkole. Tre potwierdził, że wylądowali o świcie – Tythos był teraz niewyraźnym punktem tuż nad horyzontem, za kopułą. Atmosfera była tu tak bardzo zanieczyszczona przez tysiąclecia działalności przemysłu, że Nox wydawał się odrzucać swoją gwiazdę.

Lanoree wysłała na zewnątrz wici Mocy w poszukiwaniu najmniejszych oznak problemów. Rejestrowała okoliczne formy życia, jednak nie było ich wiele i żadna nie była inteligentna. Nie wyczuwała żadnego niebezpieczeństwa, chociaż wiedziała aż za dobrze, że nie powinna tracić czujności ani na chwilę. Zmysły miała maksymalnie wyostrzone i tak miało zostać już do końca jej wizyty na tym niegościnnym świecie.

– Miło tu – stwierdził z przekąsem Tre; maska tłumiała jego głos.

– Cicho – warknęła Lanoree. – Masz za dużo powietrza, że je niepotrzebnie marnujesz?

Ruszyli przez zniszczony krajobraz ku kopule. Według wszelkich źródeł Nox był kiedyś zielonym światem. Było tu znacznie cieplej niż na Tythonie, a wokół rosły gęste lasy, składające się z wysokich drzew o wielkich liściach, odbijających

światło słoneczne. U ich stóp tętniło życie. Panowała opinia, że tylko na jednej dużej wyspie Noksa mieszka więcej gatunków ptaków i ssaków niż na całym Tythonie. Jednak koloniści szybko zrobili użytek z bogatych złóż metali i pozornie niewyczerpanego źródła surowca drzewnego: budowali wielkie huty, zdolne przetapiać dziewięćdziesiąt procent metali wykorzystywanych w całym układzie. Przez tysiące lat większość lasów zmieniła się w popiół, a wraz z nimi zamieszkujące je stworzenia. Planeta została bezlitośnie spustoszona. Cały układ był jednak nowym, tajemniczym miejscem, a ci, którzy przybyli tu na pokładach Tho Yor, byli zdesperowani, by go podbić i uczynić swoim domem. Je'daii odnaleźli drogę na Tythona, a osiedleńcy z Noksa pozwolili, żeby wzięła górę chciwość. Smutne, ale teraz Noksa nie dało się już ocalić.

Ale resztki życia kurczowo trzymały się planety. Powstały nowe mutacje i teraz zostało niewiele zwierząt czy roślin, które żyły tutaj siedem tysięcy lat temu.

Drzewa zniknęły, a jedynymi roślinami, jakie tu rosły, były płozące się krzewinki o wąskich liściach, wysysających chciwie dwutlenek węgla ze zmalretowanego powietrza, i korzeniach zapuszczonych głęboko w poszukiwaniu składników odżywczych. Tu i tam przemykały małe jaszczurki. Lanoree zauważyła w pylistym podłożu ślady węża, chociaż nie udało jej się żadnego zobaczyć. Przypuszczała, że gady przebywają w ukryciu – pewnie większość z nich mieszkała pod ziemią, gdzie nie mogły ich zabić tutejsze powietrze ani kwaśne deszcze.

W połowie drogi do Stacji Greenwood Lanoree zaczęła swędzieć skóra, podrażniona w miejscach narażonych na bezpośredni kontakt z powietrzem.

W miarę jak zbliżali się do stacji i z mgły zaczęły się wyłaniać zabudowania, wyraźnie zobaczyli zniszczenia. Wrażenie było takie, jakby na kopułę nastąpiła wielka stopa, wgniatając ją i miażdżąc, a potem ktoś to wszystko podpalił. Zostały tylko osmalone krawędzie. Kiedy znaleźli się jeszcze bliżej Lanoree spostrzegła zwały powykęczonego metalu i stopionych paneli; całą konstrukcję wspierały grube słupy z szarej skały i toporne, ledwie ociosane kolumny. Wszystkie naprawy wykonano niedbale i chaotycznie, ale w końcu na Stacji Greenwood nie zajmowano się budową, tylko techniką, a dokładniej specjalizowano się w sprzęcie wojennym.

Je'daii podniosła dłoń i zatrzymała się przy jezioru wypełnionym żółtawą cieczą. Stacja Greenwood zajmowała im teraz połowę pola widzenia, a z tej odległości Lanoree mogła już dostrzec strzegące jej droidy strażnicze.

– Chcę do domu... – dobiegł ją stłumiony głos Trego.

– Zaraz będziemy w środku – obiecała Lanoree. – Ta kopuła jest... wielka. –

Oczywiście, wiedziała, jak dużych rozmiarów są miejscowe kopuły. Oglądała szczątki tych zbombardowanych przez Je'daii, widziała też wiele hologramów podczas pobytu w Padawan Kesh, jednak dopiero znalazłszy się tak blisko samej stacji, pojęła, jak ogromne są w rzeczywistości te konstrukcje. Nic nie mogło się równać z zobaczeniem ich na własne oczy.

Przestrzeń zamknięta przez wielką bańkę przeszkadzała we właściwej ocenie jej rozmiaru, prawda była jednak taka, że pod tą pokrywą, o ponadosiemkiłometrowej średnicy, znajdowało się miasto. Ściany kopuły wznosiły się pionowo, zakrzywiając się łagodnie w stronę centralnej iglicy, niewidocznej z tego miejsca i wyrastającej z wysokiej wieży. To tutaj miała swoją siedzibę rada rządząca miastem, mieszkali tam też lokalni potentaci i elita. U jej podstawy na ponad trzy kilometry w każdym kierunku rozciągały się fabryki, ulice i kanały, bloki mieszkalne i parki rozrywki tej potężnej aglomeracji. Z kopuły wyrastały niezliczone kominy, wypływające w atmosferę dym i parę, które wiatr gnał na południe.

– Jakoś niezbyt podoba mi się myśl o wejściu do środka – poskarżył się Tre. – Czy po prostu zastukamy do którejś z bram?

– Nie. Wślizniemy się po kryjomu.

– Przez Bliznę – odgadł Twi'lek.

– Skąd wiesz, że tak ją nazywają?

Wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że wszyscy o tym wiedzą.

Coraz bardziej podejrzliwa wobec Trego Sany, Lanoree poprowadziła ich ku zmiążdżonej kopule.



Chociaż bombardowanie miało miejsce dwanaście lat temu, większość terenu wciąż zaśmiecały szczątki. Ci, którzy przetrwali, naprawili pęknięcia i uszczelnili kopułę, jednak nikomu jakoś nie przyszło do głowy, by uprzątnąć gruz i śmieci z zewnątrz. Wyglądało na to, że cokolwiek znajduje się poza granicami Stacji Greenwood, nie ma dla jej mieszkańców znaczenia.

Na powierzchni kapsuły pełno było stanowisk obronnych – Lanoree widziała stąd działka pulsacyjne i moździerze plazmowe, rozmieszczone we wgłębieniach, ale nie przypuszczała, żeby byli w nich strzelcy. Słyszała o konfliktach między kopułami – czasem dotyczyły źródeł surowców, czasem interesów, innym razem nie wiadomo czego – jednak Stacja Greenwood była teraz tak dokładnie odcięta przez otaczające ją ruiny, że rzadko kto niepokoił jej mieszkańców.

– Musimy się wspiać na górę – powiedziała, wskazując ścieżkę prowadzącą przez gruzy. – Mam nadzieję, że znajdziemy włazy.

– W porządku – odpowiedział Twi'lek. – W drogę. Skóra mnie pali i swędzą lekku.

Zaczęli się przedzierać przez zwały śmiecia – sterty skalnych okruchów, powykręcane resztki materiału, z którego wzniesiono kopułę, i szczątki przejrzystej pokrywy, na wpół pokruszone, na wpół stopione. Materiał był

niezwykle gruby, a kawałki miały do trzydziestu metrów średnicy.

Wkrótce znaleźli się we wnętrzu zrujnowanej kopuły. Wokół panował coraz większy chaos; pośród zawalonych budynków, kawałów gruzu i poszarpanych szczątków tworzywa marsz stawał się coraz trudniejszy. Tu i tam utworzyły się niewielkie sadzawki – powierzchnia niektórych była pokryta tak grubą warstwą pyłu i popiołu, że wyglądały jak twardy grunt. Lanoree musiała raz wyciągać Trego z jednej z nich. Teraz Twi'lek, przesiąknięty do pasa cuchnącym szlamem, dygotał w podmuchach chłodnego wiatru.

– Tam – odezwała się w pewnej chwili Lanoree, wskazując stopień utworzony z części nadpalonej kopuły i metalu.

– Co takiego?

– Właz. – Sięgnęła tam Mocą, ale nikogo w pobliżu nie wyczuła. – Chyba nie jest strzeżony. Chodź.

Śluza stała się w pełni widoczna, dopiero kiedy znaleźli się kilka kroków od niej. Lanoree dała Tremu znak, żeby się zatrzymał i spróbowała otworzyć pokrywę włazu, ale nie udało się. Skrzywiła się i nacisnęła mocniej, aż wreszcie drzwiczki otworzyły się z potępieńczym jękiem. Chyba nie korzystano z nich zbyt często.

Lanoree cały czas miała świadomość, że Tre przypatruje się jej poczynaniom z mieszanką fascynacji i strachu, jednak nie dawała po sobie poznać, że to widzi.

Kiedy wchodzili do środka, wraz z nimi wdarł się podmuch powietrza. Lanoree zamknęła klapę i wkrótce różnica ciśnień została zniwelowana. Zapaliło się kilka światełek i powietrze nabrało przejrzystości, a po chwili spryskała ich wilgotna mgiełka. Po zakończeniu dekontaminacji Strażniczka machnęła ręką i wewnętrzny właz stanął przed nimi otworem.

Przygotowała się na wszystko. Jeżeli za drzwiami czekali na nich strażnicy, na pewno zaczną zadawać pytania i trzeba będzie szybko sięgnąć do ich umysłów, żeby zbić ich z tropu i uniemożliwić interwencję. Nie chciała nikogo zabijać, dopóki nie zostanie do tego zmuszona. Wiedziała jednak, że nie zawaha się przed niczym, jeżeli tylko dzięki temu znajdzie się o krok bliżej Dala – i od powstrzymania go. To była jej misja. Czasami musiała sobie przypominać, że tu nie chodzi tylko o poszukiwania dawno zaginionego brata.

Jednak nie natknęli się na strażników – w rzeczywistości nic nie wskazywało na to, żeby wejście było w ogóle monitorowane. Obskurny korytarzyk oświetlały migoczące lampy; po krótkim marszu dotarli nim do następnych drzwi.

Zdjęli już maski i Lanoree ukryła je najlepiej, jak umiała: pod obłuzowanym panelem sufitowym.

– Musieli to zbudować już po bombardowaniu – ocenił Tre. – Słyszałem, że Rada Stacji Greenwood usankcjonowała zabicie jednego Je'daii za każdych stu mieszkańców miasta zabitych podczas ataku.

Lanoree wiedziała o fali zabójstw, które miały miejsce dwa czy trzy lata po Wojnie Despotki. Strażników zwabiano w pułapki i mordowano, sabotowano

misje dyplomatyczne – dochodziło do tragicznych w skutkach wypadków nawet na samym Tythonie.

– Zginęło tu około dwóch tysięcy ofiar – podjął Tre.

– Coraz więcej wiesz o tej dziurze – zauważyła z przekąsem Lanoree. – Co skłania mnie do refleksji, czy przypadkiem nie masz tu do załatwienia jakichś interesów, o których nie wiem.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił ją.

– Ale załatwiałeś już tutaj jakieś sprawy, prawda?

– Tylko z konieczności.

Odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

– Zrób mi więc przysługę, Twi'leku. Pozwól mi załatwić moje sprawy bez wracania do przeszłości, dobra?

Tre uśmiechnął się przepaszając i skłonił głowę.

– Chodź – przynagliła go. – Tracimy czas.

Pokonali kilka prymitywnych korytarzy i przejść; wszystkie były puste i cuchnęły zastałym powietrzem. Lanoree była cały czas czujna i bardziej niż kiedykolwiek świadoma pokrępiającego ciężaru miecza ukrytego pod szatą.

Powietrze zgęstniało. Pojawił się odór spalenizny i rozgrzanego metalu, a także jakiś słodkawy zapach, być może rozpylony specjalnie, żeby zagłuszyć inne wonie. Kiedy przecięli duże, puste pomieszczenie, Lanoree usłyszała dobiegające z dala odgłosy miasta.

Za pustą salą krótki korytarz doprowadził ich do drzwi i nagle byli już na zewnątrz, we właściwej strefie. Stali na zboczu wzgórza, na skraju kopuły wewnętrznej. Rozciągał się stąd widok na rozległą, utrzymaną w ponurych barwach, a jednak na swój sposób piękną panoramę Stacji Greenwood.

– O rany! – mruknął stojący obok Tre i to jedno słowo przekonało Lanoree, że nigdy tutaj nie był. Jej cisnęło się na usta dokładnie to samo.

W oddali, kilka kilometrów przed nimi, wznosiła się masywna wieża centralna, od której odchodziły promieniście potężne, a jednak harmonijne łuki podpierające rozległą kopułę. Jej ciemna powierzchnia lśniła niezliczonymi światłami, prawdopodobnie oknami; większe punkty świetlne oznaczały zapewne hangary dla mniejszych pojazdów powietrznych, które roily się wokół w przestrzeni. Jeszcze dalej, ledwie widoczny z tej odległości, majaczył przeciwległy koniec kopuły, niemal osiem kilometrów od miejsca, w którym stali.

Wokół wznosiły się setki budowli, stojące wzdłuż alei punktowanych otwartymi placami – kiedyś pewnie były to parki, ale teraz służyły jako złomowiska i śmietniska, pełne zepsutych maszyn i niepotrzebnych części, ułożonych w sterty jedne na drugich. Tu i ówdzie płonęły ogniska, a dym z tych stosów był wchłaniany przez ruchome oczyszczalnie powietrza – lewitujące maszyny, odprowadzające zanieczyszczenia na zewnątrz przy użyciu długich, elastycznych rur.

Wszędzie było widać imponujących rozmiarów kominy, sięgające poza kopułę

– były ich setki, wszystkie przecinane jaskrawymi świetlnymi pasami we wszystkich kolorach. Dawało to dość oryginalny efekt. Widok wstrząsnął Lanoree i przez chwilę czuła, że serce bije jej przyspieszonym rytmem.

Jednak kiedy przyjrzała się bliżej budynkom, ulicom i magazynom, szybko uświadomiła sobie ich prawdziwe przeznaczenie. Wyjęła z sakwy pod szatą niewielką, ale mocną lunetę i zbliżyła ją do prawego oka.

U stóp zbocza, na którym stali, znajdował się parking pojazdów wojskowych. Wyglądały na nowe, jakby dopiero co zeszyły z linii produkcyjnej. Niektóre były duże i masywne, najeżone ciężkimi działkami i osadzone na wielkich kołach, inne – zwinne i małe – zaprojektowano raczej do rekonesansu niż otwartego ataku. Kilka miało z tyłu obłe owiewki, pod którymi ukryto balony, gotowe do napompowania w razie konieczności wycofania się w sytuacji awaryjnej. Były tu głównie pojazdy kołowe, jednak trafiały się i takie na gąsienicach. Niektóre miały też napęd repulsorowy, dzięki któremu sunęły tuż nad ziemią.

Dalej zaczynał się teren fabryki.

– Nie próżnują – zauważył Tre z niedowierzaniem dziwnie piskliwym głosem.
– Skąd taki popyt? To znaczy, kto potrzebuje tego wszystkiego? Wygląda, jakby szykowali się na wojnę.

– Zawsze jest zapotrzebowanie na takie rzeczy – oznajmiła gorzko Lanoree. – Niektórzy baronowie przestępczego świata Shikaakwy nigdy nie mają dość sprzętu. Kalimahr także ma swoje potrzeby. A na Ska Górze są miejsca, o których nawet Je'daii nie wiedzą zbyt wiele. Zawsze ktoś przygotowuje się do wojny.

Fabryki huczały aktywnością – niosły się wokół echa zgrzytów, szumów i trzasków. Powietrze przesyciła szarawa mgła, chociaż kominy odprowadzały na zewnątrz trujące gazy, będące produktami ubocznymi pracy, która wrzała tu nieustannie. Środkiem głównych arterii jeździły wagoniki pełne surowców albo załadowane gotowym sprzętem. Jakieś trzy kilometry od miejsca, w którym stali, jeden z pociągów zniknął w tunelu prowadzącym na zewnątrz. Wyglądało na to, że chociaż odcięta przez skutki wojny, Stacja Greenwood nadal brała czynny udział w imporcie i eksporcie międzyplanetarnym.

Powietrze przecinały drony serwisowe; Lanoree zauważyła, że w pobliżu trwają zaawansowane prace konstrukcyjne. Niektóre budynki remontowano albo przebudowywano, inne burzono, zaś z pozyskanych materiałów wznoszono nowe. Wokół nieustannie słychać było hałas robót – z ich punktu obserwacyjnego widziała co najmniej pięć placów budowy. Jednak, chociaż widok był wciągający, Lanoree ani na chwilę nie zapomniała o czekającej ich misji. Stacja Greenwood była liczącym niemal czterdzieści kilometrów kwadratowych terenem zabudowanym fabrykami, mieszkaniami, magazynami i kosmoportami. Jeśli nawet Dal i jego Patrzący w Gwiazdy rzeczywiście tu byli, ich odnalezienie stanowiło prawdziwe wyzwanie.

– Kwiaty pierścieniodrzewa – odezwał się w pewnej chwili Tre, wciągając głęboko powietrze.

– Co takiego?

– Nie czujesz? Pod tymi wszystkimi zapachami czuje się kwiaty pierścieniodrzewa. Pewnie używają odświeżaczy o tym zapachu, żeby zamaskować smród. To kwitnący krzew z Kalimahra. Piękny.

– Lubisz kwiaty – bardziej stwierdziła, niż spytała Lanoree.

– Chyba wszyscy je lubią.

Ten Twi'lek stawał się dla niej coraz większą zagadką. Miała nagle ochotę zapytać go o dotychczasowe życie, rodzinę, krewnych i wyciągnąć z niego prawdę.

– Znasz tu kogoś, prawda? – powiedziała zamiast tego. – Robiłeś tu interesy, więc musisz znać tutejszych mieszkańców.

– Już mówiłem, że nikogo nie znam.

– Ale nie zaprzeczysz, że tu byłeś?

Wyglądał na zmieszanego – jego lekko falowały niespokojnie i ocierały się o siebie, dopóki nie przypomniał sobie, że Lanoree potrafi odczytać ich ruchy. Jego czerwona twarz przybrała ciemniejszy odcień, a Lanoree miała wrażenie, że raczej ze wstydu niż z gniewu.

– O co chodzi? – spytała.

– Ci ludzie, z którymi się kontaktowałem... nie są zbyt mili.

– Nie spodziewałabym się tego po nich.

Tre Sana odwrócił wzrok i skinął z roztargnieniem głową, jakby rozmawiał sam ze sobą. Zmarszczył czoło i spojrzał znowu na Lanoree. Wyglądał, jakby właśnie podjął decyzję.

– Nie osądzaj mnie – poprosił cicho.

Uniosła brwi w niemym zdumieniu. Tre Sana nie sprawiał wrażenia osoby, którą obchodzi, co myśla o niej inni.

– Mówię poważnie – dodał. – Zaprowadzę cię do kogoś, jeżeli zdołam go znaleźć, jednak ta osoba jest... niezbyt sympatyczna.

– W porównaniu z tobą? – zażartowała i natychmiast pożałowała swoich słów. Tre nie zrobił nic, żeby zasłużyć na takie traktowanie.

– W porównaniu z nim jestem kosmicznym aniołem. To... szumowina. Niezależnie od tego, czy dzięki temu spotkaniu coś wskóramy, czy nie, nie oceniam mnie, proszę, po tej znajomości.

– Nie będę – obiecała Lanoree. – Ale dlaczego sądzisz, że potrzebuję twojej pomocy?

– A po co inaczej zabierałabyś mnie ze sobą? – Na jego twarz wrócił typowy, pewny siebie uśmiech i Lanoree sama była zaskoczona, jak bardzo ucieszył ją ten widok.



ROZDZIAŁ 10

PUSTE MIEJSCA

Duma to niebezpieczna słabość.

– Mistrz Świątyni Lha-Mi, Stav Kesh, 10 670 PTY

Spędzają jeszcze czternaście dni w Stav Kesh, a Dal jest czasem zabierany na nauczanie indywidualne. Lanoree to niepokoi. Chce mieć brata na oku, a kiedy są rozdzieleni, nie może nawiązać z nim kontaktu. Próbuje, ale on zamyka się na nią. Jedynie słabi psychicznie są zawsze otwarci na umysły Je'daii, a Dal w żadnym wypadku nie jest słaby psychicznie. Miał wiele lat, by nauczyć się powstrzymywać delikatne sondowanie swojej siostry.

Mistrzyni Kin'ade w dalszym ciągu uczy Lanoree i innych, ale wtedy, gdy Dal ma indywidualne zajęcia, zabiera go Mistrz Świątyni Tave. Wieczorami, kiedy Dal wraca do ich pokoju, Lanoree wypytuje go, gdzie chodzi i co robi.

– Przechodzę szkolenie z bronią – mówi Dal. – Dostrzegli we mnie talent do walki i Tave zajmuje się mną indywidualnie. – Jednak Lanoree widzi, że Dal sam w to nie wierzy. Kiedy grupa uczy się posługiwania bronią przy użyciu Mocy, trzymają go na uboczu. Być może boją się, że znów straci nad sobą panowanie i zrani kogoś blasterem.

Co gorsza, może sądzą, że wtedy zrobił to celowo.

Ostatniego dnia Mistrzowie Kin'ade i Tave prowadzą ich do Wielkiej Sali. Jest to komnata wydrążona w głębi góry; na przestrzeni stuleci obrosła legendą wśród Wędrowców. Mówi się, że ponad dwieście lat temu Mistrz Świątyni Vor'Dana walczył tu i zabił trzynastu Piaskowych Zabójców i że czasem, kiedy zawieje odpowiedni wiatr, pojedyncze ziarenka piasku świszczą jeszcze, ocierając się o pradawne kamienie.

Teraz sala jest chłodna i nieruchoma, oświetlona rzędami płonących żagwi i pogrążona w wyczekującej ciszy. Wędrowcy stoją wzdłuż jednej ze ścian, tak jak im przykazano, a Tave i Kin'ade szepczą do siebie, czekając na coś.

Co to ma być? – zastanawia się Lanoree. Zerka ukradkiem na catharskie bliźnięta, a one spoglądają na nią z uśmiechem. Łączy je szczególna więź, głębsza niż Moc, która niepokoi Lanoree. Odwraca wzrok w stronę Dala. Brat, spokojny i

rozluźniony, rozgląda się po sali, patrzy na gobeliny i kolekcję starej broni zawieszanej na hakach albo spoczywającej w gablotach pod ścianami. Zauważa jej spojrzenie i uśmiecha się.

– Mistrzynie Kin’ade... – mówi ona, ale Zabraczka unosi rękę, rozcapierzając palce.

Ktoś się zbliża. Lanoree wyczuwa to w Mocy. Po chwili w drzwiach po przeciwnej stronie sali pojawia się jakiś cień. Wchodzi Mistrz Świątyni Lha-Mi, zmierzając pewnym krokiem w stronę uczniów. Oboje Mistrzowie kłaniają się lekko, a potem Lha-Mi zatrzymuje się i przygląda Wędrowcom. Przez jakiś czas mierzy ich wzrokiem, a kiedy zatrzymuje się na niej, Lanoree czuje siłę jego spojrzenia. „Czasami miłość nie wystarcza”, powiedział jej Lha-Mi, ale dzisiaj nie ma żadnego szczególnego przesłania. Przenosi wzrok na Dała, a potem zerka na Mistrzów Tave’a i Kin’ade i wypowiada jedno słowo:

– Walczyć.

Dwójka Mistrzów nad wszystkim czuwa. Kiedy ktoś trochę za mocno wyprowadza cios, Mistrz Tave wkracza i przyjmuje na siebie część siły uderzenia. Kiedy seria nadmiernie energicznych pchnięć Mocą przetacza się po podłodze w kierunku Wookie, Mistrzynie Kin’ade zatrzymuje je i rozprasza niemal bez wysiłku.

Lanoree unika walki z bratem tak długo, jak się da. Wkrótce jednak staje ramię w ramię z Dałem, a kiedy wymieniają spojrzenia, dostrzega, jak bardzo mu się to podoba.

– Tu nie ma drużyn – mówi Dal. Rzuca się na nią w niezdarnym, ale przeprowadzonym z dużą siłą ataku alchaka, a to co dzieje się potem, na długo zapada jej w pamięć.

Pozwala mu się powalić. Upada i toczy się po podłodze, objając sobie plecy, biodra i łokcie. Wykorzystuje Moc, żeby uniknąć zderzenia ze ścianą. A kiedy wstaje, Dal naciera już na nią ponownie.

Uchyła się przed jego kopniakiem, wymija go, kiedy Dal rzuca się na nią z pięścią, podcina go, przydeptuje mu kostkę, a potem siada na nim okrakiem z uniesioną pięścią, gotową do zadania ciosu.

– Nie potrzebuję Mocy, żeby cię powalić, braciszku – mówi z uśmiechem. Stara się rozładować atmosferę, odwołując się do łączących ich więzi. Jednak oczy Dała są pełne gniewu.

Uderza ją w skroń i Lanoree upada na bok, bardziej zaskoczona niż obolała. Kopniak w żebra, kolejny cios w brzuch. Próbuje mu się wywinąć, ale on nie odstępkuje jej ani na chwilę. Dlaczego nie miałabym użyć Mocy? – zastanawia się Lanoree. Czy powstrzymuję się od tego tylko ze względu na jego wrażliwość?

Zadaje potężny i głośny cios, który odbija się echem po sali. Dal frunie w powietrzu z rozłożonymi szeroko rękami i nogami. Ktoś łapie go i upuszcza na podłogę, zanim uderzy o ścianę. Lanoree nie widzi kto to, ale domyśla się, że Tave albo Kin’ade.

Wstaje, trzymając się za głowę i próbując pokonać silny, pulsujący ból w

brzuchu. Czasem jednak nawet Moc nie jest w stanie ukoić takiego bólu, a w czasie swojego szkolenia nauczyła się ufać bólowi. Wie, że ma swoje uzasadnienie, a próby ignorowania go mogą prowadzić do poważniejszych urazów i jeszcze większego cierpienia.

– Wystawiasz się na ciosy – mówi Kin’ade i w pierwszej chwili Lanoree sądzi, że mówi do Dala, jednak Mistrzynie zwraca się do niej. – Powinnaś umieć przewidzieć te niezdarne ataki i odeprzeć je. Techniki alchaka, które stosuje twój brat, są w najlepszym razie elementarne, a w dodatku on nie posługuje się Mocą.

– Wiem – mówi cicho ona, zwrócona twarzą do Mistrzynie Kin’ade, lecz zerka z ukosa na Dala. On stoi po drugiej stronie sali, wygląda na przybitego i pokonanego.

– Stop – mówi Lha-Mi i walki ustają. Catharskie bliźnięta obejmują się, zakrwawione i uśmiechnięte. Wookie i Twi’lek podchodzą do siebie i poklepują się po plecach.

Lanoree patrzy w stronę Dala, ale on odwrócił się już do niej plecami.

Kin’ade idzie przodem, nic nie mówiąc. Lanoree podąża za nią, jak jej przykazano. Podejrzewa, że Mistrzynie prowadzi ją na ostatnie spotkanie z Lha-Mi, zanim jutro rano wyruszą w drogę. Nazajutrz ona i Dal mają rozpocząć długą, niebezpieczną podróż do Anil Kesh.

Świątynia Nauki leży ponad tysiąc kilometrów na wschód, na Talssie. Będą musieli pokonać Wyspy Księżycowe, żeby dostać się na Talss, a potem czeka ich jeszcze długi marsz przez dziką krainę. Lawa tryska tam z prastarych wulkanicznych tuneli, zbiega góry pokryte są jesionami, a w dolinach i wąwozach czają się dziwne, czasem zabójcze stworzenia. Jeszcze dziksza jest sama Anil Kesh, zawieszona nad tajemniczą i śmiertelną Otchłanią, wysoko w górach. Żadnemu Je’daii nie udało się zejść na jej dno i przeżyć, a wielu z tych, którzy próbowali, popadło w obłęd. Daegen Lok, Więzień Bogana, jest jednym z nich – jego fascynacja Otchłanią przyniosła mu zgubę. Jego historię opowiada się wszystkim młodym padawanom.

Lanoree cieszyła się, że spędzi trochę czasu sam na sam z Dałem. Teraz jednak jest też pełna obaw. Boi się o Dala, o to, czym on się staje i co może zrobić. Za wszelką cenę pragnie nie zawieść rodziców. I chociaż wciąż próbuje wierzyć, że jej brata można ocalić i przywrócić Mocy, w głębi duszy zna prawdę.

Jego dni na Tythonie są policzone.

– Zaczekaj tu – mówi Mistrzynie Kin’ade i kładzie rękę na ramieniu Lanoree. – Widzimy się po raz ostatni, przynajmniej na razie. Mam nadzieję, że twoja dalsza podróż przebiegnie szczęśliwie, Wędrowczym. Niech Moc cię prowadzi.

– Dziękuję ci za wszystkie nauki – mówi Lanoree.

Mistrzynie Kin’ade wygląda, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, a Lanoree jest zaskoczona, bo czuje emanujące z Mistrzynie wątpliwości. Potem jednak wyczuwa, że pokój, pod którym czekają, nie jest już pusty, a Kin’ade uśmiecha się tylko.

– Wejść – odzywa się głos, a Lanoree rozpoznaje Lha-Miego.

Ściany niewielkiego, sześciokątnego pokoju pokrywają portrety postaci, których Lanoree nie zna. Są tu istoty, najróżniejszych ras i kolorów, a gdzieś tam na ścianach widnieją też puste miejsca. Lha-Mi stoi w drzwiach po przeciwnej stronie pokoju.

– To wszyscy, których zawiodłem – mówi Mistrz Świątyni. – Wszystkie te istoty, Je'daii i nie tylko, którym sprawiłem zawód w ciągu swojego długiego życia. Pozostawiam ten pokój otwarty, żeby każdy mógł go zobaczyć, bo wszyscy musimy pamiętać, że nie jesteśmy doskonali. Duma to niebezpieczna słabość. Teraz jestem Mistrzem Świątyni, ale to nie chroni mnie przed popełnianiem błędów. Pod wieloma względami moje błędy są nawet większe, ponieważ ode mnie jako Mistrza Świątyni wymaga się więcej, a odpowiedzialność niesie z sobą większe ryzyko. – Lanoree nic nie mówi, tylko słucha. Lha-Mi nie oczekuje zresztą odpowiedzi. – Oczywiście to ja decyduję, czyje portrety tu umieścić – ciągnie starzec. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że są tu tacy, których nie ja zawiodłem, tylko oni zawiedli sami siebie. Inni z kolei mogliby wymienić nazwiska tych, których tu brakuje. – Przechadza się powoli po pokoju. – Są tu wolne miejsca, jeszcze nie zapełnione. Mam nadzieję, że kiedy będę starszy i bliższy śmierci, wciąż będę mógł zobaczyć tu fragmenty gołej ściany, ale... – Wzrusza ramionami i dotyka zimnego, gołego kamienia. – Nie chciałabyś zobaczyć tu portretu Dala – mówi Lha-Mi. – Dobrze się uczysz, wyróżniasz się doświadczeniem. Ale to właśnie twojej twarzy nie chciałbym zobaczyć na ścianie tego pokoju, Lanoree. Więc weź sobie do serca to ostrzeżenie. Jeśli je zignorujesz, poniesiesz konsekwencje, a ja uznam, że cię zawiodłem. Twój brat z każdym dniem jest coraz bardziej niezrównoważony i niebezpieczny. Uważaj na niego.

– Dobrze, Mistrzu Lha-Mi.

Starzec wzdycha.

– Były czasy, kiedy tacy jak Dalien... – Urywa.

– Co takiego? – dopytuje się Lanoree.

– Ciężkie czasy – mówi Lha-Mi. – Nieważne. Szczęśliwej podróży, Lanoree Brock, i niech Moc cię prowadzi.

Lanoree patrzy, jak Mistrz Świątyni odwraca się i opuszcza swoją salę wstydu, a po jego wyjściu przygląda się jeszcze przez jakiś czas twarzom na ścianach. Zastanawia się, co się z nimi wszystkimi stało. Nie żyją, zostali wygnani czy może uciekli z planety?

Ma nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

I przysięga sobie, że twarze jej i jej brata nie wypełnią żadnego z tych pustych miejsc.



W Stacji Greenwood Tre Sana stał się kimś innym.

Lanoree wyczuła to, kiedy wyszli na pierwszą ruchliwą ulicę, pełną sklepów, tawern i innych przybytków rozrywki. Nie zrobiła tego dzięki Mocy, bo cokolwiek Dam-Powl zrobiła Twi'lekowi, uczyniło go to niemal całkowicie odpornym na sondowanie Mocą. Zauważyła to po tym, jak się teraz poruszał. Jego postawa, jego zachowanie, interakcja z otaczającym światem subtelnie się zmieniły. Tre Sana, którego spotkała na Kalimahrze i z którym spędziła wiele dni, zamknięta na pokładzie "Rozjemcy", przemienił się w inną istotę; to przed nią ostrzegła ją Dam-Powl.

Stał się niebezpieczny.

Szli ulicą ramię w ramię, Lanoree z naciągniętym na głowę kapturem. Parę osób spojrzało na nich, ale tylko mimochodem. Większość była zbyt zajęta własnym życiem, by zwracać uwagę na kogokolwiek innego. Sprzedawcy wystawiali swoje towary na ruchomych straganach – jedzenie, napoje i rozmaite narkotyki, które dawały chwilową ucieczkę od paskudnej rzeczywistości. Stojący przed lokalami właściciele próbowali zwabić przechodniów obietnicami najlepszych drinków. A bliżej centrum przez cały czas kominy buchały dymem, huczały maszyny, ziemia drgała, a wielkie pociągi przetaczały się tam i z powrotem, wioząc surowce lub gotowe produkty. Mieszkańcy byli paliwem napędzającym miasto i Lanoree wyczuwała, że spokój i bezpieczeństwo mogą się lada chwila skończyć.

Gdy tak szli, wyteżęła wszystkie zmysły, szukając Dala. Nie była jednak pewna, czy w ogóle by go jeszcze poznała.

– Tam – powiedział Tre, wskazując przed siebie.

– Co tam?

– Punkt informacyjny. – Ruszył naprzód, odpychając na bok wysokiego mężczyznę, i wcisnął kilka guzików na skrzynce zamontowanej na krótkim, grubym słupku.

– Korzystałem z tego! – zaprotestował mężczyzna, niewykluczone, że był człowiekiem, ale jego twarz pochłonęła jakaś potworna narośl, a w jamach oczodołów lśniły sztuczne oczy.

– A chcesz, żebym skorzystał z tego? – spytał Tre. Uchylił połę kurtki, odsłaniając niewielki blaster przy pasku. Nawet nie wiedziałam, że go ma! – pomyślała Lanoree.

– Nosisz broń! – wykrzyknął mężczyzna. – W Stacji Greenwood nie wolno nosić...

Tre popchnął go mocno. Mężczyzna poleciał do tyłu, wymachując rękami, i wpadł na grupę kobiet w ciemnoczerwonych roboczych kombinezonach. Jedna z nich podstawiła mu nogę i wszystkie się roześmiały.

Tre odwrócił się w stronę punktu informacyjnego. Na jego małym ekranie widniał plan Stacji Greenwood. Tre postukał w klawisze, przybliżając jeden

sektor, a potem niewielką siatkę ulic. Zamigotało zielone światełko. Tre zamknął mapę i skinął głową w kierunku Lanoree.

– Znalazłeś tę szumowinę? – spytała Lanoree.

– Jego nie, ale kogoś, kto zna kogoś, kto go zna.

– Aha. Łatwizna.

Tre ruszył ulicą.

– Mogłeś poczekać, aż tamten skończy – powiedziała Lanoree, dołączając do Twi'leka.

– Zachowuję tylko pozory.

– Myślałam, że nie byłeś tu wcześniej.

– Nie byłem. Ale wiem, jak tu się trzeba zachowywać. Zaufaj mi.

Lanoree próbowała się uśmiechnąć, przewracając oczami, ale Tre nawet na nią nie spojrział.

Ktoś wpadł pod pociąg. Lanoree zauważyła poruszenie, kiedy zbliżali się do szerokiej drogi prowadzącej do wylotu tunelu pod dolną krawędzią kopuły. Jakaś kobieta krzyczała rozpaczliwie, a wokół makabrycznej czerwonej smugi na chropowatej powierzchni drogi zebrał się mały tłumek. Większość przechodniów mijała ją pośpiesznie. Pociągi musiały być duże i ciężkie, bo z ciała niewiele zostało.

– Nie ma tu żadnej ochrony? Żadnej pomocy? – spytała Lanoree.

– Jest, jeśli cię na nią stać – odparł Tre. – Ale Stacja Greenwood jest jak każde inne miasto na Noksie. Rządzą nią Korporacje. To one stanowią prawo i wszyscy pracują dla nich. Służby bezpieczeństwa zajmują się zabezpieczaniem produkcji, ochroną członków Korporacji, z których większość mieszka pewnie w centralnej wieży, i obroną miasta przed atakami ze strony innych miast.

– Wciąż do nich dochodzi?

– Częściej, niż sądzisz. Chodź. Nie ma na co patrzeć. – Poszli dalej, a Lanoree rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w kierunku rozpaczającej kobiety.

– Przypomina Shikaakwę – zauważyła Lanoree.

– Och, nie jest nawet w połowie tak uporządkowana – odrzekł Tre.

Minęli szerokie tory kolejowe i znaleźli się w dzielnicy położonej bliżej centralnych obszarów przemysłowych. Ziemia drżała tu od nieustannych wibracji, a budynki mieszkalne dla robotników były znacznie bardziej uporządkowane. Po ulicach chodzili ubrani na czerwono robotnicy, zmierzający do pracy albo wracający z niej; gdzieś widać było grupki uzbrojonych strażników, którzy wypatrywali kłopotów, choć najwyraźniej żadnych się nie spodziewali. Ostentacyjnie eksponowali broń i wszyscy wyglądali nieprzyjaźnie.

Lanoree dotknęła swojego miecza, pochylając nisko głowę. Małe były szanse, żeby ktoś po samym wyglądzie rozpoznał w niej Je'daii, ale nie potrafiła tak łatwo odciąć się od tego, kim była. Obawiała się, że zdradzi ją spojrzenie albo wyraz twarzy.

– Tutaj – oznajmił Tre, wskazując głową na szary wieżowiec mieszkalny. – Nie

szumowina tu mieszka, ale jego współnik. Równie nieprzyjemny.

– Nie mogę się doczekać – prychnęła Lanoree.



Wewnątrz budynku pokonali czternaście piętér schodami, bo winda była zepsuta, a kiedy Tre zapukał do drzwi, nikt nie odpowiedział. Lanoree wyważyła je więc kopniakiem. Ktoś, kto nasłuchiwał przy drzwiach po drugiej stronie, poleciał do tyłu, potknął się o jakiś mebel i przewrócił, rozsypując dawki narkotyków i przewracając butelki z jakimś cuchnącym napojem. Lanoree, pomagając sobie Mocą, wepchnęła drzwi z powrotem w zniszczoną framugę.

– No cóż – powiedział Tre. – Lanoree, poznaj Domma, mojego pośrednika.

– Widzę, że ciągle obracasz się w dobrym towarzystwie, Tre Sana – odezwał się z Domm z podłogi.

– Ona teraz praktycznie drzemie – odparł Tre, płynąc z prądem. Lanoree była pod wrażeniem. – Nie chciałbyś jej zobaczyć rozbudzonej i wściekłej.

– Potrafię rozpoznać Je'daii.

Lanoree w mgnieniu oka znalazła się przy leżącym mężczyźnie i przycisnęła mu do gardła miecz, zanim zdążył wziąć kolejny oddech.

– To też poznajesz? – spytała.

– Nie – zaprzeczył Domm. Był Zabrakim; twarz miał zniekształconą przez straszliwe rany, które pozostawiły siatkę blizn. Jego oddech śmierdzał chemiczną stęchlizną. – Ale mój ojciec by poznał. Dwanaście lat temu jeden z waszych uciął mu głowę.

– Gdzie?

– W Kaleth.

– W takim razie nie powinien się tam znaleźć – stwierdziła Lanoree. – Broniliśmy swoich. Tak jak ja teraz. A wiesz, że Je'daii w samoobronie chętnie ucinają głowy. – Przycisnęła mocniej miecz, wiedząc doskonale, jaki wystarczy wyrzucić nacisk, żeby nie przeciąć skóry.

– Szukam Maxhagana – odezwał się Tre.

– No i?

– Daj spokój, Domm.

– Sam go znajdź.

– Jeśli powiesz, zaoszczędzisz nam trochę czasu – wtrąciła Lanoree. – Nie bądź jak twój ojciec.

Błysk sprzeciwu zastąpił strach w oczach Domma. Zdołał nawet się uśmiechnąć mimo nacisku miecza.

– Nie zarzniesz mnie ot tak, po prostu – rzucił.

Owszem, zarźnie, podsuwała mu w myślach Lanoree. Jest wredna i

zdesperowana i utnie mi głowę bez mrugnięcia okiem.

Uśmiech przygasł na twarzy Domma. Zabrak spoglądał nerwowo to na Trego, to na Lanoree. W końcu uśmiechnął się z rezygnacją. Opadł z niego gniew, a Lanoree zastanawiała się, czy naprawdę przejmował się swoim zmarłym ojcem. Może to był tylko dobry pretekst do nienawiści.

– Pozwól mi wstać – poprosił Domm.

– Nie.

– Muszę wstać, żeby...

– Nie – powtórzyła Lanoree. – Wstaniesz, udasz, że ci słabo, i oprzesz się o tamtą szafkę. A potem spróbujesz odwrócić naszą uwagę i wyjąć schowany w niej blaster. Może nawet uda ci się oddać jeden strzał. Ale potem zginiesz i tylko narobisz mi kłopotu. Więc nie, nie wstaniesz. A teraz uważaj: nacisk miecza będzie się zwiększał dotąd, aż powiesz nam, gdzie możemy znaleźć Maxhagana.

Domm wybałuszył oczy, słysząc swoje własne myśli wypowiedziane na głos.

Lanoree się uśmiechnęła.

– Cóż, gdybyś potrafił czytać w myślach, wiedziałbyś, że mówię prawdę. – Oparła się na mieczu, przyciskając ostrze do bliznowatej tkanki na jego szyi. Skóra pękła. Popłynęła krew.

– Dzielnica Szósta – wycharczał Domm. – Rynek. Prowadzi stragan... z importowaną wodą.

Lanoree zmarszczyła brwi, ale nie wyczuła kłamstwa w słowach Domma.

– Najciemniej pod latarnią – zauważył Tre. – Myślę, że mówi prawdę.

– Tak – zgodziła się Lanoree. Zaczęła cofać miecz.

– Powinnaś go zabić – oznajmił Tre. Mówił lekkim, pozbawionym emocji tonem.

– Zabić?

– Wie, że jesteś Je'daii. Wie, że tu jesteśmy. To nas stawia w niekorzystnej sytuacji. Wystarczy, że skontaktuje się z kimkolwiek w Stacji Greenwood, i znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Lanoree nie spuszczała wzroku z mężczyzny leżącego pod jej mieczem. Niegdyś ta klinga przecinała ciała wielu przeciwników, ale zawsze w walce. Zestrzeliwanie pilotów też było nieuniknione, chociaż ich śmierć sprawiała jej ból. Nie miała w zwyczaju zabijać z zimną krwią.

– Jest inny sposób – zdecydowała. Schowała miecz do pochwy i usiadła okrakiem na klatce piersiowej Domma. Nie ruszał się; chyba wyczuwał, że to jeszcze nie koniec.

– Nie mamy czasu! – zawołał Tre.

– To nie potrwa długo.

Lanoree wyciszyła się, przywołała Moc i przypomniała sobie twarz i głos Dam-Powl. „W niektórych istotach to, w czym ty i ja celujemy, budzi niepokój, ale oni nie pojmują tego potencjału. Utrzymuj kontrolę, zachowuj równowagę, a ten ktoś będzie ci dobrze służył”.

Lanoree poczuła potęgę Mocy; przepływała i wirowała wewnątrz i wokół niej, uosabiana przez Ashlę i Bogana. Ich przyciąganie i odpychanie było idealnie zrównoważone, a Lanoree unosiła się w stanie nieważkości, zawieszona pomiędzy nimi. Uniosła warstwę kurzu z podłogi i wybrała cztery cząsteczki, które stały się jej sługami. Koncentrując się na nich, powiększyła je w swoich oczach, wpoila im szczyptę Mocy i rzuciła prosto w zwrócone ku górze oczy Domma.

Zabrak zamrugął i krzyknął, ale nie mógł się ruszyć. Oczy zaczęły mu łzawić. Zacisnął powieki, ale było już za późno.

– Zaczekam na zewnątrz – odezwał się Tre tonem, który przypominał głos dziecka bojącego się ciemności. Lanoree miała zamknięte oczy, więc nie widziała, jak Tre wychodzi.

– Spokojnie, spokojnie... cicho – wyszeptała, napierając delikatnie Mocą, a Domm znieruchomiał pod nią. Cząsteczki kurzu przeniknęły w głąb jego oczu i zagłębiły się w mózgu. Lanoree pociemniało przed oczami, kiedy poczuła intensywny, obejmujący dotyk jego ciepłego, mokrego wnętrza. Odnalazła miejsca, których szukała, i zatrzymała się, zbierając siły i naginając Moc do swojej woli. To była najbardziej ryzykowna część operacji. Czuła wiszącego nad nią Bogana, nadciągającą ciemność i naruszoną równowagę. Wokół niej gromadziła się energia. Lanoree oddychała głęboko, próbując pohamować zalewające ją ekstatyczne doznania. Przyjemność panowania. Ekstazę mroku.

Kurz przekształcił się w wysłanników jej woli, a Domm zaczął się dusić, gdy ta wola się wypełniała.

Spokojnie, pomyślała Lanoree, tym razem zwracając się do siebie. Bogan rósł, stawał się coraz większy i cięższy, a ona poczuła nieodparty powab mroku – wolność od przymusu, rozkoszowanie się władzą.

Zdołała powrócić do równowagi. Trudno było odrzucić Bogana, ale ostatecznie jej się udało. Uczucie pustki wydawało się przez jakiś czas oszałamiające, ale szybko minęło.

To był jej dar, tak tłumaczyła Dam-Powl. Alchemia ciała, choćby nie wiadomo jak drobny był element tego ciała. Przekształcenie, przeobrażenie. Lanoree starała się pohamować uczucie dumy ze swojego osiągnięcia. Nie używała eksperymentu na swoim statku od początku tej misji, ale nie zapomniła nic z tego, czego się nauczyła.

Wstała znad Domma i podeszła do drzwi, które Tre zostawił otwarte, wychodząc.

– Załatwione – oznajmiła, a z korytarza odpowiedział jej głos Trego:

– Miałaś twarz Dam-Powl. Z całym jej mrokiem.

– I jej opanowaniem – dodała Lanoree. Oczywiście, Dam-Powl musiała przeprowadzić na Trem podobny zabieg. Jednak Lanoree nie przejmowała się tym, że może go przestraszyć. Strach Trego mógł jej się nawet przysłużyć.

– Czy on...?

– Wypaliłam mu pamięć. Przez jakiś czas niczego nie będzie pamiętał, nawet

własnego imienia. – Domm wiał się po podłodze, próbując wstać.

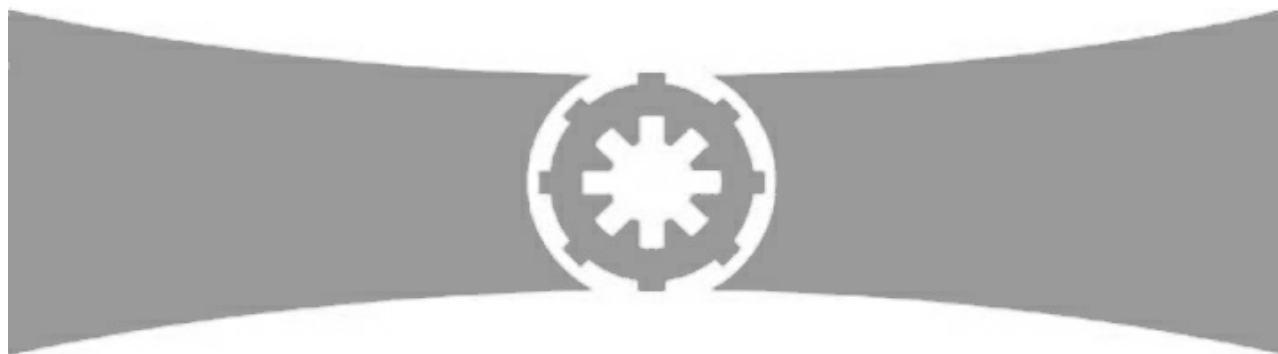
– Przez jakiś czas? – powtórzył Tre.

– Nie wiem jak długo. – I rzeczywiście nie wiedziała. Mogło to trwać raptem parę dni, a może znacznie dłużej, zanim dojdzie do siebie, a w jego umyśle pozostanie mroczny cień w miejscu, gdzie pamięć po tym, co zaszło, zamieniła się w zwęgloną pustkę. – Lepsze to niż morderstwo.

– Skoro tak twierdzisz. – Tre stał w korytarzu, oparty plecami o ścianę.

– Mam nadzieję, że wiesz, gdzie jest rynek w Dzielnicy Szóstej – powiedziała.

Tre pokiwał głową. Tym razem na jego twarzy nie było uśmiechu.



ROZDZIAŁ 11

NIEWOLNICY

Są tam otchłanie.

– Osamael Or, około 1000 PTY

Częścią pielgrzymki każdego Wędrowca jest nauka przetrwania w dziczy, więc teraz polują.

Lanoree skrada się przez las olbrzymich grzybów, oddychając przez usta, żeby mięsista woń nie wpływała na jej zmysły. Jej kroki są zupełnie bezgłośne; potrafi wyczuć obszary pokryte wyschniętą skórą grzybów, która mogłaby zaszeleścić pod jej stopami, albo miejsca, gdzie zagłębienie w ziemi przykryte jest mchem. Jej oddech jest lekki i powolny, a umysł połączony ze zwierzyną, którą jest niewielki ssak. Czuje jego przyspieszone tętno i oddech, a gdy się bardzo skupi, widzi jego oczami. Jego percepcja jest zupełnie inna niż jej. Wszystko, co widzi, okrywa Moc.

Dawniej niepokoiło ją, że przyroda na Tythonie jest tak bardzo zespolona z nurtami Mocy. Nauczyła się jednak, że to tylko bierna relacja. Jedynie Je'daii potrafią okiełznać Moc i wykorzystać ją do wielkich czynów.

Stopniowo zagania ssaka do płytkiego wąwozu, poza gąszcz różowych grzybów, które porastają jedną ze ścian, i wtedy dostrzega przed sobą nagły ruch.

W oddali słychać gwizd i Lanoree wbiega między mlecznobiałe pnie. Rozkoszuje się bezszelestnym ruchem, wietrzykiem, który rozwiewa jej rozpuszczone włosy, ociekającym z czoła potem. Kiedy dociera na skraj wąwozu i spogląda w dół, Dal trzyma w górze zwierzę przebite włócznią, którą sam wykonał. Lanoree się uśmiecha. Tworzymy zgrany zespół, myśli. Ale potem znów odzywa się znajomy wyrzut sumienia.

Są sześć dni drogi od Stav Kesh i z każdą upływającą chwilą Lanoree uświadamia sobie, że sama się okłamuje.

Jej brat nigdy nie przyjmie Mocy ani nie dostosuje się do jej zmiennych nurtów.

Dal w milczeniu obdziera zwierzę ze skóry, patroszy i oporządza, następnie rozpala ognisko i zaczyna piec mięso. Wszystkie jego ruchy są wprawne i

metodyczne. Tak szybko się uczy! Lanoree przypomina sobie zasłyszana niedys rozmowę swoich rodziców. „On jest jak gąbka – powiedział jej ojciec. – Każde jego pytanie, na które odpowiadam, prowokuje dwa kolejne. Jego głód wiedzy jest nienasycony. Kiedyś będzie z niego wspaniały Je’daii”.

Lanoree czuje smutek na myśl, jak bardzo mylili się jej rodzice.

Zdolności Dala skrywają głęboką próżnię. Mroczną próżnię w jego wnętrzu, gdzie według wszystkich powinna mieszkać Moc. I w końcu, gdy on zaczyna podawać mięso ze słodkimi warzywami, które zebrali wcześniej, Lanoree zadaje mu pytanie, które nie dawało jej spokoju:

– Jesteś smutny?

Dal podaje jej talerz. Jedzenie pachnie wspaniale. Jego wyraz twarzy się nie zmienia; doskonale wie, co siostra ma na myśli.

– Jedz obiad – mówi. – Przed nami długa droga.

– Jesteś smutny? – pyta znów ona. – W Stav Kesh zachowywałeś się jak... dziecko, które zazdrości innym lepszych zabawek.

Dal unosi brew, a potem wybucha śmiechem.

– Tak uważasz? – pyta.

– No...

– Naprawdę sądzisz, że ci zazdrościsz? Że zazdrościsz matce i ojcu, i tym, z którymi się tam szkoliliśmy? Zazdrościsz tego, że nikt z was nie jest panem samego siebie?

– Ależ jesteśmy.

– Nie! – Odstawia talerz i wstaje, nie wściekły, ale poirytowany. – Nie, wcale nie. Jesteście niewolnikami Mocy. Może wam się wydawać, że ona służy wam, ale to wy służycie jej. Nie macie własnych myśli, bo zawsze w głowie macie Moc. Nigdy sami nie walczyście, bo Moc walczy za was.

– To nie tak, Dal, to...

– No cóż, ja tak to widzę – mówi Dal. – Obserwuję cię, kiedy jej używasz, i wtedy nie jesteś sobą. Nie jesteś moją siostrą.

– Myślałam, że wiem, co jest dla ciebie dobre – tłumaczy ona.

– Ale nie wiesz! Tylko ja mogę o tym decydować! Nasi rodzice, ty, Mistrzowie, którzy nas szkolili, wszyscy mi mówią, kim mam być, chcą mi coś narzucać. Ale ja jestem panem samego siebie. Panem swojego losu! – Jego oczy rozszerzają się, podobnie jak jego uśmiech. Ale Lanoree nie widzi w nich szaleństwa czy wściekłości, tylko radość.

– Co zamierzasz? – pyta.

Dal spogląda na ciemne niebo, na którym pojawiają się już gwiazdy, a Ashla i Bogan wyglądają zza zasłony chmur. W górze krążą setki światełek – satelitów i statków kosmicznych, unoszących się wysoko ponad atmosferą Tythona.

– Zamierzam nauczyć się jak najwięcej – odpowiada – w każdej Świątyni, jaką odwiedzimy. A potem polecę w gwiazdy.

– W gwiazdy?

– Odnajdę drogę do domu. – Nie mówi nic więcej, a Lanoree ogarnia nieodparty smutek na myśl, że ich wspólny dom Dalowi nie wystarczy.



Pięć dni później, po przebyciu wschodnich krańców Kato Zakar – gdzie lasy grzybów ustępowały miejsca mokradłom, a te z kolei zamieniały się w piaszczyste wydmy, ciągnące się kilometrami w stronę morza – zbliżają się do wybrzeża, z którego widać na horyzoncie pierwszą z Wysp Księżycowych. Sto kilometrów i siedem wysp dalej znajduje się kontynent Talss.

Chociaż rozmawiają ze sobą i podróżują wspólnie, dystans między nimi rośnie z każdym dniem. Lanoree to czuje i rozumie, że Dal również to czuje. Tyle że on jest z tego zadowolony.

Dal oddycha głęboko. Pobudza go energia oceanu i gwałtowność fal.

– Piękne! – mówi. – Widziałaś kiedyś coś tak pięknego, Lanoree?

Pada deszcz. Morze uderza o piaszczysty brzeg, o ciężkie wydmy, na których stoją, istniejące ledwie chwilę w życiu Tythona. Na falach lśni poświata wschodzącego słońca, woda mieni się blaskiem niezliczonych drobnych stworzeń. Lanoree czuje pod stopami potęgę natury. Jest onieśmielająca i... tak, piękna.

– Niesamowite – przyznaje.

– Twoja Moc może się schować, co? – Uśmiecha się, a morska bryza unosi ściany deszczu, które rosą mu włosy.

Lanoree nie odpowiada, chociaż mogłaby. Mogłaby mu powiedzieć, że siła, którą czuje, to właśnie Moc, bo to ona przenika morze, podobnie jak powietrze i skały, rośliny i glebę, zarówno żywe stworzenia, które latają, biegają i pełzają, jak i te martwe, które gniją w ziemi albo pod falami. Mogłaby mu to wszystko powiedzieć, ale on by nie słuchał. Co gorsza, nie zrozumiałby.

Zamyka więc oczy, a deszcz i morze zraszają także ją.

Później w nadbrzeżnym porcie Ban Landing jakaś kobieta proponuje im przeprawę na Talss.

– Ławice żelryb zapuściły się w tym roku dalej na południe niż kiedykolwiek – mówi. Nie przedstawiła się, ale na pasku nosi gwiazdę Strażniczki. – Byłam na Wyspach Księżycowych siedem razy i za każdym razem te ryby atakowały statek, którym płynęłam. Zalecałabym regularną przeprawę, Wędrowcy. Te większe statki mają specjalne zabezpieczenia, które chronią je przed wszystkim, na co mogą się natknąć w Kanale Księżycowym, a jeśli popłyniecie sami, to zdobędziecie tylko małą żaglówkę.

– Płyniemy sami – mówi Dal. – Co, Lanoree? W końcu podróżujemy, żeby się uczyć i badać.

Strażniczka protestuje, jednak Lanoree dostrzega błysk szacunku w jej oczach.

Być może w czasie własnej Wielkiej Wędrówki zrobiła tak samo, chociaż o tym nie wspomina.

Spędzają noc w Ban Landing, w prostym baraku blisko nabrzeża. W drewnianych belkach podtrzymujących dach wyryte są tysiące imion Wędrorców z minionych lat, którzy także zatrzymywali się tutaj przed niebezpieczną przeprawą przez Wyspy Księżycowe na Talss. Lanoree szuka imion rodziców, ale ich nie znajduje.

Później Dal siedzi na tarasie otaczającym barak. Pół kilometra dalej wielkie fale rozbijają się o plażę. W świetle gwiazd widać tylko ich wirujące, mieniające się grzbiety niczym olbrzymie węże wijące się w ciemności. Ale Lanoree obserwuje swojego brata, który leży na plecach z rękami pod głową, patrząc w górę.

– Zjesz coś? – pyta Lanoree. Dal bierze talerz, który mu przyniosła, i dziękuje skinieniem głowy. – Będzie niebezpiecznie.

– Nie bój się, siostrzyczko – mówi Dal, chociaż jest od niej młodszy. – Będę się tobą opiekował.



Podróż przez Kanał Księżycowy trwa raptem trzy dni, ale Lanoree zapamiętają na zawsze.

Morze jest spokojniejsze, kiedy wyruszają o świcie następnego dnia. W porcie czeka na nich Strażniczka, która opowiada, jak w czasie wcześniejszych przepraw wykorzystywała Moc, by oddalić zagrożenie ze strony morskich stworzeń – przede wszystkim śmiertelnych żelryb. Potem życzy im powodzenia.

Płyną od wyspy do wyspy, zatrzymując się jedynie, żeby napełnić wodą manierki. Śpią krótko na lądzie, a resztę czasu spędzają na wodzie.

W połowie drogi rozpętuje się sztorm. Ławica żelryb uderza o ich łódź i zaczyna wspinać się po kadłubie. Ich toksyczne macki smagają powietrze, szukając skóry i ciała. Lanoree spycha je z powrotem do morza, używając Mocy. Dal rozbija blasterem całe grupki, zanim jeszcze dosięgną łodzi. Ławica odpływa.

Ale nie są jeszcze bezpieczni. Nie wiadomo skąd pojawia się wąż morski i omal nie wywraca łodzi. Ma głowę wielkości ludzkiego tułowia i zęby ociekające jadem. Lanoree tumani zwierzę, dotykając jego umysłu, a Dal przebija je kilka razy bosakiem. Wąż wyslizguje się i ucieka, a Lanoree wyczuwa, że zanurza się głęboko, szukając jakiejś ciemnej jamy, w której mógłby się ukryć i wylizać rany.

Walczą razem, stawiając czoło niebezpieczeństwom Tythona i opierając się jego sztormom.

Ale kiedy docierają w końcu do Talssa i schodzą na ląd w niewielkim porcie, Dal bez słów a porzuca zacumowaną łódź. Uważa, że nie ma czasu do stracenia, że nie ma sensu zatrzymywać się na odpoczynek. Tak jakby w Anil Kesh coś na

niego czekało i chciał się tam jak najszybciej dostać.

Nad Talssem przetaczają się burze. Rzęsisty deszcz spada na nich jak grad małych kamyków, strzelają pioruny, a Lanoree czuje zawirowania w Mocy. Burza Mocy sprawia, że robi jej się słabo. Dal chwytą ją pod rękę i pomaga iść. Lanoree wyczuwa w bracie nowy przypływ determinacji i żałuje, że nie wie, skąd się ona bierze.

Świątynia Nauki znajduje się dwa dni drogi w głąb lądu.



– Nazywa to Siecią – poinformował ją Tre. – To luźna grupa łączników, informatorów i szpiegów, nie tylko na Stacji Greenwood, ale w niemal każdym krytym mieście na Noksie. A czasem poza miastem. Na tyle luźna, że jakakolwiek wyrwa w Sieci chroni wszystkich innych. Wszelkie zaburzenia w jej ogniwach powodują odcięcie pozostałych. To naprawdę genialne. – W jego głosie słychać było niemal szacunek. – Maxhagan budował ją latami i nie będzie chciał jej narażać, o ile nie zadbamy, żeby mu się to opłaciło.

– A ty poznałeś Maxhagana? Korzystałeś z jego Sieci?

– Nie i nie. Ale robiłem z nim interesy.

– Co ty właściwie...

– W tej chwili to nim się powinnaś interesować – stwierdził stanowczo Tre. – Mówię poważnie, Lanoree. Lubię cię. Mam mroczne karty w swojej przeszłości i z pewnością Dam-Powl dała ci to do zrozumienia. Ale z Maxhaganem nie ma żartów. To prawdziwy szaleniec. Potwór.

Przeszli skrzypiącym mostkiem nad cuchnącym, zanieczyszczonym kanałem i znaleźli się w Dzielnicy Szóstej. Na jej końcu znajdowała się wieża z kamienia i metalu, która pełniła funkcję centralnego wspornika Stacji Greenwood. Każdy z gigantycznych, zakrzywionych kręgosłupów ogromnej kopuły łączył się z iglicą wieży. U podstawy była tak szeroka, że obejście jej zajęłoby pół poranka, jej wierzchołek zaś zasłaniały obłoki dymu i pary. Wokół wieży krążyły statki, zarówno sterówce, jak i mechaniczne. Było tam nawet trochę zieleni, jak zauważyła Lanoree. Z balkonowych ogrodów spadały płatki i liście, które niezliczone stopy wdeptywały zaraz w chodnik. Zupełnie jakby ci z wieży drażnili resztę populacji tym, co mieli.

Sama Dzielnica Szósta stanowiła mieszaninę dużych budynków fabrycznych, magazynów i ogrodzonych powierzchni, przeznaczonych na składowanie większych produktów – Lanoree zauważyła duży teren wypełniony w połowie rzędami naziemnych pojazdów bojowych o różnych kształtach i rozmiarach – oraz sieci placów, wokół których rozmieszczono budynki mieszkalne i administracyjne. Na placach roiło się od przechodniów idących do pracy albo z niej wracających, a

największy z nich mieścił wielki rynek, gdzie pracownicy wydawali swoje wypłaty.

Zbliżali się teraz właśnie do tego placu. Po lewej stronie mieli ogromną, buchającą dymem fabrykę, a po prawej pokryty sadzą, pięciopiętrowy biurowiec. Lanoree zastanawiała się, jak można tu żyć i pracować, ale wiedziała, że wiele osób nie miało wyboru. Rodzili się i umierali na Noksie. Ich życie było z góry zaplanowane, od początku do końca. Większość zarabiała akurat tyle, żeby przeżyć i może pozwolić sobie od czasu do czasu na jakiś drobny luksus. Opuszczenie planety kosztowałoby ich więcej, niż byli w stanie odłożyć przez całe życie.

Niewątpliwie Korporacjom to odpowiadało.

Lanoree popatrzyła w górę, na wysoką kopułę, ledwie widoczną nad nimi, a potem na hałaśliwą, śmierzącą fabrykę po lewej stronie. Dał mógł być wszędzie. Poczowała nagłą potrzebę, nie tyle by go złapać, ale też żeby znów go zobaczyć.

– Musiałam już sobie radzić z potworami – poinformowała Trego.

– Jasne, i pewnie też z nimi walczyłaś. Ale Maxhagan jest inteligentnym potworem. Cztery lata temu miał zatarg z rodziną z klanu Volke na Shikaakwie. Kupili od niego jakieś informacje, które pomogły im założyć ośrodek produkcyjny w Kryształowym Mieście, osiemset kilometrów stąd na południe. A potem nie chcieli zapłacić. Zabili trzech jego najemników i uciekli na Shikaakwę z nienaruszonymi zyskami. – Zatrzymali się, widząc nadjeżdżający pociąg, i zaczęli czekać, aż potężny pojazd przetoczy się po swoich torach na środku ulicy.

– A więc to będzie opowieść o zemście i straszliwej karze, jaką im wymierzył – doszła do wniosku Lanoree. Wiedziała, czego się spodziewać. Jej wcześniejsze wizyty na Noksie były krótkie, ale znała takich jak Maxhagan. Spotykała ich w całym systemie.

– W pewnym sensie – przyznał Tre. – Trochę to trwało, ale uknuł intrygę, która wywołała konflikt w Kryształowym Mieście. Zakończyło się to potyczką, w której zginęło trzy tysiące osób. Cała siatka klanu Volke na Noksie została wybita do nogi i nie było żadnych śladów prowadzących do Maxhagana. Nie zależało mu na złej sławie. Chciał tylko zemsty.

– A jednak zła sława do niego przylgnęła.

Tre wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy się roznoszą.

– A zatem ma błyskotliwy umysł.

– Błyskotliwy i brutalny. Wśród tych trzech tysięcy było wiele dzieci. Ale wątpię, żeby miał problemy z zaśnięciem tamtej nocy.

– Więc zarabia tylko na informacjach?

– To najlepsze źródło dochodów. – Tre wskazał na otaczające ich budynki, tonące w smogu mimo jednostek uzdatniających powietrze, krążących pod masywną kopułą. – To wszystko jest nietrwałe, nieustannie wystawione na działanie czynników atmosferycznych. Może też zostać zniszczone, tak jak to

widzieliśmy po drodze. Informacja jest wieczna i w tym właśnie Maxhagan pokłada wiarę.

– Podobnie jak Moc – zauważyła Lanoree. – Ja wolę w niej pokładać wiarę.

– A ja w tym – odparł Tre, dotykając wypukłości blastera na pasku.

– Handel importowaną wodą – powiedziała Lanoree. – To paradoks, że zajmuje się czymś, co symbolizuje czystość.

– Dobra przykrywka – stwierdził Tre. – I nie wiem jak ty, ale ja chętnie bym się czegoś napił.

Szli dalej i wkrótce ich oczom ukazał się centralny plac Dzielnicy Szóstej, położony w płytkiej dolinie. Na widok falującego morza głów Lanoree zrobiło się niedobrze. Nieprzebrane tłumy kłębiły się między straganami i bardziej okazałymi konstrukcjami, gdzie czyhano na ich portfele; zapachy gotowanych potraw mieszały się z fabrycznym smrodem, przyprawiając ją o mdłości. Gdzieś tam w dole tkwił szef Sieci i być może klucz do odnalezienia Dala.

Lanoree ruszyła przodem w dół łagodnego wzniesienia, w sam środek tego kłębowa.



Ostatecznie Maxhagana nietrudno było znaleźć. Może uważał, że ukrywając się, może tylko ściągnąć na siebie podejrzenia. A może był po prostu zbyt pewny siebie.

Bez wątpienia był jednym z najbardziej niezwracających na siebie uwagi ludzi, jakich Lanoree kiedykolwiek widziała.

– No cóż, jestem prawie pewien, że to on – mruknął Tre, marszcząc brwi. Stali przy straganie z żywnością, między stertami warzyw korzeniowych i stojakami z wędzonym mięsem. Po drugiej stronie szerokiej alejki znajdował się stragan z wodą. To było wszystko, co Maxhagan sprzedawał – woda w różnej wielkości zbiornikach. Szylt nad straganem głosił: „Najlepsza woda, importowana z Kalimahra, dla niedowiarków certyfikat autentyczności”. Stojący za straganem mężczyzna, który rozmawiał akurat z rodziną robotników rasy ludzkiej, był niski i gruby, jego ciemną skórę przecinały zmarszczki mimiczne, a nieliczne kępi siwych włosów na głowie nadawały mu komiczny wygląd. Jego oczy skrzyły się humorem, a kilkoma zaledwie słowami sprawił, że cała rodzina roześmiała się razem z nim.

– To on – zgodziła się Lanoree. – Ma czwórkę swoich zbirów w okolicy. Ten Noghri przy walkach jaszczurek, trzy stragany dalej, wytatuowana kobieta przepowiadająca przyszłość, którą mijaliśmy jakieś sto kroków temu, a w budynkach wokół placu jeden snajper z karabinem blasterowym i jeden z rakieta. Wszyscy obserwują.

– Je'daii – mruknął Tre; nie potrafił jednak ukryć podziwu.

– Lepiej nie używać tu tego słowa. No to chodźmy kupić trochę wody.

Zaczekali, aż rodzina odeszła, po czym Lanoree uśmiechnęła się do Maxhagana i podeszła do straganu. Zachowywała czujność, kierując swoje zmysły Mocy w stronę tych ukrytych strażników, których już rozpoznała. Nie mogła pozwolić, żeby zwiódł ją wygląd Maxhagana.

– Oho – odezwał się Maxhagan, widząc Trego. – Co cię tu sprowadza, Tre Sana?

Tre nie potrafił ukryć zaskoczenia tym, że został rozpoznany. Raczej nie spotkali się wcześniej twarzą w twarz, ale najwyraźniej Maxhagan zawsze wiedział, z kim robi interesy.

– Jest moim przewodnikiem – wyjaśniła Lanoree. – Chcielibyśmy kupić to, co sprzedajesz.

Maxhagan patrzył to na nią, to na Trego, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Podrapał się w kącik ust, a Lanoree zeszytywniała i przesunęła dłoń nieco bliżej ukrytego pod ubraniem miecza. Spróbowała delikatnie zgłębić jego umysł, ale natychmiast się wycofała. Jego myśli były takim siedliskiem ohydy, że niemal czuła smak zgnilizny.

– Je'daii – wyszeptał Maxhagan.

– I co z tego? – spytała Lanoree. Tre stał nieruchomo obok niej.

Maxhagan wpatrywał się w nią, cały czas się uśmiechając. Nalał trzy kubki wody z plastoidowego pojemnika, nawet nie patrząc, uniósł jeden z nich do ust i upił łyk.

– Nieczęsto widuje się tu Je'daii.

A więc od razu ją wyczuł. Lanoree jeszcze raz spróbowała odczytać jego myśli, tym razem już przygotowana, ale teraz był przed nią zamknięty. Mur, który postawił, był solidny i bezkresny, a nawet wydawał się czymś wzmocniony. Musiał mieć w głowie jakiś implant – z pewnością pod jedną z tych kępek włosów – i była to najwyższej klasy wojskowa technologia. Jego zabezpieczenia sięgały znacznie głębiej niż tylko zwykła ochrona.

– Staram się być niewidoczna – powiedziała.

– Nie mam nic przeciwko Je'daii – odparł. Odstawił kubek i podał im po jednym. Lanoree wzięła swój i skinęła na Trego, żeby zrobił to samo. – Tylko... – pomachał rękami nad głową – ...no wiesz, nie grzeb mi w głowie ani nic takiego.

– To mogłoby być trudne – stwierdziła Lanoree.

Maxhagan zaśmiał się głośno i tak zaraźliwie, że Lanoree sama się uśmiechnęła.

– No cóż, bezpieczeństwa nigdy za wiele, zwłaszcza w takiej norze. Co, Tre? – Stęknął i westchnął. – No dobrze. Mam teraz przerwę obiadową. Chodźcie ze mną, to pogadamy.



Poprowadził ich po schodach do znajdujących się pod placem podziemi, gdzie była ulokowana maszyna zasilająca oświetlenie i filtry powietrza. Tam też mieściły się mniej legalne przybytki. Burdele, bary narkotykowe, areny walk – Lanoree widziała i wyczuwała je wszystkie, zbudowane w ruinach, które stanowiły świadectwo przeszłości Stacji Greenwood. Czasami łatwiej było zbudować coś nowego na gruzach starego.

Maxhagana jednak nie interesowały takie podziemne przedsięwzięcia. Przeszli przez troje drzwi, kilka korytarzy, a potem tajemnymi schodami, ukrytymi za ściennym panelem, aż w końcu dotarli do pomieszczenia, które mogłoby zrobić wrażenie nawet na urzędnikach z Korporacji w ich wysokiej wieży.

– Nieźle – oceniła Lanoree, kiedy wprowadził ich do środka. Byli sami, jednak nie miała wątpliwości, że Maxhagan jest tu dobrze chroniony. Czowała ciężar droidów bojowych wbudowanych w ściany i podejrzewała, że jego implant kontroluje wszystko w tym pomieszczeniu. Jeden fałszywy ruch i rozpętałyby się burza.

– Lubię pewne wygody – odparł. – Nie myślcie przypadkiem, że skoro was tu przyprowadziłem, to mam do was zaufanie. Mam dziesiątki takich pomieszczeń w całym mieście. W tym akurat dawno już nie byłem, o czym świadczy... – podniósł kilka butelek ze stolika i rzucił je w kąt – ...mamy wybór drinków. Wybaczcie.

– Nie przyszliśmy tu pić – oświadczył Tre.

– Więc przyszliście kupić kolejnych najemników, Tre? – Maxhaganowi zaświeciły się oczy, a Tre poruszył się, wyraźnie zakłopotany. Lanoree jednak nie połknęła haczyka.

– Szukam kogoś, a Tre mówi, że mógłbyś pomóc – wyjaśniła. – Możliwe, że już przyleciał albo jego statek wkrótce wylądaje. Towarzyszy mu pewna grupa, która określa się mianem Patrzących w Gwiazdy.

– Szukasz ich jako Je'daii?

– Chodzi o mojego brata – odrzekła Lanoree. Nie była to odpowiedź na jego pytanie, ale zdawała się satysfakcjonować Maxhagana.

– To będzie kosztowało. Ale jestem człowiekiem uczciwym w interesach i pozwolę wam złożyć ofertę.

– Pół miliona kredytów – powiedział Tre. Lanoree nie dała po sobie poznać zaskoczenia i z zadowoleniem zobaczyła, że Maxhagan otworzył szeroko oczy.

– Hojna oferta – stwierdził.

Tre się uśmiechnął.

– Jestem człowiekiem uczciwym w interesach.

Maxhagan przechadzał się po swoim urządzonej z przepychem wnętrzu, przesuwając palcami po powierzchniach mebli i cmokając z niezadowoleniem na

widok warstwy kurzu.

– Nazywa się Dalien Brock – oznajmiła Lanoree. – Muszę wiedzieć, gdzie on jest. A on nie może się dowiedzieć, że tu jestem.

– Chcesz go zabić? – spytał Maxhagan.

– To nie twoja sprawa.

– Fakt. Ale za każdym razem, kiedy korzystam z mojej Sieci, narażam ją na niebezpieczeństwo. A jako że robię interesy także dla przyjemności, zawsze jest jakaś cena poza pieniędzmi. Chociaż hojna jest twoja oferta, Tre.

Lanoree nie odpowiedziała.

– A poza tym – kontynuował Maxhagan – czy macie pojęcie, jak bardzo mogłoby to zaszkodzić moim interesom, gdyby ktoś się dowiedział, że pomagam Je'daii?

– Nikomu tego nie zdradzimy – zapewniła Lanoree.

– Och, domyślam się. – Mówił z taką pewnością i opanowaniem, że Lanoree przeszedł dreszcz. Tylko jedna osoba tak na nią działała: Daegen Lok, którego spotkała w czasie swojego krótkiego pobytu na Boganie. Nikt inny z jej grupy go nie widział, a opiekujący się nimi Mistrz powiedział jej, że to niemożliwe i że więźniowie są odizolowani za pomocą pól siłowych. Ale chociaż Lok był ledwie cieniem na odległym wzgórzu, czuła na sobie jego spojrzenie. Ciężkie. Mroczne.

– A zatem – ciągnął Maxhagan – odpowiedź na moje pytanie jest również częścią ceny. Czy zamierzasz zabić swojego brata?

Lanoree zastanowiła się nad jego pytaniem. Już wcześniej się z nim zmagala i przysparzało jej to więcej cierpienia niż znalezienie zakrwawionych, podartych ubrań Dala dziewięć lat wcześniej. Ale w głowie miała gotową odpowiedź.

– Tylko jeśli nie będę miała innego wyjścia.

Maxhagan pokiwał głową. Oczy mu zabłyśły.

– Mój stragan, o zmierzchu – rzucił. – Jeśli on jest na Stacji Greenwood, będę wiedział do tego czasu. – Wyciągnął zza paska elektroniczne urządzenie i podał je Tremu. – Najlepsze byłyby obligacje na okaziciela. I powinny opiewać na całą sumę.

– Połowa teraz, połowa... – zaczął Tre.

– Może być cała suma – wtrąciła Lanoree. – Widzę, że jesteś człowiekiem honoru.

Maxhagan zmarszczył brwi, próbując odgadnąć, czy Lanoree go nie podpuszcza. Potem zaśmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu i trzymając się za boki.

Tym razem Lanoree nie miała ochoty śmiać się razem z nim.



– Muszę wziąć prysznic – powiedziała. – Chciałabym zmienić skórę. Kupić nowe ubrania. Ten facet jest jak zaraza.

– Ostrzegałem cię.

– A skąd weźmiesz taką forszę?

– Nie chcesz wiedzieć.

Chcę, pomyślała Lanoree, kiedy opuszczali pospiesznie Dzielnicę Szóstą. Chcę wiedzieć. Sprawdziła, czy nikt ich nie śledzi. Wiedziała, że Maxhagan w jakiś sposób będzie miał ich teraz na oku. Kupili jego zainteresowanie w pakiecie razem z usługami. Ale gdyby ktoś ich śledził, byłoby to zbyt duże zagrożenie, żeby je zignorować.

W dodatku chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat Trego i sprawdzić, skąd weźmie pieniądze, a do zmierzchu było jeszcze daleko.

– Znam jedno miejsce, w które możemy pójść... – zaczął Tre.

– Nie. Pospacerujemy tu i tam. Nie podoba mi się to, że on wie, gdzie jestem. Na pewno będzie nas jakoś obserwował, ale wolę być cały czas w ruchu. A poza tym... muszę lepiej poznać okolicę.

– Po co? – spytał Tre.

– To może się przydać Jeśli dojdzie do walki. – Trąciła Trego w ramię. – Chodź. Kupimy sobie po kuflu i będziemy pić, chodząc. Wtopimy się w tłum. A ty możesz mi opowiedzieć coś o sobie.

Kupili drinki i zaczęli spacerować, a podczas gdy Tre mówił, Lanoree przez cały czas lustrowała otoczenie. Zapamiętywała ukształtowanie terenu. Ustalała swoje położenie względem reszty miasta, zniszczonego sektora i możliwych tras ewakuacyjnych, w razie gdyby były potrzebne.

Usilnie starała się przekonać samą siebie, że Maxhagan nie wodzi jej za nos.



– Wyrobiłem sobie nazwisko dzięki przemocy, a pieniądze zarabiałem na sekretach. – Milczenie Lanoree zachęcało Trego do mówienia, a ona nie zamierzała przerywać mu pytaniami. – Przez moje trzecie lekki byłem odmieńcem, nawet wśród społeczności Twi'leków na Kalimahrze. Nie pomyślałabyś, co, że w społeczeństwie, gdzie jest tyle różnych istot, ras i wyznań, coś dodatkowego może uczynić cię odmieńcem? – Prychnął. – Wiele wycierpiałem jako dziecko i to naprowadziło mnie na kurs, którym podążałem przez całą młodość.

Zamilkł, gdy przechodzili przez plac, gdzie w metalowych zagrodach trzymano niewielkie, niezdrowo wyglądające stworzenia. Zwierzęta stały w całkowitej ciszy; to ludzie i przedstawiciele innych ras robili najwięcej hałasu, gdy poszczególne sztuki były unoszone do góry za pomocą jakiejś aparatury, wieszane za tylne nogi

i zarzynane. Mięso i pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Bydło obserwowało to rozumnie patrzącymi oczami.

– Jaki kurs? – chciała wiedzieć Lanoree.

– Na ścieżkę przemocy. Po raz pierwszy zabiłem w wieku siedemnastu lat. w ulicznej walce przed tawerną na jednej z mniej zdrowych wysp Kalimahra. Nikogo nie obchodziła śmierć tamtego i dzień później mnie też nie. Pomogła mi. Szyderstwa i przemoc wobec mnie się skończyły. – Idąc, spojrzał na swoje dłonie. – Zmyła je jego krew na moich rękach.

– Zabijanie nigdy nie powinno być łatwe.

– Ale było. A ja stałem się w tym naprawdę dobry. Broniąc swojego honoru, odkryłem, że jestem wojownikiem. Wkrótce inni też to zauważyli. Pograżyłem się w świecie zbrodni. Częstka mnie cały czas się opierała, ale korzyści, jakie z tego czerpałem, pozwoliły mi szybko stłumić wątpliwości. Przyjąłem ten nowy, otwierający się przede mną świat. Bogactwo, władza, pozycja. Wzbudzałem w równym stopniu strach i szacunek. Zyskałem reputację. Zgromadziłem wokół siebie innych i stworzyłem od podstaw własną organizację przestępczą. Właściwie to wcale tego nie planowałem, ale po prostu to się stało, a ja cieszyłem się każdą chwilą.

Opuścili plac ze skazanym na zagładę byłem i weszli w labirynt wąskich zaułków między niskimi budynkami. Z otwartych okien wylewały się odgłosy życia: płacz dzieci, klótnie rodziców, kanały rozrywkowe, muzyka. Lanoree czuła się oderwana od tego wszystkiego, a waga tej misji ciążyła jej teraz jeszcze bardziej. Jej serce biło niespokojnie. Powinna była już znaleźć Dala.

– Nie wyglądasz jak szef gangu – zauważyła. – Przynajmniej teraz go nie przypominasz.

– Teraz już nim nie jestem. Jak już mówiłem, wyrobiłem sobie nazwisko dzięki przemocy. A kiedy już miałem to nazwisko i przeniosłem się na Shikaakwę, stałem się... jednym z wielu. Byłem zagubiony. Na Kalimahrze miałem imperium, a na Shikaakwie stałem się po prostu kolejnym dorobkiewiczem. Prawdziwi bossowie półświatka patrzyli na nas z góry. Wybierali tych, którzy mogli im się do czegoś przydać, czasami zabijali osobników o zbyt wybujałej ambicji. A ja taki właśnie byłem. Zbyt prędko się rozwijałem. Sięgałem za daleko i za szybko. Zostałem zauważony.

– No i? – spytała Lanoree. Lekku Trego zdradzały nerwowość i zakłopotanie, jakie wzbudzały w nim jego wspomnienia.

– No i dali mi szansę. Zabili wielu z moich żołnierzy, ale we mnie dostrzegli coś, co według nich mogło być użyteczne. Oni byli... – Pokręcił głową, jakby nie potrafił tego wyjaśnić.

– ...jak Maxhagan – dokończyła Lanoree.

– Tylko najmniejsi z nich byli jak on – odparł Tre. – To były... potwory. Nie chciałem stać się taki jak oni. Brzydziłem się nimi. Ale dali mi szansę i z niej skorzystałem.

– Jaką szansę?

– Zarabiania na dochowywaniu tajemnic. Znów byłem niezależny i samotny. Dwa z Dziewięciu Klanów zatrudniały mnie jako posłańca. Przekazywały mi sekrety, których nie można było zawierać słowu pisanemu czy technologii, nie można też było przesyłać ich za pomocą zawodnych droidów. Ja dostarczałem te wiadomości, a gdyby którakolwiek wyciekła, zginąłbym. Nawet teraz. Mógłbym ci opowiedzieć takie rzeczy, Lanoree...

– Ale tego nie zrobisz.

– Nie. I nawet największy Je'daii nie wyciągnąłby ich ze mnie po tym, co zrobiła mi Dam-Powl.

– Ona cię chroniła – przypomniała Lanoree. Wreszcie to zrozumiała. Czyniąc Trego Sanę odpornym nawet na sondowanie myśli ze strony Je'daii, zapewniła mu idealny umysł do przechowywania tych sekretów z przeszłości, które mogłyby przynieść mu zgubę.

– To tylko niewielka część tego, co mi obiecała – odparł Tre, zniżając głos. – Boja chce odzyskać swoje życie. Gangsterzy nie odzywają się do mnie już prawie cały tythoński rok, ale wkrótce to zrobią. Ale ja już tego nie chcę. Chcę dostać wszystko, co Dam-Powl mi obiecała: nową tożsamość, nową twarz, nowy dom.

I zapomnieć o wszystkim, co zrobiłem. – Zaśmiał się cicho, dotykając swojego trzeciego lekku. – I załatwić operację. Chcę się wtopić w tłum, zamiast się z niego wyróżniać. Chcę być... normalny.

Nigdy nie będziesz normalny, pomyślała Lanoree. Nie po tym, co widziałeś i robiłeś. A ona powinna o tym wiedzieć. Nic jednak nie powiedziała, żeby nie rozwiewać jego marzeń. Dopóki marzył, mógł jej pomóc. Było jej go żal, ale zdawała sobie też sprawę, że chęć porzucenia dawnego życia nie zwalnia go z odpowiedzialności za to, co zrobił. A wyznał jej tylko niewielką część swoich win. Na swoich czerwonych rękach miał krew, choć nie wiedziała, ilu ofiar.

– Teraz Dam-Powl będzie musiała dać mi wolność – szepnął. Wydawał się całkowicie o tym przekonany.

– Ona nie rzuca słów na wiatr – przyznała Lanoree. – Ja też wiele jej zawdzięczam.

Tre uniósł brew, a jego lekku wygięły się pytająco. Lanoree jednak nie powiedziała nic więcej. Nawet jeśli otworzył przed nią serce, nie mogła opowiedzieć swojej historii komuś takiemu jak Tre Sana.

Ruchem głowy wskazała na zachodnią część kopuły, gdzie przefiltrowane żółte światło rozlewało się nad miastem.

Zbliża się zmierzch. Pora wysłuchać Maxhagana.



ROZDZIAŁ 12

OTCHŁAŃ

*Ashla. Bogan. To tylko księżyce.
Moje przeznaczenie leży gdzie indziej...
i ma wielką wagę.*

– Dalien Brock, dzienniki, 10 661 PTY

Lanoree budzi się ze snu o domu, w którym śni o gwiazdach, a Dal siedzi obok niej. Jest skąpany w blasku ognia, ale większą część jego twarzy skrywa cień. Mimo to Lanoree widzi po jego nieruchomej postaci, że wpatruje się w nią z przerażającym chłodem.

– Co? Czy coś...? – zaczyna, ale wie, że nie zagraża im nic z zewnątrz. Są o dzień drogi od Anil Kesh. Rozbili obóz pod zagajnikiem drzew sercojagodowych. Oboje zjedli po kilkanaście owoców. Żołądek Lanoree jest pełny. Czuje w sobie wartości odżywcze sercojagód. Są na tych wzgórzach dzikie zwierzęta, które mogłyby zrobić im krzywdę – kwasowe pająki i rodzina ognistych tygów, która podobno przepłynęła tu z Wysp Księżycowych – ale na pewno by wyczuła, gdyby któreś z nich się zbliżało. Wiedziałyby.

– Jestem Otchłanią – odzywa się Dal. Jego głos jest niższy niż dawniej, głębszy, jakby dobiegał z jakiejś czeluści.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Lanoree mówi jak przestraszona mała dziewczynka. Bo jest przestraszona.

Dal odwraca się w stronę ognia, tak że blask ukazuje jego twarz. Wciąż jest jej bratem, ale wydaje się starszy niż wcześniej. Mądrzejszy. Całkiem jakby zobaczyła Dala, który zakończył już swoją Wielką Wędrówkę.

– Mam w sobie głębiny, które muszę wypełnić. Miejsca, których ty nigdy nie zobaczysz i w które nigdy nie dotrzesz, bo jesteś Je'daii, a moje głębiny są tylko moje. Nikt nimi nie steruje.

– Moc wcale mną nie steruje, Dal.

Prycha. Lanoree boi się coraz bardziej. Kiedy kładła się spać, wiedziała jeszcze, kim jest jej brat, ale teraz...?

– Co się stało? – pyta.

- Jestem Otchłanią. Mam głębiny, które muszę zbadać i wypełnić.
- Głębina sugeruje tajemnicę i pełnię. Ale w tobie wyczuwam tylko próżnię.
- Twoja Moc ci to mówi – sztydzi Dal – a ty jej wierzysz.
- Nie. Wiem to dzięki miłości, jaką do ciebie czuję.

Na krótką chwilę na jego twarzy pojawia się chyba wyraz żalu, ale może to tylko płomień rzucają taki cień.

– Moja Wielka Wędrówka wkrótce się kończy – stwierdza. – Kiedy zabiorę już z Tythona wszystko, co się da, i ogołocę go ze wszystkiego, co ma jakąś wartość, odejdę. Nie próbuj stanąć mi na drodze.



Następnego dnia o zmierzchu zbliżają się do Anil Kesh.

Lanoree słyszała wiele opowieści o tym miejscu, ale żadna z nich nie przygotowała jej na to, co zobaczyła. Sama Świątynia jest niesamowitą konstrukcją, elegancką i złowieszczą, ogromną, a jednocześnie kształtem i proporcjami przywodzącą na myśl owada – cud inżynierii, z którym nie może się równać żadna inna budowla na Tythonie. Jej Tho Yor krąży wokół niej, czasem blisko, czasem dalej. Uważa się, że unosi go Moc.



Pod Świątynią znajduje się Otchłań, najbardziej chyba niesamowite miejsce na Tythonie, a przy tym jedno z najbardziej zagadkowych i niebezpiecznych. Otchłań to pozornie bezdenna przepaść, w której szaleją burze Mocy i mieszka tajemnica. Żaden Je'daii nie dotarł do dna Otchłani... a jeśli dotarł, to nigdy nie wrócił. Im ktoś jest silniejszy Mocą, tym bardziej podatny na szkodliwe działanie Otchłani – czekają go tam dezorientacja, ból i w końcu śmierć. Wielu próbowało. Niektórzy zginęli, inni zapuścili się tak głęboko, że postradali zmysły. Samobójstwa są powszechne wśród tych, którzy podejmowali próby wbrew wszelkim ostrzeżeniom i własnemu rozsądkowi.

Jednym z głównych celów Anil Kesh jest zgłębienie Otchłani, ponieważ stanowi jedną z największych tajemnic Tythona, i Mocy. Lanoree widziała holonagrania, na których Mistrz Świątyni Quan-Jang opowiadał o Otchłani, i nawet wtedy czuć było jego podziw i fascynację. Pewnego dnia, mówił, Je'daii dotrą do dna. To, co tam może się znajdować, nakazuje im, żeby wciąż próbowali.

„Jestem Otchłanią”, mówił Dal. Stojąc teraz blisko Anil Kesh, Lanoree podejrzewa, że będzie wpatrywał się w tę dziwną ranę w powierzchni planety, ale on wydaje się niewzruszony i obojętny. W przeciwieństwie do niego ona czuje

przyciąganie Otchłani i jej niewiarygodną, pierwotną siłę. Moc się w niej burzy. Czuje mdłości.

Wie, że opanowanie tych mdłości będzie jedną z jej pierwszych lekcji w Anil Kesh.

To nie jest ostateczny cel ich Wielkiej Wędrówki, ale Lanoree ma poczucie zbliżającego się końca.

Stacja Greenwood to miasto, które nigdy nie śpi. Słońce już zaszło i miasto oświetlały setki ogromnych świateł, zawieszonych na masywnych wspornikach kopuły. Były one kiepską namiastką słońca, ale Lanoree podejrzewała, że tak tu wygląda noc. W fabrykach kończyły się zmiany, w powietrzu unosiły się zapachy przemysłu, gotowania i ścieków, a ona i Tre znów zbliżali się do straganu z importowaną wodą Maxhagana.

Dostrzegła go z daleka, jak opuszczał połamane rolety i instruował kilku pomocników, gdzie schować niesprzedane butelki z wodą. Wyprosił paru spóźnionych klientów z przepaszającym uśmiechem, a potem zobaczył Lanoree. Uśmiech pozostał na jego twarzy, ale nie był już tak łagodny.

Lanoree nie zwolniła kroku, ale przepływająca przez nią Moc przyniosła jej ukojenie. Czuła, że mięśnie się naprężają, jej miecz emanował siłą, a zmysły – zawsze wyczulone – nastawiły się na niebezpieczeństwo. Skupiła uwagę na Maxhaganie, ale gdyby miał jakieś złe zamiary, to właśnie chciałby skupić jej uwagę na sobie. Ewentualny atak pewnie by nadszedł z jego otoczenia.

– Tre Sana! – zawołał Maxhagan. – Lanoree! Jak miło was znów widzieć! – Tre rozejrzał się nerwowo, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze usłyszał jego imię, a Lanoree uśmiechnęła się mimowolnie. Zastanawiała się, ilu wrogów Twi'lek narobił sobie przez te wszystkie lata.

– Jestem zaskoczona, że zamykasz stoisko – powiedziała.

– Tylko na krótko. Wszyscy teraz idą do pracy, wracają do domów albo siedzą w tawernach, gdzie nie myślą raczej o wodzie. A poza tym... zauważyłem, że o tej porze dnia jest najmniejsze zapotrzebowanie na informacje.

– Pewnie też dolewasz teraz do butelek, co? – spytał Tre. Maxhagan wydawał się szczerze urażony.

– Wątpisz w autentyczność mojego towaru?

Tre nie odpowiedział.

– Inni handlarze przychodzą i odchodzą. Napełniają butelki wodą z zatrutych źródeł w jaskiniach pod Stacją Greenwood, wrzucają parę tabletek oczyszczających, zamykają i sprzedają jako czystą wodę. Żaden nie utrzymuje się długo. I dlatego ja wciąż tu jestem i od czterech lat sprzedaję czystość. Dlatego klienci zawsze do mnie wracają.

– Wszyscy kupują od ciebie wodę? – spytała Lanoree.

– Wszyscy, którzy się liczą – odparł Maxhagan. Nagle spoważniał. – Ale wystarczy o wodzie. Chodźcie za mną. – Odwrócił się i wszedł za kotarę na tyłach straganu, a Lanoree i Tre musieli precyzyjnie się przesuwać przez stoliki, żeby za nim

podążyć.

Poprowadził ich przez ruchliwy plac w kierunku drzwi w jednym z rogów rynku. Z początku Lanoree myślała, że zabiera ich do kolejnej luksusowej kryjówki, ale zaraz usłyszała odgłosy hulanki i poczuła zapach rozlanych drinków i ostro przyprawionego jedzenia. Kiedy Maxhagan wszedł do tawerny, tylko kilka ciekawskich spojrzeń zwróciło się w ich stronę. Większość zatrzymała się na Lanoree, a nie na sprzedawcy wody. Ona zaś nie zdjęła kaptura płaszcza. Zawsze wydawało jej się, że nietrudno rozpoznać w niej Je'daii.

– Okrągły stolik w rogu – oznajmił Maxhagan. – Przyniosę coś do picia.

– Nie chce nam się pić – odrzekła Lanoree.

– Ale mnie się chce. – Zaczął przeciskać się w stronę baru, a Lanoree rozejrzała się po tawernie wypełnionej robotnikami. Czasami ich profesja była łatwa do odgadnięcia, czasami nie. Były tam wszelkiego rodzaju typy, rasy, wyznania, nikt jednak nie wyglądał na uzbrojonego. Zerknęła na Trego, zadowolona, że dobrze ukrył swój blaster.

Ledwie zdążyła obejrzeć stolik w rogu, żeby upewnić się, czy wygląda bezpiecznie, gdy Maxhagan powrócił. Musiał mieć gdzieś swoich ochroniarzy, jednak Lanoree nie potrafiła wyłowić ich z tłumu, co wprawiało ją w lekki niepokój.

– Znalazłeś go? – zapytała.

– Twojego brata? Tak. – Pociągnął tęgi łyk z matowej szklanki.

– Gdzie on jest? Jeszcze na Noksie?

– Nie – odparł Maxhagan.

Lanoree zmarkotniała, ale nie odrywała wzroku od Maxhagana. Widziała, że on w duchu się śmiał. Bawił się nią.

– Nie ma go na Noksie. Jest obok niego. W miejscu, którego w sensie dyplomatycznym w ogóle nie ma.

– Wyjaśnij to – poprosiła.

– Jesteś młoda jak na Strażniczkę, nieprawdaż? – Rozsiadł się wygodnie na ławie, kładąc ręce na swoim okazałym brzuchu. Jego szeroki uśmiech niepokoił Lanoree coraz bardziej.

– Nieszczególnie. I co tu ma do rzeczy mój wiek?

– Młodzi Je'daii często wiedzą mniej od starszych Je'daii. Nie mówi im się wszystkiego. Sekrety są zwykle... przekazywane z ust do ust. Coś o tym wiem. Sekrety to mój fach.

Lanoree napiła się, korzystając z okazji, żeby rozejrzeć się po pełnej zgiełku, zadymionej tawernie. Nie podobało jej się to, że Maxhagan powtarza tak często słowo „Je'daii”, ale nie zauważyła, żeby ktoś podsłuchiwał. Wyczuliła swoje zmysły Mocy, choć jak na ironię obaj jej towarzysze byli na nie odporni.

– Twój brat jest w miejscu, gdzie wciąż jeszcze wykonują czasem różne zlecenia dla takich jak wy. Nazywa się Głęboka Panew. Znajduje się pod centralną wieżą, w jej korzeniach, w jej najstarszych fundamentach. Dostatecznie blisko

powierzchni, by korzystać z systemów podtrzymywania życia i infrastruktury Stacji Greenwood, ale dość głęboko, żeby przetrwać bombardowanie Je'daii w czasie wojny. Na tyle je odizolowano, że jest... zupełnie gdzie indziej.

– Nigdy nie słyszałam... – zaczęła Lanoree.

– Oczywiście, że nie. To tajemnica. Ale nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego Stacja Greenwood odniosła tylko powierzchowne rany? Okoliczne kopuły zrównano z ziemią, ich mieszkańcy zostali usmażeni, zmiażdżeni albo wysadzeni w powietrze. Ale tutaj... – Uniósł rękę, jakby wskazując na pękniętą kopułę, teraz już naprawioną, w miejscu, gdzie atak Je'daii zabrał niewielką część miasta.

– Więc jak się tam dostać? Czym się tam zajmują? – spytała, ale sama się już domyśliła. Dal budował tam swoje urządzenie. Poczuli nagłą potrzebę działania i z trudem opanowała podniecenie.

– Zaawansowaną technologią – odparł Maxhagan. – Bardzo zaawansowaną. Czasem jeszcze bardziej. Wojskową. To bardzo skomplikowana nauka, której nawet nie próbuję zrozumieć. – Przejechał dłonią po swojej łysej głowie, uśmiechając się łagodnie. – Ja też korzystam z tego miejsca od czasu do czasu. Interesuję się nim, a jeszcze bardziej tymi, którzy z niego korzystają.

– On tam teraz jest? – spytała Lanoree. – Ze swoimi Patrzącymi w Gwiazdy?

– Wylądował dwa dni temu, a jego statek jest jeszcze w kosmoporcie za miastem. Ale nie wiem, ile osób wylądowało razem z nim.

– Powiedz nam, jak się dostać do Głębokiej Panwi – poprosiła Lanoree.

– Aż tak bardzo zależy ci na rozmowie z bratem, Lanoree? A ty, Tre... tak bardzo chcesz pomóc?

– Tak i tak – odpowiedział za nich oboje Tre.

Maxhagan zerknął w bok i po raz pierwszy Lanoree dostrzegła w tawernie ruch, który przykuł jej uwagę. Dwóch ludzi, niskich, ale silnych zdawało się zupełnie niezainteresowanych swoimi drinkami, wpatrywało się w skupieniu w stół, przy którym siedzieli. Nasłuchiwali. W ich uszach błyszczał metal.

Lanoree nachyliła się nad stolikiem i z zadowoleniem zobaczyła, że Maxhagan się odsuwa.

– Wiesz, kim jestem – powiedziała. – Możesz drwić z mojego wieku, ale sam jesteś starszym człowiekiem, który przeżył tyle lat, zajmując się tym, czym się zajmuje. Przeżyłeś dlatego, że jesteś mądry. Dbasz o bezpieczeństwo. Wiesz zatem, że lepiej nie zadzierać z Je'daii, Maxhagan. Zapłaciliśmy ci za informacje, które przyjmujemy z wdzięcznością. A teraz już na nas pora.

Uśmiech pozostał na ustach Maxhagana, ale zniknął z jego oczu.

– Grozisz mi?

– Tak.

Cała trójka zastygła, a tymczasem Lanoree rozszerzyła swoje zmysły na całą tawernę. Dwóch ludzi wpatrujących się w stół. Wookie przy barze. Zabraczka tuż za drzwiami z trzylufowym blasterem ukrytym w plecaku, ale pod ręką. Trójka Noghrich śmiejących się na całe gardło w innym rogu, z nożami

przytroczonymi do nóg i pazurami wyposażonymi w woreczki z trucizną. Wszyscy oni pracowali dla Maxhagana i wszyscy ją obserwowali.

Gdyby coś poszło nie tak, mogłoby się skończyć krwawą jatką. A Lanoree nie miała czasu na zabijanie.

– Interesy z wami to przyjemność – oznajmił Maxhagan, uśmiechając się szeroko. Przesunął niewielką kostkę pamięci po stole i wyciągnął otwartą dłoń. – Życzę szczęścia. – Lanoree wzięła kostkę i wbrew wszelkim instynktom uściśnęła mu rękę.

– Nie polegam na szczęściu – odrzekła Lanoree. Wyszła z tawerny, nie oglądając się za siebie. Cały czas jednak wyczuwała, że Tre idzie za nią. Kilka par oczu odprowadziło ich wzrokiem. Kiedy mijali czekającą na zewnątrz Zabraczkę, Lanoree skinęła głową w jej stronę.

– Mógł powiedzieć nam więcej – stwierdził Tre, kiedy wracali przez plac. – Nie sądzisz chyba, że na tej kostce jest dużo informacji?

– Wielu rzeczy nam nie przekazał – przyznała Lanoree. – Ale to miejsce łatwo będzie znaleźć. Zaufaj mi. – Nie zatrzymując się, sprawdziła, czy nikt ich nie śledzi, a potem wsunęła kostkę do swojego naręcznego komputera i połączyła się z głównym komputerem "Rozjemcy". Poleciała mu odczytać kostkę, ostrożnie, z zachowaniem wszelkich protokołów bezpieczeństwa, w razie gdyby Maxhagan próbował przemycić pasożyta, i poszukać planów architektonicznych Stacji Greenwood. – Chodź. Nie ma czasu do stracenia.

Wyobrażała sobie, jakie miny mieliby jej rodzice, gdyby powiedziała im, że Dal żyje. I przypomniała sobie, jaki mieli wyraz twarzy, kiedy odwiedziła ich pierwszy raz, odkąd została Strażniczką – jakby ją także stracili.

Lanoree nie mogła pisać słówka matce ani ojcu do czasu, aż będzie po wszystkim. A nawet wtedy powie im tylko w wypadku, jeśli wszystko skończy się dobrze.

Jeśli zaś będzie musiała zabić Dala, zabierze tę tajemnicę ze sobą do grobu.



Statek zlokalizował najnowsze plany centralnego rdzenia Stacji Greenwood i przesłał je na komputer naręczny Lanoree. Gdy o północy w całym mieście rozległy się syreny, Lanoree i Tre weszli do opuszczonego magazynu w Dzielnicy Czwartej. Byli teraz blisko centralnej kolumny. Patrząc w górę, Lanoree mogła zobaczyć niezliczone światła należące do tych, którzy tam mieszkali. Bardzo wielu z nich czerpało korzyści z tego, co znajdowało się w dole, ale tak było zawsze. Klasy panujące zawsze się wywyższały.

Lanoree wywnioskowała z planów, że podziemia Stacji Greenwood nie były spokojnym miejscem. Fundamenty nowego miasta powstały ze starych,

zburzonych budynków. Głęboko pod powierzchnią pozostały sztuczne konstrukcje o nie zawsze jasnym przeznaczeniu. Były tam także trasy komunikacyjne, potężne tunele wydrążone w podziemnej strukturze miasta; to tędy największe z jego produktów przewożono do portu kosmicznego, gotowe na eksport. Łącznie z systemami podtrzymywania życia, rezerwuarami wody, oczyszczalniami ścieków, elektrowniami i magazynami, miasto było niemal równie rozległe pod ziemią co nad nią.

Ale miejsce, którego szukała – Głęboka Panew – nie znajdowało się aż tak głęboko poniżej Stacji Greenwood. Wyróżniało się tym, że było zbudowane w obrębie fundamentów centralnej wieży.

Przejście przez pierwszy podziemny poziom zajęło im trochę czasu. Lanoree pilnowała, żeby się przemieszczać niezauważalnie; i tak już czuła się niekomfortowo ze świadomością, że Maxhagan zna ich zamiary, i była pewna, że zataił przed nimi pewne informacje. Miała jednak już dość jego gier. Nie miała wątpliwości, że jest wytrawnym kłamcą, ale musiała zakładać, że mówił prawdę w sprawie Dala i Głębokiej Panwi.

Niewątpliwie zgadzało się to z tym, co zamierzał jej brat. I miała nadzieję, że tego Maxhagan nie wiedział.

Z magazynu w dół prowadziły stare, rzadko używane kręcone schody. Buty stukały o metalowe stopnie, a ich cienie tańczyły w blasku prętów jarzeniowych. Lanoree przypominała sobie swoje szkolenie w Qigong Kesh i zapragnęła spokoju, jaki panował na Cichej Pustyni. Wyteęzała wszystkie zmysły, przeczesując okolicę. Węszyła za niebezpieczeństwem, nasłuchiwała wstrzymywanych oddechów, przenikała głębokie cienie wspomaganym Mocą wzrokiem, a gdyby jej umysł natknął się na inny, skory do przemocy, zorientowałaby się na pewno.

Po jakimś czasie dotarli do długiego, krętego tunelu, który prowadził w stronę wieży. Lanoree włączyła pręt jarzeniowy. Stwierdziła, że muszą znajdować się pod centralnym rdzeniem wieży, i zaraz tunel doprowadził ich do wydrążonej pieczary, ogromnego pomieszczenia o pochyłej podłodze, opadającej w kierunku położonego na środku odpływu.

– Ojej – westchnął Tre. – Och! – Złapał się z obrzydzeniem za nos, a Lanoree musiała się z nim zgodzić. Od pewnego czasu czuli już smród ścieków, ale ten widok znacznie pogorszył sprawę.

Spływały tutaj ścieki z całej wieży. Jakies dziesięć tysięcy osób kilkunastu ras spuszczało je w toaletach i zsykach w mieszkaniach, biurach, tawernach i restauracjach. Do spłukiwania wykorzystywano śmierdzącą już od zanieczyszczeń deszczówkę i teraz mieli przed sobą powstały w ten sposób gówniany deszcz, padający z wysokiego sufitu. Swój wylot miały tu niezliczone rury i rynny, a ich cuchnąca zawartość rozbryzgiwała się w błogosławionej ciemności na podłodze. A podłoga aż się ruszała – gęsta breja obrzydliwości spływała powoli w kierunku dużego otworu pośrodku pieczary. Lanoree domyślała się, że stamtąd wpada do podziemnego jeziora albo do głębokiego uskoku w skorupie planety; gromadzone

przez tysiące lat miejskie odpady gniły gdzieś w ciemnościach.

– Zabierasz mnie w same najładniejsze miejsca – zauważył Tre.

Lanoree nie odpowiedziała, bo musiałyby otworzyć usta. Spojrzała jeszcze raz na swój naręczny komputer, a potem go wyłączyła. Plany były już teraz bezużyteczne. Głęboka Panew nie była na nich zaznaczona, ale sądziła, że wie, jak ją znaleźć.

Postukała Trego w ramię i wskazała prętem jarzeniowym na przeciwległą stronę ogromnej pieczary.

– Chcesz tam przejść? – spytał.

Lanoree pokiwała głową i ruszyła przodem. Zauważyła wcześniej występ po lewej stronie, który biegnącą pod nim ścieżkę osłaniał przed wszystkim, co spadało z góry. Ścieżka prowadziła do ukrytego za występem w ścianie wylotu korytarza, który biegł pod górę.

Zatrzymała się, a Tre prawie na nią wpadł.

– Co jest? – spytał.

– To ukryte miejsce, niezaznaczone na planach. Może to nie jest właściwe miejsce, ale zaraz się przekonam. Daj mi chwilę. – Spróbowała się rozluźnić. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, pozwalając, by Moc przepływała przez nią. Po chwili smród uleciał, a jej zmysły, oczyszczone przez Moc, gotowe były na to, czego szukała.

– Czego szukasz? – spytał Tre.

– Źródła energii. – Skierowała zmysły na zewnątrz.

Było to mroczne miejsce, przygniecione brzemieniem znajdującej się nad nim centralnej wieży Stacji Greenwood i jej licznych mieszkańców. Nawet powietrze zdawało się czymś skażone, może z powodu lokalnej produkcji zbrojeniowej, jednak Lanoree miała wrażenie, że to raczej ślad umysłów tych, którzy tu pracowali i mieszkali. Widziała ich teraz, a wszyscy zdawali się nieustannie gdzieś pędzić albo coś mówić, albo jeść i pić. Tylko nieliczni przystawali na chwilę, żeby zadumać się po prostu nad swoim życiem. Być może dlatego, że oznaczało to potwierdzenie paskudnej prawdy o ich egzystencji.

Lanoree się wzdrygnęła. Od dawna wiadomo było, że Nox jest planetą, gdzie równowaga została zachwiana, a tutaj dawało się to odczuć bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Sięgnęła poza ten niewyraźny ślad, szukając energii. We wznoszącej się nad nimi wieży były niezliczone jej źródła, ale tu, na dole, znajdowało się jedynie parę starych, ledwie zipiących generatorów.

I nagle napotkała mroczną próżnię ciężkiej osłony. Sięgnęła głębiej, napierając z całej siły, i jej zmysły Mocy przeniknęły do środka.

Jasne światło. Wielki potencjał. Oszłamiająca potęga.

– Tędy – nakazała. – Idziemy znów w górę. Ale niezbyt daleko.

Kolejne korytarze, a każdy krok oddalał ich od smrodu. Byli w drodze już od jakiegoś czasu i Lanoree czuła głód i pragnienie. Ale czuła też podniecenie Ostatni

raz była tak blisko Dala tego straszliwego poranka na Anil Kesh.

– Tutaj – powiedziała. Tunel, którym szli, miał chropowate ściany i nierówną podłogę, ale przed sobą widziała stały blask. A w pobliżu wyczuwała rysztko myśli brutalnego człowieka.

Zgasła pręt jarzeniowy. Zapadła ciemność, ale nie całkowita. Chwyła Trego za rękę, przyciągnęła go do siebie i wyszeptała mu do ucha:

– Wartownicy.

Dobyła miecza i ruszyła naprzód. Tre szedł za nią z blasterem w dłoni. Serce biło jej szybko. Dotknęła znów umysłu wartownika, wzdrygając się przed jego myślami pełnymi przemocy, i...

Dopiero w ostatniej chwili pojęła swój błąd. Te myśli były zasłoną, wybiegiem. A gdy rozpętał się blasterowy ogień, dotknęła jego prawdziwego umysłu i wizji świetlistego triumfu, jaka w nim płonęła.

Lanoree płynęła, a Moc przepływała przez nią. Ruch i rzeczywistość zwolniły, a ona poruszała się w niej, wykorzystując swoją rozszerzoną percepcję i przyspieszone reakcje. Obróciła miecz, odbijając dwie laserowe wiązki, i natarła szybko.

Mężczyzna przykucnął za kolumną stykającą się z bokiem tunelu. Miał na sobie luźny płaszcz, podobny do tych, jakie nosili mnisi Dai Bendu, ale jakiegokolwiek pozory świętości niszczyła broń w jego ręku i wściekłość, jaką Lanoree w nim wyczuwała.

Zza jej pleców padł strzał i uderzył w ścianę w głębi tunelu, rozbijając skałę na proch. W blasku ognia Lanoree dostrzegła kolejne postacie pędzące w ich stronę. Czasu było mało.

Drugi raz go nie stracę! – pomyślała gniewnie i trzema susami – odbijając mieczem wiązki skierowane w siebie – doskoczyła do mężczyzny. Dostrzegła błysk strachu w jego oczach. Potem odcięła mu głowę i przykucnęła twarzą do nadciągających Patrzących w Gwiazdy, czując na szyi tryskającą krew.

Tre podbiegł i przywarł do ściany naprzeciwko niej, celując i strzelając z blastera w głąb tunelu. Usłyszeli stęknienie, odgłos uderzenia, a potem krzyk kobiety.

– Zaczekaj tu! – poleciała Lanoree.

– Ale...

Nie zatrzymywała się, żeby odpowiedzieć na jego protesty, tylko pobiegła naprzód, trzymając przed sobą zakrwawiony miecz. Wykonała pchnięcie Mocą i usłyszała krzyk: trzy głosy, których właściciele zostali odrzuceni do tyłu. Nad uchem zaskwierczała jej blasterowa wiązka, aż poczuła swąd przypalonych włosów i ubrania. To był dobry znak. „Moc daje ci siłę, a siła rodzi pewność siebie – mówiła jej Mistrzynie Kin’ade w Stav Kesh – ale pewność siebie może cię zgubić”. Lanoree nigdy nie zapominała o swojej śmiertelności.

Tre osłaniał ją, podczas gdy zbliżała się do napastników. Nie lekcewał rannych leżących na ziemi, pomyślała, a po chwili znalazła się między nimi. Rozcięła

Noghriankę po lewej od gardła po mostek, rzuciła się na ziemię, przeturlała, po czym wstała i ugodziła mężczyznę po prawej poniżej ramienia. Mężczyzna krzyknął i zachwiał się. Miecz Lanoree utknął między jego żebrami. Upadając, mężczyzna pociągnął ją za sobą, a kiedy odwrócił się, żeby wycelować blaster w jej twarz, klinga rozcięła mu ciało i pogruchotała kości.

Lanoree zacisnęła lewą pięść i wymierzyła wspomagany Mocą cios, wytrącając mu blaster z ręki. Dwa palce mężczyzny wciąż ścisnęły broń, która pofrunęła, wirując w powietrzu.

Osunął się, umierając, a ona stanęła mu na biodrze, żeby wyciągnąć miecz.

Usłyszała za plecami strzał, a potem krótki, gardłowy krzyk. Odwróciła się gwałtownie. Ranna kobieta opierała się o kamienną ścianę. W miejscu gardła i dolnej szczęki miała otwartą ranę, której brzegi skwierczały jeszcze od śmiertelnej laserowej wiązki.

Dziesięć kroków dalej Tre opuścił broń.

– Prawie cię dopadła.

Lanoree podziękowała mu skinieniem głowy. Mało brakowało. Niezdara! – pomyślała. Ale nie było czasu na analizowanie błędów.

– Więć teraz wiedzą już, że tu jesteśmy – powiedział Tre.

– Myślę, że wiedzieli to już od jakiegoś czasu. Chodź.

Ruszyli truchtem przez tunel. Lanoree wyteżęła zmysły, kierując je do przodu i naokoło. Krwawa jatka przyprawiła ją o szybsze bicie serca; czuła, jak krew pulsuje jej w uszach. Potrafiła opanować emocje, wiedziała jednak, że wzmożona czujność po niedawnej walce może być jej sprzymierzeńcem. Moc była jej dopełnieniem; ona sama była swoją najgroźniejszą bronią.

Przeszli przez drzwi, wspięli się po schodach i nagle kamienne ściany zniknęły, a zastąpił je metalowy korytarz. Spróbowała wybadać znajdującą się przed nią przestrzeń, ale wizja stała się teraz jakby zamglona, jej zmysły Mocy były przytępione. Może i Głęboka Panew służyła kiedyś Je'daii, jeśli można było wierzyć Maxhaganowi. ale starała się też zabezpieczyć przed nimi.

Pobiegła dalej. Gdyby teraz zwolnili, żeby zorientować się w sytuacji, straciliby wszelką przewagę, jaką jeszcze mieli. Z pewnością Dal i reszta jego Patrzących w Gwiazdy słyszeli odgłosy walki, ale może się nie spodziewali, że Lanoree zwycięży tak szybko. Bitewny zamęt działał na jej korzyść.

Za kolejnymi drzwiami znaleźli salę.

Z tyłu Tre wydał stłumiony okrzyk.

Sala była wielka. Miała gładkie ściany o prostych liniach. Sufit i ściany były białe i nie przypominały niczego, co widzieli dotąd na Noksie. Przywodziły na myśl raczej wnętrze luksusowego statku kosmicznego, a nie podziemny zakład przemysłowy. Na środku stał szeroki stół, na którym spoczywał jakiś przedmiot owinięty białym prześcieradłem. Na stole były porzucane różne przyrządy i części, a wokoło stały szafki na kółkach; przechowywano w nich jeszcze więcej narzędzi, części i dziwnej technologii. Przypominało to bardziej salę operacyjną

niż laboratorium.

W jednym z rogów stłoczyło się sześciu przerażonych Selkathów w prostych, białych fartuchach laboratoryjnych.

Przy stole zaś stał Dal.

– Lanoree! – odezwał się. Jego oczy i sposób, w jaki uniósł ręce, zdradzały zaskoczenie. Uśmiechnął się szeroko i oto znów była nastolatka, zadowolona z widoku swojego brata. Ogarnęła ją fala emocji: przyjemność i smutek, uczucie pustki i miłość. Ruszył ku niej, jakby był zachwycony jej obecnością, i Lanoree pogrążyła się na chwilę we wspomnieniach. Jej bratu ta krótka chwila wystarczyła.

Tre krzyknął, a Lanoree coś uderzyło w głowę. Zobaczyła zbliżającą się podłogę i pochłonęła ją ciemność.



ROZDZIAŁ 13

INNE SPOSOBY

*Je'daii nie powinien parać się alchemią.
To mroczna siła, tajemna i niebezpieczna.
Ma moc zaburzania równowagi. Są inne sposoby.*

– Mistrz Świątyni Vor'Dana, 10 456 PTY

W Anil Kesh Lanoree odnajduje siebie, nie zdając sobie nawet sprawy, że była zagubiona.

Pierwsze dni wyglądają dziwnie. Trzeba przejść proces adaptacji ze względu na szkodliwy wpływ znajdującej się pod Świątynią Otchłani, a Lanoree pochłaniają rozmowy, medytacje i nauka. Razem z kilkoma innymi Wędrowcami spędza czas w ciemnych, pozbawionych okien pomieszczeniach, a Mistrz Sithów przeprowadza ich przez różne etapy choroby i niepewności. Sith jest starym, mądrym człowiekiem i robił to już wiele razy. Widzi, jak ich dyskomfort się zmniejsza – nie ustępuje całkiem, bo Otchłań zawsze będzie wpływać na każdego, kto jest silny w Mocy, ale po prostu daje się opanować.

I w swojej mądrości dostrzega, że Dalowi to wszystko się podoba.

Brat Lanoree mówi bardzo niewiele na temat tych pierwszych dni w Świątyni, ale promieniuje spokojem, jakiego wcześniej u niego nie widziała. Obserwowanie cierpienia swojej siostry i innych Wędrowców sprawia mu przyjemność.

Odbywają kilka wycieczek po Świątyni Anil Kesh, która okazuje się jeszcze większa i bardziej niesamowita, niż Lanoree sądziła. Każdy z jej trzech gigantycznych filarów mieści labirynt kwater mieszkalnych, zaprojektowanych w taki sposób, by konstrukcja zapewniała jak największe wsparcie filarom. Wewnątrz filarów znajdują się amortyzatory wielkości ścigaczy chmur, mające tłumić niewiarygodne naciski, jakim poddawana jest Świątynia w wyniku częstych i gwałtownych burz tworzących się w Otchłani. Ogromne zbiorniki z pneumatycznym płynem rozmieszczono w regularnych odstępach, a w każdym z filarów znajdują się także dojścia do statków ewakuacyjnych. Żaden z nich nie był nigdy wykorzystany, a ich przewodnik zapewnia, że żaden nie jest potrzebny. Wszystko jest tu ogromne i zdumiewające, a geniusz architektów i inżynierów

budzi podziw. Ich przewodnik zdaje się czerpać z tego pewną satysfakcję.

Masywna bryła Świątyni wspiera się na tych filarach, zawieszona bezpośrednio nad Otchłanią. Wokół samej Świątyni krąży zaś Tho Yor. Unosząc się w niewyjaśniony sposób, dryfuje naokoło Anil Kesh. Uważa się, że w zgodzie z Mocą.

Ten centralny obszar stanowi serce Anil Kesh. Znajduje się tu kilka dużych laboratoriów, a także sale wykładowe, prywatne gabinety Mistrzów Świątyni, biblioteki, pomieszczenia ze sprzętem holograficznym i komnaty do medytacji. Są także hangary, z których zdalnie sterowane pojazdy i inny sprzęt zrzucane są niekiedy do Otchłani. Lanoree ze zdziwieniem się dowiaduje, jak rzadko się to teraz odbywa. Każdy eksperyment z Otchłanią, jaki dało się bezpiecznie przeprowadzić, powtarzano niezliczoną ilość razy, a mimo to wciąż bardzo niewiele wiadomo o tej bezdennej czeluści.

Przyszłe odkrycia, dowiadują się, powinny wynikać z bardziej ezoterycznych działań.

A jednak rozpalona, pulsująca wiązka energii wciąż wysyłana jest z samego serca Anil Kesh w głąb Otchłani w poszukiwaniu informacji i danych.

Czwartego dnia Mistrz Sithów zwalnia ich z dalszej nauki i oznajmia, że wieczorem poznają swoich nowych Mistrzów. Resztę dnia mają dla siebie.

– Pójdę ją zobaczyć – mówi Dalowi Lanoree. – Wyjdę na zewnątrz, żeby popatrzeć. – Ma na myśli Otchłani. Sam dźwięk tego słowa przyprawia ją o dreszcz niepokoju i podniecenia. Za chwilę stanie twarzą w twarz z czymś, co wciąż stanowi tajemnicę nawet dla największych Je'daii, i chce to zrobić razem ze swoim bratem.

Ale jest już za późno.

– To nic takiego, naprawdę – mówi on rzeczowym tonem. – Jest głęboka. Burzowa. Chodzę tam cztery razy dziennie, odkąd tu jesteśmy. Ale bardziej niż Otchłani interesuje mnie Świątynia. Widziałaś, jakie wysokie są te filary? Czujesz, jak wyginają się na wietrze?

Droczy się z nią i wie, że ona to wie, ale nie przejmuje się tym. Jego myśli krążą teraz gdzie indziej i wkrótce coś się wydarzy. Być może pewnego dnia Lanoree się obudzi, a Dala nie będzie i nigdy go już nie zobaczy. A może stanie się coś jeszcze gorszego.

– Pójdę zobaczyć – powtarza, a przechodząc obok Dala, bardziej wyczuwa, niż słyszy jego cichy chichot.

Stopnie prowadzą na pomost i na zewnątrz. Ciężkie, metalowe drzwi są zawsze zamknięte od środka, tak jakby coś z zewnątrz mogło próbować się tu wedrzeć. Jednak grożące niebezpieczeństwa mają mniej materialny charakter. Lanoree przekręca zamek w drzwiach, które otwierają się do wewnątrz.

Podmuch powietrza jest oszałamiający. Uderza w nią niczym oddech jakiegoś niewyobrażalnego potwora, tryskając ciepłymi kroplami deszczu. Niesie zapach czegoś tajemniczego i głębokiego. Deszcz wpada do środka i rozlewa się po

podłodze. Lanoree wpada w popłoch – co też ona tu wpuściła?

Podejmuje szybką decyzję i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Nad nią wznosi jedno z trzech wielkich ramion Świątyni. Pełnią one rolę przeciwwagi dla filarów, ale także przekaźników i odbiorników, gromadzących ładunki elektryczne z atmosfery, wykorzystywane do zasilania prowadzonych w Anil Kesh eksperymentów i wysyłania wiadomości od Mistrzów Świątyni do innych Je'daii, rozsianych po całym Tythonie i poza nim. Jego masa osłania ją w pewnym stopniu od burz.

Mimo wszystko może spojrzeć w dół.

Podchodzi na skraj szerokiej platformy widokowej i chwyta za barierkę. Czuje za sobą ciężar Anil Kesh, a opiekuńcze ramiona zdają się trzymać ją w swoim uścisku. Solidne filary pochłaniają każdy podmuch wiatru.

– „Zawsze się poruszasz, próbując przykuć mój wzrok” – mówi Lanoree. Jest to wers z erotyku, który przeczytała kiedyś w starej, papierowej książce swojej matki. Zastanawia się, czy jego autor był kiedykolwiek w tym miejscu.

Spoglądając w dół, zastanawia się, czy wszyscy Je'daii zakochują się w Otchłani.

To jest tajemnica. To głębia i nieskończoność na powierzchni tego świata, który nazywają swoim domem. Jej oddech jest ciepły i gęsty, a w dole, poprzez mgiełkę ulewnego deszczu, widać błyskawice Mocy, które przecinają co chwila mrok, rozświetlając nicość. Jest to zarazem odurzające i podniecające, przerażające i cudowne. Ścisną barierkę tak mocno, że bolą ją palce i bieleją kłykcie. Nie wie, czy kiedykolwiek zdoła ją puścić.

Przez krótką, ekstatyczną chwilę czuje pokusę, żeby przeskoczyć nad barierką i rzucić się w dół. Zakończyłoby się to śmiercią, ale zobaczyłaby przy tym głębię Otchłani, poznała jej sekrety.

Ona przecież nie może być bezdenna. Mówią tak dlatego, że żaden Je'daii, który dotarł na dno, nie przeżył.

– A może żaden stamtąd nie wrócił – szepcze, a jej słowa natychmiast porywa wiatr. Jest przemoknięta od deszczu. W dole ściany wody przewalają się tam i z powrotem.

Czuje czyjąś rękę na ramieniu i natychmiast ogarniają lęk, że to Dal przyszedł zrobić jej krzywdę. „Jestem Otchłanią”, mówił. Może chodziło mu o to, że jest teraz dla niej tajemnicą, że jego umysłu żaden Je'daii nie zdoła nigdy w pełni zrozumieć.

Lanoree zastyga w bezruchu. Nie może się bronić, bo jest zbyt zaskoczona i zbyt przytłoczona doświadczeniem nieskończoności.

Ale potem słyszy ciepły głos, który mówi:

– Chodź do środka, Lanoree, żebyśmy mogły porozmawiać.

To pierwsze spotkanie z Mistrzynią Dam-Powl przeciąga się do późnej nocy.

– Mówiłem ci, żebyś nie wchodziła mi w drogę.

Ciemność. Ból. Słyszała własny nierówny oddech, czuła niespokojne bicie

swojego serca. Głowa pękała jej, jakby miała w mózgu pulsujące jądro słońca. I знаła ten głos.

– Nie sądziłem, że wyślą cię za mną.

Otworzyła oczy, ale światło sprawiało jej ból. Zamknęła je. Ból był jak ciężar miażdżący każdą część jej ciała. Skóra jej głowy była mokra i ciepła i wszystko wokół było czerwone.

Moc, która zwykle była dla niej spokojnym morzem, teraz przypominała szalejącą rzekę pełną mieszających się prądów.

– Myślałem, że mają więcej rozumu.

Dal, pomyślała i spróbowała usiąść. Ktoś jej pomógł. To ją zaskoczyło, ale zaczynała już odzyskiwać zmysły. Pozostań w tym stanie, powiedziała sobie Bądź słaba. Bądź ranna.

– Wiem, że szukałaś mnie na Kalimahrze...

– Skąd? – Własny głos odbijał się echem w jej głowie, rozsadzając czaszkę, ale nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Dal nie odpowiedział.

– Nie sądziłem, że zdołasz mnie wytropić. Myślałem, że już cię zgubiłem. Alez ty jesteś uparta.

Czy w jego głosie były jakieś sprzeczności, kiedy mówił o niej? Lanoree nie była pewna. Tak bardzo się zmienił. Wiedziała to, nawet na niego nie patrząc.

W oddali rozległo się głębokie dudnienie. Co to było? Gdzie jest Tre? – zastanawiała się. Przypomniała sobie jego krzyk, więc domyśliła się, że nie żyje, i poczuła zaskakujący smutek. Tre nie był dobrym Twi'lekiem, ale pracował nad sobą. Starał się odkupić swoje dawne winy.

Lanoree znów otworzyła oczy i spojrzała na brata. Obraz był niewyraźny, kołysał się w jej oczach niczym wąż bliznowaty szykujący się do ataku. Zamknęła jedno oko i wszystko się ustabilizowało. Dal klęczał przed nią na jednym kolanie, jakby zwracał się do jednego z dawnych bogów.

– Wydoroślałeś – szepnęła Lanoree. Dal się roześmiał. Rozpoznała ten śmiech, ale było w nim coś zgrzytliwego, coś szalonego.

I faktycznie wydoroślał. Zniknął gdzieś jego chłopięcy urok; na ogorzalej twarzy wypisany był każdy dzień każdego roku, jaki minął. Włosy miał przerzedzone i przyprószone siwizną. Na lewym policzku widniała blizna. Mógł coś zrobić z włosami i blizną, ale Lanoree nie dostrzegła w nim żadnej próżności ani śladu dbałości o wygląd. Wszystko, czym był teraz Dal, zawierało się w jego szalonych, płonących oczach.

Kolejny łomot. Bardziej go poczuła, niż usłyszała. Dal spojrzał na sufit.

– Dojrzałem pod każdym względem – powiedział. – Zobacz. Poczuj.

– Nie chcę...

– Ale ja ci każę! – krzyknął. Lanoree wzdrygnęła się, bo ten głos wdarł się jej do głowy, przeszywając gałki oczne igiełkami bólu. Być może miała pękniętą czaszkę. Próbowwała to wyczuć, tak jak uczyli ją w Mahara Kesh, kiedy kończyła

wraz z bratem swoją Wielką Wędrówkę. Ale była zdezorientowana. Moc przez nią przepływała, ale jakby się zacinała. Nie mogła sama się zbadać, więc zamiast tego spróbowała wniknąć w umysł Dala.

I natychmiast się wycofała.

Uśmiechnął się leniwie.

– Widzisz? – spytał. – Czujesz?

Lanoree pokiwała głową. Zalewały ją fale bólu. Nie wyczuwała w nim w ogóle Mocy. Ani jasnej, ani ciemnej; ani Ashli, ani Bogana. Ale miał w sobie niewiarygodną siłę, którą dziewięć lat wcześniej ledwie zaczęła dostrzegać. A teraz rozwinęła się ona w coś trwałego. Mogła to nazwać tylko szaleństwem, a jednak...

Jednak cele i ambicje Dala były wyraźnie zdefiniowane, a droga do ich osiągnięcia wytyczona. W jego szaleństwie była metoda.

– Mało kto jest całkowicie pozbawiony Mocy, prawda, Lanoree? Mało kto. Na pewno nie on. – Wskazał ruchem głowy w róg sali, gdzie Lanoree z ulgą zobaczyła Trego opartego o ścianę. Miał krwawiącą ranę, która przecinała czoło i lewe oko, a jego nieprzytomnym ciałem wstrząsały drgawki. – Nawet większość spośród moich Patrzących w Gwiazdy ją ma.

W sali były teraz jeszcze trzy osoby, nie licząc Selkathów. Należały do różnych ras, ale wszystkie były ubrane podobnie do Dala. Ich wygląd przywodził na myśl jakiś kult religijny, ale było w tym coś więcej. No i niewiele było religii, których wyznawcy chodziliby uzbrojeni po zęby.

– Mało kto chce żyć bez Mocy – odparła Lanoree.

– Widzisz, dlatego mnie nie znalazłaś – zauważył Dal. – Tam, w tym starym, ciemnym miejscu. Bo szukałaś w niewłaściwy sposób. Szukałaś mnie tak, jakbym coś stracił i uciekał, a nie jakbym znalazł coś i obrał swoją własną drogę. Szukałaś rannego, konającego zwierzęcia, a nie człowieka, którym się stałem.

– Szukałam swojego brata.

– A ja ci już powiedziałem: zostawiłaś brata, którego zawsze chciałaś odzyskać, w Bodhi, z naszymi rodzicami. On już od dawna nie żyje.

Rozległ się jeszcze jeden odległy huk. Lanoree wchłonęła go, zbadała. Była teraz bardziej przytomna i świadoma. Wydawało jej się, że była to eksplozja.

– Co się dzieje? – spytała.

Dal wstał i podszedł do zakrytego przedmiotu na stole. Był on wielkości głowy Noghriego i wydawał się pod płachtą dokładnie okrągły.

– Jest już prawie skończony – powiedział. – Prawie gotowy. Wiesz, co to jest?

– Tak – odparła Lanoree, blefując. Znała jego cele, wiedziała, czego planuje użyć, by je urzeczywistnić, ale tak naprawdę nie miała pojęcia, co to za urządzenie.

Dal położył na kuli jedną rękę niemal z nabożeństwem.

– Wszystko, czego pragnąłem – wyszeptał, jakby do siebie.

– Dal...

– Zamknij się. – Mówiąc to, nawet na nią spojrział. Zaszła w nim nagła zmiana.
– Jesteście pewni? – spytał skulonej w kącie grupki. – Całkowicie?

– Tak – potwierdził jeden z laborantów i zrobił krok do przodu. – Twoja prośba była... wybaczone, mało precyzyjna. Ciężko pracowaliśmy, ale czerpaliśmy radość z tej pracy. Urządzenie jest teraz w stanie zrobić wszystko, czego od niego oczekujesz. Jest... perfekcyjne. To jedno z naszych najdoskonalszych dzieł, wytyczających nowe kierunki w nauce. Kiedy będzie naładowane...

– Dostyc! – przerwał mu Dal, unosząc rękę. Zerknął na Lanoree.

– Nie masz pojęcia, co robisz – oznajmiła.

– A ty nie masz pojęcia, co widziałem. – Skinął na Patrzących w Gwiazdy.

Atak był nagły i niespodziewany. Patrzący w Gwiazdy – człowiek, Twi'lekanka i Cathar – wyciągnęli blastery i łuki energetyczne i otworzyli ogień do naukowców. Lanoree wzdrygnęła się, ale patrzyła dalej. Nie potrafiła zamknąć oczu. Selkathowie podskakiwali, wstrząsani wiązkami i ładunkami energetycznymi. Tryskała krew, ogień skwierczał na skórze, ubrania stawały w płomieniach. W ciągu paru sekund naukowcy byli martwi. Ostatnia z grupy osunęła się po ścianie i legła bezwładnie obok zamordowanych towarzyszy.

Spokojnie, mówiła sobie Lanoree, spokojnie. Szykowała się do użycia Mocy, żeby ocalić siebie. Czas na to musiał wkrótce nadejść. Musiała powstrzymać brata tu i teraz, bo nic się tutaj nie skończy dobrze.

Dal popatrzył na Lanoree. Nie potrafiła nic wyczytać w jego oczach. Poszukała ręką swojego miecza, ale pochwa była pusta. Teraz na mnie kolej? – pomyślała. Ogarnęła ją panika, ale zdusiła ją w sobie, wykorzystując Moc, żeby przygotować się do działania. Jednak jej ból był jeszcze świeży, a szok podsycił szalejące w niej burze niepewności.

– Przegrałabyś – rzucił Dal. – Mogłabyś nawet zabrać paru z nas ze sobą. Ale moi Patrzący w Gwiazdy są na ciebie przygotowani. Przy pierwszym dotknięciu umysłu blaster rozwali ci czaszkę albo wiązka energii usmaży ci serce.

Lanoree wzięła długi, powolny oddech. Chwila się przeciągała.

– Chciałbym... – zaczął Dal. Szukała u niego jakichkolwiek oznak słabości, ale nie znalazła. Wyrażał frustrację, a nie żal.

– Chciałbyś co?

– Chciałbym, żebyś zrozumiała. Chciałbym, żebyś potrafiła otworzyć umysł na naszą przeszłość. Ta twoja Moc jest taka ograniczająca! Myślisz, że daje ci siłę? Mówią ci, że jest wspaniała, ale ona cię krępuje. Masz klapki na oczach, ale ja mam oczy szeroko otwarte. My widzimy gwiazdy! Mamy swoje miejsce we wszechświecie, które Tho Yor nam zabrały. Porwały nas, ściągnęły tutaj, odebrały nam przyszłość, która nam się należy. Ale ja ją odzyskam.

– Zabijesz wszystkich.

– Nie – odparł z uśmiechem Dal. – Wiem, co robię.

– Ciemna materia? Technologia Greech, Dal? Igrasz z czymś, czego nigdy nie zdołamy pojąć. – Lanoree wskazała ruchem głowy na dymiące jeszcze i drgające w

kącie ciała. – Słyszałeś ich. Nawet oni mówili, że to coś przekracza granice znanej nauki.

– Zabierzcie to – polecił Dal Patrzącym w Gwiazdy. Odwrócił się tyłem do Lanoree.

Gdzieś w oddali rozległa się kolejna eksplozja.

– Dal, coś ty zrobił? – spytała. Wstała powoli, przytrzymując się wózka na narzędzia. Cathar obserwował ją z bronią gotową do strzału.

– Wszczęłem małą walkę. – Dal odwrócił się znów w jej stronę. Nagle załły ją wspomnienia, ale były to same dobre wspomnienia czasu, jaki spędziła z bratem. Nie pasowały tutaj.

– Z kim?

– Załatwiłem, żeby w Knool Tandor dowiedzieli się o interesach łączących Głęboką Panew z Je'daii, a ich tam nienawidzą. Mieszka tam wielu ocalałych z bombardowań. Wysłałem tam jedną z Patrzących w Gwiazdy i do tej pory powinna już zabić kilku prezesów ich Korporacji mieczem Je'daii.

– Skąd miałeś... – zaczęła Lanoree, ale nagle wszystko stało się jasne. Kara.

– Będą obwiniać Stację Greenwood o morderstwa i współpracę z Je'daii – ciągnął Dal z kamienną twarzą. – Na Noksie potyczki są na porządku dziennym. I to nie będzie pierwszy konflikt między Knool Tandor a innym miastem.

– Zacierasz ślady – stwierdziła Lanoree.

Dal wzruszył ramionami. Za jego plecami Patrzący w Gwiazdy owinęli urządzenie w płachtę. Nie wyglądało wcale na ciężkie, a Twi'lekanka przyciskała je do piersi. Czekali, aż Dal ruszy do wyjścia.

– Tak jak na Tythonie – ciągnęła Lanoree. Z jedną ręką ukrytą pod płaszczem obracała przedmiot, którego szukała, między kciukiem a palcem wskazującym. Urządzenie naprowadzające, małe i sprytne. – Zostawiłeś swoje zakrwawione ubrania, żebym je znalazła. Żeby rodzina myślała, że nie żyjesz.

– Podobało mi się bycie martwym – powiedział Dal. – Uwolniło mnie od twoich nieustannych prób narzucania mi Mocy, podczas gdy ja nigdy jej nie chciałem. – Znów ciche dudnienie i drgania z góry. – Wkrótce znów zostanę uznany za zmarłego i będę mógł swobodnie podążać za swoim przeznaczeniem.

– Dal, nie wiesz, co...

– Powiniennem cię zabić. – Dal wyciągnął spod płaszcza blaster i wycelował go w podłogę. Stał zupełnie nieruchomo, niczym posąg. Nawet jego oczy wydawały się martwe.

On jest w środku siebie, pomyślała Lanoree. Zastanawiała się, co tam znalazł, o czym myśli i jakie podejmuje decyzje, i rozumiała, że to jest pora, by zaatakować. Musiała natrzeć ostro i gwałtownie, rozbijając mentalne umocnienia, jakie mógł przed nią postawić.

– Ale nie mogę – dodał Dal. Odwrócił się i schował blaster do kabury.

Lanoree wyciągnęła rękę i rzuciła urządzenie naprowadzające. Skoncentrowana, zamknęła oczy i pokierowała urządzeniem przez całą salę, aż

przyczepiło się do prawego buta Dala. Potem otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła, ale nikt nic nie zauważył. Być może miała szczęście. Być może.

Dal nawet na nią nie spojrział. Skinął na Cathara i opuścił pomieszczenie tą samą drogą, którą przyszli Lanoree i Tre. Za nim podążyła Twi'lekanka niosąca urządzenie i Patrzący rasy ludzkiej.

Cathar pozostał na miejscu z bronią wycelowaną w Lanoree. Był to ciężki blaster, a z jego lufy wciąż biło ciepło. Lanoree zacisnęła pięść, szykując się do zadania wspomaganego Mocą ciosu.

– Spróbuj – rzucił Cathar.

– Wiesz, że nie mogę stać beczynnym i patrzeć, jak odchodzi.

– Długo tak nie postoisz.

Lanoree poruszyła palcem i jedno z leżących na szerokim stole narzędzi poleciało na ścianę. Patrzący w Gwiazdy nawet nie mrugnął.

– On nie chce słyszeć, jak umierasz – poinformował ją Cathar.

– To miło ze strony mojego brata.

– On jest miły. To jedyna miła osoba, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Lanoree zerknęła na zakrwawione ciała w kącie.

– Oni nie byli mili – wyjaśnił Cathar. – Ukrywali się tutaj, zamiast patrzeć na gwiazdy.

Wyczuła jakiś ruch po drugiej stronie sali. Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, że to Tre się rusza.

– On wszystkich zabije – stwierdziła. – Kiedy uruchomi to urządzenie, ciemna materia utworzy czarną dziurę i wszyscy w systemie...

– On wie, że do tego nie dojdzie. Gwiazdy wołają. Przemawiają do niego.

– Ach, więc gwiazdy z nim rozmawiają? – Lanoree zaśmiała się cicho. – Na pewno nie jest obłąkany?

Cathar zamrugał powoli, ale nie udało jej się choćby w najmniejszym stopniu zachwiać jego wiarą. Szybciej, Tre, pomyślała.

Tre jęknął, a Cathar spojrział w jego stronę. Lanoree wykonała pchnięcie Mocą, wkładając w nie wszystkie siły. Narzędzia i leżące luzem części przeleciały ze szcękami po stole i pomknęły w stronę Patrzącego w Gwiazdy, a jedna z szafek przewróciła się na podłogę, zasypując Cathara gradem śrub i kawałków drutu, które przecinały skórę i oślepiały go.

Lanoree przyczaiła się i wymierzyła wspomagany Mocą cios, posyłając go na ścianę przy drzwiach. Jego blaster wystrzelił, wypalając dziurę w suficie. Z góry popłynął roztopiony metal i posypały się kamienne okruchy. A potem Patrzący w Gwiazdy chwycił się za swój pasek. Z oczu ciekła mu krew, a na twarzy pojawił się wyraz ekstazy.

– O, nie – mruknęła Lanoree. Spojrzała na Trego i zobaczyła, że jest ledwie przytomny. Wytężając wszystkie siły, jakie dawała jej Moc, sięgnęła po niego i przyciągnęła ku sobie. Twi'lek wytrzeszczył komicznie oczy, sunąc po podłodze, a gdy dotarł do niej, Lanoree złapała go za ubranie i wrzasnęła: – Bomba!

Eksplozja była ogłuszająca i wstrząsająca. Atakowała ciało, umysł i zmysły. Lanoree poczuła się jak płatek śniegu miotany wiatrem.

Domeną jej rodziców była sztuka. Jej matka pisała przepiękne wiersze, a ojciec był rzeźbiarzem, którego dzieła ceniono na całej Masarze. Jednak powołaniem Lanoree okazała się nauka i alchemia oraz wykorzystanie Mocy w obu tych dziedzinach. Odkrywa to w Anil Kesh i upaja się tym.

Mistrzynie Dam-Powl wskazuje jej drogę. Catharska Mistrzynie Świątyni naucza w Anil Kesh od szesnastu lat i na koniec ich pierwszej długiej, nocnej rozmowy oznajmia Lanoree, że ma ona potencjał, by stać się jej najlepszą uczennicą.

– Mówisz to każdemu? – pyta Lanoree, dumna, ale podejrzliwa.

– Nikomu tego jeszcze nie mówiłam – odpowiada Dam-Powl.

W ciągu następnych paru dni zaczynają się studia i Lanoree jest zdumiona. Nauki Dam-Powl pochłaniają ją bez reszty, a jej kłopoty z Dałem schodzą na dalszy plan. Nie znikają całkowicie – cały czas wisi nad nią cień i poczucie zbliżającej się zmiany w jej życiu – ale sypia teraz lepiej, czuje się szczęśliwsza i zdaje sobie sprawę, że zawsze była za bardzo skupiona na bracie. Dam-Powl dowodzi, że to jest także jej Wielka Wędrówka. I chociaż Lanoree nie potrafi zapomnieć o Dalu, po raz pierwszy stawia siebie ponad nim.

Ze względu na leżącą w dole Otchłań w Anil Kesh panuje inna atmosfera niż w pozostałych Świątyniach. Każda chwila jest tu intensywna, pełna możliwości, ale i naznaczona niebezpieczeństwem. Lanoree nigdy tak bardzo nie czuła, że żyje. Zupełnie jakby komórki jej ciała były naładowane, a umysł płonął. Kiedy o tym wspomina, Dam-Powl kiwa z uśmiechem głową.

– Balansujemy na krawędzi wiedzy – mówi. – Pod nami znajduje się nieznanne, które stale grozi tym, że ściągnie nas w dół albo podniesie się i nas pochłonie. Moc jest tu skoncentrowana i potężna. Każdy, kto jest z nią obeznany, może ją wyczuć, ale jeśli jesteś silną Mocą... – Krzywi się i przyciska pięść do czoła. – Czasem to aż boli. Ale to ból, który warto znieść.

Dam-Powl wprowadza ją w tajniki nauk, o których Lanoree tylko słyszała albo czytała. Wie o Je'daii, których niepokoją pewne rzeczy zdarzające się w Anil Kesh, ale słucha Mistrzynie z otwartymi szeroko oczami i otwartym umysłem. Wiele spraw wzbudza jej obawy, jednak o wiele więcej ją fascynuje. Zdaje sobie sprawę, że Dam-Powl wnikliwie ją obserwuje i ocenia. Zależy jej, żeby dobrze wypaść.

W zagrodach wewnątrz jednego z ramion Świątyni trzymane są zmodyfikowane zwierzęta. Te dziwne i przerażające stworzenia, sprowadzone z Rozpadliny Ruh, niebezpiecznego miejsca w głębi Ryftu, sześćset kilometrów na wschód, zostały zmodyfikowane genetycznie przy użyciu Mocy, by służyły Je'daii. Lanoree jest zdumiona zmianami, jakie w nich zaszły – a przecież żadne ze zwierząt nie ucierpiało i wydaje się, jakby te modyfikacje były wolą ewolucji.

Dam-Powl oprowadza ją po sieci laboratoriów. W jednym z nich broń jest przerabiana i przystosowywana przy użyciu wspomaganą Mocą metalurgii. W innym testuje się broń właściwą Mocą. Substancje chemiczne poddaje się

przemianie; przekształca się strukturę ciał stałych; dzika energia Otchłani, uwięziona w pomieszczeniach o grubych ścianach, tańczy, błyskając, niczym żywe stworzenie.

W ostatniej sali, jaką pokazuje jej Dam-Powl, Lanoree odkrywa swoje przeznaczenie.

– Wymaga to wyjątkowych uzdolnień – tłumaczy Mistrzynie Je'daii – i wiąże się z dużym ryzykiem. Ale satysfakcja jest ogromna. Nauczę cię.

Lanoree wpatruje się w dwóch Je'daii na środku sali. Każdy z nich ma przed sobą dużą bryłę. Coś, co nie powinno żyć, a jednak rusza się i oddycha. Coś, czego nie powinno być, a jest.

– Zrodzone z ich ciała – wyjaśnia Dam-Powl – i wyhodowane przy użyciu Mocy.

Lanoree jest przerażona i podniecona zarazem. Słyszała o tym, ale nie sądziła, że to może być prawda. Nigdy nie przypuszczała, że zobaczy coś takiego na własne oczy.

– Alchemia ciała – szepcze. Pomimo lęku nie może się doczekać, by rozpocząć naukę.



– Powiedz mi, że możesz nas stąd wyciągnąć. – To był głos Trego. Jego natarczywy ton szybko ją otrzeźwił. To, a także smród ścieków i śmierci.

Wszystko ją bolało, a w paru miejscach ból był potworny. Głowa wciąż pękała, całkiem jakby ktoś po niej skakał. Czuła zapach krwi i wiedziała, że to jej własna krew. Tre jednak nie był zbyt delikatny; wziął ją pod rękę i spróbował podnieść. Lanoree odepchnęła go i Twi'lek poleciał na roztrzaskany stół.

Rozejrzała się dookoła, próbując ocenić sytuację. Nie wyglądało to dobrze.

Cathar zdetonował ładunki wybuchowe, które miał na sobie, rozwalając ścianę i większość sufitu. Drzwi były zatarasowane przez rozerwany metal i pokruszony kamień. Pozostała część sufitu była pokryta plamami krwi, a duży jego fragment zaczął się odrywać od eksplozji. Reszta sali była w kompletnym chaosie – ciała naukowców porzucane były z dala od rogu, w którym zostali zmasakrowani; wszędzie leżały różne narzędzia i części; duży, centralny stół okazał się rozbity w drzazgi. Gdyby nie odciągnęła Trego, oboje już by nie żyli.

W jednej ze ścian zauważyła szerokie pęknięcie, przez które nieprzerwanym strumieniem sączyły się ścieki.

– Spójrz – pokazał jej Tre. – Tam są jeszcze jedne drzwi. – Twi'lek prawie krzyczał, a z uszu ciekła mu krew. Lanoree słyszała też słabnący jęk swoich umęczonych bębenków, ale to było najmniejsze z jej zmartwień.

– Bomba Cathara nie mogła tego spowodować – powiedziała, wskazując na

rozdarcie w ścianie. Znajdowało się ono po przeciwnej stronie pomieszczenia niż zablokowane przez eksplozję drzwi.

– Był jeszcze jeden wybuch, kiedy próbowałem cię ocucić – wyjaśnił Tre. – Daleko, gdzieś w górze. Musiał być potężny, skoro wyczuwało się go aż tutaj. Co się dzieje? Co myśmy tu wywołali?

– Wojnę. I nie my, tylko Dal. Chodź, musimy go zatrzymać, zanim opuści Stację Greenwood.

– Niedobrze mi – jęknął Tre. – Śmierdzi. Głowa mnie boli. Chyba mogę mieć pękniętą...

– Sama ci ją rozbiję – warknęła Lanoree. – No, chodź! Pomożesz mi z tymi drzwiami. – Rozejrzała się za swoim mieczem, wiedząc, że go nie znajdzie. Opłakiwała w duchu jego stratę. Ten miecz wykuł dla niej sam Tem Madog. Wolałaby raczej stracić rękę.

Być może został gdzieś za tymi zablokowanymi drzwiami. A może zabrał go Dal.

Spróbowali otworzyć drzwi, ale były zamykane elektronicznie.

– Zatkaj uszy – poleciała Lanoree. Skoncentrowała się na zamku i wykonała pchnięcie Mocą, miażdżąc mechanizm i powodując zwarcie. Drzwi się rozsunęły i fala ścieków zalała im nogi. Chwycili się z Trem za ręce, żeby utrzymać równowagę. Na samą myśl o upadku w to szambo...

Kiedy poziom nieczystości się wyrównał, wyszli z sali i znaleźli się w jednym z korytarzy Głębokiej Panwi. Był długi i pusty i znajdowało się w nim jeszcze kilkoro drzwi. Wszystkie były zamknięte i oznaczone jedynie numerami. Lanoree nie miała ochoty otwierać którychkolwiek z nich. Za panelami sufitowymi było zamontowane łagodne oświetlenie reagujące na ruch, a na ścianach widniały panele dotykowe, trójwymiarowe holokrany i kilka zagłębień, w których mogły się kiedyś mieścić drukarki przestrzenne. Była to dosyć zaawansowana technologia jak na tak głęboko ukryte miejsce. Ktoś musiał wpompować w Głęboką Panew mnóstwo pieniędzy.

Nikogo więcej nie zobaczyli. Być może poza szóstką zamordowanych naukowców nikt tu nie pracował. A może Dal zapłacił innym, żeby trzymali się z dala.

Nie zdążył jeszcze daleko uciec, pomyślała, ale wie, jak się stąd wydostać. Na pewno miał przygotowaną trasę ucieczki stąd i z miasta. Z trudem mogła uwierzyć, jakich potworności dopuścił się Dal. Wywołanie bitwy między dwoma miastami, które specjalizowały się w projektowaniu i wytwarzaniu broni, było równoważne z własnoręcznym wymordowaniem wielu istnień. I wszystko po to, żeby zatrzeć ślady.

Było to brutalne. Nieludzkie. Dal domagał się wolności od Mocy, ale uwalniając się spod jej wpływów, stał się potworem.

Głęboka Panew nie była tak duża, jak się spodziewała. Idąc korytarzem, dotarli do pieczary o chropowatych ścianach. Na drugim jej końcu widać było sznur

świateł prowadzący do tunelu, który wznosił się łagodnie do góry. Dno pieczary zalewały ścieki i smród był nie do zniesienia, jednak Lanoree wiedziała, że w ekstremalnych okolicznościach można się przyzwyczaić niemal do wszystkiego. Nawet Tre ją zaskakiwał. Szybko przestał narzekać, otarł krew z twarzy i uszu, a teraz trącał ją w ramię, pokazując przed siebie.

– Myślisz, że zastawił pułapki?

– On myśli, że zginęliśmy – odparła.

W górze zadudnił kolejny wybuch, a ze sklepienia pieczary posypał się żwir i pył. Gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy, zgrzytliwy trzask, wprawiając podłoże i powietrze w drgania.

– Nie mamy czasu na ostrożność – dodała Lanoree. – Chyba używają tam bomb plazmowych. Musimy wydostać się ze Stacji Greenwood i wrócić na "Rozjemcę" albo zostaniemy tu pogrzebani żywcem.

– Pochowany w szambie – podsumował Tre. – No cóż, chyba sobie na to zasłużyłem.

Lanoree roześmiała się na głos. Tre wytrzeszczył ze zdumienia oczy. A potem puścili się biegiem.

Była to droga przez mękę – potoki ścieków, walące się ściany, trzy kraty zabezpieczające, które Lanoree musiała wypchnąć, posługując się Mocą, żeby mogli biec dalej – a najgorsza była niepewność tego, co na nich czeka. Im dalej się zapuszczali, tym głośniejsze były odgłosy bitwy. Nie mieli jednak wyboru.

Frustracja i strach napędzały Lanoree. Strach nie tyle o samą siebie, co o niezliczone istoty, które plan Dala narażał na niebezpieczeństwo. Nie chodziło tylko o te ginące teraz w sprowokowanym tu konflikcie. Widząc kształt urządzenia ukrytego pod płachtą materiału, nie mogła się nadziwić, że coś tak niewielkiego może zawierać w sobie taką energię. Pościg odwrócił jej uwagę od hiperwrót i prawdziwości lub nieprawdziwości pogłosek o ich istnieniu. Jednak widok Dala i jego obłądu, no i bliskość urządzenia, które mogło być zrodzone z technologii Greech – wszystko to pomogło jej pozbierać myśli.

Nie można było wykluczyć, że urządzenie zadziała, co byłoby zdumiewające, ale nad konsekwencjami wołała się nawet nie zastanawiać. Najprawdopodobniej jednak przyniosłoby im wszystkim zgubę.

Im bardziej oddalali się od fundamentów masywnej wieży, tym większa była siła wybuchów. Po dotarciu do "Rozjemcy" Lanoree miała zamiar skontaktować się z Radą Je'daii i poinformować ich o tym, co się tutaj działo. Może zdążyliby zainterweniować w porę, by zapobiec większej tragedii, ale... przyznałoby się tym samym do zainteresowania Stacją Greenwood oraz laboratoriami i fachowcami w Głębokiej Panwi. Być może woleliby pozostawić miasto swojemu losowi i pozwolić, by odeszło w zapomnienie.

Droga prowadziła ich pod górę i Tre zauważył raz czy drugi, że powinni już dotrzeć na poziom ulic. Nie mieli jednak czasu, by się zatrzymać, a kiedy Lanoree spojrzała na plany na swoim naręcznym komputerze, nie potrafiła ustalić ich

położenia.

W obu kierunkach mijały ich różne istoty, nikt jednak nawet na nich nie spojrzał. Wszyscy mieli wytrzeszczone oczy i wyglądali na przestraszonych.

W końcu dotarli do ciężkich pancernych drzwi. Posługując się Mocą, Lanoree przepaliła mechanizm otwierania, a Tre znalazł ciężki metalowy pręt, żeby je wyważyć. Zalały ich żar i hałas, smród i ogólny chaos. Lanoree wyszła chwiejnym krokiem na szeroki balkon kilka pięter nad ziemią. Znajdowali się tuż nad podstawą centralnej wieży, po jej zachodniej stronie. Odgłosy, widoki i chaos wojny były niemal przytłaczające.

Zobaczyli sceny, które odebrały im dech.



ROZDZIAŁ 14

SMUTNA HISTORIA

Być może pozostanie na Tythonie, jeśli nie jest się silnym Mocą, jest szaleństwem. Nikt nie zanurza się głęboko pod powierzchnię morza, jeśli nie ma skrzelii. Ktoś taki trzyma się powierzchni. Więc zostań teraz tutaj... to byłby obłąd.

– Nieznany Tythończyk, ok. 9000 PTY

Kiedy Mistrzynie Dam-Powl puka do jej drzwi, wybudzając ją ze snu, Lanoree wie, że coś jest nie tak. Spodziewała się tego. Podobnie jak poczucie zagrożenia, zawsze obecne w Anil Kesh z powodu położonej w dole Otchłani, tak jej postrzeżenie Dala można było przyrównać do ściśniętej sprężyny. Teraz nadszedł ten moment i Dal wystrzelił.

– To głupiec! – dowodzi Dam-Powl, kiedy idą korytarzem. – Spodziewałam się, że będą z nim kłopoty, odkąd się tu zjawiliście. Podobnie jak Mistrzynie Kin’ade.

– Ze Stav Kesh? – pyta Lanoree.

– Oczywiście. Myślisz, że Mistrzowie Je’daii nie rozmawiają między sobą o odbywających Wielką Wędrówkę?

– Co on zrobił? – pyta Lanoree.

– Uciekł do Rozpadliny Ruh, narażając wiele istnień.

– Nie żyje? – szepcze Lanoree.

– Żyje, żyje. Wyciągnęli go i wiozą z powrotem. Właśnie podchodzą do lądowania. – Dam-Powl wchodzi po schodach i ciężkie drzwi otwierają się przed nią. Na zewnątrz wyje wiatr, deszcz rozbryzguje się na podłodze, a błyskawice Mocy rozświetlają odsłonięty prostokąt nocnego nieba.

Och, Dal, coś ty narobił? – myśli Lanoree. Nie było go przez cztery dni. Mistrz Quan-Jang zabrał go razem z innymi na Rozpadliska, żeby zebrać próbki do laboratoriów alchemicznych w Anil Kesh. Początkowo była zadowolona z jego nieobecności; mogła w spokoju poświęcić się studiom, nie martwiąc się tym, co robi Dal. Jednak przez te ostatnie trzy noce spała niespokojnie. Zupełnie jakby wiedziała, że zdarzy się coś strasznego. Podąża teraz za Mistrzynią Je’daii na zewnątrz. Jest tam ktoś jeszcze; stoi na skraju platformy, spoglądając na wschód. W oddali widać ścigacz chmur, który zbliża się do jednego z lądowisk Anil Kesh.

– Mistrzynie – odzywa się młody człowiek, odwracając się, by je powitać. Rzuca Lanoree tylko pobieżne spojrzenie. – Mistrz Quan-Jang melduje, że Wędrowiec nic nie powiedział. Ale wydaje się cały i zdrowy.

– Dobrze – mówi Dam-Powl. – A inni?

– Osłabieni po pobycie w Rozpadlinie. – Patrzy znacząco na Lanoree. – To miejsce pełne mrocznej, niebezpiecznej energii.

Lanoree spogląda ponad barierką w dół Otchłani. Kręci jej się w głowie i Dam-Powl ją przytrzymuje.

– Oddychaj powoli i głęboko – szepcze Mistrzynie. – Moc jest w tobie bardzo silna i dlatego Otchłań się z tobą bawi.

– Myślisz, że to jest zabawa? – pyta Lanoree.

Dam-Powl uśmiecha się zagadkowo.

– To takie wyrażenie.

– Więc co się teraz stanie?

– Stanie?

– Z Dałem.

Odpowiedzi udziela jej ten drugi Je'daii.

– Upewnimy się, że nic mu nie jest, że nie doznał żadnych urazów w czasie swojej eskapady, a z samego rana wyprowadzimy go z Anil Kesh.

– Dokąd go wyprowadzicie?

Je'daii uśmiecha się ponuro.

– Kiedy znajdzie się poza Świątynią, może iść, dokąd zechce.

– Więc to wygnanie – mówi Lanoree.

– Myślę, że w istocie ocalimy mu życie.

A więc tak się kończy smutna historia jej brata? – zastanawia się Lanoree. Ale wątpi w to. Dał niesie ze sobą ciężar, który rośnie, w miarę jak jej brat oddala się od Mocy. W najgorszych z jej snów jego koniec nadchodzi z wielkim hukiem.

– Chciałabym tu na niego poczekać – prosi. Ścigacz chmur już ląduje, widoczny między kłębam niskich chmur. – Porozmawiać z nim, kiedy się zjawi.

– Zaczekam z tobą. – Je'daii się kłania. – Wędrowiec Skott Yun.

Lanoree chce zaprotestować, ale uświadamia sobie, że to nie była propozycja.

– Lanoree Brock – odpowiada.

– Przyprawdźcie go potem do mnie – mówi Dam-Powl. – Pójdę sprawdzić, czy punkt medyczny jest przygotowany na przyjęcie pozostałych, którzy mogą jeszcze wymagać opieki.

Yun pochyla głowę, a Mistrzynie odwraca się i odchodzi.

Lanoree odprowadza ją wzrokiem, zaskoczona jej przekonaniem o dobrym samopoczuciu Dała.

– Przyniosę ci kurtkę – mówi Yun. – Może się tu zrobić zimno.



Przejście z lądowiska do Świątyni zajmuje Quan-Jangowi i pozostałym zaskakująco dużo czasu. Yun próbuje ją zagadywać, jednak Lanoree jest zbyt roztargniona i zatroskana, żeby prowadzić jakąkolwiek sensowną rozmowę. Przez większość czasu ma zamknięte oczy, zatopiona we własnych myślach.

Wreszcie Yun obwieszcza ich przybycie. Docierają do Świątyni pieszo. Przodem idzie Mistrz Quan-Jang, a za nim podąża dziesięć osób, z czego trzy są niesione na noszach. Lanoree widzi wśród nich Dala, odnosi jednak wrażenie, jakby brat szedł samotnie.

– Wyjdę im naprzeciw – mówi Yun. – Zaczekaj tu, a ja przyprowadzę twojego brata.

Lanoree czeka i obserwuje. Wdrapują się po jednym z filarów na szczyt Świątyni, a Yun oczekuje ich na końcu platformy widokowej.

Dal wydaje się jeszcze bardziej wyobcowany, niż początkowo sądziła. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu i sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, gdzie jest. Lanoree podejrzewa, że ucierpiał bardziej, niż sądziła Mistrzynie Dam-Powl. Chce podejść bliżej, żeby sama mogła ocenić jego stan, i uświadamia sobie, że chociaż minęły raptem cztery dni, stęskniła się za bratem.

Quan-Jang i inni wchodzą do Świątyni, a Yun dotyka ramienia Dala. Następnie obaj idą w stronę Lanoree przez platformę widokową, smaganą od dołu wiatrem, a od góry ciężkimi, ciepłymi kroplami deszczu.

– Dal – wita go Lanoree, kiedy do niej podchodzą, ale urywa, widząc wyraz jego twarzy. Taki poważny. Taki dorosły. Wydaje się jakiś większy, jakby urósł od ich ostatniego spotkania, żeby dopasować się do świata, w którym przyjdzie mu żyć. Wygląda też na pewnego siebie, mimo że skórę ma poparzoną, a oczy podpuchnięte i czerwone.

– Przyszedłem się pożegnać, Lanoree – mówi. Jego słowa brzmią dziwnie i zaskakująco. Odwraca się, żeby odejść, ale Skott Yun zagraża mu drogę.

– Masz zostać wydalony... – zaczyna Wędrowiec.

– Tam są takie otchłanie – mówi Dal. Zwraca się bezpośrednio do Lanoree, a ona się zastanawia, czy to ostatnie słowa, jakie między nimi padną.

– Co widziałeś? – pyta.

– Rzeczy, których ty nigdy nie zobaczysz. – Jego oczy, niesamowicie roziskrzzone, zdają się świecić. – Rozpadlina kryje w sobie takie szanse i możliwości! Takie głębie historii i potencjału! A teraz muszę iść gdzie indziej, poszukać czegoś więcej. Tak więc...

– Dalienie Brock – zaczyna Yun – pójdziesz ze mną do...

Dal atakuje. Lanoree spodziewała się tego i jest zaskoczona, że Yun niczego nie przewidział. Ale choć Wędrowiec zadomowił się już w Anil Kesh, nie był jeszcze w

Stav Kesh, żeby odbyć szkolenie ze sztuk walki. Pięść Dala ląduje na jego podbródku, a kiedy Yun odchyła się do tyłu, Dal obraca się i kopie go w twarz. Upadając, Yun przyjmuje jeszcze jeden cios, a Lanoree słyszy trzask łamanych kości, zanim jeszcze Yun uderza o metalową platformę.

– Dal! – krzyczy Lanoree, ale widzi determinację swojego brata. Nie mogę go teraz stracić! – postanawia. Rusza ku niemu z wyciągniętymi rękami, pragnąc przytulić go i cofnąć wszystko to, co zaszło między nimi, odkąd opuścili dom. To naiwne pragnienie, właściwie godne bardziej dziecka niż kobiety Je'daii, którą Lanoree się staje. Jednak siostrzana miłość jest potężną siłą.

Kątem oka widzi, jak Skott Yun próbuje unieść się na jednym łokciu, a potem wyciąga drugą rękę w stronę Dala.

– Nie! – krzyczy ona. – Nie próbuj... – Zawsze będzie się zastanawiać, czy to jej krzyk ostrzegł Dala i czy w istocie nie tego właśnie chciała.

Na dźwięk jej głosu Dal przykuca i obraca się na pięcie. Jego płaszcz wydyma się, gdy wyciąga spod poły jedną rękę. Blaster pluje ogniem. Skott Yun upada z krzykiem na platformę, odrzucony siłą strzału. Z pleców tryska mu krew, a z jego ubrania unosi się dym.

– Dal – szepcze Lanoree. Czuje się nagle słaba i zupełnie pozbawiona nadziei. W tym momencie zdaje sobie sprawę, że wszystko zaszło za daleko.

– Żegnaj, Lanoree – mówi Dal. A potem rzuca się biegiem przez platformę i zaczyna się wspinać po pochyłej drabince, przytwierdzonej do zaokrąglonej ściany Świątyni.

Powinna zostać i pomóc Yunowi. Klęka przy nim na chwilę i ogląda ranę. Wie, że choć Wędrowiec jeszcze oddycha, to nie przeżyje. Lanoree naprawdę powinna zostać, żeby opowiedzieć Mistrzynie Dam-Powl o tym, co zaszło.

Zamiast tego jednak rusza w pogoń za bratem. W górę, po wysokiej ścianie Świątyni, przez jej sklepiony dach, gdzie głębokie rowki odprowadzają wodę. Pokryta mchem powierzchnia jest zdradliwa. Lanoree przez nasilającą się ulewę podąża za odległym cieniem, aż ten ucieka po jednym z masywnych filarów w kierunku pewnego gruntu.

Jej pierwsza Wielka Wędrówka się kończy, a zaczyna się pościg za bratem.

– Twój brat to zrobił? – wykrztusił Tre.

– Tak twierdził.

– Ale jak?

– Szepnął słówko komu trzeba. Plotka, groźba, wyzwanie. Morderstwo.

– To... potworne. Przerazające.

Lanoree nie mogła się z nim nie zgodzić.

Powietrze wypełnione było przemocą. Dym, krzyki, huk broni, trzeszczenie i zgrzytanie olbrzymiej kopuły pod naciskiem. Wyszli na balkon tuż nad podstawą centralnej wieży. Na zachód rozciągał się uszkodzony wcześniej fragment kopuły z masywnymi przyporami i prowizorycznymi plombami, które chroniły miasto przed toksycznym powietrzem z zewnątrz. Na południu zaś trwał atak.

Kilka dużych części kopuły Stacji Greenwood zostało zniszczonych. Z poszarpanych dziur unosił się dym, a płonące, roztopione szczątki spadały na budynki i ulice w dole. Powietrze wyło, uchodząc spod kopuły, całkiem jakby cierpiało, mieszając się z toksycznymi chmurami na zewnątrz. Przy najbliższej z tych ran w ochronnej powłoce Lanoree zobaczyła kilka dużych, zwalistych kształtów – to droidy bojowe, skulone, ostrzeliwały miasto z działek laserowych. Wyglądało na to, że strzelają na oślep i wiele miejsc zajęło się już ogniem. Droidy bojowe posuwały się ostrożnie naprzód i pierwszy z nich zeskoczył, odpalając silniki hamujące pod swoimi licznymi rękami, żeby spowolnić opadanie.

Z wieży ponad nimi wystrzelił pocisk i trafił w droida, który, płonąc, zniknął w dzielnicy przemysłowej i eksplodował. Kolejne pociski wyfrunęły z wieży i kreśląc zgrabne łuki, uderzyły w kopułę wokół powstałej wyrwy. Niektóre z droidów wybuchały w kulach ognia, inne wypadały na zewnątrz kopuły. W ich miejsce pojawiły się kolejne ciemne kształty i kanonada rozpoczęła się na nowo.

Przy innej dziurze w kopule zawisł okręt szturmowy. Działko plazmowe zaczęło strzelać w ziemię w pobliżu podstawy wieży. Każde uderzenie było potężne, wstrząsało miastem, ziemią i powietrzem. Słupy ognia i dymu strzelały w górę, a Lanoree zastanawiała się, ile osób ginęło z każdym uderzeniem. Celując poniżej centralnej kolumny, pomyślała. Dal musiał im powiedzieć, że tam właśnie znajduje się Głęboka Panew. Z wieży wystrzelono kolejne rakiety, ale kiedy zbliżyły się do dolnej części kopuły, zniknęły w obłokach oślepiająco białej pary. Okręt szturmowy miał osłony. Lanoree nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, jakie zniszczenia mógł spowodować, gdyby udało mu się dostać do środka.

– Musimy lecieć! – ponaglił Tre, chwytając ją za rękę. Balkon drgał przy każdym uderzeniu, a gdyby okręt szturmowy minimalnie przesunął pole ostrzału...

– Jasne – powiedziała Lanoree. Ścisnęła rękę Trego, żeby go uspokoić. – Zaufaj mi! – Pociągnęła go na skraj balkonu i przeskoczyła przez balustradę.

Każda normalna osoba zginęłaby na miejscu, Lanoree jednak spowolniła ich lot, posługując się Mocą, tak że wylądowali dosyć łagodnie. Mieszkańcy biegali wokół, dezorientowani i przerażeni. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Nigdy więcej tego nie rób! – wrzasnął histerycznie Tre.

– Następnym razem nie będę cię trzymać za rękę. – Lanoree puściła się biegiem, a Tre podążył za nią.

Daleko na południu, w obłokach dymu toczyła się najwyraźniej bitwa naziemna. Lanoree nie widziała szczegółów, jedynie uderzenia artyleryjskiego ognia, spadające na zewnętrzną powierzchnię kopuły w odległości kilku kilometrów. Słyszała też nieustanny huk odpowiadających ogniem dział. Z otworów w kopule spadały setki jasnych światełek: droidy bojowe, a może nawet naziemne oddziały szturmowe.

Nagle rozległ się znacznie głębszy huk, jakby sam Nox się poruszył. Lanoree poczuła silne drgania, od których zachwiały się budynki. Słabsze z nich zaczęły

się walić, wokoło pękały szyby i sypał się gruz. Powietrze pod kopułą na chwilę jakby się rozrzedziło, a na zewnątrz niebo zabłysło ostrym blaskiem.

– Bomby plazmowe – oceniła Lanoree. – Na razie są neutralizowane, ale wkrótce się przebiją.

– Możesz jakoś pomóc?

– Pomóc?

– W końcu jesteś Je'daii, prawda?

– Nie jesteśmy czarodziejami, Tre. Przecież wiesz o tym.

– Ale to jest...

– Wynosimy się stąd – ucięła Lanoree. – Najszybciej, jak się da. Dał myśli, że my tam zginęliśmy, a wszystko, co tu robi, to tylko po to, żeby się upewnić. Nie dowiemy się, którędy uciekł, a on jest już pewnie daleko. Ale to, co on spowodował czy zainicjował, na nic się nie zda, jeśli my przeżyjemy. W dodatku wiemy, że on wciąż żyje.

– Patrz! – Tre pokazał palcem. W oddali, na północ od nich, część kopuły się rozsunała i kilka statków wzbilo się nad miasto, kierując się na zewnątrz. Lanoree domyśliła się po ich szyku, że to są okręty wojenne, a nie cywilne transportowce. A więc to nie była jeszcze ewakuacja.

Gdy tylko pierwszy statek przeleciał przez otwór, eksplodował, zmieniając się w kulę ognia, a wybuchająca amunicja zasypała tę część miasta płomienistym, straszliwym deszczem. Pozostałe okręty przemknęły przez tę pozołę. Jeden z nich niebawem także eksplodował i uderzył w kopułę pół kilometra dalej. Reszta zdołała się przedrzeć i choć przez kopułę widać było jedynie ich rozmazane kształty, Lanoree dostrzegła, że zawracają, kierując się na południe.

– Chodźmy – zdecydowała. – Nie mamy dużo czasu.

– Na co?

– Na to, żeby nie stać się częścią tragedii Stacji Greenwood.

Lanoree ruszyła przodem. Kierowała się w stronę części miasta zbombardowanej przed laty przez Je'daii. Ciężko jej to, czego dowiedziała się na temat Głębokiej Panwi – że Je'daii oszczędzili ją dlatego, że sami zaopatrywali się tam w zaawansowaną technologię wojskową. W tej chwili nie miało to jednak znaczenia. Cóż, sama lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że Je'daii mają swoje tajemnice.

Włączyła komunikator.

– Pancerniak, przygotuj statek do startu. Mamy kłopoty... Niedługo będziemy na miejscu. Włącz systemy obronne. Strzelaj do wszystkiego, co się zbliży, oprócz nas. Zrozumiałeś?

Jej droid zaskrzeczał w odpowiedzi.

– I uruchom stację śledzenia, częstotliwość dwa-cztery-zero. Powinieneś dość szybko znaleźć sygnał, prawdopodobnie tuż nad planetą. Namierz go i obserwuj.

– Jaki sygnał? – spytał Tre.

– Umieściłam nadajnik na ubraniu Dala – wyjaśniła Lanoree. – Mam tylko

nadzieję, że go nie znalazł.

– Albo się nie przebrał – próbował żartować Tre. ale Lanoree nie było do śmiechu. Taki drobiazg jak zmiana ubrania mógł oznaczać zagładę wszystkiego, co znała. Już teraz na jej oczach tworzyła się historia; tragedia Stacji Greenwood będzie znana w całym systemie. Jeśli nie uda jej się schwytać Dala, a jego eksperyment z technologią Greech pójdzie nie tak jak powinien, wówczas wszystko stanie się historią. I nie zostanie nikt, kto by o tym pamiętał.

Jest jeszcze czas, pomyślała. Wiedziała, że urządzenie jest jeszcze niegotowe. Naukowiec wspominał, że trzeba je naładować, a ona nie wyczuła tam żadnego źródła energii, niczego, co mogłoby wskazywać, że napęd na ciemną materię został uruchomiony czy naładowany. Zorientowałyby się. Nauka pod okiem Dam-Powl dała jej pewną wiedzę na temat takich mętnych spraw.

Tajemne urządzenie, które wymagało jedynie naładowania... czip namierzający, który mógł, ale nie musiał pozostać na ubraniu Dala... nagle wszystko wydało jej się mgliste i niepewne.

Wokół nich toczyła się wojna. Mieszkańcy biegali w popłochu tam i z powrotem – rodzice zaganiali dzieci, dorośli gromadzili się w rozkrzyczanych grupkach – ale Lanoree zaczynała dostrzegać w tym jakiś porządek. Grupa kobiet i mężczyzn zdawała się organizować jakieś siły bezpieczeństwa Stacji Greenwood, choć nie mieli żadnych odznak ani mundurów. Rozwalili ogrodzenie wokół wojskowego kompleksu, który mieścił kilka zmilitaryzowanych ścigaczy chmur, sterowców wspierających ciężkie platformy artyleryjskie, a wyposażonych w przymocowane do podwozia jednostki grawitacyjne dla wspomaganie lotu. Gdy Lanoree i Tre je mijali, pierwszy ze statków zaczynał budzić się do życia.

Inna uzbrojona grupa pędziła przez ulicę, kierując się na południe, gdzie najwyraźniej toczyły się główne walki.

– Lepiej by zrobili, uciekając – zauważyła Lanoree.

– Bronią tego, co mają! – sprzeciwił się Tre.

– To jest zmasowany atak, całkowita zagłada, a nie inwazja.

Zatrzymali się pod osłoną rozsypującej się ściany starej fabryki. Może kiedyś budynek miał zostać wyremontowany, jednak wyglądało na to, że nie był używany już od jakiegoś czasu i jego metalowy szkielet ulegał korozji w toksycznej atmosferze.

– Zobacz. Inwazja. – Tre wskazał na południe, gdzie kolejna chmara światełek opadała z licznych wyłomów w powierzchni kopuły. Cały czas trwała wymiana ognia i dopiero po paru sekundach dał się słyszeć skwierczący odgłos.

– Droidy – uznała Lanoree. – Nie wysyłają żołnierzy, bo...

Potężna eksplozja zwała ich z nóg. Lanoree uderzyła o ziemię; czuła się, jakby powietrze wibrowało jej w płucach. Przeturlała się pod ścianę budynku i popatrzyła w górę, zdumiona i wstrząśnięta tym, co zobaczyła.

Jedna z bomb plazmowych przedarła się przez obronę miasta i spadła niedaleko najwyższego punktu kopuły, ponad kilometr nad ziemią. Eksplozja

rozdarła kopułę, a jej niszczycielska siła powędrowała w dół centralnej kolumny, wypuszczając wici z ognia i płonącego metalu. Szeroka wieża waliła się od góry, a gigantyczne konstrukcje nośne wokół niej pękały i opadały. Ogromne płyty kopuły rwały się i leciały w dół. Pole rażenia wciąż się rozszerzało, sięgając coraz głębiej, aż w końcu dotarło do ziemi. Burza ogniowa przetaczała się przez miasto, paląc wszystko na swojej drodze. Destrukcja była tak potężna i tak odległa, że wydawało się, jakby następowała w zwolnionym tempie.

– Lanoree! – jęknął Tre. Złapał ją za rękę. – Lanoree!

– Tak... – wykrztusiła. Twi'lek pomógł jej wstać i ruszyli dalej.

Dotarli do budynku, przez który nie tak dawno dostali się do miasta. Wchodząc do środka, zostawili za sobą zupełnie inną Stację Greenwood.

Przedzierali się przez niegdyś zniszczoną i wyremontowaną pospiesznie część miasta. Po drodze odszukali ukryte przez Lanoree maski do oddychania, ale resztki tlenu zdążyły się już z nich ulotnić, więc Lanoree je wyrzuciła.

– Mamy do pokonania kilometr tam na zewnątrz – oceniła. – Biegnij za mną. Stawiaj kroki tam gdzie ja. Pędź najszybciej, jak potrafisz. I staraj się nie oddychać zbyt głęboko.

– Zginiemy tam – zaprotestował Tre.

– Nie. A jak już dotrzemy na "Rozjemcę", dam ci leki, które oczyszczą ci skórę i płuca.

– Ale ja nie mam dokładnie takiej samej skóry i płuc jak ty, człowieku – zauważył Tre, uśmiechając się nerwowo.

Lanoree chwyciła go za ramię i ścisnęła.

– Są wystarczająco podobne. Chodźmy.

Pomagając sobie Mocą, wypchnęła zewnętrzne drzwi śluzy powietrznej i wybiegła na toksyczną, trującą powierzchnię Noksa.

Za ich plecami wciąż toczyła się bitwa, siejąc coraz większe spustoszenie. Z zewnątrz widziało się więcej, chociaż powietrze było wciąż zamglone przez cuchnące opary gazu. Okręty szturmowe zatrzymały się w pewnej odległości i ostrzeliwały kopułę. Daleko za miastem niebo rozświetlała ognista poświata i Lanoree domyśliła się, że port kosmiczny, przylegający do kopuły od wschodu, uległ zbombardowaniu. Nieliczne statki obronne, które wydostały się na zewnątrz i nie zostały zestrzelone, pomknęły na południe, w kierunku napastników, gdzie większość strącono z nieba, zanim jeszcze włączyły się do walki. Tylko jeden albo dwa zdołały się przedrzeć i otworzyć ogień z działek laserowych. Na niebie rozkwitły eksplozje. Płonące wraki poszybowały w kierunku powierzchni planety. Jedynie umiejętności pilotów pozwoliły im utrzymać się w powietrzu, ale siły napastników wydawały się zdecydowanie przeważać.

Lanoree czuła już oparzeliny od kwasów na skórze, czuła ich smak na podniebieniu, a za plecami śmierć i zniszczenie. Poczwała mrowienie na plecach. Piekły ją, jakby od oskarżających spojrzeń zmarłych.

– Pancerniak!

Droid odpowiedział natychmiast. "Rozjemca" był gotowy do startu, a nadajnik namierzony. Jednak statek Dala opuszczał już orbitę i wkrótce może znaleźć się poza zasięgiem ich przyrządów.

Dotarli do "Rozjemcy" i weszli na pokład, jednak Lanoree nie czuła się tak zadowolona i bezpieczna, jak się spodziewała.

– W porządku? – spytała.

– Doskonale. – Tre pokiwał głową, chociaż wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować. Ciekło mu z oczu i z nosa, a jego lekku wyglądały blado i niezdrowo.

– Zapnij pasy – poleciała Lanoree. – Pewnie zobaczą, jak startujemy i...

Na Stację Greenwood spadły kolejne trzy bomby plazmowe. Wybuchy zatrzęsły "Rozjemcą". Lanoree szybko odpaliła silniki i poderwała statek w powietrze, obawiając się, że siła eksplozji może wywołać wstrząsy i erupcje wokół miasta. Włączyła wszystkie sensory, sprawdziła systemy, aktywowała uzbrojenie i dopiero wtedy spojrzała w stronę kopuły.

Z rozerwanej czaszy odpadały wielkie płonące płaty. Znajdujące się pod nią miasto pograżyło się w zupełnym chaosie, a nad nim unosiły się słupy dymu i ognia. Świetliste obłoki plazmy rozszerzały się na zewnątrz, a w momencie zetknięcia z cuchnącą atmosferą tworzyły rozmyte tęcze, które w innych okolicznościach mogłyby nawet wyglądać pięknie.

Lanoree dodała gazu. Chociaż oddalali się od ginącego miasta, ostre błyski jego zagłady rozświetlały wnętrze kabiny "Rozjemcy".

– Tyle istnień – szepnął Tre. Lanoree nigdy wcześniej nic widziała go w takim stanie. – I to wszystko przez nas.

– To nie my to spowodowaliśmy – odparła – tylko Dal.

– Ale gdybyśmy tu za nim nie przylecieli...

– Jeśli go nie powstrzymamy, to może się stać wszędzie! – spróbowała go przekonać. – To tylko dowodzi, jak bardzo on jest zdeterminowany. I jak bardzo szalony. – Zniżyła głos, mówiąc jakby do siebie: – Nie da sobie nic wytłumaczyć.

Na pulpicie sterowniczym zadźwięczał ostrzegawczy sygnał. Lanoree jęknęła.

– Co znowu? – spytał Tre.

– Towarzystwo.

Na ekranie skanera widać było trzy punkciki, które podążały za nimi, szybko zmniejszając dystans. Lanoree przechyliła ostro statek i przyspieszyła. Kadłub zatrzęszczał od ogromnych nacisków, jakim go poddawała. Znała jednak swój statek równie dobrze jak samą siebie: jego możliwości, granice wytrzymałości...

Mimo to pogoń była coraz bliżej.

– Myśliwce z Knool Tandor – poznała Lanoree.

– Mają teraz szansę dodać statek Je'daii do swoich zdobyczy – zauważył Tre.

– Wyciągnę ich z atmosfery. "Rozjemca" lepiej sobie radzi w przestrzeni kosmicznej.

– Potrafię strzelać.

– Mówiłeś, że nigdy nie byłeś w kosmosie!

– No, może raz albo dwa. Ale strzelałem z naziemnych działek laserowych setki razy. Mam dobre oko.

– Górna wieżyczka. Idź.

Tre odpiął pasy i pobiegł w stronę pomieszczeń mieszkalnych, a Lanoree naładowała działka laserowe.

– I włącz komunikator, żebyśmy mogli rozmawiać! – krzyknęła za nim. Dziwne. W tej chwili była właściwie zadowolona, że ma przy sobie Trego.

Dostrzegła w tej sytuacji tragiczną ironię losu. Dalowi udało się przekonać mieszkańców Knool Tandor, że Stacja Greenwood ma konszachty z Je'daii. Mało tego, dowodził, że część z najważniejszych obywateli została już prawdopodobnie zamordowana mieczami Je'daii. A teraz, po ich ataku na Stację Greenwood, jeden z Je'daii próbował uciec z planety. Statek niewątpliwie zdradził Lanoree. Przybyła tu incognito, ale mogła pozostawić po sobie ziarno okrutnej wojny.

W tej chwili jej priorytetem była ucieczka i powstrzymanie Dala. Później będzie można naprawić wszystko inne.

Parę chwil później usłyszała trzaski włączanego zestawu łączności w górnej wieżycze laserów.

– Dobra – odezwał się Tre. – Dobra, jestem gotowy. Chyba sobie poradzę. Pedaly do obracania wieżyczki, ekran namierzania, monitor taktyczny, dotykowy spust.

– Jak mi uszkodzisz działko, to cię wypatroszę! – ostrzegła Lanoree.

– Tak, tak, Je'daii. Ty i która armia?

Lanoree zaśmiała się cicho, nie spuszczając z oka zbliżających się przeciwników. Rozdzielili się i lecieli teraz za "Rozjemcą" szerokim wachlarzem. Wkrótce powinni otworzyć ogień.

– Przednie działka znajdują się pod moją kontrolą – oznajmiła Lanoree. – Ale będę też zajęta pilotowaniem. Ty masz najlepsze pole ostrzału i będziesz ich dobrze widział.

– Już widzę.

– Widzisz...? – Przerwał jej głuchy wystrzał działek laserowych z górnej wieżyczki. Nie spuszczając wzroku z ekranu, szarpnęła statkiem w lewo i odpaliła silniki pomocnicze. Potem włączyła pola ochronne "Rozjemcy" i zawiesiła dłoń nad ich dźwignią sterującą. Musiała ustawić je zgodnie z kierunkiem, z którego nadejdzie kolejny atak.

– Pudło! – krzyknął jej do ucha Tre. Usłyszała delikatny szum mechanizmów obracanej przez Trego wieżyczki, a potem pierwszy ze statków przemknął przed nimi.

Znajdowali się jeszcze w górnych warstwach atmosfery. Lanoree skrzyła w lewo, ale oślepił ją błysk ciepłny i musiała zdać się na skanery, żeby nie stracić z oczu atakujących statków. Były szybkie i bardzo zwrotne.

– Tre?

– Nie widzę za dobrze. Chyba trafiłem go w skrzydło.

Lanoree pstryknęła przełącznik i przed nią pojawił się monitor komputera celowniczego. Zanim jeszcze komputer namierzył cel, wypuściła serię z działek, ostrzeliwując przestrzeń, gdzie mógł znajdować się pierwszy statek. Myśliwiec szarpnął w lewo i zaczął się wznosić.

Lanoree ruszyła naprzód, wyciskając ze statku całą dostępną moc, i napastnicy zostali trochę z tyłu. Wiedziała jednak, że jej przewaga jest tylko chwilowa; ich statki były co najmniej równie szybkie jak "Rozjemca".

– Dobra – mruknął Tre, a jego działko wypuściło kilka długich serii. – Oho! Jeden zestrzelony!

– Dobry strzał – pochwaliła w roztargnieniu Lanoree. – Przesunąć pola ochronne na tył, wyprowadzić statek z atmosfery, kontrolować trajektorie pozostałych dwóch statków. – Cały czas mówiła do siebie, chociaż miała przy sobie Trego. Przez chwilę zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby go nie było... cóż, wtedy wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Przecież to dzięki jego kontaktom na Noksie zdołała znaleźć Dala.

Dotarli do najwyższych pokładów zanieczyszczonego powietrza Noksa. Na niebie pojawiły się gwiazdy i Lanoree miała niemal wrażenie, że statek ożył w jej rękach. "Rozjemca" dobrze sobie radził w atmosferze, ale dopiero w próżni kosmosu pokazywał, na co go stać.

– Opuściliśmy Noksa – oznajmiła.

– Bardzo dobrze. Odzyskuję wzrok – powiedział Tre.

– Włączam jednostki grawitacyjne – ostrzegła Lanoree.

– No, świetnie. Żołądek już mi podchodzi do gardła.

Uśmiechnęła się.

– Lecą za nami.

– Spodziewałem się, że tak łatwo się nie poddadzą. Jesteś łakomym kąskiem.

– A ty?

– Och, nie sądzę, żeby przejmowali się...

Nagle "Rozjemcą" wstrząsnęła seria strzałów z lewej strony.

– Skąd to leci?! – zawołał Tre.

– Kolejne dwa od strony słońca.

– Tak, ale... – Jego laser znów wystrzelił, a on cały czas mruczał pod nosem słowa, których Lanoree nie mogła zrozumieć. Na monitorze skanera zobaczyła, jak kolejny statek rozpada się na mniejsze kawałki, a potem zamienia się w obłok, który po chwili rozwiął się w próżni.

– Zostały jeszcze trzy – poinformowała. Kolejny statek pędził w ich stronę... a potem zniknął. – Straciłam go z oczu.

– Ja też.

– Nie widzisz go?

– Nie. Przepadł. Nie możesz zobaczyć go Mocą czy jakoś tak?

Lanoree zignorowała jego uwagę i przechyliła statek ostro w lewo i w górę,

kierując się tam, gdzie, jak podejrzewała, mógł polecieć przeciwnik. Wznosząc się i oddalając od "Rozjemcy", mógł zniknąć na chwilę ze skanerów, osłonięty przez strumień wylotowy i kąt wznoszenia. Była to niezła sztuczka, ale Lanoree ją знаła. Sama raz czy dwa stosowała coś takiego.

Dostrzegła błysk gwiazd na metalu, zanim jeszcze wykryły go skanery. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, szukając spokoju w Mocy. Następnie spojrzała znów ponad siatką komputera celowniczego, ponad pulsującymi światełkami i przesuwającymi się cyframi, które informowały o gotowości laserów, o odległości od celu i położeniu względem kierunku lotu. A kiedy nadeszła pora, dotknęła tylko raz przycisku spustu.

Pojedynczy strzał przeciął przestrzeń przed nimi, a osiem kilometrów dalej statek zmienił się w ognistą kulę.

– No, no – pochwalił ją Tre. – Niezły strzał.

– Te dwa ostatnie szybko się zbliżają – ostrzegła Lanoree. – Jeden z lewej, drugi z prawej.

– Wezmę tego z prawej.

Działka laserowe zagrzmiały. Lanoree wykonała beczkę, a następnie poderwała statek do góry, oddalając się od Noksa. Grawitacja pochwyciła "Rozjemcę", jakby nie chciała go wypuścić. Cały statek się zatrzęsł. Lanoree przełączyła na ręczne sterowanie dolną wieżyczkę i obróciła ją w lewo, obserwując siatkę komputera celowniczego po lewej stronie monitora. Kiedy cztery środkowe kwadranty zaświeciły się na czerwono, oddała kilka strzałów, ale od razu wiedziała, że nie trafiła.

– Uważaj! – zawołał Tre. – Są... – Nagle cały statek się zatrzęsł, gdy pół kilometra od niego wybuchła torpeda plazmowa, zdetonowana przez system osłon. Lanoree pozwoliła, żeby siła wybuchu przechyliła "Rozjemcę" na sterburcie, wiedząc, że nie ma sensu z nią walczyć. Po chwili odzyskała panowanie nad statkiem.

– Strzelaj do tego po lewej – poleciała i sama także otworzyła ogień. Działko Trego zadudniło i Lanoree zobaczyła smugi laserowych strzałów, zbiegające się w oddali.

Na monitorze skanera rozkwitła gwiazda zniszczenia.

– Tak jest! Kolejny zestrzelony! – ucieszył się Tre.

– Ten drugi ucieka – oznajmiła Lanoree.

– Lećmy za nim! Strzelę mu w dopalacz.

Lanoree zastanawiała się przez chwilę, po czym odwróciła się od uciekającego statku. Był już trzynaście kilometrów od nich i dystans z każdą chwilą się powiększał.

– Nie ma czasu – zdecydowała. – I nie ma sensu.

Tre milczał przez chwilę, a potem usłyszała jego westchnienie. Być może był to wyraz ulgi. I wdzięczności za to, że wciąż żyją.

– Zostań tam jeszcze trochę – poleciała Lanoree. – Mogli wysłać wiadomość.

Niewykluczone, że będziemy jeszcze mieć towarzystwo.

– Dobra – zgodził się Tre.

Lanoree wyciszyła mikrofon. Prawdę mówiąc, wiedziała, że nie będą mieli już żadnego towarzystwa, ponieważ zablokowała łączność myśliwców, jak tylko je zobaczyła. Chciała mieć po prostu chwilę dla siebie, żeby się uspokoić i poddać kojącemu, wzmacniającemu działaniu Mocy.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała jeszcze raz na Noksa.

Nawet z tej odległości umierająca Stacja Greenwood była największym i najbardziej widocznym punktem na planecie, którą zostawiali za sobą.



ROZDZIAŁ 15

SZALEŃSTWO RAN DANA

Je'daii muszą znać swoje ograniczenia. Są miejsca, w które nie powinniśmy się zapuszczać, rzeczy, których nie powinniśmy robić, zdolności, których nie powinniśmy starać się osiągnąć. Moc ma niewiarygodną siłę, ale prawdziwa siła Je'daii polega na wiedzy, kiedy należy jej użyć, a kiedy nie.

– Mistrz Shall Mar, Życie w równowadze, 7541 PTY

Ściga go przez cały Talss, sama, bez broni i zapasów, bez ekwipunku. Podąża jego śladem, gdy tylko może go odnaleźć, a kiedy jej się to nie udaje, stara się wyczuć jego obecność i kierunek marszu. Dopiero po trzech dniach zaczyna mieć pewne podejrzenia, dokąd zmierza jej brat.

Lanoree wie, że nie powinna była tak po prostu uciec. Powinna raczej zaczekać na Dam-Powl i teraz obawia się tego, co Mistrzynie Je'daii o niej pomyśli. Ale jest przekonana, że nie będzie podejrzewana o zamordowanie Skotta Yuna. A gdyby nawet tak się stało, to będzie czas, żeby wszystko wyjaśnić.

Lanoree robi, co może, żeby nie stracić brata na zawsze. Wszystko wydaje jej się nierealne, jak z jakiegoś koszmaru. Dalien jest mordercą! Jej świat zmienił się na zawsze, a ona musi teraz dorosnąć.

Talss to dzika, słabo zaludniona kraina, a im dalej na południe się zapuszczała, tym bardziej obco wyglądał krajobraz. Talss nazywany jest czasem Ciemnym Kontynentem i Lanoree zaczyna rozumieć dlaczego. Schodzi ze wzgórz na szeroką, bezkresną równinę, niemal zupełnie pozbawioną roślinności sięgającej wyżej niż do pasa. Zastanawia się przez pewien czas, co jest tego przyczyną, gdy nagle zrywa się wiatr. Pierwszy podmuch odbiera jej dech i przewraca na bok. Lanoree zwija się w kłębek przy niskiej skale, podczas gdy najsilniejszy wicher, z jakim kiedykolwiek się spotkała, hula po równinie. Wysokie, cienkie trawy, które zdążyła już znienawidzić – łydki i dłonie ma pokaleczone od ich ostrych brzegów – smagają jej ciało, uginane przez wiatr. Czuje strużki krwi ciekącej ze świeżych ran. a teraz, gdy leży na ziemi, trawa kaleczy jej także twarz. Z trudem łapie oddech.

Kuli się, próbując jak najskuteczniej schronić się za skałą. Obawia się, że Dal

się nie zatrzyma mimo nawałnicy.

Szuka go w Mocy, z ulgą zanurzając się w jej nurcie. Jej brat jest gdzieś przed nią. W jego umyśle panuje zamęt. Dzieje się tak, odkąd opuścili Anil Kesh, i Lanoree nie jest pewna, czy nie jest to jego celowe działanie. Zna siostrę na tyle dobrze, że wie, jak może próbować do niego dotrzeć. Być może uznał, że to będzie najlepsza obrona.

Tuż przed zmrokiem wiatr zaczyna słabnąć. Lanoree wstaje i biegnie dalej. Jest głodna, spragniona i przemarznięta. Szron pokrywa niezliczone żdźbła trawy, utwardzając je i zmieniając w połyskliwe klejnoty, które ciągną się po horyzont we wszystkich kierunkach. Wygląda to pięknie, ale przypomina brodzenie w morzu błyszczących ostrzy.

Dal, zatrzymaj się, zrób to dla mnie, prosi, wysyłając myśli jak najdalej przed siebie. Nie wie jednak, czy do niego docierają.

Podejrzewa, że Dal zmierza do Starego Miasta. „Tam mieszkali prawdziwi Tythończycy”, zwykł mawiać. Na temat miasta i jego dawnych mieszkańców wiadomo było tak niewiele, że nie mogła się nawet z nim spierać, zwłaszcza że on zbudował sobie wyidealizowaną wizję tych ruin, piramid i niezgłębionych czeluści jego pieczar i kanałów. Niektórzy twierdzą, że to Gree zbudowali Stare Miasto i żyli w nim przez dziesiątki tysięcy lat. Inni utrzymują, że Gree jedynie zawłaszczyli to miejsce, zaś jego faktyczni budowniczości zaginęli na zawsze w mrokach dziejów. To wciąż pozostaje tajemnicą. A tajemnice przeszłości są właśnie tym, czego szuka Dal.

Stare Miasto leży na południu Talssu, w dzikim, odległym regionie zwanym Czerwoną Pustynią, gdzie zapuszczają się jedynie badacze i ci, którzy uciekają od cywilizacji. Mówi się, że w nocy czają się tam krwawe chochliki, które żyją pod ziemią. Podobno są to pół rośliny, pół zwierzęta, odporne na zdolności Je'daii, które żywią się ciepłą krwią. Na myśl o tym Lanoree przechodzą dreszcze.

Co Dal robi, kiedy się tam znajdzie? Lanoree nie ma pojęcia. Prawdopodobnie on też tego nie wie i w tym może tkwić jej jedyna szansa na odzyskanie go.

Ale jej brat jest mordercą.

Lanoree stara się o tym nie myśleć. Zmierzy się z tym faktem, kiedy go znajdzie, i wtedy zdecyduje co dalej.

Zagubiona, wewnętrznie rozdarta, Lanoree opuszcza wreszcie trawiaste równiny i podąża za bratem na faliste wydmy Czerwonej Pustyni.



Następnego dnia o świcie Lanoree, dygocząc, budzi się ze snu.

Jest w ciemnościach pod Czerwoną Pustynią. Otacza ją ciężar Starego Miasta, napierając na nią ze wszystkich stron swoją enigmatyczną przeszłością i milionami nieopowiedzianych historii. Znajduje się w sieci misternie zdobionych pieczar,

oświetlonych przez migoczący ogień, który płonie gdzieś poza zasięgiem jej wzroku. Ściany i sufity są przepięknie inkrustowane piktoqramami przedstawiającymi pradawnych Greech i choć Lanoree jest pewna, że opowiadają one jakieś zapomniane dawno historie, nie potrafi ich odczytać. Jakby nawet mając całą prawdę wyłożoną przed oczami, nie mogła zrozumieć, co się tutaj wydarzyło.

I wtedy pojawiają się krwawe chochliki - bezszelestne, zabójcze stwory, przypominające nietoperze wielkości jej głowy o zaciskających się długich wiciach i ociekających zębach. Nie ma szans, żeby je odpędzić. Otaczają ją ciasno na tej niewielkiej przestrzeni, rzucają się na nią i wyszarpują kawałki twarzy, szyi, rąk. Nie czuje bólu, ale po jej ciele spływa krew. Woła o pomoc.

Jej brat obserwuje to wszystko, stojąc w cieniu.

Lanoree podnosi się i patrzy w bezkresne, rozgwieżdżone niebo. Sen już się powoli zaciera, jak to zwykle bywa ze snami. Rozpoznaje krwawe chochliki ze swoich wyobrażeń. Kilka razy o nich czytała, ale nigdy nie widziała ich na zdjęciach czy holofilmach. W jej śnie mają postać potworów, jednak prawdziwa bestia to ta, co tylko się przyglądała.

Ta myśl mrozi jej krew w żyłach. Roznieca na nowo ognisko, szuka jedzenia i wody, wykorzystując umiejętności, które wpoili jej w dzieciństwie rodzice, lecz wizja Dala jako potwora cały czas jej nie opuszcza. W końcu sen przechodzi w jawę. A może we śnie po prostu dostrzegła prawdę.

Spała krótko, bo spieszno jej wpaść znów na trop Dala. Próbuje przypomnieć sobie mapy i legendy związane z Czerwoną Pustynią, oblicza, że Stare Miasto powinno się znajdować jeszcze osiemdziesiąt kilometrów na południe. I chociaż zgubiła fizyczny trop, jest teraz pewna, że celem Dala są ruiny.

Lanoree zawsze miała dobrą kondycję. Teraz zaczyna biec przez większe wydmy, zapuszczając się w głąb Czerwonej Pustyni. Biegnie tak przez dziesięć godzin, zatrzymując się od czasu do czasu na obszarach porośniętych rachityczną roślinnością, żeby poszukać wody. Przewraca kamienie, wyjada mrówki i robaki, a raz przegania stado pustynnych furii od świeżej ofiary. Mięso jest twarde i łykowane, a ona zjada je na surowo.

Czerwona Pustynia jest piękna i przytłaczająca, jałowa i cicha. To miejsce, które mogłoby być natchnieniem dla poetów i szaleńców. Lanoree stara się zachować skupienie w środku i czujność na zewnątrz. Nietrudno byłoby się tu zagubić. Jej poczucie tożsamości jest wciąż silne, a znajoma obecność dodaje jej otuchy – bo Moc jest tu silna w każdej wypłowiej na słońcu skale i każdym ziarenku piasku.

Tuż przed zmrokiem dostrzega pierwsze ruiny. Ma przed sobą zburzony mur u podnóża łagodnego wzniesienia; to niewiele więcej niż sterta kamiennych bloków, na wpół zasypana przez ruchome piaski pustyni. Niewątpliwie jednak nie jest to naturalna formacja. A lodowaty dreszcz, jaki wywołuje w niej ten widok, przekonuje ją, że jest już prawie na miejscu.

Lanoree wspina się na wzniesienie, a zbliżając się do jego szczytu, zauważa ślady stóp. Zatrzymuje się i rozgląda, jednak Dala nigdzie nie widać. Przykłada

płaską dłoń do jednego ze śladów na piasku i zamyka oczy. Jednak piaski są tu gorące, w ciągłym ruchu i przesiąknięte przedwieczną historią, której wielkość ją poraża.

– Dal, nie powinno nas tu być. – To pierwsze słowa, jakie wypowiada na głos od opuszczenia Anil Kesh przed trzema dniami. Nic jej nie odpowiada.

Docierając na szczyt wzgórza, znów dogania ostatnie promienie słońca. Kilometr na zachód, gdzie słońce zanurza się w ruinach, tak jakby od zawsze były jego domem, rozciągają się szczątki Starego Miasta.

Lanoree idzie w jego kierunku, gorzko żałując, że to wszystko się tak potoczyło.

Gdy tylko dociera w cień największej z piramid Starego Miasta, pierwszy krwawy chochlik atakuje.



Na pokładzie "Rozjemcy", podążającego śladem Dala i jego Patrzących w Gwiazdy w stronę Sunspota, Tre Sana był bardziej milczący niż kiedykolwiek, odkąd Lanoree go poznała. Nie pytała go jednak o powody tego milczenia. Widzieli potworne rzeczy, byli świadkami tragedii o wstrząsającej skali. I choć wiedziała o jego niechlubnej przeszłości, była przekonana, że szok Trego jest autentyczny.

Urządzenie namierzające zdawało się działać prawidłowo, a Lanoree aż trzykrotnie wyliczyła przewidywaną trasę statku Dala. Za każdym razem wychodził jej ten sam punkt końcowy – Sunspot. I domyślała się dlaczego. To niewiarygodne urządzenie zbudowali dla Patrzących w Gwiazdy naukowcy z Głębokiej Panwi, ale żeby naładować je energią, Dal musiał zawieźć je na Sunspota. Tamtejsze kopalnie były głębokie i wyjątkowo niebezpieczne, ale kryły w sobie wielkie bogactwa: egzotyczne pierwiastki, które można było wykorzystać do produkcji paliwa lub broni; kryształy przesycone energią Mocy; a być może także ciemną materię, którą można było wydobyć przy użyciu odpowiedniej technologii.

Statek Dala miał nad nimi osiem milionów kilometrów przewagi. Lanoree próbowała wytyczyć bardziej bezpośredni kurs na Sunspota, ale trasa, którą obrał Dal, okazała się najszybsza. Wyciskała ze swojego "Rozjemcy", ile się dało, wiedząc, że dzięki modyfikacjom, jakie zleciła, jest on jednym z najszybszych statków w systemie. Mimo to statek Dala nie ustępował mu prędkością i wciąż pozostawał poza ich zasięgiem, zmierzając najkrótszą trasą na Sunspota, okrążającego szybko swoją gwiazdę, Tythosa.

Wytyczywszy trasę, Lanoree nawiązała kontakt z Mistrzynią Dam-Powl. Trochę to trwało, zanim sygnał został rozpoznany i rozległ się sygnał nadchodzącego

połączenia.

– Lanoree – przywitała ją Dam-Powl i zanim jeszcze na ekranie pojawiła się jej twarz, Lanoree już wiedziała, że Mistrzynie wie.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobił to – odezwała się Lanoree – tylko po to, żeby zatrzeć ślady. Żeby inni myśleli, że nie żyje.

– Być może chodzi o coś jeszcze – stwierdziła Mistrzynie Je'daii. Twarz miała zmęczoną i wymizerowaną i Lanoree mogła jedynie wyobrazić sobie rozmowę, jaką Dam-Powl musiała odbyć z Radą Je'daii. Dyplomatyczny spór z Noksem, próby uspokojenia niestabilnej sytuacji... tyle że to wszystko nie dotyczyło Lanoree. Ona musiała skupiać się na swoim zadaniu.

– A o co? – spytała.

– Musiał podzielić się swoją wiedzą z naukowcami z Głębokiej Panwi, żeby mogli wykonać dla niego to urządzenie. A chcąc zagwarantować sobie jego niepowtarzalność, musiał ich wszystkich zabić.

– Ale zniszczyć całą Stację Greenwood? – jęknęła Lanoree. – To potworne.

– Nie wszyscy zginęli – sprostowała Dam-Powl. – Część transportowców opuściła miasto przed ostatecznym uderzeniem.

– Ile było ofiar? – spytała cicho Lanoree.

– Tak dużo, że liczby niewiele znaczą. – Mistrzynie westchnęła ciężko, a potem jakby próbowała się pozbierać. – No dobrze. Jakie poczyniłaś postępy?

– Dal i Patrzący w Gwiazdy są w drodze na Sunspota, zapewne po to, żeby uzbroić urządzenie. Namierzyłam go i lecę za nim, ale jestem kilka godzin do tyłu.

– Nie możesz zbliżyć się na tyle, żeby zniszczyć jego statek?

I zabić własnego brata? – pomyślała Lanoree, ale tę myśl wolą zachować dla siebie.

– Nie, Mistrzynie. Ten, kto sponsoruje mu to szaleństwo, zaopatrzył go w niebyle jaki statek. Nie mogę odczytać jego sygnatury, ale nie zdziwiłabym się, gdyby to był statek Je'daii.

– Skradziony?

– Wkrótce będę mogła powiedzieć więcej.

– Sunspot i Malterra zbliżają się do siebie, krążąc po orbitach – przypomniała Dam-Powl, marszcząc brwi. – Wiesz, co się stanie, kiedy znajdą się blisko siebie. Zakłócenia magnetyczne, burze kosmiczne. Jakiegokolwiek podróże kosmiczne w ich rejonie staną się niemożliwe.

– W takim razie wybrał idealny moment – stwierdziła Lanoree. – Zaplanował sobie to wszystko ze szczegółami. Będę musiała dorwać go na Sunspocie.

– Zrób wszystko, co konieczne, Lanoree.

– Oczywiście.

– Wszystko – powtórzyła Mistrzynie, a jej wzrok złagodniał.

Lanoree nic nie odpowiedziała i na chwilę zapadła głęboka cisza. A potem pomyślała o szaleństwie Dala, o które zaledwie otarła się w Głębokiej Panwi, i o tym, jak nieokiełznane jej się wydało.

– Bądź silna, Lanoree. Wiem, że jesteś. Pamiętaj, że spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność, a cena porażki może być niewyobrażalna. Bądź zatem silna. Doświadczenia takie jak to, podobne tragedie, zmieniają często dobrych Je'daii w bardzo dobrych. Niech Moc cię prowadzi.

Lanoree pokiwała głową i zakończyła połączenie. Przez jakiś czas siedziała jeszcze w kabinie, rozmyślając o tym wszystkim, zasmucona i przestraszona. I ku swojemu zaskoczeniu znalazła pocieszenie w obecności Trego.

Jej twi'lekański towarzysz usiadł w fotelu obok niej. Ostatnim razem, kiedy podróżowali w ten sposób, była w nim jakaś lekkość i obronna fanfaronada. Teraz nie zostało po nich śladu.

Cisza była nieznośna, a jednak żadne z nich jej nie przerywało. Lanoree sprawdzała systemy statku i obserwowała skanery, cały czas czując, że Tre siedzi w milczeniu obok niej.

Dopiero długą chwilę po tym, jak Lanoree skończyła rozmawiać z Dam-Powl, Tre w końcu się odezwał:

– Niedobrze mi.

– Mnie też – odparła Lanoree. – Czymkolwiek stał się Dala, nie mogę uwierzyć, że mógłby...

– Nie, nie o to mi chodzi... – Tre urwał, po czym zwymiotował obficie między własne nogi. Pancerniak zatrzeszczał z niepokojem, a Lanoree wstała z fotela, żeby temu zaradzić. Systemy wspomagające statek pracowały na najwyższych obrotach, ale filtry powietrza nie radziły sobie z pochłanianiem smrodu.

– Och – jęknęła.

Tre ciężko dyszał i trząsł się, spocony, ocierając dłonią usta.

– Prze... przepraszam.

– To wina Noksa – powiedziała. – Za dużo się nawdychaliśmy jego atmosfery.

– A ty?

– Nic mi nie jest. – Czy aby na pewno? Dokonała szybkiej oceny i nie znalazła niczego niepokojącego poza własnymi mieszanymi uczuciami co do Dala. Ale przed sobą mieli jeszcze dwa dni lotu na Sunspota. Gdyby Tre się rozchorował, byłaby zdana jedynie na swoją medyczną wiedzę, którą przyswoiła sobie w Mahara Kesh. Cóż... a gdyby zmarł, pozostawała śluza powietrzna.

Ale ona nie mogła zachorować. Miała tylko nadzieję, że torsje Trego to wynik trującej atmosfery Noksa, a nie czegoś groźniejszego. Gdyby okazało się to zaraźliwe, mogłaby być zmuszona do podjęcia jakichś kroków.

Odwróciła na chwilę wzrok od Trego i spojrzała na ekrany w kabinie. Sygnał z urządzenia namierzającego wskazywał, że statek Dala jest cały czas osiem milionów kilometrów przed nimi. Nie mogła ryzykować.

Ale wiedziała, że nie może też wyrzucić Trego przez śluzę powietrzną żywego.

– Połóż się na mojej koi i odpocznij – poleciła. – Ja posprzątam. Pij dużo wody.

Tre nie protestował. Przecisnął się obok niej, położył się na jej koi i niemal

natychmiast zasnął.

Lanoree popatrzyła na wymiociny pokrywające podłogę kabiny.

– Szkoda, że nie masz rąk – zagadnęła do Pancerniaka. Droid wydał z siebie coś, co przypominało chichot.



W ciągu następnych dwóch dni Tremu się nie pogorszyło, ale też nie poprawiło. Jadł niewiele i najczęściej wszystko zwracał. Pił mnóstwo wody. Trzęsąc się i pocąc, spał niespokojnie na koi Lanoree, a przez sen bełkotał coś bez ładu i składu.

Lanoree większość czasu spędzała w fotelu pilota, obserwując statek Dala i ucinając sobie krótkie, niespokojne drzemki. Sny miała mgliste i nieprzyjemne. Nieraz budziła się z wrażeniem, że coś trzepocze się cicho nad jej głową, wymachując kolczastymi wiciami i łaknąc jej krwi.

Miała też jeden sen, w którym musiała patrzeć jak sam Tython i Tythos, a potem wszystkie planety i krążące wokół nich księżyce zostały pochłonięte przez nicość. Miliardy istnień, ich miłości i marzenia unicestwione niemal w mgnieniu oka.

Kiedy zbliżali się do Sunspota, zajrzała do komputera, żeby odświeżyć sobie wiadomości na temat tego przekłętego miejsca. Wiedziała, że pod względem klimatu jest jeszcze bardziej nieprzyjazne niż Nox. Nie pamiętała jednak, że aż tak bardzo.

Sunspot był pierwszą planetą w systemie. Krążąc po orbicie, zbliżał się niekiedy do Tythosa nawet na czterdzieści osiem milionów kilometrów. Był uważany za planetę stałą, jednak znaczna część jej powierzchni podlegała nieustannym turbulencjom. Wulkany i trzęsienia ziemi zmieniały jej krajobraz niemal z dnia na dzień. Najbardziej stabilne obszary znajdowały się wokół biegunów i tam też ulokowane były rozproszone osady górnicze. Było to być może najbardziej nieprzyjazne zamieszkane środowisko w całym systemie tythońskim, górnikom jednak oferowało ogromne korzyści. Większość wytrzymywała jeden albo dwa sezony; potem opuszczali planetę, przysięgając, że nigdy tu nie wrócą. Około dziesięciu procent spośród tych, którzy przybywali na Sunspota w poszukiwaniu fortuny, umierało tam na miejscu. Była to żarłoczna planeta i choć nie mała dawała, wiele też odbierała.

Była też osobliwością w tym systemie, ponieważ krążyła w przeciwnym kierunku niż pozostałe planety. Niektórzy podejrzewali, że to po prostu zabłąkana planetoida, która w odległej przeszłości wpadła w studnię grawitacyjną Tythosa. Ta teoria pociągnęła za sobą lawinę spekulacji. Trzy tysiące lat temu przeprowadzono nawet serię misji badawczych, których celem było ustalenie, czy

planeta była wcześniej zamieszkana. Nic jednak nie znaleziono – żadnych śladów cywilizacji, żadnych ruin, żadnych dowodów, że kiedykolwiek istniało tam jakieś życie. Sunspot był martwą planetą, która oddychała rozgrzaną do białości roztopioną skałą, reszta zaś systemu postrzegała go jedynie jako źródło surowców.

Nawet zbliżając się do planety od jej ciemnej strony, nietrudno było dostrzec jej burzliwy charakter. Siatka wulkanów oraz jezior i rzek magmy promieniowała stałym blaskiem, który – przefiltrowany przez obłoki trującego gazu wielkości kontynentu – nadawał powierzchni planety całkiem przyjemny różowawy odcień.

– Biegun południowy – odezwała się Lanoree. Statek Dala zwolnił wyraźnie i wszedł w atmosferę, zbliżając się do południowego bieguna Sunspota od ciemnej strony planety. Lanoree wytyczyła już wcześniej podobny kurs i komputer "Rozjemcy" prowadził ich teraz w stronę powierzchni.

Prawdopodobnie Lanoree mogłaby nawet dogonić Dala i zestrzelić go, zanim wyląduje. Jej zmodyfikowane działka laserowe były potężne i precyzyjne, a "Rozjemca" był wyposażony także w cztery zdalnie sterowane rakiety o zasięgu ośmiuset tysięcy kilometrów. Gdyby jednak chybiła, pocisk zdradziłby jej obecność.

Tak, właśnie dlatego nie otwierała ognia. Najważniejszy był element zaskoczenia. Przekonywała o tym samą siebie, przygotowując się do lądowania, podczas gdy Tre obserwował każdy jej ruch.

- Żałuję, że nie mogę iść z tobą – powtórzył po raz dziesiąty.
- Nieprawda – odparła Lanoree.
- Fakt. Zabierasz mnie w same najładniejsze miejsca.
- I to mówi Twi'lek, który zabrał mnie do Jamy.

Tre przyglądał się jej przygotowaniom. Lanoree przebrała się, a nie mając swojego miecza, wyciągnęła zapasowy z szatki pod koją. Była to broń, której używała do treningu, zanim Mistrz Tem Madog wykuł jej własny miecz. Uniosła ją i wykonała kilka ruchów, przypominając sobie jej ciężar. Był on nadspodziewanie krzepiący.

– Pasuje ci – ocenił Tre.

– Będzie musiał mi wystarczyć. – Schowała miecz do pochwy ze skóry jaszczurki, którą miała na biodrze, i znów uklękła przy koi. Wyjęła z szafki dwa blastery i wsunęła je za pasek. Tre obserwował to z uniesionymi brwiami. Lanoree wzruszyła tylko ramionami.

Z kabiny dobiegł sygnał oznajmiający, że zaczęli zniżać lot. Poczowała znajome ściskanie w dołku, gdy weszli w atmosferę i jednostki grawitacyjne "Rozjemcy" się wyłączyły. Popatrzyła na Trego, zastanawiając się, czy znów będzie wymiotował, ale jakoś się trzymał.

Dała mu znać, że powinien zapiąć pasy, a potem usiadła obok niego na koi.

– Nie chcesz wylądować? – spytał.

– Wyląduję, tylko zaczekam, aż będziemy bliżej powierzchni. Ale, Tre... – ścisnęła go za ramię – zostawiam cię na pokładzie mojego "Rozjemcy". Mojego

statku. To mój dom i liczę na to, że będziesz go dobrze traktował.

– Dopilnuję go – obiecał.

– Pancerniak sobie z tym poradzi, a statek ma własne zabezpieczenia. Po prostu... niczego nie dotykaj. Niczego!

– Zaufaj mi – powiedział z uśmiechem. Oczy miał zażawione, skórę bladą, a lekko zwiotczałe.

– Nie mam wyjścia – przyznała.

"Rozjemca" zakołysał się i wierzgnął, zanurzając się w niespokojną atmosferę Sunspota. Światła się rozżarzyły, z pulpity sterowniczych dobiegały ostrzegawcze sygnały, a ekrany pociemniały, gdy fala ciepła rozlała się po kadłubie.

Lanoree usiadła w fotelu pilota, przejmując kontrolę nad statkiem. Spojrzała na ekran skanera, wgrała mapę terenu na inny monitor, po czym zajrzała do komputera, chcąc wyszukać jak najwięcej informacji o okolicy.

Dal i jego Patrzący w Gwiazdy wylądowali w małej górniczej osadzie o nazwie Szaleństwo Ran Dana. Według jej informacji znajdowały się tam głębokie złoża petonium i marionium, pierwiastków stosowanych do zasilania napędów statków, które można było również wykorzystywać jako broń. Kopalnia istniała od blisko stu lat i najwyraźniej nie wyróżniała się niczym szczególnym wśród innych przedsiębiorstw działających na Sunspocie. Chyba że tragedią sprzed trzydziestu lat, w której życie straciło stu górników. Albo strajkiem sprzed lat osiemnastu, który doprowadził do gwałtownych zamieszek i późniejszego wykupu kopalni przez pracowników i ich rodziny spoza planety, czy umów handlowych z kontrahentami z co najmniej trzech planet, w tym Tythona. Jeśli Szaleństwo Ran Dana było źródłem ciemnej materii, to nikt jak dotąd tego nie zauważył.

Nikt poza Dałem.

Lanoree na chwilę poczuła strach, że jej brat znalazł urządzenie namierzające, które mu podrzuciła, i umieścił je na innym statku. Podążała za nim od trzech dni, gdy tymczasem on mógł być już w drodze na Tythona. Być może miał przygotowany zapas ciemnej materii. Może nawet w tej chwili znajdował się w Starym Mieście na Tythonie, głębiej, niż ktokolwiek wcześniej dotarł, i szykował się do uruchomienia hiperwrót. W każdej chwili...

– Jeżeli one w ogóle istnieją – mruknęła. Wciąż nie była tego pewna. W tym wszystkim istnienie hiperwrót było najbardziej mglistym elementem. Obojętne jednak, czy istniały, czy nie, sytuacja była równie nagląca.

– To jest Dal – zdecydowała, obserwując skaner, który śledził jego statek, aż ten wylądował. Czerwona kropka zrobiła się niebieska i znieruchomiła, a Lanoree skierowała "Rozjemcę" na południe, tak żeby zbliżyć się do Szaleństwa Ran Dana od strony ognistej rozpadliny w powierzchni planety. Potrzebowała wszelkiej możliwej osłony.

Potrzebowała także planu.

Ale czas naglił. Malterra i Sunspot zbliżały się do siebie, a Dal był wciąż o krok

przed nią.

Musiała improwizować.



Lanoree przykucnęła za skałą, przyglądając się kopalni i rozrzuconym wokół niej budynkom. Zastanawiała się, jak ktokolwiek mógł tu żyć. Wejście do kopalni znajdowało się u stóp hałdy z łupków i pokruszonej skały, ukryte wewnątrz chwiejnej stalowej konstrukcji z dwoma ogromnymi dźwigami wystającymi z dachu. Otaczające wejście budynki były niskie, zbudowane niemal w całości z kamienia i połączone łańcuchami, zapewne dla ułatwienia przemieszczania się między nimi w czasie straszliwych burz, jakie nawiedzały okolicę. Nie miały żadnych okien. Pod ścianami budynków zaparkowano trzy ciężko opancerzone pojazdy lądowe, a wraki kilku innych były porzucane wokoło i powoli ulegały korozji, wnikając w jałową glebę.

Nieco dalej w płytkiej dolinie powstały trzy lądowiska dla frachtowców i różnych innych statków, które mogły być wykorzystywane w tej atmosferze. Statek Dala spoczywał na jednym z tych lądowisk i Lanoree wiedziała już, dlaczego nie mogła go dogonić. Był to deathblaster, i to taki, który swoje przeżył, może nawet w czasie Wojny Despotki. Z lewej strony miał duży ślad po przypaleniu, a kilka fragmentów kadłuba, sądząc po różnicach w kolorze i stylistyce, było wymienionych lub reperowanych. Był to pierwszorzędny statek, bliźniaczo podobny do słynnego deathstalkera, tylko większy, dzięki czemu mógł przewozić znaczne ilości bomb, sprzętu lub pasażerów. Był teraz jeszcze rzadziej spotykany niż deathstalker – wiele egzemplarzy uległo zniszczeniu w czasie Wojny Despotki; inne zostały później rozebrane przez Je'daii; te zaś, które ocalały, znajdowały się zwykle w rękach najemników, watażków z Shikaakwy albo w odległych przestępczych osadach, gdzieś na księżycach Mawra. Sądząc po szybkości, jaką osiągał statek Dala, można było przypuszczać, że został zmodyfikowany.

Lanoree rozejrzała się jeszcze raz po okolicy, a potem pobiegła, przygarbiona, w kierunku deathblastera. Trzymała się w cieniu, zdając sobie sprawę, że Dal musiał zostawić paru ze swoich Patrzących w Gwiazdy, żeby przygotowali statek do szybkiej ucieczki. Sondując ostrożnie Mocą, wyczuła dwa umysły. Ich myśli nie zdradzały żadnego niepokoju. Patrzący w Gwiazdy wydawali się podekscytowani; ich plany były bliskie realizacji. Zastanawiała się, jak Dal by zareagował, gdyby wiedział, jak bardzo są nieostrożni.

To była pora na działanie, a nie na dyplomację. Lanoree, choć wolałaby ich tylko ogłuszyć, nie mogła ryzykować, że ockną się w czasie, kiedy ona będzie w kopalni. Zanim przystąpiła do czynu, poszukała ukojenia w Mocy, chcąc

utwierdzić się w swoich zamiarach. Ekstremalne czasy wymagają ekstremalnych kroków, pomyślała i przypomniała sobie, ile istot umierało w męczarniach na Noksie.

Stojąca blisko rozgrzanych jeszcze silników statku Iktotchi nawet się nie zorientowała, gdy miecz Lanoree uciął jej głowę, rozcinając charakterystyczne długie rogi. Lanoree wbiegła po rampie na pokład statku, gdzie drugi Patrzący w Gwiazdy stał nieruchomo z przechyloną zabawnie głową, wsłuchując się w dziwny odgłos stali rozcinającej ciało, który dobiegł go z zewnątrz.

– Nie... – zaczął i urwał, gdy miecz Lanoree przebił mu serce. Był martwy, zanim jeszcze osunął się na pokład.

Lanoree rozejrzała się po ładowni statku. Pomieszczenie było puste i opuszczone, nie licząc zwłok. Zbiegła z powrotem po rampie i skierowała się do kopalni. Rozgrzane powietrze paliło jej płuca. Wiedziała, że powinna była założyć ochronny kombinezon i maskę do oddychania, ale nie chciała, żeby krępowały jej ruchy, a zresztą wkrótce powinna znaleźć się pod ziemią.

Przed głównym budynkiem zatrzymała się i przykucnęła, zaglądając do środka przez szpary w starej, rozsypującej się konstrukcji. Nie widać było żadnego ruchu i nie wyczuła nikogo wewnątrz.

W oddali usłyszała eksplozję. Zaskoczona, odwróciła się i uniosła miecz. Kilka kilometrów na północ, za niewielkim wzniesieniem, niebo żarzyło się od potężnych, pulsujących ogni czynnego wulkanu. Kłęby dymu i popiołu unosiły się na wysokość paru kilometrów, rozświetlane od środka przez gwałtowne burze. Śmiercionośne bomby wulkaniczne kreśliły łuki w powietrzu. Ziemia drżała jakby ze strachu.

Lanoree podeszła do dwóch wind, które zapewniały dostęp do kopalni. Obie stały nieruchomo, a drzwi szybów były otwarte, jednak tylko jedna kabina zjechała na dół. Gdyby Lanoree uruchomiła drugą, uprzedziłaby tym samym znajdujących się na dole o swoim przybyciu.

Spojrzała w dół ciemnego, pustego szybu windy. Dno było daleko.

Schowała miecz do pochwy, sięgnęła do pasa z ekwipunkiem i wyjęła trzy krótkie kawałki cienkiej, mocnej liny. Związała dwa z nich, tworząc uprzęż pod pachami i wokół nadgarstków. Następnie ścisnęła koniec trzeciego kawałka mocno w lewej ręce i nie dając sobie czasu na zastanowienie, na co się porywa, skoczyła, owijając linę wokół jednego z napiętych sznurów windy. Chwyciła drugi koniec, zapierając się nogami o stalowy sznur. Przez chwilę nią trzęsło, zanim odzyskała równowagę, a powietrze wypełnił cichy szum wibrującego sznura.

Lanoree, zsuwając się, sprawdzała wytrzymałość swoich butów z nadzieją, że sznur nie przetrze mocnej skóry. To by bolało.

Przyspieszyła. Ciemność przesuwiała się szybko wokół niej. Wybadała otaczającą ją przestrzeń zmysłem Mocy. Szyb był kwadratowy, wzmacniany ciężkimi stalowymi stemplami rozmieszczonymi w równych odstępach.

Dno zbliżało się szybciej, niż się spodziewała. Pociągnęła za linki i przycisnęła

stopy mocniej do sznura, żeby zwolnić. Pomyliła się odrobinę w ocenie odległości i uderzyła mocno o dach windy, wywołując głuchy odgłos, który powinien słyszeć każdy, kto znajdował się w pobliżu. Nie usłyszała jednak żadnej reakcji, żadnych okrzyków niepokoju. Kiedy już złapała oddech, opuściła się między kabinę windy a ścianę szybu.

Na pierwszy rzut oka kopalnia przypominała jej tunele pod centralną wieżą Stacji Greenwood. Wzdłuż wąskiego korytarza, biegnącego w dwóch kierunkach, migąły tu i ówdzie światełka, a ściany i sufit były chropowate. Ale tutaj czuło się gorąco. Żar bił gdzieś z dołu, podłogę przypiekało jej zdarte buty, a w głębi korytarza po lewej majaczył słaby blask.

Lanoree wyczuła, że coś zbliża się do niej szybko korytarzem. Uniosła swój stary ćwiczebny miecz, ale nagle powalił ją podmuch gorącego powietrza. Przeturlała się na bok i spróbowała złapać oddech, ale silny wiatr jej na to nie pozwalał. Palący podmuch – być może efekt znacznych różnic temperatury – przysmażył jej ubranie i skórę. Zacisnęła mocno oczy.

To Sunspot próbował upiec ją żywcem.

Gorący wiatr zawył, odbijając się od ścian, ale nagle ustał i Lanoree wzięła głęboki oddech.

Poczuła zapach potu.

Otworzyła oczy i spróbowała wstać, gdy nagle wyczuła ciężki kamień lecący prosto na jej głowę. Przywołała wszystkie swoje zdolności Mocy, żeby odbić uderzenie, ale było za późno.

Poczuła krótkotrwały ból, a potem zapadła ciemność.



ROZDZIAŁ 16

ALCHEMIA CIAŁA

Je'daii potrzebuje jasności i mroku, światła i cienia, bo bez jednego i drugiego nie może być równowagi. Jeśli zwróci się w stronę Bogana, Ashla stanie się zbyt krępująca, nazbyt czysta; jeśli skieruje się ku Ashli, Bogan zmieni się w straszny mit. Je'daii bez równowagi między nimi nie jest żadnym Je'daii. Jest po prostu zagubiony.

– Mistrz Shall Mar, Życie w równowadze, 7537 PTY

Krwawy chochlik to cień z zębami. Owija wokół niej długie wici, które, choć cienkie i łamliwe, krępują jej ruchy. Lanoree szarpie je i zrywa, a zapach i smak, który wydzielają, pękając, przywodzi jej na myśl trawiaste równiny wokół Świątyni Bodhi, długie letnie popołudnia i wieczory pełne muzyki i rozmów z rodziną. Stwór rzuca się na nią raz po raz, niesiony na pierzastych skrzydłach, które nie wydają żadnych odgłosów, młóćąc powietrze. Lanoree wymierza niezdarny cios, wspomagany Mocą. Chochlik zatacza się, wymachując wiciami i kłapiąc zębami.

Zęby są jego najtwardszą częścią. Skrzydła, wici, ciało, wszystko to jest lekkie i zwiewne, upodabnia go bardziej do ułudy albo wspomnienia niż do żywej istoty. Tylko zęby nadają mu stałą formę.

Chochlik atakuje ponownie. Lanoree czuje, jak ciepły płyn rozbryzguje jej się na szyi, i nie jest pewna, czy to ślina chochlika, czy jej własna krew. Chwilowa panika ustępuje. Nie ma bronii, ale ma jeszcze Moc. I chociaż dziwna natura tej istoty może uodparniać ją na myślowe ataki, to Lanoree ma wiedzę, którą zdobyła w Stav Kesh.

Zaciska pięść, gromadzi w sobie Moc i zadaje cios, który odrzuca chochlika do tyłu z taką siłą i prędkością, że wiele z jego cieniutkich kończyn odrywa się i spada na ziemię, mieniając się w świetle zachodzącego słońca. Ciało też pada i wije się przez chwilę, aż w końcu zastyga w bezruchu. Lanoree ogląda swoje rany. Krwawienie nie jest zbyt mocne.

Nie chcąc czekać na kolejne krwawe chochliki, biegnie w stronę piramidy.

Czuje się tu energię. Miasto i jego niezgłębiona historia budzą w niej respekt, ale Lanoree zaczyna czuć coś jeszcze. Nie chodzi tu o żadne fizyczne doznanie –

nie ma żadnego dudnienia w ziemi, żadnych ładunków w powietrzu – a jednak ogarniają uczucie tak mocnego potencjału, że przyprawiają to o zgrzytanie zębów i łomot serca.

Nic jej nie powstrzyma. Podąża śladem Dala, jedynym śladem człowieka widocznym na przenoszonym przez wiatr piasku. A kiedy ślad znika na jakiś czas, Lanoree idzie dalej, kierując się instynktem. Znalazła się w czymś na kształt krainy snów. To wciąż Tython, ale nie wie, kiedy się to dzieje. To jej dom, ale nigdy nie czuła się tak bardzo od niego oddalona. Energia, którą czuje pod sobą i wokół siebie, jest oderwana od Mocy; i chociaż zadaje pytania tej silnej, opiekuńczej energii, która zawsze jest w niej, nie znajduje żadnych odpowiedzi.

To miejsce mnie odpycha, myśli. Fakt, że Dala ono przyciąga, budzi w niej smutek, ale nie dziwi.

Ruiny są tak stare, że w większości pogrzebało je działanie czasu, a także wiatr, piasek, słońce i deszcz. Gdzieś jednak wśród tych niewielkich wzgórz i płytkich dolin widać czubki piramid, fragmenty zburzonych murów albo głębokie otwory wydrążone w ziemi.

To te ciemne, ziejące jamy zdają się wydzielać dziwną energię, którą czuje Lanoree. I właśnie do jednej z nich prowadzą ślady Dala.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Lanoree rusza w dół.



Niewielki pręt jarzeniowy, który zawsze nosi przy sobie, daje łagodne, ale stałe światło, ona jednak wolałaby chyba nic nie widzieć.

Razi ją obcość tego miejsca. Wszystkie inne miejsca na Tythonie, jakie widziała, zostały stworzone przez istoty – i dla istot, które zamieszkują obecnie planetę: ludzi, Wookiech, Twi'leków, Catharów i wielu innych ras. Wprawdzie wszyscy oni różnią się wyglądem, jednak ich podstawowe cechy fizjologiczne są podobne. Catharowie są stosunkowo niscy, a Wookie zazwyczaj wyżsi od innych, ale podobieństwo budowy sprawia, że miejsca, w których mieszkają i pracują, mogą być wygodne dla wszystkich.

Te ruiny są inne. Lanoree zeskakuje kilka poziomów w dół i dopiero po jakimś czasie zdaje sobie sprawę, że to są ogromne stopnie, jakby zbudowane dla olbrzymów. Korytarz, którym idzie, jest wysoki i szeroki. Nawet powietrze, którym oddycha – nieruchome i stęchłe, stare i pełne nagromadzonego przez wieki kurzu – wydaje się bardziej odpowiednie do czegoś innego. Przechodzi ją dreszcz, jakby ktoś ją obserwował, chociaż wie, że patrzy na nią tylko głębia historii.

Ale nie ona pierwsza tu zeszła.

Ślady Dala odcisnięte w kurzu każą jej iść naprzód. Są głębokie i oddalone od

siebie, tak jakby biegł. Lanoree zastanawia się, jakim cudem on się tu nie gubi i czym oświetla sobie drogę.

Przytłaczająca energia zdaje się pulsować w korytarzach niczym tętno w żyłach olbrzymiego śpiącego stworzenia. Tego niepokojącego obrazu Lanoree nie może się pozbyć, chociaż wie, że to niemądre. Stare Miasto to po prostu... stare miasto. Bywali tu archeologowie, bywali historycy. Niektórzy przyjeżdżali, oglądali i wyjeżdżali, zaintrygowani, ale nie opętani. Inni spędzali całe życie, badając to miejsce. Paru zaginęło bez wieści. Słyszało się historie o takich otchłaniach...

Zastanawia się jednak, czy którykolwiek z nich czuł ten straszliwy, pulsujący potencjał i co o nim myślał.

– Dal! – woła, zaskakując samą siebie. Jej głos odbija się echem od ścian i sufitu, ginąc w oddali, choć i tak rozbrzmiewa znacznie dłużej, niż się spodziewała. Jeszcze kiedy schodzi po kolejnych gigantycznych schodach, wydaje jej się, że wciąż słyszy imię brata wędrujące w ciemnościach. A może to tylko wspomnienie.



Głębiej. Lanoree zaczyna się zastanawiać, co też mogło chodzić tymi korytarzami przed tysiącami lat, stara się jednak o tym nie myśleć. Tak mało wiadomo o Greech – jeśli to faktycznie była pierwotnie ich konstrukcja. Legenda mówi, że znali oni zdumiewające, tajemne technologie, które pozwalały im na międzygwiazdne podróże. Że byli koczowniczą rasą, która przemierzała galaktykę w niewiadomych celach. Swego czasu krążyły plotki, że gdzieś w Starym Mieście są rzeźby Greech. Niektórzy jednak uważają, że ekspedycja, która rzekomo te rzeźby znalazła, w istocie je sfabrykowała.

Ślady Dala zanikają niekiedy w miejscach, gdzie kurz został najwyraźniej zmieciony, być może przez podziemne burze. Gdy tutejsza niesamowita energia zostaje uwolniona, dochodzi do nagłych skoków napięcia, może raz na rok, a może raz w życiu. Tak wiele pozostaje tajemnicą, ale uwaga Lanoree jest skupiona. Wie, co ma zrobić. Musi ocalić Dala przed nim samym i zamierza do tego dążyć tak długo, jak będzie mogła.



Lanoree traci poczucie czasu. Wydaje jej się, że minął cały dzień, odkąd zapuściła się pod powierzchnię. Martwi się, czy znajdzie drogę powrotną, ale są tu ślady stóp – jej i Dala – no i jest Moc. To przynosi jej pocieszenie i pozwala

wytrwać.

Jest głodna i spragniona. Gdzieniegdzie po ścianach spływa woda, ale nie może się zmusić, żeby się jej napić albo chociaż dotknąć. Nie ma pojęcia, skąd ona wypływa ani przez co na przestrzeni wielu wieków została przefiltrowana. Muszą istnieć niezliczone miejsca, które czas na zawsze ukrył przed wzrokiem wszystkich, i niezliczone rzeczy, które nigdy nie zostaną poznane.

Woła teraz Dala coraz częściej. Echa jej krzyków zdają się kłócić ze sobą, a czasami wydaje jej się, że słyszy chór własnych głosów błagających jej brata, żeby zawrócił, żeby wrócił do niej i do domu. Lanoree podejrzewa, że ma halucynacje, ale nie jest pewna.

Ruiny są tak stare, że nie ma ani jednego miejsca, które nie byłoby nadgryzione zębem czasu. Niekiedy bywają spustoszone, kiedy indziej tylko naznaczone przypomnieniem, że entropii nie da się zatrzymać. Podąża szerokimi korytarzami, od których odchodzą mniejsze tunele, a od czasu do czasu mija wnęki w ścianach, które kiedyś mogły być drzwiami, ale są od dawna zamurowane. Te mniejsze tunele kuszą możliwościami, ale Lanoree nie zamierza zbaczać z kursu. To misja ratunkowa, a nie badawcza. Są tu też znacznie większe pieczary – przypominające niemal sale – o dziwnych zagłębieniach w podłożu, które mogły kiedyś służyć jako zbiorniki na wodę, oraz pionowe konstrukcje ze szczątkami metalowych form. Może są to pozostałości technologii zniszczonej przez upływ czasu.

Czuje, że Dal jest coraz bliżej.

Metalowy mostek spina brzegi głębokiego, ciemnego wąwozu, z którego głębi wydobywa się ciepły podmuch. Mostek skrzypi, kiedy Lanoree po nim przechodzi. Ciemność ją przyzywa. Pachnie zakurzonymi kośćmi i mokrym futrem. Lanoree ostatni odcinek mostka pokonuje biegiem.

Po drugiej stronie widzi dużą pieczarę o amfiteatralnych poziomach wokół położonego centralnie podestu, na którym znajdują się szczątki pionowych, mechanicznych przedmiotów. Lanoree zatrzymuje się, żeby złapać oddech.

W oddali słyszy krzyk.



Kiedy wlekli Lanoree, słyszała głosy, gniewne i nagłe, niepróbujące niczego ukryć. Poczowała bolesny żar, kiedy rzucili ją na ziemię. Przetoczyła się na bok i spróbowała wymacać rany, ale znalazła tylko guzy i siniaki, które już знаła, a oprócz tego kilka nowych. Cały czas miała przy sobie broń i naręczny komputer. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby ją rozbroić. Albo byli nieuważni, albo nie postrzegali jej już jako zagrożenie.

Znowu dostałam w głowę, pomyślała. Mistrzynie Kin'ade byłaby zde gustowana.

Spróbowała uśmierzyć ból, posługując się Mocą, i ogarnęło ją kojące odrętwienie.

– Już prawie skończyłem. Pozwolę ci popatrzeć.

Dal! Ale przecież on był martwy. Przyszła tu, szukając go, i znalazła... chociaż nie, to było inne miejsce, inny czas. Tamto to przeszłość.

Lanoree otworzyła oczy, podniosła się i usiadła z kolanami pod brodą.

Powietrze w kopalni drgało z gorąca. Kilku niskich ludzi w odblaskowych kombinezonach i kaskach z szybkami krzątało się przy sprzęcie, chyba górniczym. Dal stał blisko z blasterem w dłoni wycelowanym w jej stronę. Towarzyszyło mu pięciu Patrzących w Gwiazdy. Byli dla niej anonimowi; ot, po prostu wyznawcy jego obłędu. To Dal przykuwał jej uwagę.

– Zostawiłeś mnie na pewną śmierć – wykrztusiła. Miała opuchnięte gardło i język niczym z kamienia.

– Właśnie, zostawiłem cię. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

Słaba i zamoczona, Lanoree próbowała dotknąć jego umysłu.

Dal wycelował jej blaster w twarz. Zacisnął usta, całe jego ciało zeszywniało. Mogła spróbować odepchnąć go Mocą i być może zdołałaby się podnieść, zanim pozostali Patrzący w Gwiazdy by ją zastrzelili. Mogłaby też zgubić się w Mocy tak jak Mistrz Tave, stać się dla nich niewidzialna na jakiś czas, wystarczający, żeby ich rozbroić i pokonać.

Ale wątpiła w to.

– Więc mnie zastrzel – powiedziała do brata. Kiedy to mówiła, jej umysł zalała fala wspomnień z dzieciństwa, wspomnień ukochanych rodziców i tych dobrych czasów, które były już przeszłością. Była smutna, ale też okropnie wściekła.

– Ty i ta twoja Moc...

– Dosyć gadania, Dal! Po prostu mnie zastrzel i skończ z tym!

– Dotarłeś tak daleko – zauważył z uśmiechem. – Nie chcesz być świadkiem mojej prawie największej chwili?

– Prawie?

– Ta największa dopiero nadejdzie. – Ruchem głowy wskazał na kąt za sprzętem górniczym, gdzie spoczywało odsłonięte teraz urządzenie. Patrzący w Gwiazdy zachowywali pełen szacunku dystans. Urządzenie było zaskakująco proste: metalowa kula z kilkoma gniazdami wyjściowymi rozmieszczonymi wokół jej obwodu. Nie wyglądało imponująco.

Górnicy obserwowali monitory i obsługiwali maszynę, i chociaż działała ona niemal bezgłośnie, Lanoree zastanawiała się, czy głębokie dudnienie, które czuła w całym ciele, spowodowane było tym, co tu robili.

– Nie – zdecydowała. – Nudzi mnie to. I tak mnie zabijesz, więc zrób to od razu... bracie. – Ostatnie słowo wycedziła pogardliwie, licząc na jakąś reakcję. Ale na jego ustach pozostał łagodny uśmiech. Chciała sprowokować go do działania w nadziei, że zanim naciśnie spust, nastąpi chwila zawahania, moment żalu i zwątpienia, który mogłaby wykorzystać.

Ale to Dal był tutaj panem sytuacji. Lanoree czuła, że Moc jest w niej tak samo

silna jak zawsze, ale jej chory, obłąkany brat wciąż miał wszystko pod kontrolą.

– Już – rzucił jeden z górników. Znajdująca się przed nim maszyna zadrgała lekko, a potem ucichła. Z otworu w podłożu kopalni wysunęła się kwadratowa, metalowa skrzynka. Lanoree widziała to kiedyś na holofilmach i wiedziała, co to jest: kostka marionium, zawierająca jeden z najbardziej niestabilnych, a mimo to pożądanых pierwiastków, jakie można było znaleźć w kopalniach Sunspota.

Ale co z ciemną materią? Czy wszystko, co widziała i co słyszała, było nieprawdą?

– Do urządzenia – polecił Dal. – Wiecie, co robić.

Trójka Patrzących w Gwiazdy podeszła i uniosła kostkę, po czym ruszyła z nią w kierunku urządzenia.

Lanoree zastanawiała się, czy nie popchnąć ich na nie przy użyciu Mocy, ale nie wiedziała, jaki to może przynieść efekt. Zajmowali się tajemną, pradawną technologią, a przecież pamiętała swoją wyprawę do Starego Miasta sprzed dziewięciu lat, energię, jaką tam wyczuwała, i lęk, jaki w niej budziła.

Muszę ich powstrzymać! – pomyślała. Ale nie mogła ryzykować uruchomienia urządzenia. Czuła groźbę sytuacji, rozdarta między dwiema ewentualnościami.

– Nie! – wymknęło jej się, gdy Patrzący w Gwiazdy odsunęli panel. Instalacja była prosta. Marionium zaświeciło łagodnie, gdy wsunęli je do urządzenia Dala, a następnie zamknęli panel i odsunęli się.

– I co teraz...? – zaczął jeden z górników. Nie zdążył zadać pytania, bo urządzenie dokończyło za niego. Zaczęło się obracać.

Dal wydał stłumiony okrzyk, a Lanoree uświadomiła sobie z przerażeniem, że on naprawdę ma bardzo nikłe pojęcie o tym, co robi. Realizował dawne plany, dziecięce marzenie, ale poruszał się po omacku.

Zesztywniała, szykując się do działania, nawet jeśli miałyby oznaczać jej śmierć. Bo nie mogła do tego dopuścić.

Słysząc było ciche chrobotanie, gdy urządzenie obracało się na zwirowym podłożu. A potem uniosło się i zawisło w powietrzu, wirując coraz szybciej. Teraz zdawało się na przemian znikać i pojawiać się. Lanoree zrobiło się nagle niedobrze. Była to fizjologiczna reakcja na coś bardzo niedobrego.

– Och, Dal, nie wiesz, co...

Nagle sama Moc jakby się wzdrygnęła. Lanoree upadła na kolana i zwymiotowała. Poczła wygięcie Mocy. Przypominało to naturalną reakcję kogoś, kto cofa się przed ogniem. Moc opuściła na chwilę kopalnię i pozostało jedynie urządzenie, które wciąż wirowało, pojawiając się i znikając.

A potem zwolniło i zatrzymało się w powietrzu, wydzielając takie ładunki nienawistnej i niezgłębionej energii, że Lanoree znów zwymiotowała.

Było jej słabo i kręciło jej się w głowie. Popatrzyła na innych. Górnicy leżeli na ziemi, trzymając się za głowy. Za to Patrzący w Gwiazdy byli rozradowani, a Dal wydawał się najszczęśliwszy ze wszystkich.

– Działa – wyszeptał z podziwem i zachwytem. – Działa! Udało się! Jest już

gotowe! Wytworzyło własną ciemną materię i teraz jest gotowe. Och, Lanoree, tak bardzo bym chciał, żebyś mogła polecieć ze mną!

Nie wiedziała, czy to jest zawołana prośba, i nawet nie starała się odgadnąć. Nie obchodziło jej to.

– Stałeś się szaleńcem i potworem, Dal. Moim jedynym celem jest powstrzymanie cię.

– W takim razie to będzie twój koniec – powiedział cicho. Radość szybko znikła z jego twarzy. Wycelował blaster w klatkę piersiową Lanoree i pociągnął za spust.



Lanoree biegnie w kierunku, z którego dobiegają krzyki, chociaż wie, że powinna przed nimi uciekać, bo są tak okropne. Ale przybyła do Starego Miasta, żeby ocalić brata i teraz obawia się, że jest już za późno.

Znajduje jego ubranie niedaleko podziemnego jeziora. Jest podarte i mokre. Lanoree wącha krew na ubraniu. Pachnie rodziną.

Powierzchnia jeziora mieni się i faluje, a potem zmarszczki się wygładzają.

Nie dbając o to, kto może ją usłyszeć, Lanoree krzyczy z żalu. Upada na kolana i przyciska ubranie do piersi. Choć krew Dala jeszcze nie wystygła, jego siostra zaczyna go opłakiwać.



ROZDZIAŁ 17

ODPYCHANIE

Zanurzenie się w Ciemnej Stronie Mocy może wydawać się silniejsze, bardziej wyzwalające, bardziej triumfalne niż pozostawanie w równowadze. Ale tylko na pozór. Nie daj się zwieść. Ci, których pochłania mrok, tracą nie tylko równowagę i kontrolę. Tracą własną duszę.

– Mistrz Shall Mar, Życie w równowadze, 7541 PTY

W ostatniej chwili ze wszystkich sił chwyciła Moc i przyciągnęła ją do siebie. A potem zapadła ciemność.



W snach ściga Dala w nieskończoność przez Stare Miasto. Zawsze jest tuż przed nią – słyszy jego szept za rogiem, śmiech w sąsiedniej starej pieczarze, a jego cień wydaje się biec tuż poza jej zasięgiem, za ścianą albo po drugiej stronie wydm. Jeden krok przed nią, niezależnie od tego, jak szybko lub jak wolno ona się porusza. Nie ma jednak poczucia, że Dal się z nią droczy. Jest między nimi jakaś siła, która ich od siebie odpycha, i kiedy ona podąża w stronę Dala, on się od niej odsuwa. Cóż, może zawsze tak było, nawet kiedy byli dziećmi. Lanoree pamięta wiele wspólnych zabaw, ale teraz wydaje jej się też, że świadomość narastającej żądz podróży i urazy Dala do rodziny kładła się cieniem na tych czasach; w dzieciństwie mogła nie zauważać w nim tych przejawów. Teraz widzi jego dziecięcą twarz dorosłymi oczami i wie, co z tego wyniknie.



– Ja się czuję okropnie – powiedział głos – ale ty wyglądasz jeszcze gorzej. Możesz otworzyć oczy? Otwórz oczy. Proszę cię, Lanoree. – Lanoree próbowała,

ale powieki miała zbyt ciężkie, a pulsujący ból rozsadzał jej głowę, nie pozwalając ich otworzyć.

– Jeśli mnie słyszysz, ścisnij mnie za rękę. – Spróbowała ścisnąć, ale rozgrzane do białości słońce bólu eksplodowało w jej piersi i rozlało się po całym ciele, przebijając szyję, szczękę i czaszkę. Próbowała krzyczeć, ale kiedy zaczerpnęła powietrza, ból stał się jeszcze bardziej dotkliwy. – Dobra, leż spokojnie i... – Głos ucichł, a Lanoree poczuła, że spada. Otchłanie, które rozciągały się w dole, były mroczne i pełne nienawiści. Nieważne, czy znajdowali się w zbudowanych przez Greech komnatach i pieczarach Starego Miasta, w śmierdzących kanałach Stacji Greenwood, czy w rozzarzonych kopalniach na Sunspocie, nie miało to znaczenia. Mrok zwiastował śmierć.

Dryfowała w ciemności, ale nie miała siły, żeby się zatrzymać.



Poruszyła się. Fale gorąca uderzały w nią ze wszystkich stron. Swąd spalenizny pochłaniał wszystko inne – starej, tkwiącej głęboko spalenizny, roztopionej skały i przypalanych eonów. Jestem ciągle w kopalni, pomyślała i próbowała otworzyć oczy.

Coś, na czym leżała, uderzyło w coś innego. Lanoree podskoczyła i wrzasnęła z bólu, który zalał jej ciało niczym kwas. Próbowała uśmierzyć go przy użyciu Mocy, ale udało jej się to tylko częściowo. Ruch ustał, a nad nią pojawił się cień.

– Lanoree?

Zobaczyła sylwetkę pochylonego nad nią Trego Sany, jego lekku rysujące się na tle łagodnej czerwonej poświaty. „Co się dzieje? – chciała zapytać. – Czy kopalnia się pali, czy Dal znów niszczy wszystko na swojej drodze, czy zabrali "Rozjemcę"... co ty tu robisz?” Ale z jej ust wydobył się tylko głęboki jęk.

– Zabieram cię stąd – oznajmił. – Pancerniak ciągnie. Co ty mu zrobiłaś? Nigdy nie spotkałem takiego...

Znów zawodziły ją zmysły. Lanoree próbowała się trzymać, ale wiedziała, że jest ciężko ranna. Czuła się wydrążona i zastanawiała się, jak wielką dziurę Dal wypalił w niej swoim blasterem.

Dal, jej brat, swoim blasterem...

Tym razem, kiedy zaczęła spadać, chwyciła ją Moc. Pośród męczarni Lanoree przeżyła chwilę ekstazy, czując, jak Moc ją otacza i przepływa przez nią.



Strop kopalni się palił. Tre musiał zaciągnąć ją do jakiejś ogromnej podziemnej

komnaty, chociaż nie pamiętała, żeby mijąca taką po drodze. Wysokie sklepienie trawiły czerwone, pomarańczowe, żółte i białe płomienie, kłębiące się tak powoli, że widziała dokładnie ich kształty i kontury. Niektóre cywilizacje czciły ogień – chyba teraz rozumiała dlaczego.

Ale jeśli się stąd szybko nie wydostaną, ogień ich pochłonie.

– Jesteśmy bardzo blisko – odezwał się głos Trego. – Lanoree... słyszysz mnie? Jesteśmy już prawie na statku. I będziesz mi wtedy potrzebna.

Prawie na statku? – pomyślała. Nagle uzmysłowiła sobie, co niedawno widziała, i na chwilę wszechogarniający ból został wyparty przez ciemny lęk, który sączył się z jej umysłu i rozprzestrzeniał na całe ciało, przyprawiając ją o dreszcze.

Byli na powierzchni Sunspota, w drodze na "Rozjemcę", a niebo nad nimi stało w płomieniach.

W tej sytuacji skala i zasięg rozgrywającej się w górze sceny były bardziej zrozumiałe. Wyglądało to tak, jakby samo powietrze się paliło. Wielkie fale ognia przetaczały się w różnych kierunkach i eksplodowały, zderzając się ze sobą. Niebo przecinały fioletowe błyskawice, które rozwidlały się na tysiące rozgrzanych do białości odnóg. W głębi ognistej atmosfery dudniły jeszcze potężniejsze eksplozje, tworząc rozżarzone kłęby, które musiały mieć dziesiątki kilometrów średnicy.

– Malterra... – wyszeptała Lanoree, a cień Trego zbliżył się do niej. Jego lekko drgały nerwowo.

– Co takiego?

– Ta druga planeta... Malterra... zbliża się.

– Co ty powiesz... – Wstał i znów zaczął pchać. Gdzieś obok rozległ się szcęk i stukot Pancerniaka i Lanoree usłyszała szybkie kroki droida, który pomagał przetransportować ją z powrotem na statek.

Czyja to była decyzja? – zastanawiała się, ale dobrze wiedziała. Chociaż bardzo się starała nadać Pancerniakowi osobowość, on wciąż był tylko droidem. A tylko żywa istota mogła podjąć decyzję, żeby wypuścić się w ten skwar i chaos. To Tre po nią poszedł... ale ona nie miała pojęcia, ile czasu minęło.

– Tre...

– Nie teraz. Jesteśmy już prawie na miejscu.

– Tre! – jęknęła, czując fale bólu promieniujące z piersi. Nosze znów się zatrzymały i Twi'lek nachylił się, żeby usłyszeć ją pośród grzmotów i ognistych ryków. – Jak długo...?

– Prawie pół dnia – powiedział. – Zobaczyłem na skanerach, że ten drugi statek odlatuje, a kiedy ty nie wracałaś... – Jego lekko zadrgały.

– O, nie...

– Lanoree... masz dziurę wielkości mojej pięści. Nie wiem, jakim cudem jeszcze żyjesz, więc przykniń się. Zaprowadzę cię na "Rozjemcę", a potem... –

Zaczął znów pchać nosze, a jej nagle zrobiło się go żal. Wyraźnie nie miał pojęcia, co robić.

Ale ona miała.

Więcej się już nie odezwała. Dryfowała w morzu bólu, aż Tre dotarł w końcu do "Rozjemcy" i wepchnął ją do środka.

Gdy drzwi się zamknęły, Tre z trudem przeniósł ją z prowizorycznych noszy na koję. Nawet nie była w stanie mu pomóc. Odwróciła głowę i przyjrzała się noszom, pełna podziwu. Okazało się, że to drzwi jednej z wind w kopalni, wyrwane z zawiasów; na jednym ich końcu przymocowano układ zawieszenia Pancerniaka, który zdawał się lekko dymić, jakby zaraz miał wysiąść.

Lanoree uniosła rękę.

– Tre... Chodź tutaj.

Usiadł obok niej na koi, spocony, wycieńczony. Pamiętała, jak kiepsko się czuł, kiedy go ostatnio widziała. Minęło tak niewiele czasu, a jej się wydawało, że zdążył schudnąć i się postarzeć.

– Weź mnie za rękę – poprosiła. Mówienie sprawiało jej przeszywający ból w klatce piersiowej, ale pewne rzeczy trzeba było powiedzieć.

Ujął jej rękę, oddychając ciężko.

– Dziękuję. – Ścisnęła jego dłoń i pokiwała głową, krzywiąc się z bólu, ale nie przerywając kontaktu wzrokowego. – A teraz... musisz mi... zaufać.

Wyraz twarzy Trego prawie się nie zmienił, kiedy instruowała go, którą szafkę otworzyć i co z niej wyjąć. Nawet kiedy zobaczył to, co wyjął, wydawał się niewzruszony. Może Mistrzynie Dam-Powl pokazała mu więcej, niż Lanoree podejrzewała.

– A teraz pomóż mi się podnieść. – Westchnęła. – Mam niewiele czasu.



W tamtej sali, dawno temu, przed tragedią z Dałem, kiedy Lanoree chłonęła jeszcze wszystko z zachwytem i zdumieniem, nauki Mistrzynie Dam-Powl wydawały jej się niesamowite.

„Twoja przyszłość leży w alchemii ciała – stwierdziła wówczas Dam-Powl. – Dostrzegłam to, jak tylko się poznałyśmy, i nic mnie od tego nie odwiodło. Dla niektórych ten dar jest niemal niedopuszczalny. To wielka, niebezpieczna siła i wymaga absolutnej równowagi. Nie wolno ulegać mrocznym pragnieniom. Ciemna Strona czai się zawsze w pobliżu, Lanoree, dlatego zawsze jestem czujna. Nie ulegaj pokusie. Nie daj się omamić. Zachowuj równowagę”.

Te słowa pozostały w niej na zawsze. Przypominając je sobie teraz, Lanoree starała się postępować zgodnie z zaleceniami Mistrzynie, ale za dużo było bólu, zbyt wielka presja. Jej umysł próbował znaleźć równowagę w Mocy, ale serce parło naprzód. Wiedziała, że Dal nie będzie na nią czekał. Każda stracona chwila przybliżała ich wszystkich do tragedii.

– Może lepiej na to nie patrz – poradziła Tremu. On jednak pokręcił tylko głową i usiadł w kącie kajuty z przymkniętymi oczami. Postanowiła, że kiedy już ocali siebie, zrobi dla niego wszystko, co będzie mogła.

Eksperyment był w takim stanie, w jakim go pozostawiła. Podróżując samotnie, miała dużo czasu, który mogła poświęcić na doskonalenie podobnych technik, i choć była jeszcze młoda, wiedziała, że ma wielki talent. Dowód tego leżał teraz przed nią. Uniosła wieko i ciało się poruszyło. Krew pociekła z niedoskonałych żył. Szczątkowe kończyny zamachały z trudem i bez celu. Na jednym końcu otworzyło się ślepe oko o mlecznobiałej źrenicy. Nawet jeśli coś widziało, to pozbawione było umysłu, który mógłby to zrozumieć.

Tęczówka miała taką samą barwę jak tęczówka Lanoree, ponieważ była częścią niej.

Życie, które tliło się w tym ciele, zostało stworzone przez Lanoree i pochodziło z Mocy. Zbiór komórek pobranych z jej własnej ręki, z kropli krwi i szpiku uformowała z czasem w to – w ożywiony przedmiot, który należał w całości do niej. Jego ruchy wciąż budziły w niej niepokój, podobnie jak częściowe pokrewieństwo między nimi. On jednak nie miał mózgu, nie miał umysłu, a bez umysłu był tylko mięsem. Nic więcej. Żywe, pulsujące, replikujące mięso. Cały czas to sobie powtarzała, zastanawiając się, czy to coś czuje ból.

Siła, którą czuła czasami, gdy formowała ciało wedle własnego życzenia, była szokująca, ale teraz odnalazła wreszcie sens w swoich eksperymentach. „Nie chodzi o samą alchemię – mówiła jej Dam-Powl. – To nie jest sztuka dla sztuki. Musi mieć praktyczne zastosowanie”.

Lanoree zebrała się w sobie, opierając dłonie po obu stronach niewielkiego podestu, na którym spoczywał eksperyment. Jej rana była szeroka, głęboka i miała postrzępione krawędzie, ale w chwili gdy Dal próbował ją zabić, Lanoree osłoniła się Mocą, która pochłonęła znaczną część siły uderzenia. Gdyby tego nie zrobiła – a był to moment, czysty odruch – jej serce i płuca leżałyby teraz rozsmarowane po podłodze kopalni. Jej brat sądził, że zginęła. Cóż, przynajmniej dała sobie szansę.

Wzięła głęboki wdech i otworzyła się na przepływającą przez nią Moc. Zamknęła oczy. Odepchnęła od siebie ból, od którego robiło jej się niedobrze, zmęczenie, które nakłaniało ją do snu, i śmierć. Moc rosła w niej w siłę. Czuła ją w czubkach palców, w szyi, w zranionej piersi. Teraz skierowała ją na eksperyment.

Alchemia obudziła się w niej do życia. Była płonąca gwiazdą o ciemnym sercu. Na to właśnie muszę uważać, pomyślała, ale ból przeszył jej ciało, rozpraszając uwagę. Poczucie siły było cudowne. Uśmiechnęła się.

Leżące przed nią ciało zaczęło wrzeć i bulgotać. Nie otwierając oczu, zrzuciła z siebie postrzępione ubranie i bieliznę i nachyliła się do przodu.

Swąd przypalanej skóry wypełnił "Rozjemcę".

Usłyszała żalospny jęk Trego, ale nie oglądała się na niego. Jeśli się boi, niech

zasłoni oczy.

Zawisł nad nią Bogan i otworzyła oczy duszy, by objąć jego ciemną powierzchnię. W tej samej chwili poczuła ciepły, wilgotny dotyk między piersiami. Pieścił i znieczulał jej zaognioną ranę. Lanoree przyjęła go i zapragnęła więcej. Nachyliła się jeszcze bardziej, tak że znajdowała się tuż nad podestem, na którym spoczywało ciało. Moje ciało, pomyślała, mój eksperyment, moja własna alchemia samej siebie.

Poszukała Ashli i znalazła ją – była jasną iskierką w Mocy. Doznała uczucia równowagi. Jej talent, o którego istnieniu dowiedziała się w Anil Kesh i który tak długo doskonaliła, zaczął przepływać.

A ciało płynęło wraz z nim.



Bogan jest w jej snach. Odwiedziła go, zanim została Strażniczką, ale na krótko i w towarzystwie innych. Była to wycieczka, element edukacji. Za to w jej wspomnieniach to Ashla była zawsze stałym światłem, które odciągało ją od ciemności.

Ale w snach nie ma Ashli. Lanoree stoi na zboczach wzgórza na Boganie, przy ruinach kamiennych budowli sprzed tysięcy lat, i patrzy na wiszącego nad sobą drugiego Bogana. Dwa księżyce, oba ciemne. Żadnej nadziei na światło.



Lanoree obudziła się nagle i usiadła, przyciskając ręce do piersi. Była na swojej koi, wciąż naga, ale wokół pasa miała owinięte cienkie prześcieradło. Pancerniak zaklekotał. Tre siedział w rogu kajuty, z głową przechyloną na bok i przymkniętymi powiekami.

– Śpioch się obudził – wymamrotał. Wyglądał bardzo niezdrowo.

Obok koi, na podłodze między nią a Trem leżał eksperyment. Był teraz wysuszony i bezwładny, niczym skamieniałe szczątki, od dawna martwe. Nawet krew, która na niego pociekła, była ciemna, sucha i złuszczone, jakby rozlano ją dawno temu.

Lanoree spojrzała na swoje piersi i wzięła głęboki oddech. Skóra wydawała się szorstka i pokryta bliznami, a w klatce piersiowej widniało wyraźne zagłębienie. Ale dziura po strzale z blastera zniknęła. Zamknęła oczy i oddychając głęboko, odwróciła się w lewo, a potem w prawo. Nie czuła żadnego bólu. Nic się nie przemieściło. Niczego nie brakowało.

– Wyglądasz lepiej – zauważył Tre.

– A ty gorzej. – Lanoree wstała z koi, szybko pozbierała swoje ubranie i włożyła je. Potem uklękła przy Trem i położyła mu rękę na policzku.

– Myślę, że to, czym zatrąłem się na Noksie, dotarło do jakichś narządów wewnętrznych – powiedział Twi'lek. – Serce mi bije nierówno, oddech mam... płytki. – Lekku miał blade i zwiotczałe, a Lanoree nigdy nie widziała, żeby jego czerwona skóra była tak wyblakła.

– Mogę ci pomóc – zapewniła, ale zaraz zmarszczyła brwi. Ten mizerny twór, pomyślała, stary i suchy... nic z niego nie zostało. – Nie tak, jak pomogłam sobie, ale spróbuję użyć Mocy, żeby odkazić ci krew. Oczyścić cię.

– Nie ma czasu – odparł Tre. – Nic mi nie będzie... bywało gorzej... nie ma czasu.

Lanoree wiedziała, że Tre ma rację. Nie mieli czasu, może nawet już było za późno. Dał wprawdzie nie zabił jej blasterem...

Ale chciał, pomyślała, chciał mojej śmierci, strzelał, żeby zabić!

...ale jeśli dotrze do Starego Miasta i zdoła uruchomić urządzenie, to i tak może mu się udać ją zabić.

Lanoree otworzyła schowek i rzuciła Tremu na kolana pakiet medyczny.

– Trzymaj. To są lekarstwa. Przepraszam, Tre. Zrób, co się da, póki możesz, a ja...

Zbył ją machnięciem ręki.

Wpadła do kabiny i przejechała dłońmi po sterach "Rozjemcy". Poczowała się, jakby wróciła do domu. Odpaliła silniki i zastygła na chwilę w bezruchu, gdy statek zadrżał wokół niej.

– Dziękuję, Tre – odezwała się. – Za to, że przyszedłeś mi z pomocą.

– Wyłącznie dlatego, że nie umiem latać twoim statkiem – mruknął Tre z za jej pleców. Uśmiechnęła się; cieszyło ją, że Twi'lek nie ma już nic wspólnego z łajdakiem, którym był kiedyś. Miała tylko nadzieję, że wystarczy mu czasu, żeby odkupić dawne winy.

Skanery zamigotały i rozległy się sygnały ostrzegawcze. Lanoree włączyła zestaw łączności, żeby wysłać wiadomość na Tythona, ale na ekranie pojawił się tylko śnieg i trzaski. Wskaźnik poziomu skakał gwałtownie. Mogła przyjrzeć się bliżej odczytom, ale nie było takiej potrzeby. Czasami przyrządy wyrażały to, co było zupełnie oczywiste.

Na zewnątrz niebo i powierzchnia Sunspota były pogrążone w chaosie. Ogniste chmury i błyskawice, które zauważyła, kiedy Tre i Pancerniak wyciągnęli ją z kopalni, przybrały jeszcze na sile. Teraz wyglądało to katastrofalnie. Wszędzie dookoła były pioruny, wprawiając ziemię i powietrze w drgania. Niebo było raz ciemnoczerwone, raz jaskrawopomarańczowe, przecinane gdzieś tam rozgrzanymi do białości płomieniami, które wywoływały potężne, ogłuszające eksplozje wysoko w górze.

Malterra była już blisko. Siły ciężenia obu planet ścierały się ze sobą, jakby obie walczyły o dominację.

Mogli schować się pod ziemią, w najgłębszych kopalniach, jak to robili w takich sytuacjach górnicy. Spędzali tam całe cztery dni, czując, jak świat wokół nich się trzęsie i wyczuwając potężną energię, jaka wydzielala się ponad nimi. A potem wychodzili na powierzchnię, by naprawić wszelkie szkody, i wydobyć rozpoczęło się na nowo.

Dal wszystko zaplanował, pomyślała Lanoree. Musiał to zaplanować. Raz na malterrański rok, na ćwierć roku tythońskiego; to nie może być przypadek.

Jednak wiedziała, że nie ma wyboru. Gdyby chciała, mogłaby z pomocą komputera pokładowego wyliczyć, jakie ma szanse na przeprowadzenie statku przez taką nawałnicę. Wolala jednak nie wiedzieć, jakie są widoki powodzenia.

– Dasz radę tu przyjść i zapiąć pasy? – spytała Trego. Usłyszała jęk, a potem powłóczenie nogami i po chwili Twi'lek usiadł obok niej. Śmierdział i miał nierówny oddech.

– Pewnie znowu się porzygam – mruknął.

– Nie szkodzi. Pancerniak, przygotuj się do startu.

Droid zaklekotał.

Lanoree zwiększyła moc silników. Statek wydawał się silny i pewny, a kiedy wzięła głęboki oddech, poczuła się tak samo. Jestem odrodzona, pomyślała. Wiedziała, że to poczucie siły i wyższości jest czymś złym; jej alchemia była darem, którym nie należało się chełpić.

Do diabła z Ashlą i Boganem. Miała pilniejszą walkę na głowie.

– Nadchodzi nicość – powiedziała, a "Rozjemca" poderwał się z powierzchni Sunspota i zanurzył się w kosmicznym chaosie.



Najprostsza droga z Sunspota na Tythona prowadziła przez Malterrę. Lanoree cztery razy wyliczała trasę i za każdym razem komputer pokładowy podawał inne możliwości. W rezultacie przełączyła się na ręczne sterowanie, uruchomiła cztery monitory z gwiazdnymi mapami w różnej skali i zaufała instynktowi.

Nie ma strachu; jest siła, pomyślała, starając się odczytać dane przy użyciu Mocy. Zrobiło jej się niedobrze. Przekonywała sama siebie, że to efekt uzdrowienia, a nie zaburzenia równowagi. Bo ciało było silne. Ta siła, ten potencjał! Nie potrafiła opanować podniecenia, jakie wywoływały w niej takie tajemne praktyki.

– Powinniśmy zaczekać – odezwał się siedzący obok niej Tre, słaby i wyraźnie wystraszony. Wiedział równie dobrze jak ona, jaka jest stawka i jaką Dal ma nad nimi przewagę. Musieli lecieć najszybciej, jak to było możliwe. Nie mieli innego wyjścia.

"Rozjemca" dostawał mocny wycisk, gdy Lanoree wyprowadzała ich z

atmosfery Sunspota, ale statek był solidnie zbudowany. Hałas był tak potworny, że ledwie słyszała własny głos. Pasy wrzynały jej się w ręce i w piersi. Okna skrzyły się od panującego na zewnątrz żaru. Fotel trzeszczał pod nią, obluźowane panele trzęsły się i klekotały, a drążek sterowniczy drgał w jej dłoni tak mocno, że wkrótce zdrętwiały jej palce i całe przedramię. Nie mogła go puścić. Za pośrednictwem statku walczyła z nawałnicą, szukając spokoju w Mocy, a oczami duszy widziała Dala.

Przypomniała sobie jego twarz w chwili, gdy wycelował w nią blaster, i jego oczy, kiedy pociągnął za spust. W tych oczach była pustka.

Skanery wskazywały, że znajdują się prawie piętnaście kilometrów nad powierzchnią planety. Lanoree zwiększyła moc, żeby wyprowadzić ich w przestrzeń kosmiczną. Liczyła, że kiedy już się tam znajdą, ciężkie chwile, jakie przeżywał statek, dobiegną końca.

Myliła się. Przestworza także okazały się burzliwe, targane siłami dwóch szybko zbliżających się do siebie planet. Powinny się one minąć w odległości pół miliona kilometrów i mogło się wydawać, że to bezpieczny dystans. Jednak przelatując pomiędzy nimi, czuła się jak piórko rzucone na wiatr wśród trawiastych równin Talssu. Przyrządy zaczęły wariować od magnetycznego i grawitacyjnego chaosu, panującego między obydwoma światami. Pancerniak przemknął za plecami Lanoree i przewrócił się na bok, a z głowy poszły mu iskry.

– Twój droid eksplodował – zauważył Tre. Nawet jego głos wydawał się jakiś pęknięty, rozbity na części składowe w wyniku tego nieprawdopodobnego ataku na statek i wszystko, co się w nim mieściło. – Tylko patrzeć, jak "Rozjemca" też się rozleci.

– "Rozjemca" się nie rozleci! – krzyknęła Lanoree. – Prędzej mózg ci wypadnie z tyłka!

– Chyba już to zrobił! – odkrzyknął Tre. Ucieszyła się, słysząc, że nie opuszcza go poczucie humoru. Mogło to świadczyć, że Tre czuje się trochę lepiej. Chyba jej leki mu pomogły, ale... nie mogła się oszukiwać. Własne straszliwe rany wyleczyła przy użyciu tajemnej i niebezpiecznej alchemii Mocy, jednak z Trem sytuacja wyglądała inaczej. Zzerającą go truciznę można było spowolnić, ale unieszkodliwienie jej wymagało specjalistycznej opieki.

Spróbowała połączyć się z Tythonem, żeby ich ostrzec, ale systemy łączności w dalszym ciągu nie działały. Godzinę po tej próbie wysłana wiadomość wróciła do niej; zaskoczył ją jej rozpaczliwy ton. Poczowała się fatalnie, a siedzący obok Tre znów zwymiotował. Przynajmniej tym razem zdążył się odwrócić w drugą stronę.

– Już drugi raz zapaskudziłeś mi statek! – warknęła. Tre nic nie odpowiedział. Zerknęła na Twi'leka, który siedział z brodą przyciśniętą do piersi, z lekko zwisającymi bezwładnie i nieruchomo. Włączyła moduł grawitacyjny, ale w tych warunkach nie działał dobrze. Lanoree czuła w żołądku przykre sensacje. Przywarła plecami do oparcia fotela, mając wrażenie, że coś obluźowało jej się w klatce piersiowej. Wybadała delikatnie Mocą okolice rany, ale wydawało się, że

wszystko jest w porządku; dziura była solidnie załatana. Może dlatego się tak czuła, że cały czas wstrzymywała oddech.

Czas płynął, a każda chwila ciągnęła się w nieskończoność. "Rozjemca" trząsał się i wibrował, a coraz głośniejsze stuki sugerowały, że statek rozpada się na kawałki. Trzy razy trafiły w nich błyskawice. Za trzecim razem ładunek był tak silny, że każdy spaw i otwór w kadłubie, tablicy przyrządów i konstrukcji rozświetlił się jakby żywym ogniem. Lanoree wrzasnęła na cały głos i po cichu przygotowywała się na śmierć. Może nic nie czuje, pomyślała, ale wiedziała, co zobaczy w chwili śmierci – obłęd na twarzy swojego brata.

Statek jednak wytrzymał, a oni przeżyli.



Kiedy znajdowali się milion kilometrów od Sunspota, Malterra osiągnęła punkt maksymalnego zbliżenia z tą planetą. Lanoree obserwowała mijanie się planet na jednym z monitorów skanerów, zdumiewając się, jak ogromne siły i naciski teraz na nie oddziaływały. W głębokich kopalniach Sunspota tłoczyli się górnicy. Lanoree miała dla nich wiele szacunku i dobrze im życzyła.

Wreszcie, gdy nawałnica zaczęła się uspokajać, przeprowadziła pełną kontrolę systemów statku. Pancerniak wciąż był niesprawny, więc musiała zrobić to sama. "Rozjemca" mocno ucierpiał. System podtrzymywania życia był uszkodzony, ale powinien dociągnąć do Tythona. Jedno z działek laserowych się złamało; Lanoree odcięła zasilający je zbiornik na wypadek wycieku. Pręt paliwowy okazał się pęknięty, więc wyrzuciła go w przestrzeń kosmiczną. Kadłub był jednak szczelny, a wszystkie najważniejsze systemy działały. "Rozjemca" trzymał się wystarczająco dobrze, żeby dowieźć ich na Tythona, a to był jej jedyny cel.

Wytyczyła najszybszą trasę, która miała doprowadzić ich do Starego Miasta, i przekazała sterowanie komputerowi pokładowemu.

Odpięła pasy i wstała, żeby przejść do głównej kajuty, gdy nagle coś zobaczyła.

Wydała stłumiony okrzyk i usiadła z powrotem w fotelu, wpatrując się w swoją wizję. Wybuch. Zawirowanie w Mocy, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Bitwa. Śmierć i chaos, a pośród nich...

Nagle wizja uleciała, pozostawiając po sobie jedynie cień. Statek Dała? Raczej nie. Nie wyczuła niczego znajomego; ogarnął ją dziwny chłód, a w zakamarkach umysłu zdawało się czaić coś obcego. Wkrótce jednak i to zaczęło się zacierać.

Lanoree pokręciła głową, dźwignęła Trego z fotela drugiego pilota i zniosła go na koję. Kiedy już go ułożyła, Twi'lek otworzył oczy.

– Za jakieś pół dnia wejdziemy w atmosferę Tythona – poinformowała go.

– Wystrzel mnie po prostu w kosmos, a poczuje się lepiej. – Usiadł powoli i

mrużąc oczy, popatrzył na Lanoree.

- Jak się czujesz?
- A jak wyglądam?
- Na zarzyganego.
- No i tak się czuję.

Lanoree usiadła obok niego, marszcząc brwi.

- Wszystko wydaje mi się takie dziwne.
- No cóż, dopiero co załatałaś sobie dziurę w klatce piersiowej. Powinnaś już nie żyć.

Pomyślała o swoim eksperymencie i o życiu, jakie w niego tchnęła.

- Pewnie masz rację – przyznała. – Muszę odpocząć. – Rozsiadła się wygodnie i zamknęła oczy. – Obudź mnie, jak będziemy się zbliżać do Tythona. – Nie czekając na odpowiedź Trego, zapadła w głęboki, niespokojny sen.

Ma świadomość, że to sen, a mimo to jest bardziej przerażający niż kiedykolwiek. Cały czas usiłuje się obudzić, ale czuje się bezsilna.

Widzi wysoką postać, w płaszczu, zbroi i hełmie ukrywającym rysy. Postać trzyma broń, jakiej Lanoree nigdy wcześniej nie widziała: to miecz, ale dziwny, z klingą wykonaną z czystej Mocy.

Ten sam sen powtarza się raz po raz.

Dopiero dłoń na jej ramieniu i znajomy głos wyrywa ją z tej wizji.

- Lanoree, już Tython. Ale coś jest nie tak.

Rzeczywiście, na powierzchni planety panował dziwny chaos.

- Co to jest? – spytał Tre.

– To burza Mocy. – Lanoree nigdy nie widziała czegoś podobnego z kosmosu, ale ta burza wyglądała na najbardziej gwałtowną i rozległą, jaką kiedykolwiek przeżyła. Spróbowała jeszcze raz skontaktować się z Mistrzynią Dam-Powl, ale choć zestaw łączności już działał, sygnał nie mógł przebić się przez burzę.

– On już zaczął – stwierdził Tre. – Cokolwiek twój szalony brat próbuje zrobić, już się zaczęło.

– Może i tak – odparła Lanoree. Tego najbardziej się obawiała. Gdyby Dal uruchomił urządzenie, pierwszą reakcją Tythona byłyby prawdopodobnie drgania Mocy i burze przetaczające się przez powierzchnię planety. – Możliwe, że się spóźniłam.

Wskoczyła do kabiny i wprowadziła ich w niemal samobójczy lot nurkowy prosto w atmosferę. Każda chwila mogła być ich ostatnią, ale nie mogła sobie pozwolić na stratę ani jednej.



ROZDZIAŁ 18

ZEJŚCIE

Nigdy nie zapominaj, że zostaliśmy tu sprowadzeni. Tython to planeta bogata w Moc, ale także w tajemnicze miejsca, nieznane nam, istniejące tu wiele wieków przed przybyciem Tho Yor. Wiek Tythona jest niezgłębiony, podobnie jak jego tajemnice. My jesteśmy tu tylko gośćmi; nasz prawdziwy dom znajduje się w Mocy.

– Mistrz Deela jan Morolla, 3528 PTY

Dla Trego schodzenie do lądowania musiało być koszmarem. "Rozjemca" płonął, jego kadłub trzeszczał pod wpływem nieprawdopodobnego ciśnienia i straszliwego żaru, płomienie zamazywały okna, przyspieszenie wciskało Twi'leka w fotel z taką siłą, że krew odpłynęła mu z lekku, za to ciekła z nosa i uszu. Lanoree ledwie dostrzegła te fizyczne skutki. Moc była wzburzona, a im bliżej Lanoree była domu, tym bardziej czuła się zagubiona.

Ale choć cały czas podążała tropem Dala i jego szalonych planów, nie była wcale przekonana, czy ta burza ma z nim coś wspólnego. Wyczuwała ją na całym Tythonie – jej źródła znajdowały się w najgłębszych zakątkach tego świata i w bezkresnych niebiosach. Zaburzenia były potężne, jednak planeta trzymała się mocno.

Lanoree przypomniała sobie znów wizję ze swojego snu i to dziwne uczucie, jakiego doznała, lecąc przez burzliwą przestrzeń między dwiema planetami.

Muszę się skupić na Dalu, pomyślała. Ściskając drążek sterowniczy, zanurkowała jeszcze ostrzej. Igrała z niebezpieczeństwem, ignorując ograniczenia konstrukcyjne "Rozjemcy", ale nie było innego wyjścia. Każdy jej oddech od tej chwili aż do odnalezienia Dala mógł być ostatni.

"Rozjemca" wyłonił się z chmur ponad Talssem. Lanoree skierowała się na zachód, mknąc tuż nad szczytami wzgórz. Obserwowała skanery, skonsternowana i zaniepokojona wciąż szalejącą burzą Mocy, gdy nagle natarczywe brzęczenie powiadomiło ją o częściowym przywróceniu łączności.

Natychmiast wysłała sygnał do Mistrzynie Dam-Powl. Po paru chwilach nadeszła odpowiedź, a na ekranie "Rozjemcy" pojawiła się podenerwowana Mistrzynie.

– Lanoree – przywitała ją. – Obawiałam się... najgorszego.

– Mistrzynie! Dal mi uciekł, ale wiem, dokąd leci, i wiem, co ma. – Dam-Powl sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała słów Lanoree. Wydawała się starsza niż jeszcze niedawno, roztargniona i nie prezentowała się tak dobrze jak zazwyczaj. Lanoree nie potrafiła nawet odgadnąć, skąd Mistrzynie nadaje; pomieszczenie wyglądało na czyste, nowoczesne i puste.

– ...statek spoza systemu – ciągnęła Dam-Powl, ale Lanoree niewiele słyszała. Pokręciła gałkami regulującymi i sprawdziła sygnał, jednak skutki burzy były nie do przewyżczenia.

– Mistrzynie, zbliżam się do Starego Miasta. Czy Je'daii czekają tam na Dala?

– ...wycofali, ale są zabezpieczenia – odparła Mistrzynie Dam-Powl. Popatrzyła na Lanoree z monitorem, jakby zbierała się na odwagę. – Trzeba go powstrzymać. Cokolwiek się teraz dzieje... zakończyć to wszystko.

– Mistrzynie?

– Wyczuwam, że wkrótce wszystko się zmieni – dodała Dam-Powl. Mówiła coś jeszcze, ale ekran zaczął śnieżyć, a jej głos zniknął w trzaskach zakłóceń. Lanoree spróbowała jeszcze raz, ale w końcu wyłączyła zestaw łączności.

O co jej chodziło? Jaki statek spoza systemu? Czyżby powrócił jeden z Uśpionych? Lanoree była niezmiernie zaintrygowana, ale miała swój cel i słowa Mistrzynie Dam-Powl nie mogły jej od tego odwieść.

– Proszę cię, po prostu wyląduj – odezwał się Tre. – Nie mam już czym wymiotować.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – zapewniła Lanoree. Spojrzała na Trego i ucieszyła się, widząc, że wygląda odrobinę lepiej. Może jego zatrucie uda się z czasem wyleczyć.

– Jaki jest plan? – spytał. Jego lekku ocierały się o policzki, jakby w geście pocieszenia.

– Plan? – powtórzyła.

– Ona tak zawsze? – spytał Pancerniaka przez ramię Tre, a Lanoree się uśmiechnęła. Droid nic nie odpowiedział; niektóre obwody miał przepalone i wymagał naprawy. Ale na to też potrzeba było czasu.

Statek zadygotał, gdy niebo przecięła błyskawica Mocy. Lanoree skuliła się i przechyliła "Rozjemcę" na bok. Gdyby teraz się rozbili...

Nagle zapiszczały sensory. Lanoree nachyliła się w lewo, zasłoniła skaner przed odbitym światłem z zewnątrz i wtedy to zobaczyła... w odległości kilku kilometrów od nich i co najmniej trzydzieści kilometrów od pierwszych ruin Starego Miasta.

– Co znowu? – spytał Tre.

– Rozbity statek. – Pogmerała przy przełącznikach sensorów, potem rozsiadła się wygodnie i odetchnęła z satysfakcją. – W końcu coś idzie po naszej myśli.

– To jego? – spytał Tre.

– Tak. Deathblaster. Przyjrzyjmy się mu.

Leciała nisko, z działkami laserowymi w gotowości na wypadek jakiegoś ataku. Nawet jeśli Deathblaster był wrakiem, nie znaczyło to, że nie jest zdolny do walki. Okrążyła go w pewnej odległości, wyszukując skanerami oznak życia. Nic nie znalazła. Jeśli Patrzący w Gwiazdy i jej brat znajdowali się wciąż na pokładzie, to byli martwi.

Poczuła ukłucie żalu... a może smutku.

– Dlaczego go po prostu nie rozwalisz? – zapytał Tre. Statek musiał widocznie uderzyć o ziemię, żłobiąc bruzdy w zboczu niskiego wzgórza, a następnie przełamać się, kiedy uderzył w odsłoniętą skałę. Nie było widać żadnych śladów ognia ani wybuchu.

– Nie mogę, dopóki nie wiem, czy urządzenie jest w środku – wyjaśniła. Ale to nie był jedyny powód. – Lądujemy.

"Rozjemca" usiadł z lekkim tylko szarpnięciem i jakby westchnął z ulgą. Lanoree już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gdy Tre uniósł rękę.

– Kto będzie cię pilnował, jeśli ja zostanę tutaj?

– Właśnie miałam ci wyjaśnić, że nie musisz iść – odparła Lanoree. – To właściwie nigdy ciebie nie dotyczyło.

Twarz Trego pociemniała, a jego lekku opadły, co wyrażało gniew.

– To dotyczy wszystkich – powiedział. – Tyle że jesteśmy tu tylko my dwoje.

– Gadasz jak na kiepskim holofilmie. – Lanoree uśmiechnęła się i otworzyła właz. Z dłonią na rękojeści miecza i zmysłami Mocy przytłumionymi przez szalejące na Tythonie burze wyszła ponownie na powierzchnię swojej ojczystej planety.



Kiedy podeszli do rozbitego statku Patrzących w Gwiazdy, rozdzielili się, a Lanoree poczuła rosnący niepokój. Nie chciała znaleźć zwłok swojego brata we wraku. Nie wiedziała, czy to znaczy, że jest dobrym człowiekiem, czy może świadczy o jej nadmiernej wielkoduszności. Po prostu tak było. Cały czas tliła się w niej nadzieja, że jest dla niego ratunek. Nawet kiedy wycelował do niej z tego blastera i miała tylko ułamek sekundy, żeby osłonić się Mocą, było jej go żal.

Może i była głupia, ale cóż, to przecież jej brat. Miała nadzieję, że rodzice byliby z niej dumni.

Lanoree podeszła do statku i spróbowała wy badać go za pomocą zmysłów Mocy. Nie wyczuła w środku nikogo. Tre zbliżał się powoli z drugiej strony, a kiedy podniósł kamień i rzucił nim w kadłub, podbiegła, żeby schwytać każdego, kto wyjdzie ze środka. Nic takiego się jednak nie stało.

Wspięła się na przechylony kadłub i poświeciła prętem jarzeniowym przez rozwalone drzwi. W środku panował nieład – zmiażdżone panele, zwisające kable

i przewody, przewrócony fotel i stwardniała pianka ochronna, uformowana w kształty co najmniej czterech osób. Lanoree zauważyła dwa ciała wciąż pokryte pianką; ich odsłonięte części były straszliwie pokiereszowane.

Dała znak Tremu, żeby zaczekał na zewnątrz, po czym weszła do środka. Żadne z ciał nie należało do Dala. Odetchnęła z ulgą, a po chwili aż podskoczyła, kiedy na zewnątrz rozległ się wyjątkowo głośny huk pioruna.

Nigdzie nie było widać morderczego urządzenia. Nie było też żadnych śladów walki ani ostrzału. Statek musiał zostać strącony przez burzę Mocy. Lanoree z trudem mogła uwierzyć w ten łut szczęścia.

Wyszła na zewnątrz i zsunęła się po tylnej części statku w kierunku osłon silników. Były jeszcze gorące, tak że ledwie można było ich dotknąć.

– Są trzydzieści kilometrów do Starego Miasta i idą piechotą! – zawołała.

– Dawno poszli? – spytał Tre.

– Nie. Silniki jeszcze gorące. Ale musimy się pospieszyć. – Wrócili biegiem do "Rozjemcy", Lanoree wystartowała i pomknęli ponad krajobrazem. Tre siedział obok niej, obserwując skanery, podczas gdy ona prowadziła statek przez doliny i wokół górskich szczytów. Zdawała sobie doskonale sprawę, że element zaskoczenia znów im sprzyja. Dal sądził, że ona nie żyje.

Zbliżając się do Starego Miasta, przypomniała sobie swoją ostatnią wizytę w jego ruinach. Kiedy znalazła zakrwawione ubranie Dala i uznała go za zmarłego, wróciła do Anil Kesh, żeby zmierzyć się z reperkusjami jego ostatnich czynów. Po zakończeniu dochodzenia w sprawie zabójstwa Skotta Yuna – za które winą w całości obarczono Dala – dostała urlop, mogła więc udać się do domu i opowiedzieć rodzicom o wszystkim, co się stało.

Oczywiście twierdzili, że to ich wina. Lanoree z kolei obwiniła siebie. Trudno im było dojść do porozumienia, więc kiedy przyszła pora, by wyruszyć w dalszą część Wielkiej Wędrówki – tym razem samotnie, co z czasem zaczęło jej odpowiadać – ochoczo to uczyniła.

Nigdy potem nie wróciła do Starego Miasta. Uważała, że skoro Dal nie żyje, nie ma powodu, by odwiedzać jeszcze raz to miejsce.

A poza tym czuła dziwny lęk, co przypisywała sędziwemu wiekowi ruin, ich nieznannej historii, tajemnicy, której nawet Moc nie była w stanie rozjaśnić. Nigdy o tym nie mówiła. Uważała, że należy na zawsze zostawić to miejsce w spokoju.

A teraz znów tu trafiła.

– Sensory nie wykrywają żadnych form życia – oznajmiła.

– Nie ma żadnych Je'daii? Powinni chyba zapewnić ci wsparcie.

– Mistrzynie Dam-Powl powiedziały chyba, że się wycofali. – Wskazała na niebo. – Dzieje się coś dziwnego. Nie wiem, czy to ma jakiś związek, ale chyba jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Wy, Je'daii, i te wasze tajemnice... – mruknął Tre, potrząsając lekko. – Więc gdzie oni są?

– Musieli już zejść na dół.

– Na dół?

– Pod minami znajdują się tunele. Pieczary. Jeziora. Głębokie zakamarki.

– Mam już dosyć podziemi.

Lanoree spojrzała na niego, unosząc jedną brew, ale tym razem nie powiedziała: „Nie musisz iść”.

– Załatwmy to szybko – dodał Tre.

– Czujesz się lepiej?

– Twoje leki zahamowały chorobę.

Lanoree posadziła statek i razem mszyli w stronę Starego Miasta.

Krajobraz wydawał się aż do bólu znajomy, chociaż była tu tylko raz. Zupełnie jakby zawsze chciała tu wrócić. Skierowali się płytką doliną, obok wzgórza, które kiedyś mogło być piramidą. Podążali śladami czterech osób, odcisniętymi w wysokiej, wilgotnej trawie. Serce Lanoree biło szybko, coraz bardziej potęgując lęk. Oni naprawdę myślą, że mogą uruchomić hiperwrota! – pomyślała, a ta perspektywa była wstrząsająca. Gdyby wszystko poszło źle, mogli doprowadzić do zagłady całego systemu. Jeśli jednak hiperwrota istniały naprawdę, a urządzenie zadziałałoby prawidłowo, Dal mógł zbudować schody do gwiazd.

U każdego badacza taka perspektywa wywołałaby dreszcz podniecenia.

Wreszcie stanęli przed wejściem do podziemi Starego Miasta. Lanoree rozpoznała je ze swojej poprzedniej wizyty. Doznała silnego uczucia deja vu; teraz wszystko, co wydarzyło się od czasu tamtego przeklętego zejścia, wydało jej się snem.

– Nie podoba mi się to miejsce – stwierdził Tre. – Jest...

– Dziwne – dokończyła.

„Wyczuwam, że wkrótce wszystko się zmieni”, powiedziała Mistrzynie Dam-Powl.

I znów Lanoree podążyła ze swoim bratem pod powierzchnię Tythona, nie wiedząc, co się tam kryje.



Zeszli pod ziemię i niebawem natknęli się na pierwsze z zabezpieczeń, o których mówiła Dam-Powl.

Zobaczyli poćwiartowane ciało jednej z Patrzących w Gwiazdy, Catharki. Jej głowa potoczyła się po lekkiej pochyłości i wpatrywała się w nich. Reszta leżała porzrucana na podłodze tunelu. Krew była jeszcze ciepła, a jej zapach przyprawiał o mdłości. Oczy Catharki lśniły odbitym światłem pręta jarzeniowego, a Lanoree wyczuła Moc w zastawionej tutaj pułapce. W ścianie były ukryte kapsuły laserowe, teraz już zużyte. Ale spełniły swoje zadanie.

– Został tylko Dal i dwoje innych – stwierdziła Lanoree.

- Ale teraz już wiedzą, że czekają na nich pułapki.
- Więc pewnie nie wpadną w następną.
- Żebyśmy tylko sami nie wpadli – zwrócił jej uwagę Tre.
- To nasi je zastawili – przypomniała Lanoree.
- W takim razie musi tu być coś wartego ochrony.

Lanoree nie odpowiedziała, bo sama o tym pomyślała. Rada Je'daii powierzyła jej zadanie powstrzymania brata, ale chyba zakładali, że uda jej się to dużo wcześniej. Teraz pozostał już tylko ostatni krok w jego planie, tymczasem ona wciąż nie mogła go dogonić. Cóż, Rada tego nie przewidziała. Te pułapki były tutaj, żeby nikt się nie zapuszczał w podziemia Starego Miasta. I chyba zostały zastawione niedawno.

Schodzili coraz głębiej. Lanoree badała przestrzeń przed nimi. Jej zmysły były tutaj mniej przytępione. Może burza Mocy na powierzchni się uspokoiła, a może potężna masa Tythona, oddzielająca ich od burzy, działała jak tarcza. Moc wydawała się teraz zaburzona, ale ustabilizowana. Lanoree używała jej z pełnym zaufaniem, więc kolejną pułapkę było jej łatwo odkryć.

Tylko że Dał i inni również ją zauważyli. Wypchali więc czyjś płaszcz kamieniami i rzucili przed siebie. Postrzępiony materiał i popękane kamienie nosiły teraz ślady przypalenia kapsułami laserowymi.

- Szybko się poruszają – zauważyła Lanoree.
- Skąd wiesz?

– To mój brat. – Lanoree wyjęła miecz i ruszyli dalej. Rozpoznawała niektóre z pieczar i tuneli, łagodnie uformowane stopnie i dziwne grawerunki na niektórych ścianach, ale wołała skupić się na pościgu i zabezpieczeniach Je'daii. Tylko to się teraz liczyło.

Nie miała pojęcia, jak głęboko znajdują się hiperwrota ani czy w ogóle istnieją.

Kiedy mijali korytarz podzielony rzeźbionymi kamiennymi filarami, które zdobiły dziwne, podniszczone rzeźby, w oddali zobaczyła jakiś błysk. Rozświetlił na chwilę wysokie sklepienie, po czym zgasł, a potem znów się pojawił. To był biały blask laserowego wybuchu.

– Kolejna pułapka – zauważył Tre, a Lanoree pokiwała głową. Byli już blisko. Puściła się biegiem.

Może to nadzieja sprawiła, że zapomniała o ostrożności. Pościg dobiegał końca, a ją napędzała determinacja, żeby zmierzyć się ponownie z Dałem, zanim zdąży uruchomić swoje urządzenie. Wytężyła zmysły Mocy, ale nie wyczuła niczego podejrzanego, więc im zaufała. Nie wzięła jednak pod uwagę, że zmysły miała przytępione i że burze na powierzchni znów wstrząsały Mocą.

Niezależnie od przyczyny, poprowadziła ich prosto w niebezpieczeństwo.

Laserowa pułapka została zastawiona w szerokim tunelu, a z ciężkiego przedmiotu, którego użyto do jej uruchomienia, wciąż jeszcze unosił się dym. Kamień został przecięty gładko na dwie części, od których biła poświata. Powinni być nie więcej niż sto kroków przed nimi, pomyślała Lanoree. Pilnowała

bezszelestnego biegu, osłaniania własnego umysłu i przygotowywania się na to, co miało nadejść, gdy nagle dostrzegła jakiś ruch po swojej lewej stronie.

– Lanoree! – krzyknął Tre za jej plecami i popchnął ją do przodu. Albo się potknął i wpadł na nią, albo zrobił to celowo.

Kanonada blasterowego ognia odbiła się echem w tunelu, rozbijając skałę w stopione grudki. Patrzący w Gwiazdy wystrzelił pięć razy, zanim Lanoree zdążyła unieść miecz. Odbiła kolejne dwa strzały i niemal bez wysiłku przeskoczyła przez tunel. Wylądowała obok mężczyzny i zamaszystym ruchem miecza obcięła mu obie ręce poniżej łokci. Przedramiona wraz z blasterem upadły na ziemię. Mężczyzna wydał stłumiony okrzyk i zrobił dwa kroki do tyłu, aż znalazł się pod ścianą tunelu. Wytrzeszczył oczy na tryskające krwią kikuty, a potem na Lanoree.

Wbiła mu miecz w klatkę piersiową, rozcinając go niemal na pół. Kiedy runął martwy, Lanoree odwróciła się, żeby popędzić Trego i poradzić mu, żeby uważał, bo teraz Dal i ostatni z Patrzących w Gwiazdy wiedzieli już, że pogoń jest blisko.

Ale nie mogła mu nic powiedzieć, bo już nie żył. Jeden ze strzałów trafił go w szyję i utkwiał w potylicy. Twi'lek upadł do przodu z rozpostartymi rękami.

– Och, Tre – wyszeptała Lanoree, bo zabrakło jej słów. Podbiegła do niego, żeby zabrać jego blaster i pobiec dalej.

Pod nosem utworzył mu się pęcherzyk z krwi.

Dotknęła jego nadgarstka i wyczuła słabe tętno, trzepoczące niczym uwięziony ptak. Rana wyglądała paskudnie, jednak Tre wciąż oddychał.

Ale Lanoree zrozumiała, że nie ma czasu.

– Przepraszam – szepnęła. Zostawiła Trego w ciemności i pobiegła dalej. Jediną pociechą była dla niej świadomość, że gdyby był przytomny, zrozumiałby ją.

Teraz – tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zapuszczała się w czeluści Starego Miasta – znów była sama.



Wkrótce Dal także został sam.

Skupiona, coraz bardziej wyczulona na prądy Mocy przepływające przez te prastare podziemne pomieszczenia, Lanoree wyczuła ostatniego z Patrzących w Gwiazdy dużo wcześniej, niż on zdał sobie sprawę z jej obecności. Ukrywał się na jednym z wysokich stopni prowadzących ku masywnej ścianie, z blasterem wycelowanym w jej stronę.

Lanoree wspięła się wyżej. Poruszała się szybko i cicho, ledwie mącąc powietrze wokół siebie. Przez cały czas wypatrywała jakiegoś ruchu, który świadczyłby o tym, że przeciwnik ją usłyszał lub zobaczył. Była jednak niezauważalna jak cień. Kiedy już znalazła się dostatecznie wysoko, przysunęła się

bliżej i skoczyła z góry na Patrzącego w Gwiazdy.

Chętnie by go przepętała, dokąd poszedł Dal i jak jest uzbrojony, ale nie mogła ryzykować. Widziała już, jak jeden z Patrzących w Gwiazdy bez namysłu zdetonował ładunki wybuchowe, które miał przytroczone do pasa. W ostrzu jej miecza krył się gniew. Głowa Patrzącego w Gwiazdy stoczyła się trzy stopnie niżej, a Lanoree wylądowała miękko obok niej. Ruszyła od razu dalej. Dal nie musiał wiedzieć, że ostatni z Patrzących w Gwiazdy już nie żyje, ale i tak pewnie zakładał, że jest zdany tylko na siebie.

Został już tylko on i jego siostra, którą postrzelił i zostawił na pewną śmierć.

– Dal! – zawołała Lanoree, zaskakując samą siebie. Przystanęła i uśmiechnęła się. Poczowała się dziwnie dobrze, wykrzykując jego imię. Nie dlatego, że był jej bratem i wciąż miała cień nadziei co do niego, bo już tak nie było. Wyzbyła się nadziei. Sprawilo jej to przyjemność, kiedy w swoim głosie usłyszała gniew i odrazę. Tyle osób zabił Dal, żeby zrealizować swoją fantazję. Nawet własną siostrę.

Gdyby nagle zjawili się tu rodzice, ich także by zabił.

– Dal! Idę po ciebie! Nie mam litości! Nie dostaniesz kolejnej szansy! Zostaliśmy tylko ty i ja, jak ostatnim razem, kiedy przelałeś tutaj własną krew. – Jej głos odbijał się echem w ogromnych salach i szerokich tunelach, które pewnie nigdy wcześniej nie słyszały takiego języka. Zadumała się nad językiem Greech i tym, co przed wiekami mogły widzieć i słyszeć te pomieszczenia. Czuła ciężką, gęstą energię tego miejsca, ale nie dbała o to. Była zmęczona i wściekła. Równowagę miała zaburzona, ale pozwalała, by napędzał ją gniew. On wyostrzał jej zmysły.

Pręt jarzeniowy z coraz większym trudem zmagął się z ciemnością. Może im głębiej się zapuszczała, tym bardziej nieprzenikniony panował mrok.

I nagle ujrzała Dala. Stał w pomieszczeniu, które kiedyś mogło służyć jako łaźnia. Wokół siebie rozrzucił kilka prętów jarzeniowych, a przed nim stało urządzenie. Musiał przynieść je tu własnoręcznie; Lanoree zdumiała się, że coś tak potężnego waży tak niewiele.

– Chyba wystarczy – odezwał się Dal.

– Nie zatrzymasz mnie teraz – warknęła Lanoree. Zwolniła, ale w dalszym ciągu szła w stronę brata.

– Nie mówię o tobie. Chodzi mi o to, co tu przyniosłem. Już jest wystarczająco daleko.

– Tutaj? – Rozejrzała się dokoła. – Ale gdzie są...?

Dal schylił się, żeby dotknąć urządzenia.

– Nie rób tego! – Wyciągnęła blaster i wycelowowała w głowę Dala, chowając miecz do pochwy. Była pewna, że teraz nie miałyby problemu z pociągnięciem za spust.

– Niezbyt elegancka broń jak dla Je'daii – parsknął jej brat.

– Ukradłeś mi miecz.

– Wygląda na to, że masz drugi i nie boisz się umoczyć go we krwi.
– Ten nie jest wyjątkowy.
– Ach, tak? Cóż, tamten wyrzuciłem w przestrzeń kosmiczną. – Cały czas kucał w półprzysiadzie, z rozcapierzonymi palcami prawej ręki, a Lanoree obserwowała jego drugą dłoń.

Powinłam go od razu zastrzelić, pomyślała.

– Chodź ze mną – powiedział Dal.

– Strzelałeś do mnie.

– A jednak tu jesteś. Moja twarda siostra.

– Moc mnie ocaliła. Ironia losu, nie sądzisz? Tak bardzo z niej kpiłeś, a teraz ona przyniesie ci zgubę.

– Wygląda na to, że raczej blaster przyniesie mi zgubę.

Stali tak bez ruchu dłuższą chwilę. Lanoree ani na moment się nie rozluźniła – palec na spuście, wzrok utkwiony w Dalu, zmysły Mocy wyczulone, ale wciąż nie do końca sprawne. Burza przycichała, ale Moc na Tythonie była wciąż zaburzona.

– Jesteś złym człowiekiem, Dal.

– Walczę o to, w co wierzę!

– To nie znaczy, że nie jesteś zły.

– Nie zatrzymam się teraz – oświadczył Dal. – Nie zrezygnuję z tego, Lanoree. Nie po tak długim czasie. Nie czujesz tego? Nie masz pojęcia, jak...

– Nie obchodzi mnie to – odparła.

Dal wpatrywał się w nią – ten starszy, szalony Dal, którego wciąż nie znała.

– Nie możesz się po prostu zastanowić? – spytał cicho. – Nie jesteś chociaż ciekawa, co tam może być?

Nie odpowiedziała.

– Wiedzieć, skąd przybyliśmy – ciągnął. – Gdzie są nasze korzenie. Gdzie planety, z których pochodzimy, ale z których zostaliśmy wyrwani. Nasze dziedzictwo kryje się w gwiazdach, Lanoree. Czy nawet cząstka ciebie nie jest tego ciekawa?

– Tak, jestem ciekawa – przyznała po chwili milczenia. – Ale nie zamierzam ryzykować wszystkiego, co znam i kocham.

– Więc mnie zastrzel. – Dal sięgnął niżej.

Palec Lanoree zacisnął się na spuście... i zaraz się rozluźnił. Zamiast strzelić, zamknęła oczy i podjęła największe ryzyko w swoim życiu.

Przywołała wspomnienie ich wspólnych chwil i ze wszystkich sił posłała je ku bratu. Moc opuściła ją gwałtownie i przez chwilę naprawdę żyła we wspomnieniu, które formowało się w umyśle Dala, równie prawdziwa jak w tej starożytnej podziemnej łaźni Greech.

Oto idą razem brzegiem rzeki w pobliżu Świątyni Bodhi, młodzi, beztroscy. Obserwują wicioptaki wijące gniazda na drzewach i kołorosty wielkości małych wysepek, niesione przez wodę.

Młoda Lanoree śmieje się z zachwytem i widzi, że Dal robi to samo, otwierając

szeroko oczy ze zdumienia. Przez tę chwilę jest tam razem z nią. Lanoree zauważyła, że oczy jej skulonego za urządzeniem brata rozszerzają się i wilgotnieją i pomyślała: teraz! Naparła Mocą ponownie, ale tym razem nie było to miłe wspomnienie. Zebrała wszystkie potworne obrazy, jakie widziała w ciągu ostatnich dni – eksplozje i śmierć w Stacji Greenwood, kopalnie na Sunspocie, Patrzących w Gwiazdy, którzy zginęli od jej miecza, gwałtowną pożogę na niebie Tythona – i cisnęła nimi w Dala. Jego umysł wzdrygnął się, a twarz przypominała przez chwilę dawną buzię dziecka. Malowały się na niej szok i wściekłość z powodu jej podstępu.

A potem jej brat zaczął krzyczeć.

Chwiejąc się, wrzeszczał z bólu, niedoli i cierpienia, jakie Lanoree na niego zrzuciła. Odepchnęła go teraz przy użyciu Mocy. Potknął się i upadł.

Lanoree podeszła do urządzenia, ściskając w dłoni blaster. Powstrzymałam go! – pomyślała przelotnie, a z serca spadł jej olbrzymi ciężar. Przycisnęła rękę do piersi i poczuła ciepło zaleczonej rany.

Krzyk Dala przycichł. Stał teraz w miejscu, kręcąc głową, pocierając twarz i przeczesując palcami włosy. Oddech miał wciąż ciężki i nierówny.

Lanoree spodziewała się, że pokonany ucieknie. I pozwoliłaby mu na to. Zapewne zgubiłby się w podziemiach i w końcu umarł albo zapuścił się dalej niż Osamael Or i zniknął w Starym Mieście na zawsze.

Ale Dal nie uciekł. A kiedy podniósł wzrok, zobaczyła coś nowego na jego twarzy.

Wściekłość.

– Wynoś się z mojej głowy! – ryknął i ruszył na nią.

Lanoree uniosła blaster, ale Dal jakimś cudem był szybszy. Zobaczyła przed oczami jego rękę, a potem nagły błysk i poczuła zimny ból. Upuściła blaster i cofnęła się chwiejnym krokiem, patrząc z niedowierzaniem na cienkie metalowe ostrze, które utkwilo w jej dłoni, rozcinając ją na pół.

Dal rzucił się na nią błyskawicznie. Nauki, jakie pobierał w Stav Kesh, nie poszły na marne.

Zaskoczona Lanoree nie zdołała sparować pierwszej serii ciosów i kopniaków. Dal zawsze miał talent do walki i teraz jego siostra aż się zatoczyła od uderzeń, którymi ją zasypał. Próbowwała trzymać zranioną rękę z boku, ale on celował w nią specjalnie; kopniakiem trafił w ostrze, wbijając je jeszcze głębiej. Następnym ciosem docisnął jej dłoń do uda, aż czubek ostrza zahaczył o ubranie. Lanoree zawyła z bólu. Dal się uśmiechnął.

Natarł na nią ponownie, ale tym razem zdążyła się przygotować.

Dal wykorzystywał w walce wszystkie swoje umiejętności i całą siłę, za to Lanoree polegała na swoim wyszkoleniu. Na latach, które spędziła jako Strażniczka. Na swojej bliskości z Mocą. Wszystkiego, czego Dal nienawidził, użyła przeciwko niemu.

Kolejny cios pięścią trafił ją w ramię. Lanoree sparowała go zdrową ręką i

zadała wspomagany Mocą cios, który posłał jej brata na drugi koniec pieczary. Dal wpadł z rozpędu na kolumnę i osunął się na ziemię. Kiedy z trudem próbował wstać, Lanoree chwyciła blaster i bez wahania pociągnęła za spust.

Nic się nie wydarzyło. Blaster musiał zostać uszkodzony przy upadku.

Dal przykucnął, podniósł kamień i rzucił.

Lanoree odbiła go przy użyciu Mocy, aż kamień rozsypał się w proch.

Wtedy on wyciągnął zza paska dwa krótkie noże i zaatakował ponownie. Lanoree wyrzuciła bezużyteczny blaster i dobyła miecza, którym zaczęła parować jego pchnięcia. Trzymała miecz tylko jedną ręką, ale i tak wiedziała, że ma nad nim przewagę. Było jej go niemal żal.

Nagle rzucił jej nożem w twarz, a kiedy ona odepchnęła Mocą broń na bok, Dal rzucił się w kierunku urządzenia.

Lanoree nie miała czasu na myślenie; zresztą nawet gdyby miała, zrobiłaby to samo. Uniosła miecz wysoko nad głowę, a potem, kreśląc łuk, opuściła go w miejsce, gdzie ręce Dala powinny zetknąć się z urządzeniem.

W ostatniej chwili zamknęła oczy i poczuła z dobrze sobie znanym obrzydzeniem, jak miecz przecina ciało.

Coś spadło na ziemię. Lanoree musiała wreszcie spojrzeć.

Prawa ręka Dala, z wciąż rozcapierzonymi palcami, leżała odcięta obok urządzenia. Klinga tkwiła głęboko w jego głowie. Dal osunął się, mrugając powoli. Popatrzył na Lanoree, a jego ciało dziwnie się rozluźniło. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa siostra zobaczyła Dala takiego, jaki był naprawdę. Ale on sam siebie już nie mógł zobaczyć.

Oczy nabiegły mu krwią, krew pociekła z uszu i nosa, a wreszcie znieruchomiał.

Ten nagły bezruch wstrząsnął Lanoree. Zapłakała z ulgą i żalem. Wybadała ciało delikatnie, spodziewając się poczuć wściekłość i nienawiść, i ten znajomy gniew, którym reagował na jej dotyk Mocą. I jeszcze determinację, by skończyć to, co zaczął.

Jednak Dala już nie było. Jej brat odszedł. Pozostało po nim tylko żałosne, pokiereszowane, martwe ciało.

Odwróciła się do niego plecami, żeby upewnić się, że urządzenie jest stabilne. Wydawało się, że tak. Wydawało jej się też, że ta dziwna energia, którą wyczuwała tu dziewięć lat wcześniej, istniała nadal. Była jak długo wstrzymywany oddech i dorównywała potencjałem urządzeniu. Mrok w sercu Dala był straszliwy. Ale to nie ona miała się z nim mierzyć.

Zostawiła miecz przy Dalu. To nie był jej prawdziwy miecz, no i nie chciała wycierać krwi własnego brata z jego klingi.

Wkrótce musi zanieść urządzenie na powierzchnię i na pokład "Rozjemcy". Jeśli Tre jeszcze żyje, zrobi dla niego wszystko, co będzie mogła. Biedny, dzielny Tre. Zawiezie ich oboje do Anil Kesh, do Świątyni Nauki. Bardziej od niej uzdolnieni Je'daii zbadają i zabezpieczą urządzenie, a lepsi uzdrowiciele

troskliwie zaopiekują się Trem. Zażąda tego od nich.

Potem spotka się z Mistrzami Je'daii, którzy wysłali ją na tę misję. Opowie im o wszystkim, co się wydarzyło, i poprosi o pozwolenie na wydobycie ciała Dala, żeby mogła zawieźć go do domu. Postanowiła, że opowie o wszystkim rodzicom.

Po tym wszystkim będzie miała jeszcze jedną podróż do odbycia i parę ostatnich pytań do zadania.

Mistrz Świątyni Lha-Mi na pewno spełni jej wszystkie prośby, bo przecież zapobiegła możliwej katastrofie.

Jednego tylko nigdy nie powie Mistrzom Je'daii – nie zdradzi, jak długo siedziała przy stygnącym ciele swojego brata, wpatrując się w panel aktywacyjny urządzenia.

I zastanawiając się.

Tylko zastanawiając.



ROZDZIAŁ 19

MOŻE

Nigdy nie będę mógł nikomu powiedzieć, co widziałem w czeluściach Starego Miasta. Nie da się tego opisać. Ale mam nadzieję, że kiedyś będę mógł to wszystkim pokazać.

– Dalien Brock, dzienniki, 10 661 PTY

Ostatecznie zdecydowała, że jej rodzice mogą poczekać. Bała się tego spotkania, nie tylko dlatego, że zabiła własnego brata. Bała się go przede wszystkim dlatego, że po raz drugi nie udało jej się go uratować.

Na powierzchni Tythona wciąż szalały burze, kiedy sprowadzała swojego zdezelowanego "Rozjemcę" na jedno z lądowisk Anil Kesh. Statek wymagał naprawy, a jej droid – specjalistycznej opieki fachowców. Przede wszystkim jednak Tre balansował między życiem a śmiercią. Zrobiła dla niego, co mogła, ale jej starania mogły się okazać niewiele warte. Musiał się nim zająć ktoś z doświadczeniem w uzdrawianiu Mocą. Lanoree mówiła do niego przez cały czas w trakcie krótkiego lotu do Anil Kesh i chociaż był w śpiączce, miała nadzieję, że to coś da. W każdym razie ona czuła się lepiej, bo nie musiała już mówić tylko do siebie.

Jednak jej ciemne sprawy nie były jeszcze załatwione. I chociaż misja dobiegła niemal końca, Lanoree wyczuwała, że na Tythonie dzieje się coś poważnego.

Mistrzynie Dam-Powl czekała na nią na płycie lądowiska. Kaptur miała naciągnięty na głowę dla ochrony przed deszczem.

– Lanoree – przywitała ją z nieskrywaną sympatią. Lanoree chciała uklęknąć, ale Dam-Powl przyciągnęła ją do siebie i uścisnęła. Lanoree poddała się temu i oparła głowę na ramieniu niższej od niej Mistrzynie. – Twoja równowaga jest zachwiana – wyszeptała Dam-Powl.

– Tak, Mistrzynie. Zabiłam swojego brata.

Dam-Powl westchnęła ciężko.

– Nastaly mroczne czasy. Chodź, proszę, ze mną. Porozmawiamy, zjemy coś, napijemy się. Przyda mi się towarzystwo. Pełnię teraz obowiązki Mistrza Świątyni pod nieobecność Mistrza Quan-Janga.

– A gdzie on jest?

– Wyjechał. A teraz chodź. – Dam-Powl wyciągnęła rękę. – Opowiesz mi wszystko. Ja też mam ci wiele do opowiedzenia.

– Myślałam, że jest już po wszystkim – powiedziała Lanoree, spoglądając w niebo na wschodzie, gdzie tańczyły błyskawice, a potężne wiatry przewalały smagający deszcz po odsłoniętych powierzchniach Anil Kesh. Pod Świątynią wyła Otchłań. Wydawało się, że wydobywa się stamtąd ciemność, chociaż było prawie południe. Nawet po tym wszystkim, co Lanoree widziała i zrobiła, Otchłań przyprawiała ją o dreszcz.

– Twoja misja jest skończona – stwierdziła Dam-Powl. Wspólnie obserwowały trójkę Strażników Je'daii, którzy ostrożnie wynieśli urządzenie z "Rozjemcy", umieścili na stabilnym wózku i ruszyli w kierunku otwartych drzwi. Urządzenie miało trafić do jednego z laboratoriów w Anil Kesh. Lanoree miała tylko nadzieję, że Je'daii zdołają czegoś się z niego dowiedzieć. – Ale zaczyna się inna historia.

Mistrzynie Dam-Powl opowiedziała Lanoree o obcym statku, który zjawił się w systemie, eksplodował nad Tythonem, a potem rozbił się gdzieś w pobliżu Ryftu, być może nawet w samej Rozpadlinie Ruh. Jego przybycie spowodowało straszliwe burze Mocy, które wciąż przetaczały się po powierzchni planety, co zaniepokoiło Je'daii.

– Mistrz Quan-Jang jest jednym z wielu szukających wiadomości o rozbitym statku – wyjaśniła Dam-Powl. – Boję się, że to oznacza zmiany dla Tythona.

– Boisz się? – spytała Lanoree.

– Przed katastrofą tego statku wystąpiło zaburzenie w Mocy. Fala ciemności, potworny krzyk bólu, a potem śmiertelna cisza.

– Ja także to wyczułam – wyznała Lanoree. – W drodze powrotnej z Sunspot.

– Wielu Je'daii to czuło – odparła Dam-Powl. – Ci na statku byli wrażliwi na Moc.

– Przybyli spoza systemu?

– Tak sądzimy. – Dam-Powl pokiwała lekko głową, ale nie powiedziała nic więcej. Czuła, że Lanoree musi się wygadać. – Pora na twoją opowieść – zdecydowała.

Usiadły w laboratorium Mistrzynie Dam-Powl i Lanoree wszystko jej opowiedziała.

– Okropne – podsumowała Dam-Powl, kiedy historia była już prawie skończona. – Co za potworność. Mam nadzieję, że uda się uratować Trego Sanę.

– To dziwna istota – stwierdziła Lanoree i ku swojemu zaskoczeniu się uśmiechnęła. – Kiedy go poznałam, wydawał się taki twardy. Surowy. Samolubny. Miał niepokojące poglądy i wyznał mi niektóre ze swoich grzechów, z pewnością nie te najgorsze. Ale mówił bardzo szczerze o swojej przeszłości. Ktoś mógłby go nazwać podłym albo nawet nikczemnym. Ale kilka razy mi pomógł i dostrzegłam w nim lepszą osobowość.

– I ja to wyczułam – przyznała Dam-Powl. – Dlatego go wybrałam. Miał być moimi oczami i uszami.

– Naprawdę obiecałaś mu to, o czym mówił?

– Tak – potwierdziła cicho Mistrzynie. – Jeśli przeżyje, dotrzymam słowa.

– Przyszedł po mnie na Sunspocie i ocalił mnie. Wydaje mi się też, że był gotów się poświęcić, by znów uratować mi życie w Starym Mieście. Wiedział, jaka jest stawka. Gdyby nie stanął na drodze tego strażu laserowego, mogłabym zginąć.

– Twoje zdolności alchemiczne są... zupełnie niezwykłe.

– Umieję tylko to, czego mnie nauczyłaś, Mistrzynie.

– Nie. Tego, co zrobiłaś, nie można się nauczyć, Lanoree. To wrodzony dar. Tylko uważaj, kiedy będziesz kontynuować swoje eksperymenty.

– Nie wiem, czy będę to robić – wyznała Lanoree.

– Będziesz, będziesz. – Dam-Powl uśmiechnęła się, ale jej uśmiech zaraz przygasł. – Ale to, co już zrobiłaś... mrok cię kusi. Mami cię potęgą, jaką mógłby ci dać. A zabicie brata także popchnęło cię w tę stronę. Czujesz się rozdarta. Czujesz się... zagubiona.

– Tak, Mistrzynie.

– Odsuń od siebie wątpliwości – poleciła Dam-Powl. – To pierwszy krok do odzyskania równowagi. Nawet jeśli coś cię trapi, wiedz, że to minie. Bądź uczciwa wobec samej siebie. I pamiętaj, że ja tu jestem, Lanoree. Wszyscy jesteśmy tu po to, żeby ci pomagać. Każdy z Mistrzów. – Wzruszyła ramionami. – Możliwe, że ocaliłaś nas wszystkich.

– Czuję, że mam zachwianą równowagę, Mistrzynie, to prawda. Ale nie uległam. I nie ulegnę.

Dam-Powl uniosła brew, napiła się, po czym otarła delikatnie usta.

– A więc niebezpieczeństwo zostało zażegnane, tylko że w jego miejsce pojawia się kolejne. Powinnaś wypocząć przed podróżą do Bodhi i do swoich rodziców.

– Nic z tego – odparła Lanoree. – Nie wracam jeszcze do domu. A odpoczynek może poczekać. Mam jeszcze parę pytań.

– Naprawdę? – spytała Mistrzynie Dam-Powl, chociaż wcale jej to nie zdziwiło.

– Chodzi o hiperwrota. Wyczułam je.

– W Starym Mieście to samo co ty wyczułby każdy szczególnie wrażliwy na Moc. Tak jak Otchłań powoduje zakłócenia... albo Rozpadlina Ruh i inne miejsca na Tythonie. Twój brat przynajmniej w jednym miał rację. To nie jest nasza planeta.

– Ale... czułam dziwną energię. Jakby coś tam na mnie czekało.

– Wino się skończyło. Pójdę po następną butelkę. – Dam-Powl wstała i odwróciła się, żeby odejść. Lanoree chwyciła ją za płaszcz i przyciągnęła z powrotem, aż stanęły znów twarzą w twarz. Nie powinno się dotykać Mistrza w ten sposób, ale Lanoree czuła się usprawiedliwiona.

– Mistrzynie, czy są tam hiperwrota?

Dam-Powl spojrzała na jej rękę na swoim rękawie i zaczęła, aż Lanoree ją

puści.

– To, czy one tam są, czy nie... i czy ktokolwiek wie to na pewno, nie zmienia tego, co zrobiłaś. Gdyby to urządzenie Greech zostało uruchomione... cóż, może w ogóle nie byłoby tu dwóch przyjaciółek, raczących się winem. Być może całego systemu już by nie było.

– Może i tak – zgodziła się Lanoree.

– Cała cywilizacja zbudowana jest na tym słowie. – Dam-Powl się uśmiechnęła. – Dobrze słyszysz Je'daii, Lanoree. Pamiętasz, jak ty i twój brat po raz pierwszy zjawiliście się w Anil Kesh? Już wtedy widziałam w tobie potencjał. A kiedy wróciłaś, żeby dokończyć szkolenie... po tym, jak myślałaś, że on zginął... i spędzałyśmy długie dni tutaj, w tym laboratorium... – Wskazała na ciemne kąty i migoczące świece. – Wtedy byłam już pewna, że kiedyś zostaniesz wspaniąłą Je'daii. Nie obawiałam ci się o tym powiedzieć. Dziś poczytuję to sobie za powód do dumy, bo miałam rację. Jesteś doskonałą Je'daii. A w czasie swojej wędrówki będziesz musiała się nauczyć, kiedy mierzyć się z przeciwnościami, a kiedy ich unikać. Kiedy słuchać Mistrzów, a kiedy nie. – Wzruszyła ramionami. – Hm... znów to słowo: „może”. Oznacza niepewność, ale także szanse. Może właśnie wątpliwości pozwalają nam osiągnąć swój potencjał, jak myślisz, Lanoree? Równowaga jest łatwa. Ale utrata równowagi i ponowne jej odzyskanie wymaga nieprzeciętnych możliwości. A ja głęboko wierzę, że je posiadasz.

Mistrzynie Je'daii odwróciła się i przeszła przez laboratorium, mijając stoły, przy których razem z Lanoree praktykowały alchemię. A kiedy wróciła z kolejną butelką wina, Lanoree miała jeszcze jedno pytanie.

– Mistrzynie, skąd pochodziły informacje na temat Dala, Patrzących w Gwiazdy i tego urzędnika?

Dam-Powl pokiwała głową, jakby sama siebie o czymś upewniała.

– Musisz się wybrać na Kalimahra.

– Właśnie – westchnęła Lanoree. – Kalimahr. – Uniosła kieliszek, żeby Mistrzynie dołąła jej wina.



W drodze na Kalimahra Lanoree miała czas, żeby pomyśleć o tym, co zrobiła.

„Twoja równowaga jest zachwiana”, powiedziała Mistrzynie Dam-Powl i Lanoree musiała się z nią zgodzić. Ciemność prześladowała ją w snach i niekiedy zdarzało jej się śnić o Boganie. Wszystko to ją niepokoiło, ale ta wędrówka jeszcze się nie skończyła. Była jednak przekonana, że wkrótce, kiedy podróż będzie skończona, sama zdoła odzyskać równowagę.

Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że czuje się samotna. Pancerniak został w Anil Kesh, gdzie zajmował się nim pewien młody Wędrowiec, który był

uzdolnionym mechanikiem; ale i tak bez Trego kabina wydawała się za duża, statek zbyt cichy. Próbowła znów mówić do siebie, ale zrobiło jej się smutno, kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Powiedziano jej, że rokowania co do Trego są pomyślne. Pielęgnowała w sobie radość, jaką wywołała w niej ta wiadomość. Pomyślała, że może zyskała przyjaciela.

Grupa Wędrowców pod dowództwem Mistrzynie Kin'ade szukała przez pewien czas ciała Dala, ale bez rezultatu. Pewnie pożarły go stworzenia, pomyślała Lanoree. Kto wie, co się czai w tych otchłaniach.

Przez jakiś czas siedziała, wpatrując się w swój eksperyment. Był wysuszony i obnażony i właściwie powinna była wyrzucić go w przestrzeń kosmiczną. A jednak jakoś nie mogła się z nim rozstać. Wokół skamieniałego ciała krążyła ciemność, a Lanoree kilka razy próbowała odnaleźć w nim życie. Początkowo ciało było po prostu martwe. Jednak kiedy znajdowała się o pół dnia drogi od Kalimahra, jej zmysły Mocy dostrzegły w nim odrobinę życia.

Z czasem nauczy się na nowo alchemii ciała. Pokusa była zbyt wielka, by mogła o tym zapomnieć.



Na Kalimahrze nie znalazła niczego.

Apartament Kary był opuszczony. Szkody powstałe podczas walki, jaką Lanoree i Tre stoczyli z droidami wartowniczymi grubaski, zostały naprawione. Sekretny pokój, który Lanoree odkryła, był opróżniony, wysprzątan i stanowił część apartamentu. Wszystkie rzeczy osobiste zniknęły. Kara opuściła swoje mieszkanie po raz pierwszy od trzynastu lat, zostawiając tę atrakcyjną nieruchomość, ale jakoś nikt nie zdecydował się jej wynająć. Było coś mrocznego w tym miejscu.

Wszelkie pytania o miejsce pobytu Kary trafiały w próżnię. Prawie wszyscy twierdzili, że nigdy o niej nie słyszeli. Gdy Lanoree zastosowała raz i drugi subtelną sztuczkę Mocy, żeby odczytać myśli rozmówców, natrafiła na sprzeczne obrazy Kary jako przyjaciółki, ale i zagrożenia, jednak żadnych wskazówek na temat jej aktualnego miejsca pobytu. Wszyscy ją znali, ale kłamali, że nie. Jednak zapytani o to, gdzie Kara jest teraz, mówili prawdę.

Kara zniknęła.

Wraz z nią, jak zdradził Lanoree kapitan milicji Lorus, zniknęło jeszcze kilkoro wysoko postawionych członków społeczności Rhol Yan. Jednego dnia byli, a następnego... Ich domy stały porzucone, czasami z całym dobytkiem, firmy pozostały bez dyrektorów. Zniknęli bez śladu, i już.

– Może wyjdzie wam to na dobre – wyraziła przypuszczenie Lanoree.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Lorus.

– Bo oni nie byli tymi, za kogo się podawali. Mieli swoje ukryte cele, a kiedy im to pasowało, dostarczali informacje Je'daii. Ściągnęli mnie tutaj, zmusili mojego brata i jego towarzyszy do przyspieszenia realizacji ich planów. Podejrzewam, że Kara i jej podobni to są prawdziwi Patrzący w Gwiazdy.

Opuściła Kalimahra jeszcze tego samego dnia, wyczuwając, że Lorus jest z tego zadowolony. Ona także się ucieszyła, że odlatuje.

Pomyślała o Pancerniaku, który wciąż był w naprawie. Maszyny mają swoich właścicieli; narzędzia, które działają i reagują mają programistów, którzy wykorzystują je do swoich celów. Podejrzewała, że Dal był taką maszyną, zwykłym narzędziem, a Kara i jej zaginioni towarzysze wszystkim kierowali.

Może Dal za bardzo się ociągał z realizacją swoich planów i jego szefowie chcieli go ponaglić? A czy był na to lepszy sposób niż wysłanie Je'daii jego tropem? Lanoree nie spodobało się to, że mogła zostać wykorzystana, jednak ta myśl nie dawała jej spokoju.

Teraz celem jej podróży był znów Tython. Rodzice czekali. Nadeszła pora, żeby ich córka wróciła do domu.

Postanowiła, że po drugiej uroczystości upamiętniającej Dala, zostanie tam przez jakiś czas. Pospaceruje samotnie po trawiastych równinach wokół Świątyni Bodhi, może popływa w rzece i popatrzy, jak wicioptaki budują gniazda. A kiedy zapadnie zmrok, położy się na plecach i będzie rozmyślać o Ashli i Boganie i swoim miejscu pomiędzy nimi.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować wszystkim z Del Reya, LucasBooks i Dark Horse 'a za nieocenioną pomoc i doping, a także – jak zawsze – mojemu agentowi, Howardowi Morhaimowi.